

Nienasycenie. Część pierwsza, Przebudzenie





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Dziękujemy panu Jackowi J. Hoffmanowi za sfinansowanie opracowania niniejszej publikacji.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

Nienasycenie

POWIEŚĆ

Autor prosi o przeczytanie przedmowy

CZĘŚĆ PIERWSZA. PRZEBUDZENIE

*Poświęcone pamięci
Tadeusza Micińskiego*

*„Ja, wybierając los mój,
wybrałem szaleństwo.”*

Tadeusz Miciński, W mroku gwiazd

PRZEDMOWA

Nie wchodząc w kwestię, czy powieść jest dziełem sztuki, czy nie — (dla mnie, nie) — poruszyć chcę problemat stosunku powieściopisarza do jego życia i otoczenia. Powieść jest dla mnie przede wszystkim opisaniem trwania pewnego wycinka rzeczywistości — wymyślonego, czy prawdziwego — to obojętne — rzeczywistości w tym znaczeniu, że główną rzeczą w niej jest treść, a nie forma. Nie wyklucza to oczywiście najdzikszej fantastyczności tematu i psychologii występujących osób — chodzi tylko o to, aby czytający był zmuszony wierzyć, że tak właśnie, a nie inaczej było lub być mogło. To wrażenie zależne jest też od sposobu przedstawienia rzeczy, czyli od formy poszczególnych części i zdań i od kompozycji ogólnej, ale elementy artystyczne nie stanowią w powieści całości działającej formalnie bezpośrednio swoją konstrukcją; służą raczej do spotęgowania treści życiowej, do zasugestionowania czytelnikowi poczucia rzeczywistości opisanych ludzi i wypadków. Jednak konstrukcja całości jest czymś według mnie w powieści drugorzędnym, co powstaje jako produkt uboczny opisu życia, i co nie powinno z góry wpływać deformująco na rzeczywistość według czysto formalnych wymagań. Lepiej oczywiście, żeby była, ale brak jej nie stanowi zasadniczej wady powieści, w przeciwieństwie do dzieł Sztuki Czystej, gdzie po prostu bez wartości formalnej całości nie może być mowy o artystycznym wrażeniu, gdzie jeśli jej nie ma, nie ma dzieła sztuki w ogóle, a jest co najwyżej w pewien sposób przetworzona rzeczywistość i chaos niezwiązanych ze sobą czysto formalnych elementów. Dlatego powieść może być wszystkim, w uniezależnieniu od praw kompozycji, począwszy od a-psychologicznej awantury, przedstawionej od zewnątrz, do czegoś, co może graniczyć z traktatem filozoficznym lub społecznym. Oczywiście jednak musi się coś w niej dziać: idee i ich walka muszą być pokazane na ludziach żywych, a nie porozwieszane na manekinach. Jeśli ma być tak, to lepiej napisać broszurę lub traktat. Przekonanie, że powieść musi być koniecznie przedstawieniem ciasnego wycinka życia, przy czym autor, z kłapami koło oczu, jak strachliwy koń, unika wszelkich rzeczywistych i *pozornych* nawet dygresji, wydaje mi się niesłuszne — z wyjątkiem grafomanicznych bzdur i niepotrzebnych nikomu płytkich naświetleń nieciekawych ludzi, wszystko jest usprawiedliwione — nawet największe odstępstwa od „tematu”. Podlizywanie się najniższemu gustom przeciętnej publiczności i strach przed własnymi myślami lub niechęcią danej kliki, czynią z naszej literatury (z małymi wyjątkami) tę letnią wodę, od której chce się po prostu rzygać. Słusznie twierdzi Antoni Ambrożewicz, że u nas literatura była tylko funkcją walki o niepodległość — z chwilą jej osiągnięcia zdaje się kończyć beznadziejnie. Proszę nie posądzać mnie o megalomanię i chęć wmówienia publiczności, że moje powieści są ideałem, a wszystko inne głupstwem. Daleki jestem (i to bardzo) od tego. Ale twierdzę, że dzisiejsza krytyka, z powodu fałszywego poczucia społecznego obowiązku i chęci nauczania małych cnótek małych ludzi, nie chce widzieć groźnych zagadnień i ich możliwych rozwiązań i stanowczo wpływa hamująco na rozwój w wielkim stylu naszej literatury. Co jest niewygodne, jest przemilczane lub programowo źle zrozumiane i zinterpretowane. Fałsz i tchórzostwo cechuje całe nasze życie literackie, a ci, którzy nawet słusznie rzucają się na różne przykre objawy (np. Słonimski) są bezsilni z powodu braku podstaw pojęciowych i programowego antyintelektualizmu. Niedokształcenie umysłowe większości krytyków, brak u nich jakichkolwiek jednoznacznych systemów pojęć dla wartościowania, brak intelektualnych szkieletów, w połączeniu z produkcją miernoty i zalaniem rynku tłumaczeniami zagranicznej tandety, daje smutny obraz literackiego

upadku. Czegóż wymagać od publiczności, jeśli krytyka stoi poniżej jej przeciętnego poziomu. Nie będę walczył tu o idee ogólne z poszczególnymi krytykami (polemika ukaże się w oddzielnej książce pt. *Ostatnia pigułka dla „wrogów”*) — chcę się ograniczyć do jednego problemu: stosunku życia prywatnego autora do jego pracy. We wstępie do *Pożegnania Jesieni* napisałem zdanie, które cytuję tu dosłownie: „To, co pisze drugi mój bardzo przykry „wróg”, Karol Irzykowski, o stosunku krytyki do dzieł sztuki poprzez autora, jest bardzo słuszne. Babranie się w autorze *à propos* jego utworu jest niedyskretne, niestosowne, niedzgentelmeńskie. Niestety, każdy może być narażony na tego rodzaju świństwa. Jest to bardzo nieprzyjemne”. W odpowiedzi na to oświadczenie spotkałem się z następującymi reakcjami na moją powieść. Pan Emil Breiter zatytułował swoją krytykę „pseudo-powieść”, a następnie na końcu zaznaczył, objaśniając niedomyślnym cel tego tytułu, że moja książka jest „spowiedzią”. Przewornie nie dodał słowa „ideowa”, aby móc być dwuznacznie zrozumianym. A więc każdy przeciętny człowiek myśli sobie (i na to liczy p. B., aby mi dokuczyć i zaszkodzić), że po prostu opisuję fakty z mego życia, o którym on, p. B., ma jakieś tajemnicze informacje — a więc: że byłem zgwałcony przez jakiegoś hrabiego „pod kokainą”, że byłem na utrzymaniu u pewnej bogatej Żydówki na Cejlonie, że zakokainowałem niedźwiedzicę w Tatrach itp. Nie posądzą mnie o to, że zostałem rozstrzelany przez komunistów, bo nie ma w Polsce Sowietów i ja niestety żyję i na razie piszę dalej. Potem, na tle takich krytyk i plotek spotykają mnie tego rodzaju powiedzenia: jakaś dama po skończonym portrecie mówi: „tak się pana bałam — myślałam: jak ja wytrzymam godzinę z takim strasznym (!) człowiekiem, jak pan — a pan jest zupełnie normalny i nawet dobrze wychowany”. Matki boją się zamawiać portrety swoich córek w mojej firmie, nawet dorośli mężczyźni siadają z niewyraźnymi minami „na aparat”, tak, jakby się spodziewali, że co najmniej, zamiast rysować, powyrywam im zniecka zęby lub wyklują oczy ołówkiem. Drugi fakt: Karol Irzykowski (z którego *Walkę o treść* załatwię się obszernie w wyżej wspomnianej broszurze) pisze krytykę najwidoczniej programowo dwuznaczną (używa pojęcia: genialny grafoman — to tak jakby kwadratowe koło, a może gorzej), w której używa słowa „cynizm”, w dość nieokreślonym dla przeciętnego człowieka znaczeniu, a następnie dodaje (on właśnie, o którym napisałem wyżej przytoczone zdanie, na tle jego własnych enuncjacji), że zanadto opieram moją powieść na tle osobistych przeżyć. Skąd ci panowie ośmielają się domyślać takich rzeczy? Czy na podstawie ohydnych plotek, których jestem przedmiotem? Mogą się domyślać — Bóg z nimi — ale pisanie tego w krytykach literackich jest szczytem bezczelności. Mam wrażenie, że jestem w tym wypadku wyjątkiem — o nikim jeszcze nic podobnego nie czytałem. Nie mogę cofnąć wyrażenia użytego poprzednio, ponieważ panowie ci sami się pod nie, że tak powiem, „podstawiają”. Bo przecież realizm jakiegoś opisu nie implikuje bynajmniej kopiowania bezpośrednio danej rzeczywistości — może być dowodem np. talentu realistycznego autora. Ale jeśli chodzi o mnie, to nawet to, co mogłoby być komplementem, zostaje perfidnie odwrócone na zarzut, i to w dodatku czysto osobisty i gołosłowny, a szkodliwy dla mnie życiowo. Jakże to inaczej nazwać, niż ja to uczyniłem? Tym bardziej jest to dziwne, że ani jeden fakt w *Pożegnaniu Jesieni* nie odpowiada rzeczywistości. Chyba panowie ci liczą na to, że autor, w ten sposób oszkalowany przed publicznością, przestanie pisać lub co najmniej straci swobodę wypowiedzania się, ze szkodą dla swej pracy. Do podobnych, ale mniej przykrych objawów, należy robienie pasztetu z dowolnie wybranych cytat, przy czym wypowiedzenia „bohaterów” pomieszane są umiejętnie ze zdaniem autora, i przedstawianie sfalszowanego w ten sposób tekstu uznane za jego ideologię. Nie chodzi o to, aby być chwalonym, tylko uczciwie zwalczanym — ale nawet o to jest u nas bardzo trudno. „Cóża z głupim bees gadał”, jak mówił Jan Mardula. Ale lepszy jest nawet głupi, niż świadomie nieuczciwy krytyk. Chciałoby się wierzyć w dobrą wolę przynajmniej, ale i to czasem jest wprost niemożliwe. Nie ma autora, który by nie używał introspekcji i obserwacji innych ludzi dla celów powieściowych. Przecież zdolność wyobrażania sobie stanów urojonych osób lub transpozycji danej rzeczywistości, przy czym niezmiernie mały fakt może wystarczyć jako ośrodek dla krystalizacji całej koncepcji, musi być zasadniczą cechą powieściopisarza. Trudno, żeby ktoś żyjący w pewnej atmosferze nie karmił się nią. Chodzi o to, w jaki sposób zużytkowuje ten pokarm. Jest pewna granica wyraźności typów (jakieś szczególne znamiona, jak w pasportach), poza którą daje się w przybliżeniu powiedzieć, że dany autor

przedstawia rzeczywiście danego realnego człowieka. Ale na to trzeba przede wszystkim tego chcieć — dla celów jakichś tajemniczych: osobistej zemsty, czy reklamy, albo dla polityki. Zaznaczam, że jest mi to obce w zupełności i że każdą interpretację tego rodzaju, tak w stosunku do mnie, jak i do aktualnej rzeczywistości społecznej, będę uważał za programowe świństwo w stosunku do mnie, w celu szkodenia mi osobiście. Szkoda, że polemika między Kadenem-Bandrowskim, a Irzykowskim na ten właśnie temat, utknęła w osobistych wymyślaniach, nie rozjaśniając mroków okrywających twórczość pisarską. Jeśli tak dyskutują: największy nasz pisarz obecnie i ten, który uważany jest za największą powagę krytyczną, to dowodzi, że źle się dzieje w naszych literackich sferach.

S. I. W. 4/XII 1929.

PRZEBUDZENIE

Genezyp Kapen nie znosił niewoli w żadnej formie — od najwcześniejszego dzieciństwa okazywał wstręt do niej nieprzewyciężony. (Mimo to, jakimś niepojętym cudem wytrzymał ośmioletnią tresurę ojca-despoty. Ale to było czymś w rodzaju nakręcania sprężyny — wiedział, że kiedyś rozkręcić się musi i to go trzymało). Gdy miał zaledwie cztery lata (już wtedy!), błagał matkę i guwernantki na letnich spacerach, aby pozwolono mu choćby pogłaskać jakiegoś kundla, rzucającego się groźnie na łańcuchu lub małego, melancholijnego pieseczka, podwywającego cicho na progu budy — pogłaskać tylko i dać mu coś do zjedzenia, jeśli już nie mogło być mowy o spuszczeniu go z uwięzi na wolność.

Z początku pozwalano mu brać z domu jedzenie dla tych jego nieszczęśliwych przyjaciół. Ale wkrótce mania ta przeszła rozmiary wykonalne nawet w jego warunkach. Zabroniono mu tej przyjemności, jedynej istotnej. Działo się to przeważnie u nich na wsi, w podbeskidzko-tatrzańskim Ludzimierzu. Ale kiedyś, za bytności w regionalnej stolicy K., zaprowadził go ojciec do menażerii. Po bezowocnych prośbach o wypuszczenie z klatek jakichś małp „hamadria”¹, pierwszych zwierząt, które tam zobaczył, rzucił się na dozorcę i bił go długo po brzuchu małymi piąstkami, raniąc się o klamrę paska jego spodni. Na zawsze zapamiętał Zypcio błękit nieba tego sierpniowego dnia, zimny i tak okrutnie obojętny na cierpienia biednych zwierząt. I to rozkoszne słońce, kiedy im (i jemu) było tak źle... A była w tym na dnie jakaś wstrętna przyjemność... Skończyło się spazmatycznym płaczem i ciężkim nerwowym atakiem. Trzy doby prawie nie spał wtedy Genezyp. Dręczyły go potworne koszmary. Widział siebie jako szarą małpę, ocierającą się o klatkę i nie mogącą dostać się do innej podobnej małpy. Ta druga miała coś dziwnego: czerwone to było z niebieskim i okropne nad wyraz. Nie pamiętał, czy widział to naprawdę. Złanie się w jedno dławiącego bólu w piersiach z przecuciem jakiejś zakazanej, wstrętnej rozkoszy... Tą drugą małpą był również on sam, a jednocześnie patrzył na siebie z boku. Jakim sposobem się to działo, nie pojął nigdy. A potem olbrzymie słonie, leniwe wielkie koty, węże i smutne kondory — wszystkie stały się nim samym i jednocześnie wcale nim nie były. [W rzeczywistości widział tylko przelotnie te stworzenia, kiedy wyprowadzano go innym wyjściem, rzucającego się, w suchych lkaniach]. W jakimś dziwnym świecie zabronionych mąk, bolesnego wstydu, ohydnej słodyczy i tajemniczego podniecenia przebywał te trzy dni, leżąc przy tym najwyraźniej w swoim własnym łóżeczku. Kiedy się ocknął po tym wszystkim, słaby był jak flaczek, ale za to nabrał słusznej pogardy do siebie samego i wszelkiej słabości w ogóle. Coś się w nim zacięło przeciw niemu samemu — był to zarodek świadomego tworzenia się siły samej w sobie. Marnotrawny stryj, zakała rodziny, rezydent ludzimierski mówił: „Ludzie dobrzy dla zwierząt bywają potworami w stosunku do bliźnich swoich. Zypka trzeba chować ostro — inaczej wyrośnie z niego monstrum”. Tak też chował go później ojciec, nie wierząc zresztą zupełnie w dobre wyniki tej metody — czynił to, z początku szczególnie, jedynie dla własnej satysfakcji. „Znałem dwie panienki z tzw. „dobrego domu”, wychowane w klasztorze — mawiał. — Jedna była k..., a druga zakonnica. A ojciec obu na pewno był ten sam”.

¹małpa „hamadria” — prawdopodobnie *Papio hamadryas*, tj. pawian płaszczowy. [przypis edytorski]

Kiedy Genezyp doszedł do lat siedmiu, objawy tego rodzaju ucichły pozornie zupełnie. Wszystko cofnęło się w głąb. Sponurzał w tym czasie i między innymi oddał się odmiennej od wszystkich zabawie. Chodził teraz na spacer sam lub ze swoim kuzynem Toldziem, który wprowadzał go w nowy świat autoerotycznych perwersji. Straszliwe były to chwile, gdy podniecająca muzyka grała w pobliskim parku, a ukryci w krzakach młodzieńcy rozjątrali się wzajemnie, mówiąc subtelne obrzydliwości i badając różne zapachy. Aż w końcu nieprzytomni, z rozpalonymi policzkami i oczyma skoszonymi od niewyrażalnego pożądania, przytuleni do siebie, wywoływali w swych zdrowych, biednych ciałkach piekielny dreszcz nieznaney, wiecznie tajemniczej, niedosiężnej rozkoszy. Próbowali zgłębiać ją coraz częściej — ale nie mogli. I znowu próbowali — jeszcze częściej. Wychodzili potem z krzaków bladzi, z czerwonymi uszami i oczami, przemykali się jak złodzieje, pełni dziwnego „*malaise*”, prawie bólu, gdzieś tam... Dziwnie nieprzyjemne robiły na nich wrażenie bawiące się wesoło dziewczynki. Był w tym smutek i strach, i żal czegoś niewiadomego, beznadziejny, okropny, a mimo to przyjemny. Jakaś wyższość plugawa nad wszystkim napępiała ich obrzydliwą dumą. Z pogardą i ukrytym wstydem patrzyli się na innych chłopców, a widok pięknych młodych ludzi, flirtujących z dorosłymi damami napępiał ich nienawiścią, zmieszaną z ponurą, upakarzającą zazdrością, w której jednak krył się urok jakiś niesamowity wywindowania się ponad normalne codzienne życie. Wszystkiemu winien był (potem oczywiście) Toldzio. Ale przedtem był właśnie tym najbliższym, przyjacielem najistotniejszym, który posiadał pierwszy dziwną tajemnicę złowrogiej rozkoszy i raczył nauczyć jej Zypka. Ale czemu *potem* tak bardzo nie lubiał go Zypek. Trwało to dwa lata z przerwami. Ale pod koniec drugiego roku przyjaźń ich zaczęła się psuć. Może właśnie dlatego. W tym czasie, w związku z tajemniczymi rozkoszami wystąpiły nowe jakieś objawy... Zypcio przeraził się. Może to jakaś straszna choroba? Może kara za grzech?

W tym czasie również matka, wbrew woli ojca, zaczęła go uczyć religii. O *ty*m nie było tam jednak mowy, jako o jednym z grzechów. A mimo to zawsze czuł Zypcio, że, oddając się praktykom Toldzia, popełnia coś dziecinnie „niedźtelmeńskiego”, coś *złego*. Ale to zło było całkiem innego wymiaru niż nieuczenie się lekcji, gniew na rodziców czy dokuczanie małej siostrzyczce, która zresztą poza tym nie istniała dla niego zupełnie. Skąd miał to poczucie zła i czemu potem napadał go smutek i wyrzuty sumienia, nie mógł pojąć. Zdecydował się na krok stanowczy: z odwagą skazańca poszedł do ojca i opowiedział o wszystkim. Zbity straszliwie i przerażony gorzej niż biciem perspektywą zidiocenia, zawział się w sobie i zaprzestał ohydneho procederu. Cenił bowiem w sobie ten rozum, który w dyskusjach przyrodniczych nad tajemnicami natury stawiał go ponad rówieśnikami, a nawet ponad przewrotnym, starszym o rok Toldziem, który do tego jeszcze był hrabią, — on zaś sam tylko baronem i to „podejrzanym”, jak się od niego właśnie dowiedział.

Rozpoczął się okres zdrowego zbydlęcenia. Bitwy, gonitwy, sport we wszystkich odmianach wypędził z jego duszy wspomnienie ciekawych jednak mimo wszystko z „przyrodniczego punktu widzenia” (?) zjawisk. Ojciec nie podał bowiem wystarczającej ich teorii. Ale mania uwalniania uwięzionych psów wróciła ze zdwojoną siłą. Teraz było to połączone ze sportem — było też szlachetną próbą odwagi. Często wracał do domu pokąsany, z podartym ubraniem, wytarzany w błocie. Raz dwa tygodnie chodzić musiał z ręką na temblaku, co popsuło pewną serię szalenie istotnych bitew z przeciwną partią „młodoturków”. Wypadek ten osłabił w nim trochę zapał w tym kierunku. Coraz rzadziej odbywał swoje oswobodzicielskie wyprawy, ale przecie. A działo się to zawsze wtedy, kiedy by skądinąd miał ochotę właśnie na co innego... Czynności zastępcze.

Nadszedł tak zwany okres sublimacji. Ale brutalnie przecięła go szkoła. Zabójcza dla pewnych natur (bardzo zresztą nielicznych) przymusowa, prawie mechaniczna praca, zniechęcająca raczej do nauki, niż podniecająca zainteresowanie się jej tajemnicami, przerwała ten najlepszy czas w życiu chłopca, kiedy to przecucia nieznanego łączą się z budzącymi się sentymentami do panienek (raczej do „tej jednej, jedynej”), stwarzając opar nieuświadomionej metafizycznej dziwaczności (jeszcze nie dziwności) ponad zwykłym codziennym życiem. Zypcio, mimo notorycznych zdolności, uczył się ciężko. Przymus niszczył w nim wszelki spontaniczny zapał. Całą zimę uginał się wprost duchowo pod ciężarem pracy, a krótkie wakacje na wsi zapełnione były również obowiązkowym

teraz sportem i wiejskimi rozrywkami. Prócz wyznaczonych mu na ten cel rówieśników nie widywał nikogo i nigdzie w okolicy nie „bywał”. Kiedy ku jesieni zaczynał się już trochę odginać, przychodziło znowu to samo i tak dotrwał do matury.

Przysiągł ojcu, że przyjedzie wprost z egzaminu na wieś i przysięgi dochował. Uniknął w ten sposób bydlęcych pomaturycznych uroczystości i czysty i niewinny, ale z poczuciem piekielnych możliwości życiowych, zjechał przed dwór — tak zwany pałac rodzicielski, stojący w podgórskiej okolicy niedaleko Ludzimierza. Tu dopiero się zaczęło.

Informacja: Jak wiadomo, już przed szkołą uświadomił sobie, że jest baronem i że jego ojciec, właściciel olbrzymiego browaru, jest nie to, co matka, hrabianka z przymieszką krwi węgierskiej. Przeszedł krótki okres snobizmu, ale pozbawionego pełnego zadowolenia: niby po matce wszystko było dobrze — jakieś bohaterzy, mongole, dzikie rzezie za Władysława IV — ale przodkowie papy nie nasycili jego ambicji. Dlatego, wiedziony szczęśliwym instynktem, już od klasy czwartej (do trzeciej poszedł do szkoły) stał się demokratą i zlekceważył ten niedoskonały kompleks swego pochodzenia. To zjednało mu wiele uznania, pozwalając pewne poniżenie odwrócić na wartości pozytywne. Był rad z tego wynalazku.

Zbudził się po krótkim śnie popołudniowym. Zbudził się nie tylko z tego snu, ale i z tamtego, który trwał pięć lat. Od bydlęcych czasów walk dziecinnych oddzielała go pustynia. Jakże żałował, że tak nie mogło trwać wiecznie! Ta ważność wszystkiego, jedyność i konieczność, przy jednoczesnym poczuciu, że to nie jest na serio na tym planie rzeczywistości — i wynikająca stąd lekkość i bez troska, nawet w obliczu klęski przegranych bitew. Już nigdy...! Ale to, co być miało, zdawało się jeszcze ciekawszym, o — o wiele — o nieskończoność! Inny świat. I nie wiadomo czemu wspomnienie dziecinnych perwersji przesunęło się teraz z całkowitym ciężarem wyrzutu za te „zbrodnie”, jakby rzeczywiście one to „zaważały” na całym przyszłym życiu. Może i tak w istocie było. Po latach zachciało mu się tego samego, ale się wstrzymał. Wstrzymał go wstyd wobec nieznanego mu jeszcze kobiet. Nieznanych do głębi, bo przecie właśnie wczoraj...

Informacja: Na stacji trzymany był w kolczastej dyscyplinie, a na wakacjach — ha — to towarzystwo wiecznie nie to, jakiego by pragnął. Słyszał jednak coś niecoś od kolegów, którzy lyknęli więcej rzeczywistości od niego. Ale *to* nie było najważniejszym.

Więc jednak *wszystko jest*. Skonstatowanie tego nie było tak banalnym, jakby się to zdawać mogło. Podświadoma, zwierzęca ontologia, przeważnie animistyczna, niczym jest wobec pierwszego błysku ontologii pojęciowej, pierwszego ogólnego egzystencjonalnego sądu. Sam fakt istnienia nie przedstawiał dotąd dla niego nic dziwnego. Pierwszy raz teraz zrozumiał przepaścistą niezgłębialność tego problemu. Zamajaczyło mu w jakimś po dziecinnemu zaczarowanym i po dziecinnemu złotym, prześwietlonym w pyłe nieziemskiej tęsknoty, świecie najlepszych, niepowrotnych dni, najdawniejsze dzieciństwo: pałac rodziny matki we Wschodniej Galicji i obłok, jakby rozżarzony do białości, pod którym czaiła się burza i żaby kumkające w gliniankach koło cegielni i zgrzyt zardzewiałej studni. Przypomnił się też wierszyk pewnego kolegi, z którym nie pozwolono mu się bawić.

„O dziwne, ciche, letnie popołudnia
I pełne głębi soczystych owoce,
W cieniu chłodnym zapomniana studnia,
Potem obłędne wieczory i noce...”

To właśnie wyrażał dla niego ten marny wierszyk, *to*: ogrom życia i niepojętość każdej jego chwili i nudę straszną, i tęsknotę za czymś nieobjęciem wielkim. Ale to teraz dopiero pojął dokładnie. Wtedy, gdy po raz pierwszy czytał mu Ptaś tę bzdurkę, w wychodku szkolnym, nie wyrażała ona jeszcze nic. Przeszłość rozświetlała się w błyskawicy objawienia terażniejszości, jak inny, nieznan dotąd świat. Trwało to jakiś ułamek sekundy i zapadło znowu, wraz ze wspomnieniem, w tajemnicze gąszcz podświadomości. Wstał, zbliżył się do okna i oparł głowę o szybę.

Wielkie, żółte zimowe słońce zniżało się szybko, prawie trącając rozdwojony szczyt Wielkiego Pagóra. Oślepiające światło stapiało wszystko w rozedrganą masę rozpalonego złota i miedzi. — Fioletowe cienie wydłużały się niepomiarowo, a las w pobliżu słońca mienił się czarną purpurą, zmieniającą się co chwila w wybladłą, ośleplą zielen. Ziemia nie była miejscem codziennego dnia, tym, co o niej i o jej stosunku do ludzkiego świata wiadomo — była planetą, widzianą z teleskopowych jakby odległości. Zębatym, rzeźbionym zrębem gór, wznoszących się na lewo, daleko za połogimi stokami Wielkiego Pagóra, zdawała się przechylać ku nadciągającej z międzygwiazdnych przestrzeni, nie wiadomo czemu „żałobnej” nocy. Słońce, teraz już wyraźnie ruchome, stawało się czasem czarno-zielonym krążkiem o złotoczerwonej obwódce. Nagle dotknęło się lęklwym, ociągającym się jakby, ruchem, rozszczepionej w krwawe ostrza linii dalekich lasów. Czerwono-czarny aksamit zmienił się w granat, kiedy ostatni promień, rozszczepiony na tęczy spójro przeświecił się po raz ostatni przez ciężkie zwały świerków. W nieskończoność rzucone spojrzenie, ciągnięte oślepiającym blaskiem, napotkało twardy opór mrocznego, nieskończenie bardziej rzeczywistego świata. Genezyp uczył coś w rodzaju głuchego bólu w piersiach. Minęła dziwna chwila pojmwania tajemnicy i realna pospolitość ukazała spod tej maski swoje szare i pełne nudy oblicze. Co zrobić z dzisiejszym wieczorem? Pytanie to przypomnielo mu poprzednie i zamyslił się głęboko, tak głęboko, że stracił zupełnie poczucie chwili obecnej. Nie wiedział, że to właśnie jest czasem najwyższym szczęściem.

Księżna stanęła mu (stanęła dęba) w wyobraźni jak żywa. Ale obraz ten nie był odbiciem wczorajszej rzeczywistości. Przypomniały się nieprzyzwoite sztychy widziane w bibliotece jakiegoś przyjaciela ojca, gdy skorzystał z nieuwagi tych panów i zajrzał do niedomkniętej szuflady. Zobaczył, jak na jakimś bezwstydnym wizerunku nagą jej postać, oblaną potokiem ciemno-rudych włosów. Kolisty szereg małych złowieszczo uśmiechniętych, które spacerowały koło niej z wyuzdanym wdziękiem (każda z nich trzymała małe eliptyczne lusterko) był najwyraźniej ucieleśnieniem pewnego rysunku koncentrycznych kółek, mających symbolizować sfery życiowe według ich ważności. Czyżby to było właśnie to najistotniejsze kółko środkowe? Zarysowały się dwa niewspółmierne punkty widzenia i płynący stąd męczący rozdział. Brutalnie można to było ująć jako: idealizm programowy ojca i chęć użycia zakazanych przyjemności, co wiązało się nieznanym sposobem z matką. Prawie fizycznie czuł to Genezyp w piersiach i w dolku. Przed chwilą tego nie było, a teraz cała przeszłość i pobyt w szkole i dzieciństwo, stały się dalekie, złączone w nierozdzieloną całość — negatywnie jedynie, przez brak rozwiązania nowopowstałego, niepochwytanego problemu. Tajemnica rzeczywistego rozstrzygnięcia kwestii tych była dla niego zawsze — od czasu uświadomienia — czymś niepokojącym i złowrogim. Niezdrowa (czemu nie zdrowa do pioruna!?) ciekawość zalała go jakby jakąś ciepłą, obrzydliwie przyjemną mazią. Wzdrygnął się i nagle teraz dopiero przypomniał sobie tylko co prześniony sen. Usłyszał głos czyjś w otchłani bezosobowego *wzroku*, wpijającego się w niego z zabójczym pytaniem, na które odpowiedzi znaleźć nie mógł. Czuł się tak, jak gdyby nie obkuł się dostatecznie do egzaminu. A głos ten mówił szybko, bełkotliwie — było to zdanie z tego snu: „mieduwalszczycy skarmią na widok czarnego beata, buwają piecyty”. Objęły go żelazne ręce i uczył pod żebrami ból łaskotliwy. To było to nieprzyjemne uczucie, z którym się zbudził, a którego określić nie mógł. [I czy warto wszystko to przeżywać i wglębiać się w to i rozbebeszać, na to, aby potem... brrr — ale o tym później].

Prawie z radością spostrzegł *teraz dopiero na pamięciowym obrazie* włochatego pyska muzyka Tengiera (którego poznał wczoraj wieczorem) to samo zagadkowe rozdwojenie, które sam teraz wewnętrznie przeżywał. Skrępowana siła, widna jak na dłoni w oczach tamtego samca, wytwarzała niemożliwe ciśnienia. Słowa jego, słyszane wczoraj (i niezrozumiane), stały się nagle jasne w całości, jako niezanalizowana masa, raczej tylko ich ton ogólny. O sensie pojęciowym nie było nawet mowy. Dwoisty sens życia dudnił głucho pod skorupą konwencjonalnych „szkolnych” tajemnic. Tę to skorupę rozrywały bezsensowne wyrazy:

„Niech się stanie wszystko. Wszystko zdołam objąć, pokonać, zgryźć i strawić: wszelką nudę i najgorsze nieszczęście. Dlaczego *tak* myślę? Jest to zupełnie banalne i gdyby mi ktoś dawał takie rady, wyśmiałbym go. A teraz mówię to sam sobie jak najgłębszą prawdę, najistotniejszą nowość”. Wczoraj jeszcze słowa te miałyby inne, zwykłe znaczenie — dziś zdawały się symbolem nowych, jakby w zupełnie innym wymiarze roztwierających

się horyzontów. Tajemnica urodzenia i niewyobrażalności świata bez przyjęcia własnego „ja” były jedynymi świetlistymi punktami mrocznego szeregu chwil. Tak się wszystko pokielbasiło. I po co? Kiedy koniec miał być tak... — ale o tym później. Jeszcze wczoraj cała niedawna młodość rysowała się z wyrazistością nadmierną, jak żywa, stająca się bez ustanku terażniejszość. Podział jej nieskończenie drobny uniemożliwiał utworzenie epok, mimo (obecnie pozornie) epokowych zdarzeń. Teraz tajemnym wyrokiem zciemniona i oddalona, zapadała cała ta „wielka” (?) połąć życia w jakąś sferę niezmienności i ukończenia, nabierając przez to znikomego, nieuchwytnego uroku po raz pierwszy tragicznie odczuwanej bezpowrotności przeszłości. Na tym niespokojnym falowaniu zmian, zachodzących jakby w samym medium, w którym odbywało się dawne życie, zmian, które pozostawiały wszystko absolutnie tym samym, a jednak niewspółmiernym ze sobą wczorajszym, sen tylko co przypomniany występował jak płatanina ostra, ciemna, i wyrazista w sylwecie, a zagmatwana wewnętrznie, na obojętnym, wodnisto-przezroczym, pustką świecącym ekranie terażniejszości. Błyskawiczne rozstąpienie perspektyw, jak kiedy wzrok zmęczony widzi nagle wszystko niezmiernie dalekim, małym i niedosiężnym, a jeden jakiś przedmiot zachowuje naturalną wielkość, przy czym fakt ten nie zmienia jakimś tajemniczym sposobem ogólnej, dającej się łatwo skonstatować, obiektywnej wzajemnej proporcji części w całym polu widzenia. [Zaburzenia w ocenianiu odległości, widzenie przedmiotów w ich rzeczywistej pozornej wielkości, bez współczynnika uświadamianego dystansu, zmieniającego na tle możliwych wrażeń dotykowych, wrażenie bezpośrednie stosunków przestrzennych w dwóch wymiarach. — Mniejsza o to].

Genezyp zaczął przypominać sobie sen w odwrotnym porządku w stosunku do jego naturalnego przebiegu. [Bo sen przecie nigdy nie jest przeżywany bezpośrednio aktualnie w chwili swego śnienia się — *istnieje tylko i jedynie jako wspomnienie*. Stąd dziwny charakter specyficzny najpospolitszej jego treści. Dlatego to wspomnienia, których dokładnie zlokalizować w przeszłości nie możemy, przyjmują to właśnie specjalne zabarwienie sennych marzeń]. Z głębi tajemniczej urojonego świata powstawał szereg zdarzeń pozornie wątplych i nikłych, niby do niczyjej pamięci nie należących, a tak jego, Genezypa, własnych i mocnych jakąś zaświatową mocą, że zdawały się, mimo swej jednoczesnej nikłości, rzucać cień groźny, pełen przeczuc i wyrzutów za niespełnione winy na terażniejszą chwilę pomaturycznej beztronski i złocistego blasku gasnącego wśród purpurowych lasów zimowego słońca. „Krew” — wyszeptał i jednocześnie z wizją czerwonej barwy doznał gwałtownego ściśnięcia serca. Ujrzał ostatnie ogniwo popełnionej zbrodni i dalej jeszcze, tajemniczy jej początek, gubiący się w czarnej nicości sennego niebytu. „Skąd krew — kiedy we śnie jej wcale nie było” — spytał sam siebie półgłosem. W tej chwili zgąsło słońce. Tylko las na stoku Wielkiego Pagóra świecił na błado-pomarańczowym niebie postrzępioną piłą złocisto gorejących strzał. Świat popiełał w niebieskawo-fioletowej pomroce, a niebo wyjaśniało się krótkotrwałą, płomienistą zimową zorzą, w której jak zielona iskra migotała zachodząca Wenus. Sen występował coraz wyraźniej w swojej anegdotycznej treści, a treść jego istotna, nieuchwytna i niewyraźna, zatracala się w konkretności wspomnianych wydarzeń, dając ledwie znać o jakimś drugim, niedosięglym, znikającym na krańcach świadomości, życiu.

Sen: Szedł jakąś ulicą w nieznanym mieście, przypominającym stolicę i jeszcze jakieś w przelocie widziane włoskie miasteczko. W pewnej chwili spostrzegł, że nie jest sam i że, prócz obowiązkowego w snach kuzyna Toldzia, idzie z nim jakiś nieznanemu, wysoki i barchysty drab z ciemno-blond brodą. Chciał zobaczyć jego twarz, ale zawsze znikala mu ona w dziwaczny, a jednak we śnie zupełnie naturalny sposób, gdy tylko na nią spojrział. Widział jedynie brodę i ona to stanowiła właściwie zasadniczą treść nieznanego „typa”. Weszli do małej kawiarni na parterze. Nieznajomy stanął we drzwiach przeciwnych i przyzywać zaczął Genezypa nieznacznymi ruchami. Zypcio uczuł nieprzewyciężoną chęć pójścia za nim do dalszych pokoi. Toldzio uśmiechał się wszechwiedzącym ironicznym uśmieszkiem, jakby dobrze wiedział o tym, co nastąpić miało i o czym dobrze jakoby wiedział, a jednak nie wiedział nic naprawdę sam Genezyp. Wstał i wyszedł za nieznanym. Tam był pokój o suficie niskim, skłębionym w chwiejne kształty gęstego dymu. Nad nimi przestrzeń zdawała się niezmiernie duża. Nieznajomy zbliżył się do Zypcia i począł go ścisnąć z jakąś niemiłą serdecznością. „Jestem twoim bratem — imię moje

jest Jaguary” — wyszeptał mu cicho w samo ucho, co było połączone z piekielną łaskotką. Już miał się Zypcio (tak go nazywano w domu), zbudzić, ale wytrzymał. Uczuł za to wstręt nieprzewyciężony. Chwycił nieznanego za szyję i począł go giąć ku ziemi, dusząc go jednocześnie ze wszystkich sił. Coś (już nie ktoś), jakaś masa miękka i bezwładna, zwała się na podłogę, a na nią upadł Zypcio. Zbrodnia została dokonana. Czuł przy tym, że Toldzio widzi w nim dokładnie zupełny brak wyrzutów i jedyne wyraźne uczucie: chęć wymigania się z trudnej sytuacji. Zypcio, który mówił Toldziowi coś niezrozumiałego, podszedł znowu do trupa. Twarz była teraz widoczna, ale był to raczej jeden wielki, potwornie bezkształtny siniec, a na szyi, koło *przekłętej brody*, widać było wyraźnie czerwono-sine pręgi od zaciśniętych poprzednio palców. „Jeśli mnie skazą na rok — wytrzymam — jeśli na pięć — koniec” — pomyślał Zypcio i wyszedł do trzeciego pokoju, chcąc się wydostać drugą stroną domu na ulicę. Ale pokój ten pełen był żandarmów i zbrodniarz z przerażeniem poznał w jednym z nich swoją matkę, przebraną w szary hełm i żandarmski szynel. „Podaj prośbę” — mówiła szybko. — „Szeft ciebie wysłucha”. I podała mu duży papier. W środku kursywą wydrukowane było zdanie, które we śnie pełne było jakiejś potwornej grozy, a jednocześnie jedynej nadziei. A teraz, wydobyte z trudem z zapadających w mrok niepamięci wspomnień, miało tylko charakter niezdarne baliwernu:

„Mieduwalszczyzy skarmią na widok czarnego beata, buwaja piecyty”. Koniec snu.

Mrok stawał się gęstszym, a niebo przybierało głęboki, fijołkowy ton, zdający się bezpośrednio utożsamiać z zapachem nieznanych z nazwiska perfum księżnej Ticonderoga, mistrzyni wczorajszego wieczoru. (Potem dowiedział się Zypcio, że była to słynna „*Femelle enragée*” Fontassiniego). Patrząc na zapalające się gwiazdy doznawał wrażenia przykrej pustki. Poprzedni stan: sen zbrodniczy i poczucie jakiegoś niewyczerpanego bogactwa w sobie i poza sobą — wszystko znikło bez śladu. Coś przeszło jak cień, zostawiając nudę, niepokój i jakiś niemily, nie dający się przemienić na nic wzniolejszego, pozbawiony uroku smutek. Pozornie nie zmieniło się nic, a jednak Zypcio wiedział, że zaszło coś niezmiernie ważnego, coś, co może zdecydować o całym jego dalszym życiu. Stan ten był nieściśliwy, opierał się wszelkim wysiłkom zrozumienia — był to blok bez skazy [I czy warto zajmować się tak sobą, żeby potem... A! Ale o tym nie teraz]. Nieznany rachmistrz pomnożył wszystko przez jakiś współczynnik nieokreślonej wielkości. Czemu wszystko jest takie dziwne? Stan metafizyczny bez formy. A tu tak: w Boga nie mógł uwierzyć nigdy (choć zdaje się, że matka właśnie o tym mówiła z nim dawno, dawno temu — nie o Bogu samym jakby, tylko o dziwności. „...Wierzę w Boga, ale innego, niż ten, który jest przedstawiony w dogmatach naszego Kościoła. Bóg jest wszystkim i nie rządzi światem, tylko samym sobą w sobie”). Wtedy to doznał Zypcio uczucia, że świat cały (jako Bóg), jest tylko błękitną wklęsłością chińskiej filiżanki, takiej, jakich szereg stał na dębowym kredensie w jadalni ich domu. Wrażenie to było czymś „*intraductible, irreductible, intransmissible et par excellence irrationnel*”. Trudno. Chrystus był dla niego tylko czarownikiem. Mówił o tym niance swojej w siódmym roku życia i tym doprowadzał staruszkę do rozpacz. Wiara matki przemawiała mu bardziej do przekonania i czuł, że nikogo tak bliskiego mu jak ona w najtajniejszych myślach jego nigdy w życiu mieć już nie będzie. A jednak był między nimi jakiś mur nieprzekraczalny, nawet w najlepszych chwilach. Ojciec, straszny w gniewie i na zimno nieugięty w spokoju, napawał go bezdennym strachem. Wiedział, że razem z matką walczą przeciw jakiejś złej potędze życia, po stronie której jednak zawsze jest słusność. Chciał teraz pójść do matki i poskarżyć się przed nią, że sny są straszne i że w życiu kryją się zasadzki okropne, w które on, bezbronny i niedoświadczony, mimo całej siły, czy prędzej czy później wpaść musi. Gwałtownym nawrotem ambicji pokonał tę słabość i z męską stanowczością obliczył szybko swoje dane: ma lat 18 skończonych — jest stary, bardzo stary — 20 lat to przecie starość zupełna. Tajemnicę poznać musi i pozna — w małych kawałkach, po kolei, powoli — trudno. Bać się nie będzie niczego, zwycięży wszystko, albo oczywiście zginie i to z honorem. Tylko po co, w imię czego to wszystko robić? Ogarnęło go nagle zniechęcenie. Zdanie, to bez sensu dla świata tego, nabierało znaczenia jakiegoś tajemniczego zaklęcia, którym wszystko rozwiązać by można. Szybko zapadał mrok i tylko resztki światła zorzy odbijały się w szklach obrazów, wiszących na ścianie. I nagle tajemnica snu tego i erotycznej przyszłości stała się tajemnicą wszystkiego — ogarnęła świat cały i jego samego. Nie była

to już niezrozumiałość każdej chwili życia z osobna — była to niedocieczona tajemnica całego wszechświata, Boga i wklęsłości niebieskiej filiżanki. Ale znowu nie jako problem wiary czy niewiary, postawiony na zimno. Wszystko to żyło i działa się jednocześnie, a przy tym marzło w nieruchomości absolutnej, zamierało w oczekiwaniu jakiegoś cudu nie do pomyślenia, objawienia ostatecznego, poza którym nie byłoby już nic — chyba sama najdoskonalsza, najcudowniejsza, nie dająca się w żaden sposób wyobrazić Nicość. W takiej to chwili przestał już raz wierzyć tą wymuszoną wiarą, którą wzbudzał w sobie sztucznie przed egzaminami — na żądanie matki — religia nie była przedmiotem obowiązkowym. A zresztą usymbolizowana w niebieskiej filiżance wiara matki daleka była od przekonań miejscowego wikarego. Trudno było założyć własną sektę — już nawet tego odechciało się wszystkim. Objawienie zawiodło definitywnie. Odtąd wszystkie religijne praktyki stały się programowym kłamstwem, które zawdzięczał matce — nie mogła dać mu wiary nawet ona — ta jedynie naprawdę ukochana istota. Był to dysonans, który kiedyś w przyszłości również przeważał pewną małą, pozornie mało ważną szalkę. Mimo całej notorycznej cnoty matki, wiedział Zypcio, że kryją się w niej jakieś niezbadane otchłanie, związane z tą ciemną stroną życia, na którą teraz on sam z wolna nieznacznie się przesuwał. I za to pogardzał trochę matką, ukrywając to sam przed sobą. Wiedział, że bliższej istoty nad nią w życiu mieć nie będzie, wiedział również, że musi ją wkrótce utracić i do tego ta pogarda! Nic, psia-krew, nie działa się po prostu — wszystko było pokłębione, poplątane, skielbaszone, jak naumyślnie przyprawiona przez złego ducha piekielna życiowa sałatka. Teraz mu się tak wydawało — a cóż dopiero później! Chociaż może z pewnego punktu widzenia uprościły się potem pewne rzeczy przez to nieznaczne życiowe ześwinienie, któremu chyba jedynie Święci nie podlegają. Bo czy miał prawo nią pogardzać? Jednocześnie dwóch sprzecznych uczuć: dzikiego przywiązania i pogardy, podnosiła całość tego układu do wyżyn nieprawdopodobnego szaleństwa. A jednocześnie wszystko stało w miejscu i nie zmieniało się nic. Przerwać tę wewnętrzną tamę, oddzielającą go od niego samego, zburzyć wszystkie zastawki, rozwalić płotki sztucznie odgraniczające półkę szkolnej nauki! Och — czemuż spał tyle czasu! A przy tym dziwnie doświadczona (jak jemu samemu się zdawało) myśl, że w ten sposób (to znaczy na tle takiej przeszłości, jak jego) użyje dwa, trzy, cztery razy silniej... Ale czego? Życie jako takie prawie jeszcze nie istniało dla niego. I wstyd przy tym taki za tę myśl — nigdy tego właśnie matce nie powie, nigdy, przenigdy. Zatrzeszczały stare parkiety w przyległym pokoju i dziecinny straszek zmieszał się w rozkoszny melanz z rodzącą się męską odwagą. Teraz dopiero uświadomił sobie Genezyp, że już przeszło 24 godziny upłynęły od przyjazdu.

Informacja. — Matura odbyła się w zimie. W obawie przed wojną rok szkolny zakończono w lutym. Potrzeba było na gwałt oficerów. W marcu wszyscy spodziewali się nadzwyczajnych wypadków.

Awangardy chińskich komunistów stały już na Uralu — o krok jeden od tonącej w kontrrewolucyjnych rzeziach Moskwy. Omamieni manifestami cara Kiryła chłopcy mścili się potwornie za mimo woli wyrządzone im konieczne zło (— wyrządzone z poczuciem spełnionego dobra —) nie wiedząc, że gotują sobie los stokroć gorszy jeszcze.

Stary Kapen coraz bardziej tracił pod sobą grunt dawnego życia. Nawet nie mógł już być tak srogim jak dawniej, mimo że srogość tę z powodzeniem udawał. Widział już widać potoki, rzeki, morza całe swego świetnego ludzmińskiego piwa, skanalizowane, w określonych kierunkach, znacjonalizowane, zsocjalizowane, — zakłady bez możliwości rozwoju różnych dodatkowych „tricków”, których sam tyle wprowadził, dostawczy po swym ojcu browar w stanie tak pierwotnym, że przypominał raczej coś samorzutnie z ziemi wyrosłego niż pracę rąk i mózgu człowieka. Nudne to było jak piła. Trzeba to było załatwić jakimś „wyczynem” (?), w którym by przerósł mógł samego siebie i uprzedzić dowolnością swego postępowania możliwy przymus sił wyższych.

Zypcio pomyślał o ojcu z niemiłym dreszczykiem w plecach. Czy skończy się wreszcie ta straszliwa władza nad nim, którą znosił już lat 12 świadomie? (Reszta mąk tonęła w mroczniejącym okresie wczesnego dzieciństwa). Czy potrafi przeciwstawić się w sposób ciągły tej łamiącej w nim każdy samodzielny odruch potędze? Wczorajsze doświadczenie

w tym kierunku pozostawiło go wewnątrznie rozdartym, niezdecydowanym. Tak więc zaraz na wstępie oświadczył Genezyp papie, że piwem zajmować się nie będzie, że na politechnikę nie pójdzie i że we wrześniu, o ile wojna nie wybuchnie, zapisze się i pójdzie na wydział literatur zachodnich, do czego już zaczął się w ostatnich miesiącach szkoły gotować. Literatura miała zastąpić w idealnym wymiarze męczącą różnorodność życia — przy pomocy niej można było połączyć wszystko, nie trując się i nie stając się świnia. Tak sobie myślał nieświadomy swoich losów naiwny przyszły adiutant Naczelnego Wodza. Odpowiedzią ojca, mimo całej niewiary w przyszłość, był lekki apoplektyczny atak. Stary nie miał jeszcze jasnej koncepcji co do przyszłości tego ciamkacza — było to w związku z ostatnimi wypadkami i przemianami wewnętrznymi — ale sam fakt synowskiego nieposłuszeństwa mało go nie udusił, jakby jakaś materialna wroga osobistość. Genezyp zniósł to ze stałością godną marabuta. Życie ojca przestało go nagle interesować. Był to obcy jakiś człowiek, zawalający mu drogę, sprzeciwiający się jego najistotniejszemu przeznaczeniu. Po tej scenie ubrał się pierwszy raz we frak (atak nastąpił o siódmej wieczorem — było ciemno już i zadymka szalała wokół ludzimierskiego dworu) i o dziewiątej pojechał saniami na bal do księżnej Ticonderoga. Teraz twarz jej mignęła mu wśród zwojów piwnej nudy, którą odtrącił na zawsze. „Tylko nie stać się figurą z powieści o nieokreślonym człowieku” — wyszeptał Genezyp twardo podczas drogi. Działo się to na małej polance, która kilka razy miała jeszcze odegrać rolę miejsca przemian istotnych. Szepcząc tak nie rozumiał dobrze znaczenia słów własnych — za mało miał doświadczenia. Nieomylny instynkt samoobrony (głos Dajmoniona) działał niezależnie od inteligencji, ale w jej rejonach. Twarz księżnej — nie, raczej maska zdjęta z twarzy tej w chwili maksymalnego napięcia płciowego szalu — oto był ten tajemniczy cyferblat, na którym miała ukazać się godzina próby i rodzaj przeznaczenia w jakichś jemu tylko wiadomych znakach. Już coś widział tam przecie, coś mającego się. Jak odcyfrować te symbole, jak tu się nie pomylić, nie wiedząc dosłownie nic.

Informacja: Wojna antykomunistyczna stworzyła dziwnie paradoksalny stan wszystkich narodów, które wzięły w niej udział. Teraz wszyscy uczestnicy mieli chroniczną rewolucję bolszewicką u siebie, a w Moskwie właśnie „szalał” Biały Terror z byłym Wielkim Księciem, a obecnie „Carem” Kyrilem na czele. Polska za cenę straszliwych pozornych wysiłków paru ludzi (jednym z nich był obecny minister Spraw Wewnętrznych Dyament Kołdryk) (w istocie zupełnie coś innego wpłynęło na powodzenie ich słynnej misji) zachowała neutralność i nie przyjęła udziału w przeciw-bolszewickiej krucjacie. Wskutek tego nie miała jeszcze u siebie rewolucji. Jakim cudem wszystko trzymało się jak na włosku, nikt na razie powiedzieć nie umiał. Wszyscy czekali teoretycznego przynajmniej rozwiązania tego problemu od uczniów szkoły profesora Smolo-Paluchowskiego, twórcy „podwójnego systemu wartościowań społecznych”. Przekonał się on bowiem, że uczone socjolog dzisiejszy, nie starający się o świadomy dualizm, jako wstęp do dalszego, świńskiego po prostu pluralizmu, mógł być tylko „une dupe des illusions” obiektywizmu i wyrażać jedynie steoretyzowaną magmę poglądów danego społecznego odłamu. Istotą praktyczną tego systemu, który właśnie uczniowie ci szeroko rozbabrali, była naukowa organizacja pracy — rzecz nudna sama w sobie jak opowiadania starca o dawnych dobrych czasach. Dzięki niej jednak trzymało się wszystko w jakiej takiej kupie, ponieważ ludzie, oglupiali mechanicznością swych czynów, przestawali powoli rozumieć, w imię czego je spełniali, utożsamiając się między sobą w „opupieniu” i bezideowości. Szła jakoś praca, ale co to było *au fonds des fonds*, nikt nie wiedział. Idea państwowości *jako takiej* (i innych wynikających stąd złudzeń) dawno przestała być wystarczającym motorem najprostszymi nawet poświęceń i rezygnacji z indywidualnej świnioowości. A jednak wszystko szło jakąś tajemniczą inercją, której źródła daremnie doszukać się chcieli ideolodzy *pozornie* rządzącej partii: Syndykatu Zbawienia Narodowego. Wszystko działo się *pozornie* — to było istotą epoki. Kobiety na tym szybko amerykanizującym się gruncie swoistego prymitywu inteligentniały przerażająco, w stosunku do ogłu-

pionych pracą mężczyzn. Rzadka u nas dawniej „*précieuse'a*” spadła w cenie wskutek ogromnej podaży — to prawda — pojedynczo tak. Ale masa ich nadawała umysłowy ton życiu całego kraju. Pozorni ludzie, pozorna praca, pozorny kraj — przewaga bab nie była pozorną. Był jeden człowiek: Kocmołuchowicz — ale o tym później. A do tego skomunizowani Chińczycy tuż za bezwładną, zdezorganizowaną, wyludnioną Rosją. „Doczekaliśmy się” — powtarzali drżąc ze strachu i wściekłości różni ludzie, lubiący choć trochę dobrobyt. Ale na dnie cieszyli się bardzo, choć nieszczerze. Oni zawsze mówili, że tak się stanie. „Bo żebyśmy nie mówili...” I co z tego?

Teraz po przebudzeniu się wczorajszy wieczór wyrósł Zypciowi ponad niego samego jak złowrogi nierówny, czarny miraż, piętrząc się z drugiej strony dawnego, sennego życia, wylewając się w zdeformowanych kształtach do tej jego połowy, czy w ogóle części, która zaczynała się właśnie na tle najdziwniejszych przemian dziejowych, porównywalnych jedynie z samym początkiem rewolucji rosyjskiej. Tamto było „*declanchement*” — teraz naprawdę ludzkość przewalała się na drugą stronę swej historii. Upadek Rzymu, Rewolucja Francuska zdawały się dziecinnymi igraszkami wobec tego, co miało nastąpić teraz. Teraz — ta właśnie chwilka, która ucieka i nie wróci — ta chwilka wyciśnięta asymptotycznie przez pokrywające się ogonami i głowami skończone w czasie zdarzenia metodą Whiteheada. „Teraźniejszość jest jak rana — chyba żeby zapelnąć ją rozkoszą, to może...” — tak mówiła z niewinnym uśmiechem księżna Ticonderoga, chrupiąc migdałowe ciasteczko, to samo w istocie swej, co on — poczucie tego samego smaku, idei tego smaku rozłożonego na dwie zwierzęce mordy — [miał wczoraj wrażenie, że wszyscy są poprzebieranymi bydlętami, co dalekie od prawdy nie było,] — skondensowało w nim poczucie terażniejszości, jednoczesności i tożsamości, od której wszystko zdawało się pękać. Nic nie mieściło się w sobie. Ale czemu dopiero teraz? Och — jakież to nudne — „temu”, że właśnie pewne gruczoły siknęły wydzieliną w wewnętrzny miąższ organizmu, zamiast puszczać to zwykłymi kanałami. „Czyżbym zawdzięczał to oczom tego starego pudła” — pomyślał o księżnej Irinie, wiedząc, że popełnia *straszna* niesprawiedliwość, że niedługo przyjdzie mu się kajać (tak, kajać — jakże nie cierpiał tego słowa!) przed swoją dla niej miłością, że będzie jej to mówił — *to właśnie jej!* — (wstrząsnął się z poczucia obrzydliwej, zwierzęcej, z lekka niepachnącej poufałości, do której przyjść kiedyś musi), to właśnie, z tym okrucieństwem młodości, które burzy ostatnie resztki wysychających soków w trupiejących pół-starcach i staruszkach. Oczywiście nie rozumiał całego swojego wstrętne uroku: on — „*Valentino-obraznoje suszczestwo*” — jak nazwała go wczoraj księżna, za co się tak strasznie na nią oburzył — on, z krótkim, tak prostym, że aż prawie zadartym, małym, mięsistym, rozdwojonym, a nic nie rozplaskanym przy tym nosie, o twardo zarysowanych, esofloresowato wywiniętych, ale przy tym nic nie murzyńskich, ciemno-krwawych wargach — nie był bardzo wysoki (jakie 185 cm), ale cudownie proporcjonalnie zbudowany, zawierał w sobie potencjalnie całe morze cierpień nieznanych mu obecnie bab. I nieświadomie cieszyły się już tym wszystkie komórki jego zdrowego jak byczy jęzor ciała. Dusza unosiła się nad tym olimpijskim igrzyskiem komórek (innego słowa na to nie było) z lekka koślawa, anemiczna, troszkę nawet potworkowata, a nade wszystko nierozwinięta zupełnie — nic o niej nie można było powiedzieć — chyba może jakiś psychiatra i to dobry — może taki Bechmetiew? Ale coraz mniej było na szczęście różniczek społecznych tego typu i nawet scałkowanie ich wszystkich w danym miejscu i czasie nie wpłynęłoby już na wypadkową biegu wypadków. A więc znowu: jeszcze wczoraj spał w tamtym dawnym szkolnym życiu, jeszcze nawet na tym wieczorku, gdzie jak mu się zdawało, reprezentował bądź co bądź, zupełnie mimo woli, całą piwną potęgę baronów Kapenów de Vaház, obecnie Ludzimierskich — a dziś? Sam nie lubił piwa, a poczucie siebie samego jako pasożyta na życiach nieszczęsnych (tak po prostu) robotników, nawet tonących w takiej sztucznej polskiej na amerykański sposób „*prosperity*” i udoskonalonych w swej mechanizacji do absurdu, ciężkie było aż do bólu. Jedyną ekspiacją byłoby oddanie się jakiejś pracy nic z tym wszystkim wspólnego nie mającej. Już wybrał literaturę, jako zawierającą w sobie całość życia, a tu — trach! — ojca trafił szlag. Teraz przekonał się, że wcale nie kochał tego osławionego wielkiego piwowara — („króla słodu” — jak go nazywano) — to jest w porównaniu oczywiście do bolesnej i aż

do obrzmienia nudnej miłości do matki. Nie — żyć męką (choćby nieświadomą) zapracowanych czort wie po co w ten sposób pseudo-ludzkich półbydła — nie będzie. [Ach jakże łatwo byłoby zrobić z nich świetliste duchy! Ale trzeba na to idei — no i pewnego obciążenia tych odpadków dawnej giełdy, które błąkały się jeszcze aż brudne i śmierdzące od interesów po zakamarkach nędzy polskiego ducha, tego przez wielkie *D* (mimo że o nim tyle gadano)]. Co najwyżej może dostawać jakiś procent (mały kompromis już) — matka też i siostra (maska kompromisu). Dobrze jest za wszelką cenę uniknąć sprzeczności ze sobą samym po „przebudzeniu się”. Ale dziś postanowienie to nabrało innej wagi — objęło śpiącą przeszłość, zbudziło w niej echa niebyłych wyrzutów, zachwiało pewne stałe punkty jak: dom, rodzina, matka, i osobno od domu piętnastoletnia siostra (której dotąd prawie nie zauważał), lniano-włosa Lilian. Między innymi cała szkolna nauka rozwiła się, jak gdyby nie była szkolną, porządną, jedyną prawdziwą nauką, tylko bzdurą, która mogła być taką lub inną, albo nie być nawet wcale. Już zaraz — trochę cierpliwości, a zacznie się życie: świństwa, wypadki, ciekawe przeżycia i pornografia. Ach dosyć — na czym-że u diabła polegała ta zmiana. Niepokój w dolnej części brzucha, budzący się w związku ze spojrzaniem wszechwiedzących, podobnych do turkusowych gałek w świńskiej oprawie, oczu księżnej — (Genezyp miał oczy orzechowe — wspaniały kontrast) — lekkie upokorzenie na ten temat — on miał być funkcją takich głupstw! Do dziwności niższego stopnia w porównaniu z minioną chwilą należały wspomnienia tego wieczora, teraz dopiero układające się w jakąś pozornie przynajmniej zrozumiałą łamigłówkę. Jak w jakimś przyspieszonym kinie mignęły mu obrazy i w postaci ciemnych, przelatujących jak pociski przez gąszcz znaczeniowej sfery, piguł, przesunęły się też rozmowy. O jakże inaczej pojmował ich sens w tej chwili.

WIECZÓR U KSIĘŻNEJ TICONDEROGA

Niebieskooki sęp na ogromnej kanapie i rączka dziwnie miękka, jakby nieprzyzwoita w swej miękkości („gdyby ona, tak jak Toldzio kiedyś w lesie próbował w te dni niezapomniane...” — mignęło coś niejasno. — „Ach, więc to tędy płynię”). Aż do bólu wstydliva i bezwstydną rączka, wszechwiedząca, jak i oczy. Czego bo się ona w życiu już nie dotykała — a co jeszcze było przed nią w tej sferze. Już mówił:

— Właśnie zdałem przyspieszoną maturę. Czekam na przyszłość, jak na pociąg na małej stacyjce. Może będzie to zagraniczny ekspres, a może zwykły osobowy gruchot, który skręci na jakąś lokalną linię małych zagmatwań. —

Oczy jej, jak oczy sowy, obracały się, a twarz była nieruchoma. Czuć było w niej cały „żał za beznadziejnie uciekającym życiem” — pod takim tytułem walca wykonał przed chwilą wyfraczony, brodaty, długowłosy, z lekka garbaty i jak garbus zbudowany, długopalczasty, kulawy (z powodu na wpół uschniętej nogi), Putrycydes Tengier, lat czterdziestu dwóch, genialny, oczywiście nieuznany oficjalnie kompozytor.

— Panie Putrysiu — niech pan gra dalej. W muzykę zawiniętą chcę oglądać duszę tego chłopca. Cudny jest tak, że aż wstrętny w tym swoim wewnętrznym zaniedbanu — mówiła księżna tak nieprzyjemnie, że Genezyp o mało jej w twarz nie uderzył. — Ach, gdybym to zrobił — odwagi nie mam — zaskowyczał w nim dziecinny głosik. Fotele puchły, chłonąc innych gości, którzy zdawali się zanikać i rozplwać we mgłę. A był tam ten wielki czciciel Onana, kuzyn Toldzio, już od dwóch lat marnujący się w szkole dla młodych dyplomatycznych głuptasiów. Był sam Ticonderoga, od środka zgrzybiały, ale zewnętrznie zawieszisty i zwalisty starzec i mnóstwo dam z sąsiedztwa z córkami i synkami, i jacyś wiecznie podejrzani i niepojęci w istocie swej bankierzy i byznesmani — jeden prawdziwy król giełdy w dawnym stylu, obecnie unikat tego typu, na wątrobowych wywczasach. Używać musiał krajowych źródeł, a tam w „prawdziwych” tarzali się bolszewicki dygnitarze całego świata! Żaden bowiem „większościowy” Polak nie miał prawa wjazdu do wszechświatowej „*cultural reality*” — mógł żyć złudzeniami, ale tylko u siebie. Była też pewna sierota, daleka kuzynka pani domu, Eliza Bałachońska, podobno nawet jakaś tam księżniczka. Było to pozornie bardzo niepozorne stworzenie — jakieś blond-loczki, jakieś zwrócone do środka oczka i rumieniec koloru jesiennej zorzy. Tylko usta, usta... Genezyp nie mógł jej nawet zauważyć istotnie swymi narządami poznania życia w ich obecnym stadium rozwoju. A jednak coś w nim drgnęło tam, w tym ośrodku

przeczuć, w którym kłębiła się potencjalnie przyszłość, ciemna, może okropna. „Oto jest żona dla mnie” — rzekł w nim ten głos proroczy, którego tak bał się, prawie nienawidził. A tam tymczasem, w gronie trochę przerażonych i ubawionych kobiet, młody (27 lat) Sturfan Abnol, powieściopisarz, krzyczał prawie na tle dzikiej muzyki podbitego z lekka Tengiera.

— ...ja mam się popisywać z moją znajomością życia przed tą publicznością, którą pogardzam, do której obrzydzenie czuję, jak do robaków w zgniłym serze? Przed tą ohydłą gawiedzią ogłupioną przez kino, dancing, sport, radio i kolejowe biblioteki? Ja mam dla ich zabawy pisać takie właśnie kolejowe romanse, żeby żyć? A niedoczekanie ich (czuło się wyraźnie, że ledwo się wstrzymywał, aby nie zakląć ohydnie — słowo „skurwysyny” wisiało w powietrzu), tego plemienia prostytutów i platytudów! — Zachłystywał się pianą wściekłości i oburzenia.

Informacja: Specjalnością księżnej byli niedoceniani artyści, których nawet częstokroć materialnie wspomagała, jednak nigdy o wiele powyżej tzw. punktu „nie-zdechnięcia-z-głodu”. Przestali by być bowiem w takim razie niedocenionymi. A znanych ludzi tej sfery i uznanych cierpieć wprost nie mogła, uważając ich nie wiadomo czemu za żywą obrazę najistotniejszych jej uczuć rodowych. Lubiała sztukę, ale nie mogła znieść jej „rozpanoszenia się”, jak mówiła. Dziwne było to zdanie na tle zupełnego prawie zaniku artystycznej twórczości w ogóle. Może u nas właśnie coś tam tlało jeszcze, na tle nienormalnych, sztucznych stosunków społecznych, ale w ogóle — pożałuj się Boże!

— Nie — nie będę ich błaznem — piał dalej zapieniony Sturfan. „Zachliobywaś się” i pluł jadem. — Będę pisał powieści, kiedy już w sztuce, *prawdziwej sztuce* nic do zrobienia nie ma — ale powieści *me-ta-fi-zy-czne!* Rozumiecie? Dostyc już tego parszywego „znawstwa życia” — zostawiam to wyprutym z talentu podglądaczom miernoty i odtwarzającym ją z lubością. Bo czemu to właśnie robią? Bo nie mogą nikogo wyobrazić sobie ponad siebie samych. Nie mogliby stworzyć typów wyższych i zdobyć się wobec nich na ten, tak zwany przez krytycznych pasożytów, „pogodny, ten pseudo-greccki uśmiech pobłażania” z wysokości niedosiężnej twierdzenia, że wszyscy są świnię i ja też, i przebaczam to im i sobie też. Do cholery już raz z tą całą Grecją i tym odgrzewaniem pseudo-klasycznych rzygowin. A nie! — To to się u nich, tych krytykonów, tych tasiemców i trychin w ciele konającej sztuki, nazywa obiektywizmem i oni śmiały przy tym wspominać Flauberta! Nie — tu ten pseudo-obiektywny, to jest świńsko-uśmiechnięty, ogólną popolitością zbabrany autor wałęsa się sam osobiście między stworzonymi — ha — to się nazywa twórczością: to podpatrywanie przez dziurkę od klucza tych, których podpatrzeć się może — wyżsi ludzie, o ile są w ogóle, tak łatwo podpatrzeć się byle komu nie dadzą, więc jakże tu ich opisać? Tak — otóż autor wałęsa się jako jeden z całej kompanii, pije z nimi „na ty”, sam pijany niezdrową manią nikomu niepotrzebego poniżania się, zwierza się niegodnym nawet siebie swoim bohaterom — i to się nazywa obiektywizmem! I to się nazywa społecznie wartościową literaturą — ukazuje się wady różnym draniom, tworzy się sztuczne papierowe pozytywne typki, które nie są zdolne przekabacić negatywnego wyniku na płaski zresztą optymizm, opierający się na ślepotę. I taką hołotę chwala...! — Zakrzuszył się i pozostał chwilę w pozie pełnej rozpacz, po czym zaczął pić na nowo.

Po szalonym końcowym bębnieniu zerwał się od zmęczonego Steinway’a spocony, z pomiętym gorsem i rozwichrzonymi a jednak skołtuniałymi włosami, Tengier. Jego oczy płonęły kolorem „bleu électrique”. Nie panując nad sobą zbliżył się chwiejnym krokiem do księżnej. Genezyp siedział tuż obok — już zaczynała się w nim przemiana. Teraz wiedział, kto mu pokaże dalszą drogę życia. „Chociaż kto wie, czy nie wolałbym z tamtymi” — pomyślał niejasno na tle mglistego obrazu zabronionej mu przez ojca, niewyobrażalnej nawet w przybliżeniu oficjalnej rozpusty. Coś się rwało w nim jak kawał płótna — tylko pierwsze pociągnięcie było bolesne (czyniły to jakieś łapy zwierzęce w nim samym, zaczynając od tak zwanego „dołka”, a potem dalej, aż po niższą część brzucha, tam...), potem szło to już coraz prędzej z niebezpieczną łatwością. W tej chwili stracił dziewictwo, a nie jutro, jak to potem sobie wyobrażał.

— Irina Wsiewołodowna — mówił Tengier, nie zwracając na Genezypa żadnej uwagi. — Ja muszę wrócić do pani, nie jako pokorny substytut erotyczny z dawnych czasów, tylko jako zdobywca. Niech pani raz puści mnie tam, do tej zamkniętej komnaty — raz — a potem na zawsze cię zdobędę — zobaczysz. Nie pożałujesz tego. Irina Wsiewołodowna — jęknął boleśnie.

— Niech pan wraca do swojej chamki. — (Później dowiedział się Genezyp, że żoną Tengiera była młoda jeszcze i przystojna góralka, z którą ożenił się był on dla pieniędzy i chałupy. Zresztą podobała mu się nawet trochę z początku). — Wie pan przynajmniej, co to jest szczęście, i niech to panu wystarcza — szeptała dalej księżna, uśmiechając się przy tym uprzejmie. — A dla muzyki pana, to lepiej, że pan cierpi. Artysta, *prawdziwy* artysta, a nie przeintelektualizowany młynek, mielący automatycznie wszystkie możliwe wariacje i permutacje, nie powinien bać się cierpienia.

Genezyp poczuł w sobie jakiegoś okrutnego polipa, który czepiał się ścian jego duszy, lepkich i zaognionych i pelzł wyżej i wyżej (w kierunku mózgu może?), laskocąc przy tym wszystkie nieczule dawniej miejsca, rozkosznie i niemiłosiernie. Nie — on nie będzie cierpiał za nic. W tej chwili poczuł się starym rozpustnikiem, takim jak ojciec Toldzia, brat jego matki, hrabia Porayski — taki „galicyjski” jeszcze — okaz zachowany z niepamiętnych czasów. Kiedyś marzył, aby być takim zblazowanym draniem — teraz, mimo że żadnych danych ku temu nie miał, obraz takiej przyszłości przejął go wstrętnym lękiem. Czas pędził jak wściekły. — Jak de Quincey pod wpływem opium, przeżywał teraz Zypcio setki lat ściśnięte w sekundy, niby w sprasowane szalonym ciśnieniem pigułki skomprimowanego trwania. Wszystko było już nieodwołalnie postanowione. Wierzył, że może z niczego stworzyć siłę, którą opanuje tego babiego potwora, dyskretnie rozwalonego przed nim wspaniałym ruchem na kanapie. Wiedział, że ona jest starowata, mimo dziewczynkowatego chwilami wyglądu — trzydziestu ośmiu do czterdziestu lat — ta właśnie nieświeżość, ta wszechwiedza tego przepięknego babiszona podniecały go w tej chwili aż do nieprzytomności. Ani się opatrzył, a już był po tej zakazanej dotąd przez ojca stronie życia. A przy tym zimna myśl: musi być złym mężczyzną.

Tengier najwyraźniej wahał szerokim, obrzydliwym nosem, pochylając się nad obnażonym ramieniem księżnej. Był niesamowicie odrażający, a jednak czuło się w nim skrępowaną siłę najprawdziwszego geniusza. Wydał się Zypciowi w tej chwili psem na łańcuchu z dawnych lat. Ale tego psa nie chciałby spuścić — nie — właśnie niech się męczy — była w tym wstrętna, zbrodnicza, aż mdląca jakąś tajemniczą ohydą, niepachnąca rozkosz. (Sama obecność tej kobiety wydobywała ze wszystkich to, co było w nich najgorszego, najplugawszego. Roili się od potworności, jak ścierwa od robaków). A wszystko to pod maską artystycznego wieczorku z okazami błaznów, dla zabawy „najlepszego” towarzystwa. I nawet Zypcio, tylko co jeszcze niewinne dziecko prawie, już był takim kandydatem na rozkładającego się psychicznego trupa, dla uciechy niesytego babskiego ciała. Dawny chłopczyk, czysty i dobry, tłuł się w nim rozpaczliwie jak motyl za szybą, chcąc uciec od oczekujących go okropności. Rozkosz! Być bydlęciem bezpamiętnym człowieczej godności, wpajanej mu a) przez ojca na wakacjach, b) przez panią Czatyrską, podupadłą arystokratkę o książęcych pretensjach, u której mieszkał na stacji, c) przez profesorów i d) specjalnie wzniosłych, ponurych kolegów, których mu dobrał na żądanie papy sam dyrektor. Och — ta człowieczość nudna i blada, narzucona mu z góry — jakże jej nienawidził! Miał jakąś swoją godność własną, niczym nie gorszą w jego mniemaniu od tamtej. A musiał ją ukrywać, bo „tamci” by ją zdeptali, zatłamsili w zarodku. Ta jego godność była wcieleniem buntu: wszystkie psy spuścić z łańcucha, rozpedzić robotników ojca, podzieliwszy między nich całe piwo, wypuścić wszystkich więźniów i wariatów — wtedy mógłby iść przez świat z podniesioną głową. A tu nagle zaprzeczenie tego wszystkiego w postaci tej bezwstydnego baby i rozkosz w tym zaprzeczeniu właśnie. Ale czemu ona była symbolem odwrotności dawnych, własnych i narzuconych ideałów? Czyż mógłby od niej „dowiedzieć się o życiu”, pozostając tamtym? Okropne, ale rozkoszne — nie było na to rady.

Wzburzona od samego dna, nawarstwiona przedtem sztucznie pod ciśnieniem szlachetności (ta prosta, nie dająca się opisać zupełnie) i idealizm (wiara w jakieś bliżej nieokreślone „rzeczy wyższe”, które oznaczało środkowe kółeczko w schemacie „jaźni” własnego pomysłu), napotkały tamę wyczelowanej osobiście i od wieków kobiecej zwie-

rzęcości, najeżonej różnorodną płciową bronią, jak pancernik lub twierdza armatami. Jednak u podstawy wszystkich początków czegokolwiek bądź w jego życiu był ojciec, ten opasły piwowar z siwymi wąsiskami *à la polonaise*. Mógł przecie nie pozwolić mu pójść na ten „Kinderbal”, jak nazywał wieczorki u księżnej. Nie — on sam pchał go w ten gomon rozpusty i użycia, sam go do tego namówił, jak tylko poczuł się lepiej po „szlaku”. Może tym chciał go odciągnąć od wymarzonej literatury? Ale znowu czyż on mógł być autorytetem, gdy mówił o przodującym stanowisku swego narodu w pochodzie cywilizacyjnym (ale za cenę wypełnienia pewnych warunków: organizacji pracy, wyrzeczenia się socjalizmu, powrotu do religii, oczywiście katolickiej), jak mógł dziś uważać się za kogoś wybranego na tle tego, co działo się na świecie całym, on, niepomierne używający życia pseudo-wojewodowaty starzec, wyrosły jak grzyb potworny na bagnie nędzy i krzywdy swoich robotników, których wysysał maksymalnie, według zasad tej właśnie naukowej organizacji, wmawiając im, że za 200 lat osiągną fordowski dobrobyt, który *tam* dawno się już skończył. (Okazało się, że ludzie nie są znowu tak wielkim bydłem i że bez idei żyć im trudno. I pękła cała ta osławiona Ameryka, jak olbrzymi, okropny wrzód. Może i gorzej im było potem na razie, ale wiedzieli przynajmniej, choćby na krótko, że nie są automatami w rękach takich samych automatów, tylko trochę mędrszych. A zresztą czy tak czy inaczej wszystko się skończy tym samym, to jest zupełną mechanizacją — chyba, że stanie się cud). [Nie mógł znieść Zypcio widoku tych robociarzy bez obrzydliwych dreszczów i mdłości w dolnych bebechach. (A jednak kto wie czy i w tym nie było czegoś erotycznego. Erotomania? Nie — tylko nie trzeba chować głowy pod poduszkę, gdy zbóje rzną sąsiada). Oto teraz snuli się na drodze, wiodącej od kompleksu fabryk do pałacu w błękitnej pomroce gasnącego zimowego wieczoru, przerywanej fioletowymi snopami światła lukowych lamp. Bezmierny smutek niepokodzonych nigdy sprzeczności: indywidualnego i gatunkowego istnienia, powiał na niego od tego widoczku (jakby z jakiejś pocztówki nie z tego świata) i osiadł na przypomnianych znowu słowach młodego literata, Sturfana Abnola].

— ...nie będę błaznem — powtarzał wtedy pijany Abnol z uporem. — Robię to tylko dla tajemnych celów mego własnego wewnętrznego rozwoju. Zatruty jestem od rzeczy niewypowiedzianych, które tylko pisząc powieść uświadomić sobie mogę. One to rozkładając się w moim mózgu wytwarzają ptomainy niejasności, lenistwa i bezwładu. Muszę zobaczyć, co jest poza tym, a to, że to czytać będzie banda dzisiejszych, niegodnych prawdziwej twórczości, pół-zmechanizowanych bydląt z pretensjami na pół-bogów i paru może mądrych ginących ludzi, których pewno osobiście nie poznam, co to mnie, *mnie* obchodzić może?! Ja nie mam zamiaru być tym wytwórcą wzmacniających zastrzyków dla zdychających narodowych uczuć, czy degenerujących się społecznych instynktów tych wymierających robaków na resztkach zgniłego ścierva wspaniałego bydlęcia z dawnych wieków. Ja nie chcę opisywać tych ludzi przyszłości, od których wieje pustka bydlęcego zdrowia. Co o nich w ogóle ktoś naprawdę inteligentny powiedzieć może — o tych, co jak szpada w pochwę czy klejnot w futerał wchodzi w swoje przeznaczenie. Idealnie dopasowana do narzędzia funkcja nie jest niczym psychologicznie ciekawym, a powieść epicka jest dziś fikcją bezpłodnych grafomanów. A najciekawsze jest *absolutne* (!) niedopasowanie człowieka do funkcji istnienia. I to występuje tylko w epokach dekadencji. Tam to widać dopiero metafizyczne prawa bytu w całej ich nagiej okropności. Mogą mi zarzucać, że robię ludzi bez woli, próżniaków, analityków niezdolnych do czynu. Mogą się innymi typami i nawet ich tropikalnymi awanturami czy sportem zająć ludzie mniej ode mnie inteligentni. Ja nie będę opisywał tego, co byle dureń zobaczyć i opisać potrafi. Ja muszę sięgnąć w niewiadome, w sam najistotniejszy podkład tego, czego powierzchwnie durnie widzą i opisują bez trudu. Ja chcę zbadać prawa historii świata nie tylko tu, ale wszędzie, gdzie są myślące stworzenia. Nie mam ambicji opisanie całości życia, bo ta całość nudna jest, jak nudnym jest wykład teorii Einsteina, tego ostatniego wielkiego twórcy w fizyce, dla mojej kucharki. —

Tengier przestał wachać ramię księżnej i sprężył się cały, akcentując potworność swojej pół-karlej budowy.

— A jednak będziesz błaznem, Sturfanie Abnolu — rzekł olbrzymiejąc ponad całym tym salonem w gigantycznej wizji swojej własnej przyszłości. (Nawet księżna Irina Wsiewołodowna poddała się temu i ujrzała go nagle innym: jakby w jakimś hyper-bajzlu

wszechświatowej metropolii na piramidzie gołych i (innych) cudownie ubranych dziewczynek, w chwale wynalazcy nowego narkotyku, po wyczerpaniu wszystkich kokain, peyotłów i apotransformin. Ona u jego nóg (z których jedna była sucha — (o niej to o tej nodze mówili wrogowie, że przynajmniej mniej będzie śmierdział ten potwór, jeśli mu ją obetną)) — (on też był goły) nóg włochatych, wykręconych, o wstrętnych stopach żaby. Na kolanach i brzuchach przed nim tarzali się w ostatnich drgawkach szalu wyznawcy-nałogowcy jego jadu).

Informacja: Wszystko to była gruba przesada. Już prawie nikt sztuki nie potrzebował. Rządcy maniacy utrzymywali ten snobizm w pewnych ograniczonych kółkach z niesłychanym wysiłkiem.

On, dobroczynny truciciel ginących widm, stał uśmiechnięty diabelsko, przepojony tryumfem i sławą, którą wypełniona była przestrzeń dookoła aż po brzegi. W nieskończoność szły fale eteru, czy też rozprzestrzeniały się prostopadle magnetyczne pola (wszystko jedno — i to mało kogo obchodziło z wyjątkiem paru ginących teoretycznych fizyków), niosąc w międzyplanetarną, wymarłą przestrzeń fale dźwięków, dobyte z jego mrocznej, brudnej duszy za późno sycącego się życiem starszawego pana — raczej chamowatego pół-panka. Tengier mówił dalej do zapadającego w zupełną prostracę pisarza:

— Nic cię od tego błazństwa nie uchroni, choćbyś całkiem inaczej o sobie myślał. Czy to jest prawdą o tobie, co sam sobie wyobrażasz, czy to, czym jesteś faktycznie w splotach kłębiącej się według transcendentnych, metafizycznych praw, społeczności. Artyści byli zawsze błaznami wielkiego świata tego i takimi pozostaną, dopóki choćby takie odpadki tej wielkości walać się będą po świecie, jak tu obecni we własnym pałacu księżstwo Ticonderoga. (Księżna zamarła w najwyższym zadowoleniu swych ambicji. Lubiała odwagę towarzyską swoich gości „niższego” gatunku. Pyszniła się ich impertynencjami — kolekcjonowała je, zapisując w swoim „dzienniczku”, jak nazywała ten stek najbezwstydniejszych samiczych wywnętrzeń). — Możesz sobie wyobrażać, że piszesz dla swego pogłębienia, a społecznie jesteś tylko saltembankiem, rozweselającym znudzone nasyceniem wszystkich pragnień dusze tej byłej elity, a dziś hołoty, która u nas jeszcze utrzymuje się jakimi cudem na wierzchu, jak brudna pianka na rwącym nurcie wstającej nowej ludzkości. Ja tylko zdaję sobie z tego sprawę i innym być bym nie mógł, a ty...

— Ja nie chcę znać społeczeństwa. Muszę żyć w tym błocie, ale też izoluję się od niego — krzyknął znowu w nagłej pasji Abnol. — Chyba, żeby to było społeczeństwo idealne, a nie nasza zakłamana demokracja. Może tam na Zachodzie lub w Chinach... —

— Więc nie społecznie, jeśli już chcesz koniecznie, ale istotnie — poza własnymi złudzeniami w każdym razie — w odniesieniu do wieków przyszłych. Nie trzeba czekać Sądu Ostatecznego — za 200 lat każdy z nas będzie tym, kim jest — bez pięknych sukienek, bez różnych ozdóbek, bez których żyć by nie mógł, bez osobistych uroków —

— Szczególniej pan, panie Putrysiu — wtrąciła jadownicę księżna. Tengier nie spojrział nawet na nią.

— Wiadomo będzie, co zdziałał tym swoim osobistym urokiem. A zresztą to wcale nie jest złe nawet w sferze sztuki, nie mówiąc już o życiu działaczy, zdobywców i tym podobnych przemieniaczy realnych wartości. O — gdybym ja nie był garbusiem o wyschniętej na patyk nodze... —

— Wiemy wszyscy, jak pan stara się udowodnić sam przed sobą siłę swego ducha i dźwiękowych kombinacji. Ale to trochę nieczysta sprawa z tą siłą ducha właśnie. Gdyby nie emocjonalne działanie samych dźwięków... —

— Mówi pani — (Tengier nigdy nie tytułował utytułowanych) — o tych tak zwanych uwiedzionych przeze mnie bubkach. — (Homoseksualizm był od dawna już dozwolony i bardzo stracił przez to na sile). — O tych efebach, którzy zastępują mi całe moje zawiedzione życie? — rzekł Putrycydes brutalnie, jakby się wyrzygał na wspaniały ruszczucki dywan. — Tak — nie potrzebuję się ukrywać. — Mgła potęgi lubieżnej przesłoniła mu twarz — był prawie piękny. — To mój jedyny tryumf, kiedy ja, wstrętny kaleka, bez cienia prawdziwego pożądania, plugawię jakieś czyste, piękne...

— Dosyc.

— I kiedy taki pójdzie potem do swoich dziewczynek — ja jestem już ponad tym i wtedy mogę się zapaść w mój świat czystej konstrukcji dźwięków, gdzie jestem po-

godny jak sam Walter Pater, poza tą wstrętną seksualną ponurością, poza przypadkiem chwil takich, a nie innych — jestem w bezjakościowym państwie absolutnej konieczności w dowolności! Bo cóż jest straszniejszego, jak ta godzina od drugiej do trzeciej popołudniu, kiedy nic ukryć przed sobą nie można i naga okropność metafizyczna przebija jak kiel zwaliska codziennych złud, którymi staramy się zabić bezsens życia bez wiary... O, Boże! — Zakrył pysk rękami i zastygł. Przerażeni goście kiwali głowami myśląc: „co też to musi się dziać w tym włochatym łbie, tuż obok nas?” A jednak mało kto nie zazdrościł Tengierowi tego, choćby urojonego, nie dającego żadnych dochodów niepojętego świata, w którym on żył sobie „ot tak”, swobodnie, jak oni na tej męczącej nawet dobrobytem wyspie spóźnionego pseudo-faszystowsko-fordowskiego galimatiasu. Księżna gładziła Tengiera po głowie, zapatrzona w swoją starość. Nagle coś się jej przekreśliło. Znała takich chwil tysiące i bała się ich obłądnie.

Genezyp nie rozumiał w istocie nic, ale bebechy jego darły się dalej w nieskończoność. Pił pierwszy raz w życiu i dziwne rzeczy zaczynały mu się dziać w głowie i całym ciele. A wszystko jednak było jak na obrazku — „*intereslose Anschauung*”. Chwila oderwana od przeszłości i przyszłości, wyjęta spod sądu zaszczerpionych mu ideałów-nowotworów, wygięta lekko, podawała się zadem w nieskończoność — tam był jeszcze ktoś osobowy, jakiś młody bóg (a chwila ta, to była księżna) — „tęcza była mu przy pasie, księżyc obok nóg” — Miciński, *Izis*. Piekielna „fajda” nieodpowiedzialności — nagle zrozumiał ostatnie słowa Tengiera — „konieczność w dowolności” — cóż za głębia była w tym powiedzeniu. „To ja, to ja” — szeptał radośnie. Widział samego siebie jakby po drugiej stronie rzeczywistości za rzeką jakąś, niby Styksem z rysunku Doré’go. Był doskonały w swej skończonej piękności, a w rzece pływały utopione ziemskie żądze, jak krwawe flaki. [Ale to wszystko nie było jeszcze to, co teraz]. Stało się. Żałował swojej nieświadomości, kiedy było już za późno na wszystko. Zateśknął do szaleństwa za *naprawdę* nieodpowiedzialną epoką dziecinnej dyscypliny i swojej niepowrotnej jednolitości. A jednocześnie jakby ostatnia skorupa fałszu i obłudy spadła z ojca jego (może konał tam teraz na apopleksję?) i nagi pęd, nieprzyzwoity jak szparag czy młody bambus, wydobyl się z mokrego, parującego gnojowiska. To on sam był tym bogiem w oddali i tym pędem głupim — stał się dwoistym, „odtąd i na zawsze”. Wszystko to poczuł znowu od środka: dziwność była w nim samym — świat: salon, panienki, stara rozpustnica (jej uśmiech ostry szaleństwem żalu za niepowrotnym kobiecym słoństwem, za panowaniem nad tymi „głupio-mądrymi koczokodanami” [inaczej w myślach mężczyzn nie nazywała]) *to wszystko było w nim*. Zupełnie zwątpił na sekundę w realność tej całej fantasmagorii — był sam i było mu rozkosznie. Nie wiedział, że jakieś panienkowane oczy wpatrzone są w niego, że widzą wszystko i że chcą go ratować — były to oczy Elizy. Wobec bestialskich jego przemian wewnętrznych było to jak ukąszenie komara w zmiażdżoną łydkę. Gdyby tylko mógł odwrócić się teraz od oczu tej baby i spojrzeć w tamten kąt koło fortepianu — całe życie wyglądałoby inaczej. „Jednak to jest upokarzające — to przeznaczenie zawarte w jakiejś babie — bo oczywiście to są niższe stworzenia” — tak by pomyślał jeszcze pięć lat temu, kiedy to uciekł od pocałunków jakiejś przewrotnej pokojówki, o czym zupełnie zresztą zapomniał. Nie mógł pomyśleć tak teraz. [Ale czymże były te pijane wrażeńka wobec obecnej chwili przebudzenia. Teraz dopiero zdawał się wiedzieć wszystko, a ileż chwil takich, coraz wyższych (czy niższych? — to zależy od charakteru całości splotu, od jego wykładnika w sferze etyki) stopni wtajemniczenia w misterium świata, miał jeszcze przed sobą?]

A księżna zwróciła na niego oczy, wszechwiedzące w rozkoszy i w męce i oblizła go całego tym wzrokiem: był jej. „To ona wprowadzi mnie w to” — pomyślał ze strachem i nagle poczuł koło siebie matkę jak żywą, jakby tu przy nim stała, broniąc go przed tą zwyrodniałą, starowatą nadsamicą. Przecież ta ukochana mama jest czymś zupełnie podobnym do tego potwora — jeśli nie aktualnie, to potencjalnie. Mogłaby być taką rozpustnicą — i co wtedy? „Nic — kochałbym ją tak samo” — myślał dalej z trochę wymuszonym dżentelmeństwem. „A jednak szczęście, że tak nie jest”. Poczuł zazdrość matki i tajemnicę straszliwą macierzyństwa — to, że ona ma do niego jakieś prawo — ale nie było w tym nic z uczucia wdzięczności. Mimo wszystkich tych pozornych związków on spadł skądś przypadkiem (tym najstraszniejszym, bo koniecznym — oto tajemnica) na ten świat i nikt nie jest za to odpowiedzialny — nawet matka —

a tym bardziej ojciec. Źródło jego istnienia, ten ciąg zawiłych tragedii tyłu ciała i duchów niezgodnych ze sobą i między sobą (i to wszystko dla wytworzenia takiego wyrodka) stał się na chwilę zrozumiałym. „Tym właśnie miałem być, raz na wieczność całą — takim właśnie, albo wcale.” Miał intuicję bezsilności pojęcia przyczynowości wobec istnienia: poczucie statystyczności całej fizyki i „pochodności” pojęcia przyczynowości psychologicznej z dwóch źródeł: konieczności logicznej i fizjologii, w granicy sprowadzalnej do fizyki. Ale o tym nie *wiedział* — miał się dowiedzieć nieco później. A zaraz obok śmierć — najwyższa sankcja osobowego istnienia. Tylko za tę cenę... Dalej myślał o matce: „Gdyby była umarłą, obroniłaby mnie — żywa nic nie pomoże. Znadto jest ludzka, codzienna, niedoskonała i grzeszna w kościelnym znaczeniu. Przecież ona musiała coś takiego robić z ojcem... Brr...” Zrozumiawszy tę straszłą prawdę, niedzielną, jak mu się zdawało, uczył się dumnym. I już jako „starszy” poddał się tamtemu mrokowi i zmieszany powiedział jej: (oczami tylko) — „tak”. I strasznie się zawstydził, wstrętnie po „chłopięcemu”, niegodnie. A ona, odwracając się do tamtych, oblizła wargę ostrym, różowym kocim językiem w tryumfie. Kute na wszystkie kopyta, lubieżne babsko wiedziało już, że zdobycz jest jej. I wzdrygnęło się jej mądre ciało, już w myśli odbierając dziewictwo temu ślicznemu, valentinowatemu chłopczykowi. Nawet Sturfan Abnol, który dawno przestał być jej kochankiem i pokonał ją (raczej jej erotyczną wiedzę) zupełnie, doznał raptownego wstrząsu niższych warstw. Gdyby mógł mieć ją teraz, od razu, z tym uśmiechem, pożądaną tamtego, beznadziejnie zimną — och, to byłaby rozkosz! Ale szybko przeszła mu ta mała, nagła chęć. Za to Tengier był w płciowej rozpaczce zabrany jak w gnojówce. „I stworzyć taką siłę wpierw, by móc żyć całkiem bez tych ścierw” — bąknął wierszyk jakiegoś młodego hyper-realisty bez talentu, jednego z tych, co łączą słowa syndetikonem deformacyjnej perwersji w stosunku do sensu, a nie natchnieniem. Zamaczyła mu w pamięci pustelnia kniazia Bazylego, z tych czasów, kiedy to „świeciejszy” uznawał jeszcze narkotyki, nie doszedłszy do tego ostatniego, którym jest mistycyzm. Mistycyzm, a nie religia. „Religia jest najgłębszą prawdą. A te wszystkie jej pochodne to już nie wiara, tylko omamienie słabych dusz, niezdolnych do patrzenia oko w oko własnej ich metafizycznej pustce. To już nie to. I niektórzy wiedzą o tym i trują się świadomie przez sflaczenie ducha, brak woli do prawdy i strach przed bezsensem, który odkrywa wszelką ostateczną prawdę, jeśli go nie zakrywa szczerze granicznymi pojęciami. Ale na luksus pojęć granicznych nie każdy sobie pozwolić może”. Tak mówił kiedyś do Bazylego Tengier. A jednak była to rozkosz, kiedy daleko, daleko poza seledynem rozciągał się bezkresny kraj „Czarnego Placka”... Tak nazywał się ów ląd, na którym zdawała się lądować bezprzestrzenna w granicy jaźń, po przepłynięciu groźnego, ale skończonego oceanu zupełnej nicości — to było cudem. Tam dojechali z trudem ostatniego razu dwa lata temu, zużywwszy we trzech — trzecim był logistyk Afanasol Benz vel Bęc — litr eteru. Ale bezpłodność tych światów na krańcach świadomości, te przyjemnościowe jedynie przejażdżki w krainę zaktualizowanej nicości i absolutnej, *prawie* metafizycznej samotności i niemożność zużycia ich dla swojej, zamkniętej sfery samokonstruujących się dźwięków, zniechęciły Tengiera do tego zakazanego zresztą procederu. A żona przy tym prała zdrowo po włochatym pysku, gdy zionął z niego na drugi dzień wstrętnym zapachem jałowej trucizny. Tak to z dwóch niewspółmiernych powodów wyrzekł się Tengier ostatniego z narkotyków wyższej marki i został przy starym, dobrym alkoholu — ten działał na twórczość bezpośrednio, był nawet zapładniający, poza kolosalnym ułatwieniem technicznym, doprowadzaniem do zgęstnienia nieuchwytniej wizji muzycznej. Nie darmo mówił o Putrycydesie pewien moskiewski hyperkonstruktywista: „*etot Tengier piszet kak choczet*” — nie było takiej wizyjnej kombinacji dźwięków, której by ten zamknięty w małej pastylce metafizyczny wulkan nie rozłożył na zrozumiałe rytmicznie i głosowo symbolizm. Ale i to miało przejść niedługo w sferę niepowrotnych cudów — życiowe nasylenie złamało ten wspaniały talent, rosnący proporcjonalnie do dysproporcji między żądzą, a jej spełnieniem. Księżna miała rację, jak wszystkie „*précieuse’y*” jej epoki.

Genezyt urznął się nagle do utraty zmysłów. Coś mówił z księżną, coś jej obiecywał — działały się rzeczy niewymierne, nawet gdyby mogła istnieć „psychiczna miara Lebesgue’a”, możność zróżniczkowania ostatnich, najdrobniejszych wykrzywień psychiki ludzkiej. Świat zdawał się pękać od samonienasyconości ostatecznej. Darły się w strzępy

„kawały duszy”, które roznosił w nieznane strony płomienny wir alkoholu, zmieszanego z chłopczykowatym mózgiem. W pewnej chwili Zypcio wstał, wyszedł jak automat z pokoju, ubrał się sam i wybiegł z pałacu. Czas był najwyższy. Rzygał strasznie. Za chwilę mroźna zadymka krupowa owionęła go na Krupowej Równi. Ale jeszcze nie zbudził się tego wieczoru — jeszcze nie pojął ostatecznej grozy niepowrotnych chwil.

Ojciec umierał nad ranem. Mógł jeszcze pożyć dwa do trzech dni. Stała się rzecz okropna, tylko nie wiadomo dla kogo, dla jakichś ciotek może: zanim stary umarł, przestał istnieć dla Genezypa kompletnie.

Wiatr wylł i gwizdał, okręcając piwowarski pałac lotnymi warkoczami rozwydrzonej „baby-kurniawy”. W ciemno-zielonym gabinecie starego Kapena była tylko pielęgniarka, panna Ela. Genezyp pocałował pulchną łapę umierającego ojca bez najmniejszego wzruszenia.

— Ja wiem, że ty musisz zostać jej kochankiem, Zypciu — wysapał stary. — Ona cię nauczy życia. Widzę to po twoich oczach — możesz nie kłamać. Niech cię Bóg zachowa w swej opiece, bo nikt z żyjących nie wie, co ta gadzina naprawdę myśli. Piętnaście lat temu i ja byłem jedną z jej wielkich miłości, kiedy brylowałem na dworze naszego nieodżałowanego króla. [Miała Polska kilkoletnie królestwo, ale bardzo nieistotne. Jakies Bragançe, czy coś tam takiego. Wyrzucono to jak śmiecie].

— Panie baronie: spokój — szepnęła Ela sugestywnie.

— Milcz, waćpanna — uosobienie śmierci. Wcielona nicość jest ta Ela. Wiem, że umrę, ale wesoło idę na ten mostek, bo równie dobrze wiem, że z tej strony nic już nowego mnie nie spotka. Użyłem życia — nie każdy to powiedzieć może. I w ekspansji i w kumulacji — jednym słowem twórczość — ot co. Ten wyskrobek mało mi się udał, ale po śmierci jeszcze go przetrząchnę, na miły Bóg: pekeflejsz z niego zrobię.

Genezyp zmartwił. Pierwszy raz widział ojca nie jako tego groźnego, bliskiego, kochanego — zaciekle, przez zaciśnięte zęby kochanego starca — tylko jako zupełnie kogoś innego, nieznanego, prawie obojętnego przechodnia — to było najważniejsze. A jednak był dlań w tej chwili o wiele sympatyczniejszym. Teraz mógłby zostać przyjacielem ojca lub zniechęcić go na wieki, albo obojętnie odejść. Był on dla niego obcym panem, iksem, za które wszystko podstawić można. Patrzył na niego Zypcio z niezmiernej odległości, którą stwarzała nadchodząca śmierć, pierwsza śmierć w życiu.

— Więc papuś mi przebacza i mogę robić co chcę — spytał Zypcio prawie z tkliwością. „Wiedzenie” tego, że ojciec był kiedyś kochankiem księżnej, zbliżyło go do niego, ale jakoś nieładnie i wstydliwie.

— Tak — rzekł stary Kapen i z pewnym wysiłkiem zaśmiał się okrutnie, bestialsko i zielone jego oczki mignęły w faldach tłuszczu zimnym rozumem i piekielną, nosorożcowatą złośliwością. Potworny starzec z dawno zapomnianego snu: jakieś jałowce, w których w podwieczornym mroku syczał przejmujący wiaterek i zbierał w nich chrust starzec o niewidzialnej twarzy — tylko brodę można i dozwolonym było widzieć — reszta była nie z tego świata. Wiedział stary, co robi, puszczając syna wolno, ale i on się nawet przerachował. Cała ochota na literackie studia odpadła Genezypowi natychmiast. Stał psychicznie nagi, trzęsący się z zimna, niewyspania, przepicia i pod-erotycznej gorączki. Przyszłość, wielokierunkowa, wichrowata, zawałała mu widok na obecną chwilę, która zmaląła, jakby widziana przez odwrotny koniec lunety, znikła prawie pod ukrytym sensem grozy, zawartej w potencjalnie pożeranych już nadchodzących wypadkach.

— Dowidzenia z ojcem, muszę iść spać — rzekł twardo i niegrzecznie i wyszedł.

— A jednak moja krew — szepnął z zadowoleniem, nieomal że z tryumfem, papa do panny Eli i zapadł w przedśmiertną drzemkę. Niebieskawy świt zatulony w pędzące tumany śniegu wstawał za obłymi wzgórzami ludzimińskiego kraju.

Informacja: Polityczne tło tego wszystkiego było chwilowo zbyt dalekie. Ale coś sunęło z mrocznych gór niewiadomego, jak lodowiec. Małe, śpieszne, nie mające tyle czasu co on lawinki tworzyły się po bokach, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Mężów stanu wszystkich partii, które ztraciły swoją dawną odrębność w ogólnym, *sztucznym*, pseudo-faszystowskim bezideowym *au fond* dobrobycie, ogarnęła nieznana dotąd w kraju szerokość poglądów i bez troska, granicząca już z jakimś zidioceniem na wesoło.

Ruchomy mur chiński potężniał i rósł, rzucając złowrogi, żółtawy cień na całą resztę Azji i na Zachód. Dwa cienie — skąd pochodziło światło, nie wiedział nikt. Nawet Anglicy, rozbici na zbolszewizowane państewka, przekonali się nareszcie, że nie są jednym, jednolitym narodem. W ogóle poza Polską o narodach nikt nie mówił. Ostatnie wyniki antropologii były z tym zresztą w zgodzie.

Kapen myślał niejasno: „Atak sklerotyczny, wylanie się krwi na jakiś tam wzgórek mózgowy — cóż pomoże wyjaśnienie? Jestem innym zupełnie człowiekiem. I gdybym w tym stanie pożył jeszcze dalej, to może bym zsocjalizował fabrykę, to jest: zrobiłbym z niej kooperatywę, a Zypcia puścił na zwykłego robotnika. Sam bym został może jakimś podmajstrzym. A kto wie, czy jeszcze tego nie zrobię — to jest pierwszego — nie ostatniego. Prześpię się i zrobię nowy testament. Nie umrę w tym śnie na pewno!” [Ale jeszcze na ten temat miały mu przyjść inne myśli: ten dziwny jego przyjaciel Kocmołuchowicz, generalny kwatermistrz armii, co się w jego żonie jako pannie (obojętnej teraz jak pniak) kochał — i to jak]. „Złagodniałem psia-krew zupełnie” — marzył dalej. — „Dobrze, że umieram — wstyd byłoby żyć, nie wstydząc się swego upadku. Ale jako umierający mogę sobie jakąś „zdrową sztukę wykinąć”. Zawinał się w całe swoje życie, odbarwione, wyblakłe i dalekie, jak w tę kołdrę we fioletowe kwiaty. Jednocześnie zawinał się w obie te istności i zasnął z odwagą, z wiarą, że jeszcze raz choćby zobaczy ten świat. I z rozkoszą myślał, że jest mu to zupełnie obojętne, czy się obudzi jeszcze jutro i pojutrze.

Genezyp poczuł w sobie złą siłę. Jednak musiał, przynajmniej dotąd, żyć tak, jak mu nakazywał już inny teraz, ale działający z głębin przeszłości automatycznie, jak maszynka jakaś popsuta, ojciec. Działał mimo tej „inności” — to było dziwnym nad wyraz, ale jeszcze nie w tym stopniu jak wszystko, absolutnie wszystkim było teraz, po tym dzisiejszym przebudzeniu się. Jasność bezimienna rozprzestrzeniała się tak szybko na coraz inne, dalsze krainy ducha, jak światło słońca pędzące za uciekającym cieniem gnanego wiatrem obłoku. I wtem przypomniał sobie, że w stanie maksymalnego opijania tuż przed wyjściem, umówił się z księżną na schadzki o drugiej w nocy. Przeraził się, że aż tak daleko zabrnął. „Teoretycznie” znał przecie wszystko — to płciowe „wszystko” niewinnego ucznia ósmej klasy, ale nigdy nie spodziewał się, że ta teoretyczna wiedza może z taką łatwością zająć się o rzeczywistość i to w takich wymiarach. Wszystko stanęło nagle jak wryte czy wkopane w ziemię — cała przeszłość była aktualnie tu przed nim jak na patelni, pozbawiona czasu, zastygła. I chwila obecna zakrzepła także w tym gąszczu bez trwania, jak nóż wbity w brzuch wroga. Niby mały strumyczek „szemrało” gdzieś między zwaliskami życia, ale to potęgowało tylko niesamowitą nieruchomość wszystkości. Zdawało się, że cały świat zatrzymał się w biegu, patrząc się w siebie wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. „Nic o nic nie zapyta w swym własnym pustym grobie” — tak pisał ten „zabroniony” kolega. I nagle „coś” popuściło i poszło wszystko znowu w szalonym, przez kontrast z poprzednią nieruchomością, pędzie, jak rzeka gruchocąca lodowe zapory kry. Przepływanie zatrzymanego jakby poprzednio czasu stało się męką nie do zniesienia.

— Nie wytrzymam tego sam — rzeki Genezyp półgłosem. Przypomniał mu się znowu włochaty pysk Tengiera i jego oczy, gdy mówił wczoraj o muzyce. — Ten musi wiedzieć wszystko i on wyjaśni mi, czemu wszystko jest właściwie nie tym, a jednak jednocześnie tak bardzo jest *tym* właśnie — pomyślał i postanowił zaraz iść do Tengiera. Owładnął nim nieprzewyciężony niepokój i potrzeba ruchu. Zjadł szybko podwieczorek (taki dawny, dziecienny, gdy tu takie rzeczy...) i wyszedł z domu, nieświadomie prawie kierując się w stronę Wielkiego Pagóra, gdzie wśród lasów żył ze swą rodziną Tengier. Znał tego człowieka od wczoraj zaledwie i nie wiadomo czemu on właśnie zdawał mu się najbliższym ze wszystkich nowo poznanych osób, mimo iż nie czuł do niego wcale jakiejś szczególnej sympatii. Wierzył, że on jeden może zrozumieć jego stan obecny i coś mu może poradzi.

WIZYTA U TENGIERA

Szedł potykając się, zapatrzony w niebo, na którym odprawiało się codzienne (nie każdorazowe oczywiście) misterium gwiazdzistej nocy. Astronomia taka, jaką nauczył się ją pojmować w szkole, nie przedstawiała dla niego wielkiego uroku. Horyzont i azymut, ką-

ty i deklinacje, skomplikowane wyliczenia, precesje i mutacje nudziły go okropnie. Krótki zarys astrofizyki i kosmogonii, zagubiony w nawale innych przedmiotów, był jedyną sferą, wzbudzającą lekki niepokój, graniczący z bardzo pierwotnym wzburzeniem metafizycznym. Ale „niepokój astronomiczny”, tak bliski niekiedy wyższym stanom, wiodącym do filozoficznych rozmyślań, codzienny dzień usuwa w dzisiejszych czasach szybko, jako niepotrzebny nikomu zbytek. Idąc teraz, Genezyp miał wrażenie, że patrzy w nocne niebo po raz pierwszy w życiu. Dotąd było ono dlań, mimo wszelkich wiadomości, dwuwymiarową płaszczyzną, pokrytą mniej lub więcej świecącymi punktami. Mimo poznania teorii, uczuciowo nie wychodził nigdy poza tę prymitywną koncepcję. Teraz przestrzeń dostała nagle trzeciego wymiaru, ukazując różnice odległości i nieskończone perspektywy. Myśl rzucona z szaloną siłą okrążyła dalekie światy, starając się przeniknąć ich sens ostateczny. Wiadomości nabyte, leżące w pamięci jak bezwładna masa, zaczęły teraz wydobywać się na wierzch i grupować koło pytań postawionych w nowej formie, nie jako zagadnienia umysłu, ale jako krzyk przerażenia wszechtajemnicą, zawartą w nieskończoności czasu i przestrzeni i w tym pozornie prostym fakcie, że wszystko było właśnie takim, a nie innym.

Nad trzema wapiennymi wieżami Troistego Szczytu unosił się jak olbrzymi latawiec Orion, ciągnąc na swym ogonie rozszalałego Syriusza. Czerwona Betageuza i srebrzysto-biała Rigel trzymały straż po obu bokach Łaski Jakuba, a przestrzeń pruć na ostrzu bledsza od nich Bellatrix. Między Plejadami i Aldebaranem dwie gwiazdy-planety świeciły spokojnym, nierozedrganym światłem: pomarańczowy Mars i ołowiano-sinawy Saturn. Ciemny zrab grani, ciągnącej się od Troistego Szczytu ku północnej baszcie Suchego Zadku, odcinał się wyraźnie niby grzbiet przedpotopowego jaszczura na tle świetlnego pyłu Mlecznej Drogi, zapadającej prostopadle za horyzont. Genezyp patrząc w gwiazdy doznawał zawrotu głowy. Góra i dół przestały istnieć — wisiał w straszliwej przepaści, amorficznej, bezjakościowej. Uświadomił sobie na chwilę aktualną nieskończoność przestrzeni: wszystko to istniało i trwało w tej właśnie sekundzie, którą przeżywał. Wieczność wydała mu się niczym wobec potworności istniejącej w nieskończoności czasu całej nieskończonej przestrzeni i istniejących w niej światów. Jak tu pojąć tę rzecz? Coś niewyobraźnego, co narzuca się z absolutną ontologiczną koniecznością. Ta sama tajemnica ukazała mu znowu swą twarz zamaskowaną, ale inaczej. Ogrom świata i on metafizycznie samotny — (trzeba by tworzyć z kimś jedność) — bez możliwości porozumienia się — (bo czymże są pojęcia wobec straszności bezpośrednio danego!?) — mimo wszystko w poczuciu samotności tej była jakaś bolesna rozkosz. I w tej samej chwili uczył się małym w nieskończonej płataninie wszechświata — nie małym w stosunku do obszarów nocnego nieba, tylko małym w swoich najgłębszych uczuciach: do matki i księżnej.

Genezyp szedł teraz z głową zwieszoną w dół i z rozpaczą słuchał skrzypienia śniegu. Bezplodne chwile padały w przeszłość, pławiąc się w cierpieniu. Zmęczyły go już gwiazdy z ich niemą pogardą i porozumiewawczym mruganiem. Czuł niechęć do wszystkiego, nawet do rozmowy z Tengierem, ale włókł się dalej bezwładem poprzedniego postanowienia. Droga szła w górę przez las świerkowy. Drzewa pokryte okiścią zdawały się wyciągać potworne białe łapy zakończone czarnymi pazurami, odprawiając nad nim jakieś tajemnicze zaklęcia. Przez ciemne gąszcza światło gwiazd przedzierało się chwilami, ostre i niepokojące, jak ostrzegający przed niebezpieczeństwem sygnał. Kiedy na wzgórzu za lasem błysnęły jaskrawo-żółte światła w domu Tengiera, Genezyp przekonał się nagle, że chwila ta jest zwrotnym punktem jego życia, że od tego, jak przeżyje ten wieczór, zależy cały łańcuch dalszych wypadków, w pewnym uniezależnieniu nawet od zewnętrznych możliwych konstelacji. Poczul dzięki siłę możliwości dowolnego kierowania rzeczywistością bez względu na nic — niech się góra na niego zawali — wygrzebie się — tylko nie popuścić tej uciekającej chwili. Kontrast pajęczynek poruszających stalowe bloki i wały — kapryśny układ chmurki wieczornej, będący wyrokiem dla istnienia lub śmierci całych narodów (deszcz w wilię bitwy pod Waterloo). Ale wszystko idzie od przypadku, od Wielkich Liczb, ku świadomemu kierownictwu i on będzie cząstką tego prądu, a nie zdeorganizowanym flakiem, kamykiem zaplątanym między zębate koła. „Złudzenia pseudo-indywidualizmu, bujającego jak mały złośliwy nowotworek na rosnącym bezwładnie cielsku społeczności, w momencie ostatecznego spęknięcia dziejów” — tak by powiedział logistyk Afanasol Benz.

Genezyp zmierzył się wzrokiem z pałającymi oknami chałupy, jakby z czymś wrogiem, a mimo to drogim i bliskim, co jednak przezwyćzionym być musi, i wszedł do ogromnej sieni, oświetlonej małą dziwną lampką. Palta i futra Tengiera, wiszące na wieszadłach, przejęły go jakąś zabobonną trwogą. Nie wiadomo czemu wydały mu się czymś niezmiernie potężnym i złowrogim, potężniejszym w swej ilości i bezruchu od samego jedyne go ich właściciela. Tajemnicza nieruchomość ubrań tych wyrażała jakby niezliczone możliwości dających się dokonać czynów, podczas gdy Tengier sam zdawał się być tylko chwilą przepływającej osobowości, nikłej, pozbawionej wszelkiej siły i ciągłości.

Posłyszał teraz dopiero dźwięki fortepianu dochodzące z odległego pokoju. Muzyka niewidzialnego człowieka spotęgowała jeszcze wrażenie jego tajemniczej potęgi. Genezyp wstrząsnął się dreszczem niepokoju i trwogi i uderzył w gong wiszący na drzwiach na lewo od wejścia. (O, jakże wszystko miało być zupełnie innym! — załkały z bezsilnej rozpaczki dobre duszki opiekuńcze, w które nikt nie wierzył). Dźwięki fortepianu rozwiały się w metalicznym przewlekłym grzmocie i po chwili we drzwiach ukazał się Genezypowi, znany mu jakby od niepamiętnych czasów, potworny, włochaty pysk genialnego bydlęcia.

— Proszę — rzekł Tengier groźnym, rozkazującym głosem. Zypcio wszedł i owionął go gorzki zapach leśnych ziół. Przeszli dalej. Ogromny pokój, pokryty czarnym puszystym dywanem, oświetlała lampa z różnokolorowym abażurem. W kącie na prawo stała olbrzymia rzeźba, przedstawiająca głowę jakiegoś wielkoluda, do której przyczepiony był mały pokraczny duszek.

— Może przeszkadzam? — spytał onieśmielony Genezyp.

— Właściwie tak — a może i nie. Może lepiej, że przerwałem pewną improwizację. Niedobrze jest bezprawnie prześcignąć samego siebie. Mówiąc otwarcie nie lubię młodych ludzi w pańskim wieku. Nie mogę za nich brać odpowiedzialności wobec pewnych rzeczy, które... — ale mniejsza z tym.

— Ach, tak: mówiliście państwo o tym tego wieczoru. Ale ja nie rozumiem...

— Milczec! Byłem pijany. A zresztą (— zmiękł nagle i pomniejszył się o nieskończoność w psychicznych wymiarach —) bądź moim przyjacielem. Ja odpowiedzialności żadnej nie biorę — powtórzył uroczyście. — Będę ci mówił „ty”. — Genezyp skręcał się z niesmaku. Ale czuł, że poza tą chwilą ukrywa się coś, za co warto zapłacić choćby nawet przemieszczającym wstrętem do samego siebie. — Przy tym nie zapraszałem cię zupełnie — przeciwnie, bronilem się przed tą wizytą — byłeś pijany — nie pamiętasz. — Umilkł, namyślając się jakby nad czymś niezmiernie przykrym, wpatrzony w pogmatwane desenie wschodniego dywanu na ścianie. Genezyp uczył się dotkniętym.

— W takim razie — zaczął głosem, drżącym od wewnętrznego zranienia.

— W takim razie siadaj. Dostaniesz kawy. — Genezyp usiadł na kanapie pchnięty jakąś niepojętą siłą. — Widocznie miałeś jakiś cel ważny przychodząc tu, jeśli cię nie odwiodła szalona ilość złego fluidu, nagromadzonego wokół mojej osoby. — Wszedł do sąsiedniego pokoju i słychać było, jak sam krząta się koło maszynki. Po chwili siedzieli już przy stoliku, na którym dymiły się herbaciane filiżanki niezbyt subtelnie pachnącej, ale za to bardzo mocnej i słodkiej kawy. — A więc — spytał Tengier na tle ciszy, przerywanej tylko dalekim, „teśknym” dźwiękiem dzwonka od sanek. Genezyp przysunął się do Tengiera i wziął go za rękę (tamten drgnął). Po co czynił to? Po co kłamał? Czy to on był właśnie tym, który *tak* postępował? Bez wątpienia nie — a jednak... O — straszna jest komplikacja niektórych osobników. Te warstwy obcych osobowości, te ukryte szufladki, te skrytki o zgubionych kluczach — nie zna ich nikt, nawet sam delikwent... Na tle poprzedniego szczerego stanu metafizycznej ciekawości i nadziei, że Tengier rozwiąże wszystkie wątpliwości jednym zdaniem, działo się teraz coś życiowo-obrzydliwego, obcego i z niczym niewspółmiernego. A przy tym takie to było wstrętne swojskie, jakby już dawno... *Wszystkiemu winien był Toldzio*, który mu wczoraj z detalami zreferował całą tę historię. Już wtedy ogarnęło Genezypa niezdrowe podniecenie. Ale Toldzio nie był winien teraz, tylko dużo dawniej. I on, ten naiwny chłopczyk postanowił nagle oszukać Tengiera i udać jego ofiarę aż do „ostatniej chwili”, to znaczy do samego momentu gwałtu. Musi zdemaskować przed sobą dziwną potęgę tego człowieka, musi ją posiąść, wchłonąć w siebie, uczynić ją swoją własnością. On — ten ambitny chłopczyk to myślał — nie-do-uwierzenia prawie: on miał żyć czymś kradzionym, on, który chciał wszystko sam wynaleźć od początku, on, który wstydził się uczyć w szkole rzeczy zrobio-

nych przez innych. „O — gdybym mógł całą matematykę napisać od samego początku, wtedy byłbym matematykiem”. Wszystko to zbłysnęło się w jednym zdaniu. Mówił je lekkomyślnie, wesoło prawie, a dla Tengiera była to jedna z najważniejszych możliwości mrocznego tryumfu nad jego własną brzydota. Kto wie (no kto?), czy te chwile nie były istotniejsze dla jego muzycznej twórczości, niż wszelkie naprawdę przyjemnościowe i upokarzające niedociągnięciem „miłostki” normalne. (Zwymiotować można od słowa „miłostka”. — Wiele jest słów w polskim języku, które jedynie w cudzysłowie są „gebrauchsfähig”, np. „dziarski”, „junacki”, „swada”, „werwa”, „wnikliwy”, „poczynania”, itp. słowa „wstydlive”).

— Nie boję się pana zupełnie. Jestem zupełnie obojętny, ale jeśli pan chce, może pan się nie krępować. Jestem niewinny, tak zwany „prawiczek”, ale wiem wszystko i czuję w sobie fatalną siłę gubienia wszystkich, do których się zbliżę. — (Tengier zapłonął nagle ohydny ogniem — prawie prawdziwy był ten wybuch w stosunku do dawnych udanych). Głupie to było ponad wszelki wyraz, co Zypcio mówił. Ale zadowolony był z siebie, że on, ten nic nie wiedzący świeży maturzysta, może tak demonicznie błagować i oszukiwać tego wszechwiedzącego jakby się zdawało garbusa. Czy to nie było już działaniem galek z błękitnej emalii, w które wpatrywał się zbyt może długo wczoraj. Sam o tym jeszcze nie wiedział.

Tengier chcąc zbadać koeficjent „obrzydliwości” swego nowego przyjaciela — („wstrętności”, „ohydności”, — nie ma na to wyrazu, ani odpowiedniej transformacji końcówki) — po prostu chcąc sprawdzić, jak łatwo jest obrzydzić Genezypowi siebie i swoje machinacje, pocałował go nagle w usta swymi szerokimi, pachnącymi (raczej nie pachnącymi) surowym mięsem, czy zwierzęcym pyskiem, ustami. O, jakież to było obrzydliwe! Uciekać, nic nie udawać, nie znać jego, ach — móc nie znać nawet tamtej kobiety — och, móc zwymiotować wszystko i kochać jakąś małą, biedną, swojską panienkę. I nagle jedna zimna myśl i zobiektywizowane obrzydzenie, unieszkodliwione, jak żmija z wydartymi zębami, „stało” już daleko, niby ból złamanej nogi po morfinie. „Dla poznania tych tajemnic warto coś przecierpieć”, pomyślało w nim obce stworzenie bez serca, sumienia i honoru. Odtąd hodował w sobie stale tego potworka i pisał dziennik — (był to ten dziennik, który wydał Dr. Wuchert w r. 1997 pt. *Zapiski schizofrenika* i stał się przez to sławnym. Posądzano go o autorstwo.), będący właśnie opisem jego (tego potworka) przeżyć. Genezyp zmarł, poddając się biernie pierwszemu pocałunkowi w usta. Tengier mlaskał dalej, ale nie znajdując oporu przestał nagle — to nie podniecało jego ambicji.

— Niech pan... to jest: przebaczyć Zypciu. Ten wybuch ma inne jeszcze znaczenie. Miałem brata, którego bardzo kochałem. Umarł na to samo choróbsko, — [Czemu tak powiedział? Było w tym jakieś kłamstwo.] — które ja przezwyciężyłem. *Osteomyolitis scrofulosa*. Ale jestem kaleką. Ale zawsze marzy mi się koniec wspaniały, w którym użyję za wszystkie czasy. Ale miłości właściwie nie znałem i nie poznam chyba nigdy. Ale ty tego nie rozumiesz. Ale czy wiesz, co to znaczy. —

Wstręt dusił Genezypa tak, jakby zawałowało się na niego nigdy nie myte, śmierzące, spocone cielsko wielkości tego całego domu. Jeszcze wstrętniejsze zdawały mu się słowa Tengiera, niż ten ohydny pocałunek. A jednak poczuł dla niego współczucie, większe daleko niż dla umierającego ojca. Wziął go za ramię i uściśnął.

— Niech pan powie mi zaraz wszystko od początku. Przecież pan jest żonaty. Mówiła mi wtedy księżna, że żona pana jest piękna.

— To nie jest żadne małżeństwo. To jest jedna wielka zbrodnia z torturami. Ja nawet mam dzieci. Moja choroba nie jest dziedziczna w trzecim pokoleniu. Adolf Tengier będzie zdrowym człowiekiem i użyje życia za ojca, a nawet za stryja. Ninon będzie dobrą matką, bo moja żona jest też dobra. I to właśnie... — Nagle zaczął łkać gwałtownie, a Genezypowi oczy wyszły na łeb ze wstydu i litość — obrzydliwa jak rozdeptany karaluch, zatargala okrutnie, bezlitośnie właśnie, jego wnętrzościami.

— Niech pan nie płacze... Jeszcze wszystko będzie dobrze. Ja przyszedłem dziś do pana dlatego, żeby mi pan rozwiązał wszystkie zagadki. Pan musi to wiedzieć, bo pana muzyka jest wszechwiedząca. Ale ja muszę to wiedzieć w pojęciach, a to całkiem co innego. Ale pan i to potrafi, bo pan wtedy już mówił coś takiego, co przekracza to, że wszystko jest takie, a nie inne. Ja nie umiem tego wyrazić. — (Chlipanie Tengiera cichło powoli) — Wczorajszy wieczór, choroba ojca — no, to może najmniej — i dzisiejsze przebudzenie

się z popołudniowego snu przekreśliło mnie zupełnie. Nic nie rozumiem, bo wszystko, co dotąd wydawało mi się najzwyklejsze w świecie, stanęło dęba nad jakąś przepaścią i tak trwa, nie mogąc się w nią stoczyć. Tam nie ma nic prócz czystej tajemnicy samej w sobie. Ale ja nigdy nie myślałem tak, aby móc to ująć, więc... —

— Chwila objawienia, albo, jak się to teraz mówi, początki bzika — rzekł Tengier, wycierając oczy. — Miałem ci ja takie chwile, miałem — (ach to „ci” — Genezyp wił się) — Ale coraz mniej ich jest z biegiem czasu. Bo zanim zrozumiem, o co idzie to: fajt! — i już wszystko zamienia się w dźwięki — nie same, tylko ich budowę, przerastającą mnie i wielu innych zresztą. Tylko dlatego nie wariuję. Ja mam poczucie tego, kim jestem, ale jeśli mnie nikt nigdy nie zrozumie — ani nawet po śmierci — czy będzie to dowodem, że jestem muzycznym grafomanem, ulegającym złudzeniu, że kimś był i jest — bo do cholery ja za dużo *wiem*, aby mieć takie złudzenia — czy też dowodem na to, że muzyka się skończyła i ja jestem tym przeklętym wybranym przez los, jak Judasz wybrany był na zdracę, żeby właśnie we mnie to się dokonało do końca. — [Genezyp miał bezwzględne poczucie tego, że życie, które zakrzepłe w monotonii, dotąd jakby wcale nie trwało, wpadło na nowy tor, jakąś równię pochyłą i że teraz zacznie się to przyspieszenie, którego oczekiwał i pożywał. Już migały się okoliczne znane stany ducha, zostając w przeszłości, jak widoki rodzinnych stron w oknach coraz szybciej pędzącego pociągu, unoszącego go w dalekie, niezbadane kraje]. Tengier mówił dalej: — I tak być musi w ogóle. Przyjmuję transcendentalność tego prawa, jego absolutną konieczność — tego prawa — powtórzył, — że jeśli gdzie jest sztuka, w jakimkolwiek świecie, to musi przebiec tę linię rozwoju form, co u nas, musi być związana z religią i metafizyką, które są taką samą koniecznością istot myślących, jak i ona. Ale tylko w czasie właściwym. A potem musi zginąć, zjedzona przez to, co ją stworzyło, przez społeczną miazgę, która, krystalizując się w doskonałe formy, wyprzeć musi z siebie wszystko, co jej w tym procesie przeszkadza. Ale czemu ja właśnie jestem tym przeklętym? Jakkolwiek — tak — poczucie prawdziwej konieczności swojej indywidualności, tej a nie innej właśnie — nie każdy to ma — to wielki zbytek. — Ha — mam tę wyższość nad innymi, że się nie ugnę — choćbym nawet chciał, coś mi nie pozwoli — jakaś siła ponad mnie wyższa: ambicja, ale nie w stosunku do świata: do nieskończoności... — Oczy błysnęły mu siłą sięgającą zdawało się aż w sam pępek wszechświata i nagle ta słaba pozornie, włochata pokraka wydała się Genezypowi jakimś potężnym bożkiem (nie bogiem) od jakiejś specjalnej funkcji czy zjawiska — na całe istnienie mogło być 40–50 takich, odpowiadających jakimś ważnym istotnościom: muzyce, innym sztukom, wiatrom, w ogóle żywiołom, pogodzie, kłęskom... A jednocześnie pomyślał: „On jest koniecznością dla siebie, tylko dlatego, że jest artystą. On nigdy mnie nie zrozumie i tego mi nie wytłumaczy, dlaczego dla mnie dziwną do bezmiaru jest właśnie ta moja takość, a nie inność”. I nagle wstrząsnęła nim wątpliwość: „I o cóż to chodzi? O te jakieś brzdąki nikomu w gruncie rzeczy niepotrzebne? Nie — to jest lekka przesada! Ani to nie jest takie ważne, ani wspaniałe. Pozorne głębie w nieokreśloności. Nie — ja wolę myśl — ale jaką? Swojej nie mam nawet jeszcze w załączku. Co myśleć?! Boże!! Nie natrafić na złudną drogę, na której można się tylko okłamywać do końca życia. Objawienie — ale któż zaręczy, że to, które napotykam, czy które na mnie spada, właśnie jest prawdziwe?” Poczul, że tylko wytężenie się do krańców możliwości, ofiara siebie, askeza bezwzględna, wyrzeczenie się tego właśnie, co go dziś nieodwołalnie czekało i tak piekielnie nęciło złą rozkoszą (zdawało się to nie wiadomo jakim sposobem zaprzeczeniem spuszczenia psa z łańcucha), może mu otworzyć tamten świat. Ha, to było ponad siły. W tej chwili zrezygnował z poznania na całe życie. Są natury, które nie mogą żyć w rozpuście i jednocześnie dostępować szczęścia poznania najwyższych prawd — trzeba wybierać. O, błogosławieni ci szczęśliwcy, którzy niszcząc się, tworzą się najistotniej i w ten sposób zdobywają swoją doskonałość na ziemi. Co tam z ich duchami się dzieje, to lepiej o tym nie myśleć, ale tu są doskonali, nawet w złem. Naprawdę dzień ten był zwrotnym — Ale czy dzień? Czy warto zajmować się przypadkowym pyłkiem w otchłani niewiedomego, pyłkiem takim, a nie innym, wśród *alef* w granicy innych pyłków? [Alef = pierwsza ponadskończona liczba Cantora]. [Istnień poszczególnych (i to w granicy) może być w całym nieskończonym istnieniu tylko alef a broń Boże nie *continuum*. Czemu tak jest, udowodnić tu się nie da]. Istnienie pyłka tego nie da się wyrazić w ogólnym prawie, w którym za zmienne dałyby się podstawić dowolnie wysokie w hie-

rarchii istnień poszczególnych wartości. Jak to mówił Husserl? (Słowa jego powtarzał na lekcji matematyki gimnazjalny profesor: „Jeśli jest Bóg, to jego logika i matematyka nie może różnić się od naszej”). O takie rzeczy by chodziło, a nie o to, jak się tam czuje jakiś bałwan, czy nawet pseudo-inteligent, a nawet (o blasfemio!) geniusz! O *prawa* chodzi, a nie o ten tam lub inny wypadek. Tak się kłębiło w Genezypowym łebku. Błagalnie mówił do Tengiera: (od takich chwil, od jednego słowa w porę zależy czasem całe życie, a ludzie nic nie wiedzą i wdeptują jeden drugiego (czasem w imię ideałów) w bagno rzeczywistości wykoszlawianej, zdeformowanej przez fałszywie zarzucone na nią siatki pojęć. Rzeczywistość puszcza sok najistotniejszy pod wpływem pojęć. Ale od ich gatunku zależy, czy będzie to trucizna, czy też najpożywniejsza witamina).

— Panie Putrycy — (tak nazywano dla skrócenia Putrycydesa Tengiera) — Ja nie wiem, kim będę jutro. Wszystko mi się przekręciło i to nie o jakiś ką na tej samej płaszczyźnie, tylko w innej przestrzeni. To za wysokie jak na mnie koncepcje — (powiedział to z goryczą i ironią) — ja nie wierzę w taką ważność sztuki, w jaką wierzy pan. Koncepcje pana są wyższe od tego, do czego się odnoszą — wyższe same w sobie, jako myśl — bo pan przesadził wartość ich realnego podkładu. Ja lubię literaturę, bo dla mnie tam jest więcej życia, niż w moim własnym. Jest ono tam w takiej kondensacji, w jakiej nie znajduję go w rzeczywistości nigdy. Za cenę zgęszczenia płaci się nierealnością. — (Tengier śmiał się szeroko. „Ten wie, jaka jest różnica między złudą a realnym życiem — cha, cha! On cały jest jeszcze jednym wielkim złudzeniem. Mogę nie mieć wyrzutów”). — Ale mnie chodzi o *to* życie. Żeby ono było jedyne w swoim rodzaju, a konieczne jednocześnie w swojej inności, taki wzór, taki ideał doskonałości, nawet w tym, co jest lub może być złem — więcej nawet: w tym, co jest nieudane, żeby była doskonałość. To szczyt życia... — (wpatrzył się na sucho gorączkowo przed siebie) — A tu się wszystko zmienia tak okropnie, tak dziwnie — że ja już nie wiem, czy to ja jestem, czy ktoś inny. Ta sprzeczność zmiany i stałości...

— Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że tylko dlatego mamy wątpliwości co do ciągłości naszej jaźni, że jest ona właśnie ciągła. Pytanie takie byłoby niemożliwym bez tego. Jest ona, ta jedność osobowości dana w swej ciągłości bezpośrednio — a wątpliwości nasze mają źródło tylko w różnorodności zbyt wielkiej kompleksów częściowych. Nawet u tych, co cierpią na rozdwojenie osobowości, kawałki trwania muszą być ciągle — nie ma trwał nieskończenie krótkich...

— Ja rozumiem intuicyjnie, co pan mówi. Ale to są już dalsze myśli. Ja nie mam ogólnej podstawy. Ja kochałem ojca i bałem się go. On umiera, a mnie to teraz nic nie obchodzi. — (Tengier przyjrzał mu się uważnie, ale było w tym spojrzeniu coś z patrzenia w lusterko) — Mnie jest tak źle, jak nigdy, a przy tym zupełnie bez powodu — jakbym poczuł, że wszystko, ale to wszystko na całym świecie jest nie takim, jak być powinno. Jest przede wszystkim zawinięte w jakąś powłokę — nawet astronomia. A ja chcę dotykać wszystkiego gołego, jak dotykam mojej własnej twarzy moją własną ręką... Ja chcę wszystko zmienić, aby było takim, jak być powinno. Ja chcę to wszystko mieć, dusić, cisnąć, wygniatać, męczyć...!!! — krzyknął histerycznie, prawie z płaczem Genezyp, nie poznając samego siebie w tym, co mówił. W miarę formułowania nieważna dotąd myśl stawała się jedyną rzeczywistością.

Informacja: Tengier milczał, uśmiechając się zjadliwie. To samo czuł on prawie stale. Tylko, że on zamieniał (*musiał* i umiał zamieniać) właśnie *to* (to metafizyczne nienasyconie) na dźwięki, raczej na ich konstrukcje, zjawiające mu się z początku w postaci nieokreślonych *przestrzennych* potencjałów w całości i rozkładające się potem jak złożone wachlarze na następstwa w czasie, już obarczone, jak gałązki gronami jagód, straszliwymi dysharmoniami, których nikt rozumieć, a nawet słuchać nie chciał. Nie wyrzekł się dotąd tematyczności w dawnym znaczeniu, ale chwiał się już nad otchłanią jakiejś, jeszcze dla niego potencjalnie zrozumiałej, ale niewykonalnej prawie w żadnej instrumentacji, magmie muzycznych zawiloci, graniczących z pełnym chaosem i czysto-muzycznym (*nie uczuciowym*) nonsensem. Uczucia zwykle jako takie i ich wyraz — to nie istniało dla niego zupełnie. Dawne to były czasy, gdy tego rodzaju określone stany, dające się nawet ogólnie słowami

wyrazić, stanowiły podstawę, na której wyrosły, jak proste, skromne kwiatki, pierwsze jego muzyczne pomysły. Tak — były one proste w stosunku do jego ostatnich utworów, ale nie w porównaniu ze Strawińskim, Szymanowskim i innymi wielkościami minionej epoki. Już w ich prostocie tkwił potencjalnie ten wir kłębiący się na granicy wyrażanego, z którym zmagał się teraz aktualnie, doprowadziwszy mistrzostwo rozkładania bezpośrednio zjawiających się dźwiękowych kompleksów w czasie do niedosiężnych rozmiarów. Za to był tak nienawidzony i bojkotowany. Zawzięła się nań cała współczesna krajowa muzyka. Nie dopuszczano go do koncertów, zniechęcano wmawianymi trudnościami wirtuozów do wykonywania jego utworów, uniemożliwiano mu w sposób oficjalny porozumienie się z bolszewicką zagranicą, gdzie jeszcze mógłby za życia znaleźć uznanie. Pozbawiony jedynej środka działania, to jest pieniędzy, był bezsilny, a nawet po krótkiej walce przestał zajmować się tym problemem. „Siedział”, jak mówiono tu w Ludzimierzu, w dużej chałupie, postawionej na gruncie żony, mając tyle tylko, aby nie potrzebować zarabiać na życie — to była jeszcze jedyna pociecha, bo wobec opinii, jaką miał jako muzyk (mimo olbrzymiej wiedzy, uznanej nawet przez wrogów), na lekcje liczyć nie mógł, a wskutek długości palców bardzo był miernym pianistą. Chyba grać w coraz rzadszych zresztą jazz-bandach. Ale z tym nie mógł się jeszcze pogodzić. Od tej muzyki uciekał jak od zarazy, a zresztą za stary był na takie walenie. I to go najbardziej wściekało, że miał specjalny poboczny talencik w kierunku takich właśnie kompozycji. Cała jedna teczka pełna była tego draństwa. Ale na zużycie go w celach zarobkowych nie miał odwagi. Zresztą jazz-band konał — ludzie oduczyli się już prawie od zabawy. Tańczyły tylko ostatnie niedobitki kretynów w dawnym stylu.

Straszliwym problemem Tengiera było tak „naukowo” zwane „życie płciowe”. Autochtońska dziewczynka, córka bogatego gazdy, którą zdobył przy pomocy sztucznie uprimitywionej w tym celu muzyki (Tengier był też niezłym skrzypkiem, ale budowa jego i tu nie pozwoliła mu osiągnąć doskonałości.) i swego „ceperstwa” (ceper = człowiek z dolin, pan — był synem organisty z Brzozowa!) była jedyną jego w tej sferze podporą, tłem, na którym dopiero mógłby, gdyby miał inne warunki, rozwijać swoje uwodzicielskie niedopędy. Ale nędza tych przeżyć była wprost potworna. Zwabione i trochę podwścieczone muzyką kobiety oddawały mu się czasami raczej z perwersyjnego wstydu niż z pożądania. A następnie upokorzone jego wyglądem (suchą nogą, garbem i w dodatku zapachem grzyba, który wydzielał w podnieceniu) uciekały od niego ze wstrętem, zostawiając go na pastwę nienasyconych żądz. Takim też był jego „romans” z księżną. Mało nie dostał ostrego szału. Długi czas był nienormalny i dokonywał w tej epoce rzeczy straszliwych: jakieś kombinacje fotografii, ukradzionych pończoch i pantofelków — brrrr... ale się wyleczył. Ostatecznie wracał zawsze do żony, która, nauczona przez niego sztuk niezmiernie wyrafinowanych, była najlepszym lekarstwem na nieudane, zakazane przez kalectwo, wyprawy w sfery niedosiężnej, prawdziwie „pańskiej” miłości. „A bodaj to — jak pech, to już zupełny” — mawiał Tengier i zanurzał się ze zdwojoną furią w swój świat potworniejącej z dnia na dzień muzyki. Piętrzyły się stopy „dzieł pośmiertnych” (wydane miał tylko młodzieńcze preludia, poświęcone pamięci Szymanowskiego), żer dla przyszłych pianistów, w czasach kiedy już żadnych nowości miało nie być, kiedy muzyka, zjedzona od środka własnym nienasyceniem i komplikacją, miała według Tengiera „nogi wyciągnąć na fest” — takie chamskie wyrażenie — trudno, tak mówił on, brzozowianin, mąż bogatej dziwki Maryny z sąsiedniego Murzasichla. Tam to poznał ją, błądząc po zamarzłych jesienią bagniskach — a „sichle” znaczy bagniste — (przyjechał leczyć tu swe garby w ludzimińskiej „siarkance”). Spotkał ją późno wieczór (zawinięty w pelerynę — garbu nie było widać) — i uwiódł na miejscu, zagrawszy jej na skrzypcach jedno z młodzieńczych preludów.

Wracal z jakiegoś wesela, od rana już trochę pijany. Maryna była *piekielnie* muzykalna. Zapomniała (potem nawet) o garbie i suchej nóżce, a na zapach grzyba nie reagowała wcale — znała gorsze: krów, kóz, baranów, kozuchów, kapusty i ogólnej chłopskiej śmierdziączki. Ta *piekielna* muzyka Putrycego zastępowała jej miłość ładnych chłopców, a do tego te sztuczki „ceperskie”, których nijak zrozumieć nie mogła i pragnęła jeszcze i jeszcze. Gdzie by to który Jasiek albo Wojtek chciał z nią takie cuda wyrabiać, tak się upokorzyć, tak fetyszystycznie, niezdrowo. Aż ją rozpierała duma, na równi z kapustą i „moskalami”. A do tego jeszcze stała się „panią” — i tam, gdzie uznawano muzykę męża „bywała” jako te inne chłopskie żony krajowych artystów. W ogóle kraj pod pewnymi względami zastygł w stanie, w którym znajdował się przed antybolszewicką krucjatą. Zgalaretowały się polityczne świństwa; galareta, podlana teraz „bolszewickimi” pieniędzmi zagranicy, stanęła mocno i tak trwało wszystko niby zupełnie po faszystowsko-fordowsku, a w gruncie rzeczy po dawnemu, gdy wokół wschodniej granicy rozszalała się niebywała dotąd awantura. „Żółte niebezpieczeństwo” (kto wie, czy nie największe właśnie bezpieczeństwo na tej naszej nudnej galce) przeszło ze sfery pogardzanych mitów do krwawej, codziennej, do tej „nie-do-uwierzenia” rzeczywistości. Nic nie mogło zachwiać naszego kraju w jego heroicznej obronie idei narodowości w dawnym, przed-historycznym nieomal, to jest XIX-wiecznym stylu, przed zalewem piątej czy szóstej (najstarsi ludzie nie pamiętali) międzynarodówki. A syndykalizm, czy robotniczy, sorelowski, czy amerykańsko-faszystowsko-inteligencki, to wcale nie taka łatwa sztuka do przeprowadzenia. Ileż to czasu upłynęło od tych czasów! Polska jak zawsze była „odkupicielką”, „przedmurzem”, „ostoją” — na tym przecie od wieków polegała jej historyczna misja. Sama dla siebie była niczym — poświęcając się dla innych (zbyt głęboko wpojona była wszystkim ta ideologia), dopiero zaczynała istnieć naprawdę sama dla siebie. Mimo to pewnym ludziom wcale nieźle się działo — (trudno — bo czyż zupełny trup może się dla kogoś poświęcić i czy to będzie w ogóle pożyteczne?) — a klasy niższe, zanarkotyzowane „*swoje-obraznym faszizmom na pseudo-syndikalistycznym fonie*” (jak pisał pewien bolszewik w dawnym stylu) nie mogły się ani rusz zorganizować. Zupełne sproszkowanie wszelkiej ideologii, automatyzm specjalizacyjny i podejrzany dobrobycik za „bolszewickie” pieniądze z zachodu były tego przyczyną. Czekano wypadków, czekano rozstrzygnięcia z zewnątrz — po prostu czekano Chińczyków. Podświadomie czekali ich nawet przedstawiciele Syndykatu Narodowego Zbawienia — za jaką bądź cenę nie chcieli odpowiedzialności — choćby w dożywotnim więzieniu, ale nie odpowiadać za nic. Odpowiadać? — dobrze — ale *przed kim?* Nie było przed kim — straszne — a jednak... Nie do uwierzenia były to stosunki, a przecież kiedyś było to prawdą. Jeden tylko był człowiek predestynowany na to, by choć w przybliżeniu odpowiedzieć jakimś piekielnym czynem na kłębiące się wokół zapytania przerażonego samym sobą losu. Był to ów tak zwany „kwatergen”, Kocmołuchowicz, wielki organizator armii (miał zasadę: „stwarzać siłę, tej zawsze trzeba będzie, a cel równie zawsze się znajdzie — nie ten, to inny”), genialny strateg dawnej szkoły (dawnej to znaczy nie chińskiej) i najbardziej nieobliczalny demon z tych najodważniejszych, którzy jeszcze na zaćmionym horyzoncie indywidualizmu pozostali. (Oczywiście odwaga w stosunku do niebezpieczeństw wewnętrznych była tu główną wartością, a nie ta zwykła, zwierzęca, fizyczna. Choć i tej brakować zaczynało najtęższym). Reszta tak zwanych wybitnych jednostek (prócz paru podobnych mu, ale niższych marek „*überkerli*” należących do jego sztabu) była to banda wylęklonych widm, jakichś skastrowanych społecznych makrotów, a nie realnych ludzi płci męskiej. Na tle ogólnego zaniku wszelkich ludzkich wartości wspaniała i tak postać generalnego kwatermistrza urastała do gigantycznych rozmiarów. Psychiczne zadzieranie głowy w celu widzenia rzeczy najzwyklejszych było na porządku dziennym. Dziwny ten stan

rzeczy był tylko wynikiem tego, że Polska nie wzięła udziału w antybolszewickiej awanturze. Zatrzymane wbrew przeznaczeniom siły (i to przeciwne sobie) sfermentowały się, stwarzając toksyny, które zręcznie dozując i rozdzielając, potrafili kierownicy zagranicznej polityki bolszewickiego zachodu zatruć u nas wszelką świadomość historycznej chwili. Jeden „kwatergen” był nie do otrucia — nie miał się go żaden jad, siłą swoją immunizował najbliższe swe otoczenie w celach niezbadanych, tą niezbadanością absolutną, bo niepojętych dla niego samego. Co za rozkosz być takim! — być choć chwilę i zginąć w torturach nawet za tę cenę, ale być. Mniejsza z tym na razie.

Tengier przestał się śmiać i wpatrzył się w Genezypa jak w ofiarę. Myśl genialna rozświetliła mu łeb, jak świeca latarnię: opanować tego bubka, papa kipnie, browar jego, pieniądze, sława, zwycięstwo, pokonani wrogowie, Maryna jako królowa, wszystkie kobiety jego, wszyscy na brzuchu przed nim — NASYCIĆ SIĘ!! „Podświadomie wszyscy są dranie” — mawiał on, sądząc po sobie. Zbyt banalne były to prawdy, ale w życiowych kombinacjach, w teoretycznych rozmowach o życiu Tengier nie był mocny.

— O tym potem — rzekł. — Wielkość wszystkiego jest tylko w sztuce. Ona jest tajemnicą bytu oglądaną jak dzik na półmisku, jako coś dotykającego — rozumiesz — a nie jako system pojęć. To, o czym ty mówisz, ja stwarzam jako materialne nieomal zjawiska. Ale ich nie słyszę w orkiestrze — to jest fatalne i to nie tylko dla mnie. Ktoś powiedział, że muzyka jest sztuką niską, bo młotki biją w kiszki baranie i druty, albo włosem końskim jeździ się po tychże kiszkach, albo wydyma się zaślinione metalowe rury. Hałas — hałas jest czymś wielkim — ogłusza, oślepia, zabija wolę i stwarza prawdziwy dionizyjski szal w abstrakcyjnym wymiarze ponad życiem — a jednak *jest*, a nie jest tylko pojęciową obietnicą. Cisza jest martwością. Malarstwo, rzeźba — to stoi, to jest statyczne — a poezja i teatr, to zlepki różnych wartości obciążone życiem — to nigdy nie da ci *tego*... — podszedł do swego ukochanego Steinwaya, jedyne zbytku, na jaki sobie pozwolił, po strasznej walce z teściem, Johymem Murzasichlańskim, Wawrzkiem Nędzą Kopyrniakiem od Wawrzuli — i zagrał — (ojej jak zagrał!!!) — zdawało się, że grzmot podziemnego człowieczego bebechu wywalił się na niebo, ale nie to ziemskie, tylko wszechświatowe niebo nicości, naprawdę nieskończone i puste, i stamtąd, z metafizycznych burzowych obłoków zwałił się w samo dno pelzającej, rozplaszczonej, rozplomienionej, *bezpłodnej* tajemnicy. Wiązania świata trzeszczały; z oddali promieniało ukojenie śmierci, zmienionej w łagodny sen nieznanego bóstwa, łamanego kołem nadboskich tortur: bezpośredniego pojmowania aktualnej nieskończoności. Wypuczyło się oko szatańskiej świadomości wszechhistnieniowego zła na bezkresy pustynne ostatecznych, niby obojętnych pojęć i blask nieznośny do bólu, wierzący niezłomne panczerze przedwiecznej ciemni bytu, rozszalał się w bezbolesnym cierpieniu, w takim francuskim „*malaise*”, podniesionym do potęgi continuum. Genezyp zamarł jak zając pod miedzą. Nie słyszał jeszcze takiej muzyki, tak bezczelnie, *metafizycznie nieprzyzwoitej* — coś było w tym z tej muzyczki parkowej, kiedy to oni z Toldziem... Ale tamto było dziecinnym złudzeniem, podczas gdy tu działo się to naprawdę. Metafizyczny onanizm — innego na to słowa nie ma. Bo jest i maksymalna samotność (któż jest samotniejszy od onanisty?), i bezwstyd, i rozkosz, i ból, i dziwność zaziemska tego niezróżniczkowanego amalgamu bólu i rozkoszy, i niedościgłe piękno wbite jak kiel w ohydę bezmierną, ostateczną. Ech — przechodziło w ogóle wszystko. Stał się Zypcio robaczkiem na nieskończonych pustaciach samotności bez dna, zgnieciony w pigułkę o gęstości irydium, co sama siebie jak wąż hkała i lyknać nie mogła, wypatroszony bezkresnie na geograficznych (już nie astronomicznych) szerokościach nieskończonej kuli przestrzennego Istnienia. Bez wysiłku przeskoczył w sobie jakąś niebotyczną przelęcz na zawsze. Już nigdy nie wróci tam, do tego normalnego, przedmaturycznego pojmowania siebie i świata. Jeszcze pół godziny temu mógł być zupełnie kim innym. „*Zufall von Bücher und Menschen...*” — tych spotkanych nie w porę — coś takiego pisał Nietzsche. Teraz potoczył się Zypcio jak skała oderwana od szczytu w przepaść. Oczywiście nic o tym naprawdę nie wiedział. Na to musiałby być starcem o wyostrzonych szpikulcach samoanalizy i zgniłych połaciach psychiki, obwisłym i strupieszalym. (Zresztą u niektórych samoanaliza staje się po prostu tylko samolizą — samolizaniem się wdzięcznego kotka). „Jednak to coś jest” — szepnął

na zimno sam sobie, raczej komuś, kogo jeszcze w sobie nie znał, komuś straszemu. Szybko odwrócił się od tych „rzeczy”, wiedząc, że kiedyś trzeba będzie spojrzeć im prosto w pyski. Tengier grał coraz straszliwiej, coraz niedosiężniej — czuł, że znalazł w tym niekulturalnym muzycznie bubku odpowiedniego słuchacza. (Zawsze mówił „dla moich rzeczy trzeba albo dzikusa, albo hyperultrarafinowanego znawcy — środek do diabła”. Całe społeczeństwo było tym „środkiem” niestety). Nie improwizował — była to fortepianowa transkrypcja symfonicznego poematu pod tytułem *Rozwolnienie bogów*, skomponowanego rok temu. W teczce ze szkicami miał twory stokroć straszliwsze, prawie niewykonalne — nie tylko dla niego fortepianowo za trudne — niewykonalne w ogóle, nierozpłatalne, muzycznie nie do rozwinięcia: „niewykonabuły”, jak je sam nazywał, i to absolutne. A jednak jeden ze szkiców takich „pipczył” już, jak się sam wyrażał, i partytura puchła powoli w dziwacznych deseniach złowróźbnych znaków, kryjących w sobie potencjalnie metafizyczny ryk samotnej w przepaści świata, osobowej bestii. Nagle przerwał i zatrzasnął wieko swego jedyne wiernego bydłęcia. Zbliżył się do wstrząśniętego do samego zwierzęco-metafizycznego dna, zmiażdżonego w jakiś bezkształtny ludzki zakalec Genezypa. Mówił tryumfalnie, bestialsko:

— Hałas — ten piekielny zorganizowany matematycznie hałas. Niech kto mówi co chce o wyższości tworów nieruchomych i cichych i o pełności sztuk złożonych, z ich marmeladą sprzecznych elementów, a jednak to jest najwyższa ze sztuk. Chciałbym, żeby się wszystkim babom świata mokro zrobiło, ale do tego one jeszcze nie dorosły. Ha — gdzieś w Kalifornii rosną dla mnie dziewczeczki, jeszcze może są w pieluszkach — jak moja Ninon kilka lat temu... — (opamiętał się). — „*Musik ist höhere Offenbarung als jede Religion und Philosophie*” — Cha, cha! I to powiedziało to wielkie XVIII-wieczne dziecko — Beethoven! A gdyby słyszał, co ja robię, toby się wyrzygał z obrzydzenia. Kończy się ścierwo, ale ja jestem ostatni z ostatnich, bo ten Pondillac i Gerrippenberg, a nawet Pujo de Torres y Ablaz to są skowronki polne przy mnie. Takich było tysiące. Wielkość jest tylko w perwersji — ale gdzie są idealne granice tego świata, bo realnie kończy się on *tu* — rzekł jakby sam do siebie i stuknął się potwornym żabim paluchem we włochaty łeb. Ale bacznie śledził przy tym swego nowego pupila. Już wiedział o nim wszystko. — Dziś będziesz jej kochankiem, Zypciu. — (Genezyp zatrząsł się cały z obrzydliwego płciowego strachu typowego niewiniątka). — Nie bój się: *ja* przez to przeszedłem. Lepiej, że stracisz niewinność na tej starej klempie, niż żebyś miał po bajzlach jakichś... —

— Ach nie! — (przecież ojciec jego myślał tak samo!) — Nie chcę, nie chcę! Ja chcę kochać się najpierw... — Rzucił się i siadł znowu bezwładnie.

— He? — spytał Tengier. — Nie udawaj delikatnisia przede mną. Nawet nie mów o miłości: to albo złuda ordynarna, albo takie życie, jak moje. Jesteś silny człowiek, jak i ja. Będziesz jeszcze silniejszym, o ile znajdziesz punkt zaczepienia dla twojej siły w tym naszym podłym świecie. A to dla typów takich jak ty jest coraz trudniejsze. Za mało w tobie jest maszynki — bo czy ci zwyciężą, czy tamci, czy nasz faszyzm, czy chiński komunizm, nie mówię o tym zachodnim kompromisie — wynik będzie jeden: szczęśliwa maszyna — banalne to jak to, że świat jest nieskończony. Ja czekam Chińczyków. Tu, w tym naszym bagnie złamie się ich potęga, chyba że stanie się cud. Bo Rosję oni połkną jak pigułkę. I dalej to nie pójdzie. Bo tam — (wskazał na lewy od Genezypa węgiel swojej chałupy) — na Zachodzie już się to wypali: komunizm to pierwsza warstwa gnoju dla początku tego, co przyjdzie i co pozostanie już względnie wiecznym. Wtedy muzyki nie będzie już na tym świecie. Może będzie na księżycu Jowisza, na planecie Antaresa czy Aldebarana, może nie będzie to muzyka — może tam są inne jakości wrażeniowe, oparte na innych drganiach — ale coś będzie i jest tam w obcym, nieskończonym bycie, rozbitym na skupienia Istnień Żywych — te głupie gałki, na których rodzą się takie ich kolonie, jakimi jesteśmy my: ty i ja, i ona, i wszyscy... — Zamarł w proroczym natchnieniu ostatni groźny bożek przyszłości, a teraz mąż bogatej chłopki, śmierdzący grzybem garbus, brodac i megaloman — megaloman relatywny, jak sam siebie nazywał. Genezyp ocknął się, ale tamten panował nad nim niepodzielnie. Mówił cytując Micińskiego: — „A prowadzi mnie jakaś mściwa ręka, a prowadzi mnie wiekuisty ból...!”

Genezypowi przemknął w wyobraźni obraz rzeczy wiekuistych: tępego bólu zamartej przestrzeni — gdzieś w bezmiernej oddali senny Bóg Ojciec z zamarłą w szronie z Helium brodą i na małej, ciepłej planetce krzyż, na którym rozpięty na darmo Syn Je-

go, z płomiennym, rozdartym sercem, jedynym prawdziwym ogniem w lodowej pustyni świata. I co się z tego zrobiło? Dziś jeszcze (tolerancja zaiste większa niż Torquemady) daje jakiś pan utytułowany we fraku, w asyście gwardii z halabardami! — nie, te halabardy strzegące Chrystusowego Namiestnika to już jest szczyt — tylko wszyscy się tak przyzwyczaili, że tego nie widzą — otóż daje mądrym władcy dusz (przeponemu systemem Taylora!) jakąś czerwoną czapkę, wśród ceremonii, której by się nie powstydzil Filip II, albo nawet Kserkses czy Kambyzes! Bo mimo całego „bolszewizmu” nawet na Zachodzie działy się takie rzeczy (i u nas) i papież trwał dalej w dawnych formach pompy władców tego świata — on jeden jedyny, i nikt o to nawet nie dbał. A może gdyby nie to właśnie, gdyby nie ten ciągły kompromis Kościoła, to może naprawdę tamta ofiara na krzyżu byłaby na darmo i nie byłoby teraz „chińskiego ruchomego muru” walącego się na Europę. A może wystarczyłby Budda? E — chyba nie. Bo czyż bez naszej społecznej problematyki, na tym właśnie wyrosłej, ruszyłyby się zakrzeple masy ze Wschodu. „Skąd ja to wiem wszystko” — szepnął do siebie Genezyp. I nad tym jeszcze bieret wiejskiego spowiednika, nieśmiertelniki na ugorach i łamiące się świece i stara zła baba (już nie starzec) zbierająca chrust w mroźny, jesienny wieczór i nade wszystko rozmowy z matką. („Że też o niej nie pomyślałem już od kilku godzin!”) Tak — to były rzeczy wiekuiście. Dotąd. Odtąd miało być inaczej — co innego miało dostać wiekuisty wymiar. A tamten mówił dalej: („kiedyż się skończy ta męka!”)

— I to musisz mi przyrzec, Zypciu — ja ciebie lubię jednak, nie wiadomo dlaczego...

— Tylko niech mnie pan nie całuje już nigdy — szepnęła ofiara. Uścisk wstrętnej łapy.

— ...musisz mi przyrzec, że artystą nigdy nie będziesz się nawet starał zostać. Dobrze?

— Tak. Ja byłem strasznie przygnieciony potęgą pana muzyki. Ale to są symbole, wyrazy o konwencjonalnym znaczeniu — jak w logice szkolnej według Benza. Ja chcę życia. Ten hałas jest złudą. —

— Tak — dla tej złudy żyję *tak*. (W tym „tak” było wszystko: cała nędza i wewnętrzna chwała obłąkańca idei). — Ale nie wyrzekłbym się tego za wszystkie tryumfy wszystkich lotników, inżynierów, wynalazców, śpiewaków, władców i pokutników świata. Ale ty tego nie zrobisz nigdy. Wiem — jesteś zdolny i może się w tobie ocknąć jakiś diabeł na ten temat. Ale mówię ci otwarcie: na mnie kończy się wszystko. Ja już jestem nieszczęśliwy — bo duszę się sam w sobie, w moich formach własnych, których już opanować nie mogę. — („Prędzej czy później zwariować muszę, bo się nie w świecie, ale w sobie duszę” — znowu przypomniało się zdanie z wiersza „złego” kolegi) — Ty byłbyś zakłamanym od samego początku, a ponieważ jesteś, zdajesz się być silnym, tym niebezpieczniejsze byłoby to dla ciebie. Im silniejsza natura, tym gwałtowniejszy przebieg procesu wyczerpania. Ja tylko tym się trzymam, że właśnie fizycznie słaby jestem jak flak. Ale nerwy mam jak stalowe druty. A i one kiedyś też trzaskną. Rozumiesz?

— Rozumiem — rzekł Genezyp, choć nie rozumiał właściwie nic. Ale *czuł*, że to jest prawdą. Naprawdę nie groziły mu te właśnie niebezpieczeństwa. (Tengier transponował wszystko w artystyczne wymiary. Inna psychologia była mu obcą — podświadomie wszystkich uważał za artystów, albo za bezduszne automaty — stąd też płynęła jego amoralność). Jakies inne groźby (w postaci palca, czy czegoś groźniejszego jeszcze, nie wiadomo czyjogo, grożącego aż gdzieś z zaświatów) mignęły gdzieś w ciemnych zwałach niejasnych przeczuć na dnie i zgasły zaraz, jak iskry za pędzącą w *nieznanym* kraju lokomotywą. — Nigdy nie miałem zamiaru. Chcę życia samego bez żadnych dodatków. — (Gdzież się podziała cała ta tak pożądana „literatura”). — Będę sobą na małym kawałku istnienia. — Nieszczercze mówił te skromności. Po prostu zestrachał się nagle jak koń przed samochodem i teraz łął przed sobą z tego strachu.

— Nie tak to łatwo jak myślisz. Chcę dać ci kierownictwo siły bezimiennej, którą mógłbyś się bić, jak szpada. Kogo zabijesz to obojętne. Może nawet siebie. Dobrze zabić siebie — żyjąc choćby potem dalej — to może największa sztuka. Musisz to umieć. —

— Ale jak to wygląda w praktyce? — (Nigdy się o tym nie dowiedział Genezyp).

— Codzienny dzień — mówił zamyślony Tengier — Czyż ja to stworzyłem sam? Jestem we władaniu siły obcej, kosmicznej. —

— Czy w znaczeniu astronomicznym? — (Wszystko w głębi zionęło już nieznośną popolitością. Aż skóra bolała od pocucia nieprzewyciężonej nudy, zaciągającej nad

światem całym. I ten potworny kontrast między tworem a życiem artysty (choćby czort wie co się z nim działo w rzeczywistych wymiarach), który teraz dopiero pojął Genezyp, stawał się czymś tak nie do zniesienia, jak „wymierzanie niewymiernej liczby”. Już, już i jeszcze nie — a dosyć tego. Życie trzeba brać kawałami, choćby w każdej części kryła się nieskończoność).

— Głupi jesteś. Mówiąc „kosmiczny”, myślę o wielkich prawach całego bytu. — W oświeceniu tamtej nudy nawet tylko co przeszła chwila muzycznego zachwyty wydała się Genezypowi niegodną komedią, na tle nieprzyjemnie denerwującego hałasu. „Tak samo byłoby, gdybym słuchał huku jakiejś olbrzymiej maszyny. Tak — ale olbrzymiej. Wielkość zastąpiona jest tu proporcją. No i co z tego? To nie było jeszcze to, o co mu chodziło, gdy szedł tu pod bezpośrednim wrażeniem tamtego „objawienia”.

— Tak — nigdy nie chciałbym zostać artystą — rzekł twardo. — Niech się pan nie gniewa, ale cóż znaczy ten jakiś hałas, czy coś innego w tym rodzaju, nawet jeśli jest trochę uporządkowany, jak muzyka, czy w ogóle sztuka. Literatura, którą właśnie chcę się zająć, ma daleko większe znaczenie, bo tam jest treść jakaś, niezależna od samego porządku, tylko od siebie samej, od podłoża, z którego powstaje. Rozbabranie tych treści na zimno, które są tam na gorąco podane... (Aż zdziwił się, że tak mówi).

— Forma — nie rozumiesz? — Tengier zacisnął włochate pięści. Miał minę człowieka, któremu grunt usuwa się spod nóg.

— Forma, która musi się zdeformować sama, aby sobie wystarczyć. Gorzej — musi zdeformować rzeczywistość. — (Genezyp dziwił się coraz bardziej sobie. Igły objawień przesywały mu mózg. Ale już czuł nadchodzącą ciemność. Aparat pojęć był za mały, za mało sprawny. Tamten zatłamsił ten ogień brutalnie, ale trochę jakby nieszczerze).

— Forma — powtórzył — forma sama w sobie, wyrażająca bezpośrednio Tajemnicę Bytu! Dalej jest tylko ciemność. Pojęcia na to nie starczą. Filozofia już się skończyła. Babrze się potajemnie w przyczynkach. Oficjalnie nie ma już jej katedr na uniwersytetach. Tylko forma jeszcze coś wyraża. — (Ukazały mu się niedokończone utwory na granicy zrozumiałości, stworzone nie dla kogoś, dla niego samego. „Ten smarkacz ma rację”, jęknął prawie w myśli. „Ale ja muszę użyć życia.”)

— I cóż z tego? To jest kwestią umowy, że to właśnie jest czymś tak ważnym. Łudzili się ludzie — teraz przestali. Artyści są w ogóle niepotrzebni. Na tym polega to nieporozumienie z publicznością, to nieuznanie, z którego pan robi zupełnie niepotrzebnie bohaterstwo.

— Człowiek przyszłości — mruknął tamten ze wstrętem. — A jednak masz słusność, Zypciu. Jesteś straszny brutal — w tym jest twoje szczęście. Siłę masz, ale uważaj, żeby cię ona nie zatrąła, kiedy nie znajdziesz w porę sposobów jej zużycia. —

— A tego mi pan nie wytłumaczył, czemu dziś wszystko stało się takie inne i dziwne.

—

— Nie staraj się tego pojąć. Bierz to takim, jakim jest, jako skarb najcenniejszy i nie trwój tego, ani myśląc o tym, bo nic nie wymyślisz — tylko dziwność rozsypie ci się na strzępki umarłych pojęć — pokażę ci takiego człowieka, co już to uczynił — jest tu. A nade wszystko nie staraj się tego wyrazić w żaden sposób — nawet nie mów o tym z nikim, bo wpadniesz w sztukę, a widzisz na mnie, czym to pachnie: coraz dziwniejszym chce mi się mieć to wszystko i piętrzę niemożliwości jedne na drugich, aby temu podołać. A to bydlę jest nienasycone — nic mu nie wystarcza. A do potęgowania chwil takich możesz się przyzwyczaić, jak do wódki, albo czegoś gorszego jeszcze. I potem nie ma już rady: musisz iść coraz dalej, brnąć w to aż do oblędu.

— A co to jest oblęd?

— Chcesz klasycznej definicji? Niewspółmierność rzeczywistości ze stanem wewnętrznym, doprowadzona do pewnego stopnia, przekraczającego przyjęte w danym środowisku normy bezpieczeństwa.

— To pan jest też wariatem? Pana muzyka jest niebezpieczna i dlatego jest pan nieuznany.

— Do pewnego stopnia — tak. Co za brutal jest ten młokos. Nie zginiesz w życiu, ale strzeż się oblędu. Zachować całą wartość tej dziwności, którą dziś po raz pierwszy poczułeś, nie myśląc o niej i nie wypowiadając jej, niezmiernie trudnym jest zadaniem. Powinna świecić, jak lampa zza mlecznej szyby, ale nie waż się rozbić tej zasłony i spojrzeć w samo

światło. Wtedy będziesz musiał potęgować je, aż do oślepienia, co właśnie grozi mnie. Może gdybym mógł żyć tak, jakbym chciał, może wtedy nie byłbym artystą. Kalectwo jest zdaje się tego przyczyną. Takie są te twórcze typy dzisiejsze. Czynności zastępcze...

— Ale praktycznie...

— Czyś ty się wściekł z tą praktycznością? Ja ci nie powiem, jak się masz dać zgwałcić tej babie, ani co jutro zjeść na śniadanie. Ja ci mówię tylko: staraj się zachować w stanie pierwotnym to, coś dziś w sobie odnalazł, i naucz się panować nad własną siłą. To trudniejsze jest od pokonania słabości — wierz mi.

„Czy ja jestem naprawdę tak silny, jak się tej pokrace wydaje?” — pomyślał Genezyp. „Chociaż nikt chyba nie wie, na ile jest silnym, póki siebie nie wypróbuje”. — „Jesteśmy zawsze silniejsi, niż to sobie wyobrażamy” — przypomniało mu się zdanie ojca. — „Siła charakteru polega na przewyżczeniu chwilowej słabości” — przesunęło się zdanie z wzorków kaligraficznych z klasy trzeciej. Wszystko to nie pasowało do chwili obecnej. Co go obchodził w tej chwili problem siły? Tengier był zadowolony. Bolesna nuda jego faktycznej egzystencji na tle straszliwych zmagania się z niewiadomym w krainie czystych dźwięków dawała się okłamać jedynie przez to, co popularnie nazywano „włazaniem na innych ludzi”. Termin wymyśliła księżna. Musiał mówić komuś o jego niebezpieczeństwach, wylawiać z drugich podświadome motory ich działań, prorokować, radzić — jednym słowem wykrzywiać na ile można czyjeś przeznaczenie — poza muzyką żył w tym najistotniej, a mało znajdował obiektów odpowiednich dla swych doświadczeń. W Genezypa wpił się jak kleszcz. Poza finansowymi możliwościami, był on dla niego doskonałym okazem dla spotęgowania własnej ważności, przez projekcję prawie urojonych koncepcji na cudzą jaźń.

Weszła pani domu, niestety pozornie tylko uduchowiona nieduża blondynka. Miała wąskie oczy o jasno-orzechowych tęczęwkach, wystające policzkowe kości i idealnie prosty nos. Tylko w wąskawych ustach czaiła się przewrotna zmysłowość, a szerokie szczęki nadawały jej twarzy (ale po przyjrzeniu się) coś dzikiego, prawie zwierzęco-pierwotnego. Głos miała niski, metalicznie dźwięczny, gardłowy, łamiący się jakby od łez i utajonej namiętności. Tengier niechętnie przedstawił Genezypa.

— Pan baron pozwoli z nami na kolację — rzekła trochę uniżenie pani Tengierowa.

— Bez tytułów, Maryna — przerwał ostro Putrycy.

— Oczywiście Zypcio zostanie. Prawda, Zypek? — akcentował niesmacznie to mówienie „na ty”. Widocznie chciał zaimponować tym żonie.

Przez zimną sień przeszli do drugiej części domu, urządzonej po chłopsku. Dwoje dzieci Tengierów złoпаło już kwaśne mleko. Mdły nastrój psychiczno-zapachowy dusił Genezypa za gardło. Niewspółmierność tamtego pokoju z tym, rozmowy z rzeczywistością, była aż nazbyt nieprzyjemnie widoczna. A jednak i w tym objawiała się przykra potęga gospodarza domu. „Jakże wstrętna może być czasem siła” — myślał Genezyp, obserwując oboje Tengierów, jako jeden kompleks. Mimo że nie wiedział nic na ten temat, myśl o fizycznym zetknięciu tych dwojga obrzydliwa była aż do bólu. Przez otwarte drzwi drugiego pokoju widać było duże łóżko małżeńskie, widoczny symbol tej wstrętnej kombinacji ciał. Stosunek płciowy takiej pary musiał być jakimś nieznośnym cierpieniem, podobnym do spotęgowanego „*malaise*” w skórze podczas influeney, do nudy w jakimś saloniku z względnie trzecio-rzędnyimi gośćmi podniesionej do niewymierzalnych potęg, do więziennej rozpacz, do bolesnej tęsknoty psa na łańcuchu, patrzącego na zabawy innych, wolnych psów. Oboje stanowili takiego psa — dwuosobowego. A jednak musiała w tym być jakaś przewrotna rozkosz. (Pani Tengierowa z lekka podobała się Genezypowi, ale wyraźniejsze uczucia w tym kierunku przysłał obraz tamtej wiedźmy). Spuścić ich z łańcucha — to było w tej chwili jego marzeniem. Tak było, jak on myślał, ale Tengier zautomatyzował swoje cierpienia w tak genialnie zawyły sposób, że mimo iż teoretycznie wiedział o innym życiu, szczęśliwym, bez tego podkładu bolesnej obrzmiałej jak pęcherz uremika nudy, to jednak praktycznie inne istnienie było niewyobrażalne jak cień graniastosłupa na kulę w czwartym wymiarze i taka banalna rzecz jak na przykład *no* — jazda własnym autem po francuskiej rywierze, langusty, szampan i drogie dziewczynki, przedstawiała się tak abstrakcyjnie, jak symboliczna logika Afanasola Benza. Całe życiowe nieporozumienie przechodziło najprzód przez osmotyczną błonę czystych dźwięków i tam to następowała sublimująca transformacja bezwstydney pospolitości w inny wymiar

usprawiedliwień. Ale jak działa się to właśnie, nie wiedział nikt, ani sam Tengier. Przejście było tak szybkie, jak od stanu pijaństwa do zakokainowania — „czik i gotowo” — nie wiadomo jak i kiedy. „Tajemnica geniuszu” mawiał czasem sam wynalazca tej metody po pijanemu.

Ciężkie milczenie gniotło wszystkich od środka. Nawet dzieci, do których usiłował się czulić Putrycydes, odczuły obcość atmosfery, ściętej jak białko od kwasu przez nieznanego gościa i potworną dawkę rozmowy poprzedniej. [W czasie wakacji nie wolno było Zypciowi chodzić nigdzie, prócz na sportowe wycieczki z „jogrem” Zygfydem i z tego powodu nie znał on najbliższego nawet sąsiedztwa. Nawet na domowych przyjęciach nie asystował nigdy. Takim był system izolacyjny starego Kapena. Chciał synowi dostarczyć ciekawych wrażeń wtedy, kiedy godnym się stanie ich przyjęcia. Dlatego to teraz, kiedy „dojrzał” nagle mocą nie jakiegoś tam papieru, tylko na podstawie poczucia spuszczenia z łańcucha, najmniejsza rzecz robiła na nim tak piekielne wrażenie. Nie wierzył prawie w swoją swobodę — bał się, że się obudzi z tego stanu, jak ze snu].

Kiedy już żegnał się po kolacji, nie nasyciwszy właściwie pragnienia rozwiązania dręczącej go zagadki przebudzenia, Tengier rzekł ni stąd ni zowąd: [nie mógł się tak od razu o wpół do dziesiątej rozstać ze swoją nową ofiarą. Projekcja jego zbutwiałej w nudzie osoby na ten ekran zbyt była pociągająca. A przy tym potrzebował jakiegoś konkretniejszego tryumfu nad pięknym, wstrętnym mu chłopcem — nie tylko nad duszą, ale i nad ciałem — aby poczuć znowu swoją męską potęgę. Czy tu czasem nie kryła się tajemnica nieokreślonego spólczynnika transformacyjnych wzorów na odkształcenie rzeczywistości? Bez jednego najmniejszego kółeczka cała maszyna rozsypałaby się na drobne kawałki. Napięcie wewnętrzne było wprost straszne. „*Wy żywiole na bolszoj szczot, gaspadin Tengier*”, jak powiedział kiedyś Bechmetiew. Ale nikt nie zdawał sobie sprawy z subtelności tej kombinacji. I co kogo to wreszcie obchodziło. Może w jakiejś biografii za lat sto, kiedy już żadnych danych naprawdę nie będzie. A ostatnia symfonia, mająca mu się w przestrzennej wyobraźni jako największy jego twór, nie znajdowała dostatecznego dopingu, aby się wywalić na świat z krwawego wnętrza twórcy. Zresztą nazywało się to tylko symfonią — była to prawdziwa Wieża Babel nieskoordynowanych ze sobą tematów, w której konstrukcyjność nie wierzył chwilami sam niedoszły jej autor. Może to było dzieło ostatnie? Ale co potem? Jakaś bolesna pustać rozpościerała się poza mglistymi konturami tego gigantycznego pomysłu. A przy tym niemożność słyszenia własnych symfonicznych utworów w orkiestrze doprowadzała Tengiera do dzikiej, graniczącej z szałem rozpacz. Przez tę abstynencję wykształcił w sobie wyobraźnię słuchową w tak piekielny sposób, że wewnętrznie słyszał niewyobrażalne dla innych połączenia dźwięków, ich barw i rytmów. Ale to było niczym dla niego — niczym, psia-krew!]

Rzekł tedy:

— Chodź ze mną. Odwiedzimy kniazia Bazylego w jego pustelni. To będzie pewnego rodzaju próba.

— Nie mam broni. — (Owa pustelnia stała daleko w lasach, rozciągających się na wschód od Ludźmierza, aż po same podnóża gór).

— Wystarczy moje parabellum. Dostałem je od teścia.

— A przy tym o drugiej w nocy mam być tam...

— Ach to o to chodzi? Właśnie dlatego powinieneś pójść. Zbytek energii na pierwszy raz może cię tylko skompromitować. — Genezyp zgodził się obojętnie. Dziwność zastygła teraz i stała w miejscu. Ogarnął go wewnętrzny bezwład — gotów był na wszystko — nawet nie bał się księżnej w tej chwili. Nad całym dniem i nad przyszłością zaciężyła nuda rzeczy z góry ułożonych, nieodwołalnych — taką wydała mu się też ostatnia przemiana. Spokojnie myślał, że może ojciec umiera tam za lasami, wśród potwornych ilości wyprodukowanego przez siebie piwa, i nie miał żadnych wyrzutów, że go opuścił. Cieszył się nawet potajemnie za małym (psychicznym) przepierzeńkiem, że teraz oto on, zagnębiony Zypcio, stanie się głową rodziny i weźmie wszystko na siebie. Problem korzystania z pracy tych ciemnych postaci z „tamtej” strony życia był jedynym dysonansem w tej harmonii. Ale to się jakoś załatwi.

— Tylko nigdy już niech pan mnie nie całuje, niech pan pamięta — powiedział cicho do Tengiera, gdy szli po skrzypiącym śniegu wielką płaszczyzną, ciągnącą się ze cztery kilometry, aż do czerniejącej na horyzoncie ludzimierskiej puszczy. Gwiazdy mrugały,

mieniając się tęczowymi blaskami. Orion płynął już równolegle na zachód nad widmowymi szczytami gór w oddali, a na wschodzie podnosił się właśnie zza horyzontu olbrzymi, czerwony Arkturus. Ametystowe niebo, rozświetlone na zachodzie od tylko co zapadłego księżycowego sierpa, baldachimiało, kopuliło się nad wymarłą ziemią z jakimś fałszywym w tym momencie majestatem. „Wszyscy jesteśmy więźniami, w sobie i na tych kulach” — niejasno pomyślał Genezyp. Pozorna dowolność po-maturycznej wizji przyszłości z przed-maturycznych czasów skurczyła się w nieuniknioną tożsamość wszystkiego ze samym sobą. Konały już nie były nigdy dnie i pełne oczekiwań i wypadków przyszłe wieczory w antycypacji przeznaczeniowej bezwyjściowości życia, charakteru i niezrozumiałej młodej śmierci — może jeszcze za życia. Czas stanął znowu, ale inaczej — o jakże inaczej! — nie jako kompresor do przyszłego skoku, tylko po prostu z nudy. Bezprzedmiotowy strach (nie ten przed duchami), nieznany dotąd Genezypowi, powiał spomiędzy równych pni sosen i mgły jałowcowego poszycia. Daremnie szukał w sobie popołudniowego pędu. Był martwy. Nie miał już ochoty nawet na rozmowę. „Czego mnie wlecze ten pokurcz, czego chce ode mnie!”

Tengier milczał ciężko przez całą godzinę. Nagle stanął i wyszarpnął parabellum z futerału u pasa.

— Wilki — rzekł krótko. Genezyp spojrzął w gąszcz młodego zagajnika i zobaczył jedno żółtawe światełko. Zaraz obok mignęło drugie, a potem trzy pary naraz. „Profitem łupał” — pomyślał w ułamku sekundy. Tengier nie był odważnym, ale miał manię probowania swojej wytrzymałości. Mimo częstych spotkań z wilkami, które tu zresztą stadami nie chodziły — po cztery w kupie najwyżej — nie mógł się do nich „przyzwyczaić”. I teraz zdenerwował się niepotrzebnie: „wziął” i wyładował cały zapas naboju w kierunku lustrzanie lyskających światełek. Huk odbrzmiął głucho z głębi zaśnieżonego boru. Światełka znikły. Pomacał się „w” torbę — drugiego magazynu nie było. Po ruchu odgadł oczywiście prawdę Genezyp. Wydobył mały nożyk z kieszeni — była to jedyna broń, jaką miał przy sobie. Nie bał się, jak zwykle, w samej chwili niebezpieczeństwa — miał za sobą już parę chwil takich — strach przychodził u niego czasem w kilka dni później. Ale straszliwy żal ścisnął mu serce i bebechy poniżej, aż po tę wiązkę dziwnych flaczków, których całego znaczenia jeszcze nie rozumiał. „Nigdy, nigdy już” — myślał ławo z litością straszną w stosunku do samego siebie, na tle dawnej, „chłopięcej” odwagi. Zobaczył znowu emaliowe, wszechwiedzące gałki tej starej „wlani” (wyrażenie Tengiera, które nieublaganie, na wszystkie czasy, połączyło mu się z obrazem tej damy), która w tej chwili bezpiecznie czekała na niego w swym poziomkowym buduarze. Godzina druga w nocy stała się dlań nigdy nieosiągalną wiecznością, a księżnę samą nienawidził w tym krótkim wycinku czasu jak najgorszego wroga, jako symbol niespełnionego życia, które mu tu oto, na tej przeklętej leśnej drodze, uciec mogło na zawsze. Gdyby wiedział, w jak okropnych czasach wspomni sobie ten rozkoszny względnie wypadek: możliwości głupiego pożarcia go przez wilki, może by nie zechciał dalej żyć, wróciłby może do Tengiera i naładowawszy parabellum skończyłby ze sobą zaraz — albo tam u księcia Bazylego, albo może po drugiej w nocy... Kto wie? Teraz czuł się tak, jakby mu ktoś miał sprzątnąć sprzed nosa tylko co zaczętą, szalenie ciekawą powieść. I uświadomił sobie dokładnie, że nie wie nic, kim *właściwie* jest, a nie tylko, kim będzie. Rozwarła się przed nim jakaś dziura, dziura bez dna, a wąska i niewygodna. Świat zniknął pod stopami, jak zmyty. Wisiał wychylony nad tą przepaścią. Ale *skąd* wychylony? — Przepaść ta nie była przestrzenią... Ta niewiedza o sobie stała się jednocześnie szczytem świadomości, zupełnie odmiennej od stanu po przebudzeniu się. Wiedział na pewno, że nic, ale to absolutnie nic nie wie. Sam fakt istnienia był niepojętym. Leciał tak Zypcio w tę dziurę, leciał, aż się zatrzymał nagle jak wbity w śnieg znowu na tej samej, leśnej ludzimińskiej drodze. „Gdzie byłem — Boże! — gdzie ja byłem?!” — Zakręciło się wszystko w wichrze nierozplątanych myśli, które zgasły nagle jak zdmuchnięte. To wszystko zdziwiło go tak, że zapomniał na chwilę o wilkach, które mogły lada chwila wypłynąć z drugiej strony: z boków, od tyłu. Tengier stał, milcząc i trzymając parabellum za lufę. [U niego strach występował zawsze w postaci zamaskowanej: jako rozpacz, że nie napisze czegoś, co miał tam w głębi swego strasznego włochatego łba, lub że nie wykończy partytur tych szkiców z czerwonej, safianowej teczki, jedynej pamiątki po matce, organiście z Brzozowa. Do tej teczki

przywiązany był prawie jak do dzieci, z których znowu dumny był prawie jak ze swych najpotworniejszych utworów: taka pokraka „urodziła” takie śliczne, zdrowe, chamskie, byczkowate „ścierwiątka” (jak mawiał). Dziwnym było, że dzieci te i ich przypuszczalny los nie występowały nigdy jako maska dla zwierzęcego, normalnego strachu].

Las zaszumiał od wewnątrz i okiść spadła, wydając słaby, głuchy huk, łamiąc po drodze z trzaskiem drobne suche gałązki.

— Chodźmy — przemówił pierwszy Tengier. Mimo poprzednich strzałów głos jego zabrzmiał jak wystrzał armatni w uszach Genezypa: przerwał mu najdziwniejszą z dotychczasowych chwil życia, może jedyną w swoim rodzaju, tę co w przybliżeniu nawet nigdy nie wróci. Na próżno starał się złożyć ją z kawałków wspomnień: on, las, wilki, Tengier, żal życia i tego, że nie pozna miłości (ach, ty drogi!) — to wszystko było i teraz też. Ale tamta chwila, w tylko co przepłyniętej przeszłości, wyrwała się z ciągu zdarzeń, jakby punkt wydarty z linii prostej w trójwymiarową przestrzeń. „O tajemnico, wejdź jeszcze raz we mnie, zagość na jedną sekundę choćby w moim biednym mózdzku niedoświadczonego młodego byczka, abym mógł zapamiętać twoje oblicze i mógł przypomnieć cię w najgorszych chwilach, które nadejść muszą. Oświeć mnie, abym ominął straszliwości, które są we mnie, bo tych poza mną nie boję się” — tak miamlał coś Zypcio, idąc ze zwieszoną głową za małpowatym stworem w huculskiej, baraniej rogatej czapie. Nie były wysłuchane te błagania. Las szumiał głucho, nieruchomo — szumiała sama cisza.

Za chwilę byli już na Białozierskiej Polanie, otaczającej pustelnię kniazia Bazylego. Była jedenasta.

WIZYTA W PUSTELNI KNIAZIA BAZYLEGO

Z okien skleconego z bierwion domu było pomarańczowe łagodne światło naftowych lamp. Dym, pachnący żywicą, kładł się nisko wśród rzadkich sosen i buków. Weszli [Oprócz gospodarza, ubranego w brązowy habit-szlafrok, był tam jeszcze średniego wieku człowiek z rybimi oczami i płową bródką: Afanasol Benz vel Bęc, Żyd. Był to wielki logistyk i wielki były bogacz, z którym poznał się książę Bazyli jeszcze za czasów, gdy służył w leib-gwardii pawłowskiemu pułku. Właśnie wspominał sobie książę te rozkoszne czasy, gdy jako młodzieńcy pod-porucznik chodził specjalnym „pawłowskim” paradnym marszem, machając (o dziwo!) obnażoną szablą, podczas gdy żołnierze trzymali broń jak do ataku. Cała gwardia zazdrościła im tego, jako też grenadierów: czak z czasów Pawła I. Był to okres krótkotrwałej drugiej kontrrewolucji. Dużo potem Benz, straciwszy cały majątek, z rozpaczą oddał się logistyce i w krótkim czasie doszedł do zadziwiających wyników: oto z jednego jedyne aksjomatu, którego nikt prócz niego nie rozumiał, zbudował całkiem nową logikę i w jej terminach określał całą matematykę, sprowadzając wszystkie definicje do kombinacji paru znaczków podstawowych. Zachował jednak pojęcie klasy Russella i mawiał gorzko na ten temat, parafrazując zdanie Poincarégo: „*Ce ne sont que les gens declassés, qui ne parlent que de classes et de classes des classes*”. Teraz był tylko nauczycielem w słowackim gimnazjum na polskiej Orawie. Nie były to czasy odpowiednie dla uznania tej miary co Benz geniuszów. Nie wiadomo czemu idee jego w kołach zbliżonych do Syndykatu Zbawienia Narodowego uznano za wytrącające z mechanicznej faszystowskiej równowagi, w dodatku sztucznej. A paszportu zagranicznego odmawiano mu stale.

Książę Bazyli Ostrogski, oczywiście był kochanek Iriny Wsiewołodowny Ticonderoga (niedawno nawrócony na polsko-francuski, zdegenerowany pseudo-katolicyzm), dożywał obecnie ostatniego swego „wcielenia” pierwszej serii jako leśnik w puszczech jej męża]. Przyjęto przybyłych trochę chłodnawo. Znać było, że panowie tamci, zagłębiwszy się we wspomnienia przeszłości, niechętnie wrócili do marnej rzeczywistości obecnej. [A jednak przywykli tak do Polski, że mimo iż tam u nich w Rosji trwał od roku blisko „Biały Terror”, nie mieli ochoty na powrót. A może wstrzymywała ich niepewność nowego systemu i strach przed „ruchomym murem chińskim”, który, według naszych krajowych polityków sprzed pół roku, rozbić się miał o tę przeszkodę. A przy tym Bazyli, człowiek obecnie lat pięćdziesięciu sześciu, nieoczekiwanie odkrył w sobie polskość. Cóż dziwnego? Ostrogscy byli przecież dawniej polskimi magnatami i katolicyzm był kiedyś ich wiarą. Prawosławnym właściwie nigdy nie był, bo w ogóle nie był wierzącym. Teraz

spadło na niego objawienie, wskutek książek jakichś szukających na gwałt ratunku Francuzów, które przysłała mu na „pustelnię” Irina Wsiewołodowna. Po tym fakcie dopiero stał się pustelnikiem „*en règle*” — dotąd był sobie tylko zwykłym leśnikiem].

Właśnie kilka godzin temu skończyli obaj panowie dyskusję, w której Afanasol przekonywał księcia o nieistotności jego przemiany. Wspominali też dawni monarchiści o nowej wierze mitycznego jak wizja de Quinceya, Malaja Murti Binga, która zaczynała się szerzyć w Rosji, a nawet po trosze i u nas, a podobnej *pozornie* do teozofii. Doszły ich tu nawet słuchy na tym odludziu. W tym zgadzali się zupełnie, że jest to bzdura, której powodzenie świadczyło o zupełnym upadku intelektu u ogółu Słowian. Na Zachodzie mowy o tym nawet być nie mogło. Panowała tam ogólna tolerancja, połączona z wiarą w odrodzenie ludzkości na tle kompletnego materialnego dobrobytu. Ale niestety, dobrobyt ma swoje nieprzekraczalne granice i potem co? Jakie miało być to „odrodzenie”, nikt nie wiedział i nie dowie się nigdy, aż po czasy zgaśnięcia słońca. Chyba że odrodzeniem będziemy nazywali: spokój, brak wszelkiej twórczości z wyjątkiem udoskonaleń technicznych i bydlęcą szczęśliwość po odwaleniu pewnej ilości godzin mechanicznej pracy.

Po pieczeni z dzika i świetnej jałowcówce, rozmowa wróciła do poprzedniego. Afanasol, również twórca nowej matematyki — raczej całego ich systemu w analogii do geometrii — wskutek nieuznania go przez ogół polskich uczonych, zajmujących oficjalne posady, nie był zadowolony ze swego losu. Stanowili razem z Tengierem trójkę doskonałych malkontentów. Bo, mimo całego neokatolicyzmu, książę Bazyli nie miałby nic przeciw powróceniu do niego czterdziestu tysięcy dziesięcin jego ukraińskich dóbr, z kluczem ostrogskim na czele. Ale nawet w czasie tak zaawansowanej kontrrewolucji, na razie mowy nie mogło być o cofnięciu układów rolnych, szczególnie na Ukrainie. A może by nawet książę nie mógł już powrócić do dawnego życia: zakisł, a następnie zaskorupiał, zankylizował się w swej pustelni, a kobiety, na tle zupełnego niedowładłu płciowego, nie istniały dla niego zupełnie. Gdyby mógł przypuszczać Genezyp, w jakiej odmianie losów spotka obu tych panów, może znowu zapragnąłby śmierci, w strachu przed nieludzkim cierpieniem, jakie go czekało. Tengier mówił:

— ...ja tylko jednej rzeczy nie rozumiem: po co, aby być dobrym, jeśli już muszę nim być, po co muszę również zaraz przyjmować całą tę fantastyczną baliwernię, w którą nie mogłem uwierzyć nawet w dzieciństwie...

KNIAŻ: Bo nie potrafisz być naprawdę dobrym bez tego...

TENGIER: Co to znaczy to „naprawdę”. Bezduśny dodatek, mający wyrażać różnicę, istniejącą tylko „na niby”. Znałem ludzi idealnie dobrych, którzy byli zakutymi materialistami z drugiej pozytywistycznej epoki, która zaczęła się pod koniec dancingowo-sportowej. Dobroć nie jest zresztą moim ideałem. Świadomie nie myślę o niej nigdy jako o problemie. Zostawiam to już zdeklarowanym niedołączom.

KNIAŻ BAZYLI: Właśnie to myślenie o tym świadome jest źródłem prawdziwej dobroci, a nie proste niedołączenie. Dobroć nie może wypływać ze słabości, tylko z potęgi. A co do tych ludzi, to pamiętaj, że nawet dzisiejsi materialści są podświadomymi wychowankami całej chrześcijańskiej ery. A zresztą mogą być wyjątki. Nie o wyjątkach jednak mówimy, tylko o ogólnych zasadach. Nie wiadomo, jakimi byliby oni, gdyby do swoich danych dołączyli jeszcze wiarę. Uczynki dobre bez wiary są jakby nieposklejane, osobne, bezsensowne — nie mają tej wyższej sankcji, która je łączy w całość innego rzędu. Bezkształtna kupa czegoś zawsze jest czymś niższym od pewnej konstrukcji czegoś — systemu tych samych elementów. Czynienie dobrze jedynie dla własnej satysfakcji, a nie na chwałę Boga i całego istnienia i dla wiecznego zbawienia, w którym dopiero cały świat stanie się systemem doskonałości, jest wybrykiem, przeciwnym naturze nawet. I tak mogą postępować ludzie z gruntu źli. Tylko w związku z całością nabierają uczynki dobre wyższego sensu czegoś zorganizowanego, jako funkcja zbiorowej świadomości. — (Genezyp nudził się z siłą kilkudziesięciu mopsów parowych. Coraz dalej odrzucało go od jakichkolwiek pojęciowych ujęć w ogóle. Nuda rzeczy niedoskonałych! Ha — gdyby mógł poznać to z tej strony w idealnej interpretacji umysłów najwyższych! Nigdy się to nie stało).

TENGIER: Tak samo jak i uczynki złe, przy założeniu, że świat jest zły, że zły być powinien i że w dodatku rządzony jest przez złą potęgę. A ponieważ Leibniz, największy chyba mózg wierzący...

BENZ: O ile naprawdę był wierzącym, a nie robił pozorów dla fasonu: dla towarzyskich względów i dworskiej kariery.

TENGIER: Czekaj pan: Leibniz nie mógł udowodnić konieczności przyjęcia twierdzenia, że Bóg jest nieskończenie dobry w swej doskonałości. Możliwym jest równie dobrze do przyjęcia, że jest on nieskończenie złośliwy. Ilość zła na świecie, znikomość dobra i bezsilność Zbawienia Chrystusowego wobec zła ziemskiego — czynią możliwymi te przypuszczenia.

KNIAŻ BAZYLI — (niechętnie) —: Nie wolno robić ubliżających Bogu przypuszczeń, tylko wierzyć w to, co jest do wiary podane — oto co jest.

TENGIER: (krzyczy zirytowany.) Więc niech pan da nam tę wiarę, zmusi nas do niej! Dlaczego w ogóle jest niewiara, czemu w ogóle jest zło. Ja wiem, co pan powie: że Bóg jest w swych zamiarach nieodgadniony, że jest tajemnicą, przewyższającą umysł człowieka. A ja panu powiem: ja jestem w miarę dobry, na tyle, na ile właśnie ta podświadoma chrześcijańskość i choroba — to trzeba dodać, wypruła mi zwierzęce wnętrze — chociaż znowu wiem, że pewien procent amoralności stwarza we mnie ta-że sama choroba. Ja mam prawo czegoś użyć, do diabła, za moje pokręcone kości! A jestem też trochę zły — z goryczy raczej niż z samego zła, z cieszenia się czyjąś krzywdą — i innym nie byłbym dla żadnej wyższej, według pana, idei. Byłbym może lepszym, to jest: starałbym się nim zostać, gdybym wiedział, że przez to będę jeszcze lepiej komponował. Ale i tego nie wiem, czyby jakakolwiek zewnętrzna siła mogła zmienić moje wewnętrzne dyspozycje. — (Bazyli milczał: „Tak — wiara jest czymś, czego rozumem zaszczepić nie można. Ileż razy sam myślałem tak, jak on, a jednak teraz, rozumiejąc jego nędzną dialektykę, wiem, że jest inaczej. Czemuż nie mogę moich uczuć przepompować mu razem z krwią w żyły? Wtedy mógłby uwierzyć bez intelektualnego upadku, którego się tak obawia”).

BENZ: I to ci powiem, Bazyli, że dla żadnego lepszego samopoczucia nie mógłbym się wyrzec moich przekonań, chyba że stanie się coś straszego z moim mózgiem i ja zgłupieję nagle, nieznacznie dla mnie samego. I ja byłem o włos od wiary kiedyś, kiedy logika moja zanieczyszczona była ontologią. Teraz wierzę tylko w znaczki i regułę dla operowania tymi znaczkami — wszystko inne jest kontyngencją, o której nie warto gadać.

KNIAŻ BAZYLI: Tak — ty znalazłeś punkt wyższości ponad wszystkim. (Zwracając się do tamtych:) — Jemu się zdaje, że on wymknął się istnieniu i jego moralnym prawom. Uciekł w znaczki bez treści i to daje mu tę absolutną pewność, mimo że krajowi logicy nie uznają go zupełnie, a za granicą jeden tylko jakiś wariat...

BENZ: Lightburgh — największy umysł świata. Och, panie Bazyli: jakże nisko upadliście umysłowo z tą całą waszą wiarą...

KNIAŻ BAZYLI: Największy umysł, bo znalazł ucho otwarte dla podszeptów tego szatana, który już w nic nie wierzy, nawet w istnienie swej własnej życiowej osobowości, a nie tylko w nieśmiertelność duszy.

BENZ: I czyż nie jestem szczęśliwszy od was, Bazyli, którzy jesteście zanadto inteligentni, aby nie widzieć na dnie waszej wiary isierki świadomości, która mówi wam, że wierzy w was tylko niższe stworzenie, przerażone moralną ciemnością wszechświata i szukające zeń wyjścia choćby w coś, co rozum odrzuca, byle mieć pewność, że moralnie świat nie jest nonsensem. A nonsensem nie jest, mimo wasze zwątpienie, które mi więcej mówi o waszej ciemności, niż wasza wiara, a nie jest dlatego, że logika w ogóle jest możliwa — to jest dowód. Sens świata idealnego, którego marną funkcją jest tylko graniczna racjonalność — nie absolutna — rzeczywistości, wyższy jest ponad to, czy dany bubek jakiś może życie wytrzymać, czy nie.

KNIAŻ BAZYLI: Jak można porównać żywy owoc wiary, która mnie, wyschniętemu na pustyni, kiedy straciłem wszystko, pozwoliła odrodzić się tu w mojej pustelni i żyć w pełnym zaprzeczeniu tego, co było moim życiem dawnym, jak można porównać to z opuszczonym przez Boga, pustym gmachem twoich znaczków!

BENZ: Daleko większą byłaby zasługa, gdybyś uczynił to bez tego.

KNIAŻ BAZYLI: A ty, gdybyś uczynił to, nie wyrzekając się całego twego logicznego formalizmu. Trzeba tylko chcieć.

BENZ: Otóż to chcenie: tu kryje się fałsz. Wybacz, Bazylu; ale wierzy się, albo nie — ale kto chce wierzyć, ten już jest bardzo podejrzany.

TENGIER: Obaj panowie robicie na mnie wrażenie rozbitków, z których każdy wynalazł sobie fikcję, aby usprawiedliwić koniec zawiedzionego życia.

BENZ: Moja myśl nie jest fikcją — ja mogę udowodnić konieczność mego systemu. Z czasem przyjmą go wszyscy ludzie naprawdę inteligentni.

KNIAŻ BAZYLI: Wychodząc z pewnych założeń — bo bez założeń nie ma nic — samo się to nie zrobi. Ja też, wychodząc z moich założeń, mogę udowodnić konieczność mojej wiary. Jeśli bardzo ostatecznie wziąć to wszystko, to przysięgam, że nie ma różnicy między religią a matematyką: obie są tylko różnymi sposobami chwalenia Boga. Tylko że druga mieści się w pierwszej bez reszty.

BENZ: Otóż to jest ten twój kompromis: ta chęć pogodzenia wszystkiego za wszelką cenę. Letnia woda — zamazywanie różnic niesprowadzalnych. To jest kompromis całego katolicyzmu, bo katolicyzm ma do czynienia z najmorowszą bądź co bądź częścią ludzkości. Prawosławie nie potrzebuje tego jeszcze.

KNIAŻ BAZYLI: Widzisz, Benz: to jest dowód na moją korzyść — to nie przypadek — tylko katolicyzm wychował najlepszą część ludzkości. Protestancka część Niemców była przyczyną największego nieszczęścia ludzkości: Wielkiej Wojny, prawosławni byli najciemniejszym narodem za caratu, a potem stworzyli bolszewizm, tę ruinę cywilizacji, która będzie powodem cofnięcia się całej kultury, jak to już widać na Zachodzie.

BENZ: (zaśmiał się dziko.) A może o to właśnie chodzi? Ludzkość może się udławić komplikacją tej kultury. Religia temu rady nie da.

KNIAŻ BAZYLI: Czekaj: Anglicy byli wzorem imperializmu całego świata, u nich to nauczyły się inne narody gnębić tak zwane „rasy niższe”. Teraz się to na nas mści poprzez Chińczyków — i jeśli rzeczy wziąć głębiej, to może oni, Anglicy właśnie, przygotowali to, co zdeklanszowali tylko Niemcy. Oni stworzyli najbardziej łapczywe, bezmyślne, istotnie niekulturalne państwo pieniądza: dawną Amerykę, która swoim przykładem nas doprowadziła do stanu śpiących manatów brzegowych, przez tę przeklętą organizację pracy. Automaty nie potrzebują religii. A ostatecznie skończyli na jakimś pseudo-bolszewizmie, bo żaden dobrobyt i auta, i radia nie zastąpią człowiekowi idei. W braku religii, którą — jaką ona tam była, wszystko jedno — zabili, musieli zrobić rewolucję, mimo całego poprzedniego zatarcia walki klas.

BENZ: A czemuż wasz Bóg na to pozwala. Nie rozumiecie, że u nas to jest sztuczne — mówię o tym pseudo-fordyzmie — a tam było naturalne, bo ich społeczeństwo było młode. I jeśli będzie u nas rewolucja, to zrobią ją za nas Chińczycy, ale nie my. Bo my sami z siebie nie potrafimy zrobić nic —

TENGIER: Kto „my”? Żydzi?

BENZ: Panie Tengier: Żydzi jeszcze nie pokazali swojej marki: mówię o Polakach, jako Polak. Che, che.

TENGIER: Żydzi może opanują Chińczyków, cha, cha!

BENZ: (Do Bazylego.) Jak słucham tych potwornych baliwernów, to zdaje mi się, że nie żyję w XX wieku. Ja nie będę starał się niczego wam udowodnić, bo wy dowodów nie przyjmujecie. A przy tym to jest błaga, że ty, Bazylu, wierzysz we wszystko, co mówisz. Gdyby można było położyć jedną na drugą wiarę prawdziwego katolika i twoją, toby dopiero się okazało, czym jest ta twoja. Ani Bóg twój, ani Chrystus, ani Matka Boska nie jest dla ciebie tym, czym są dla prawdziwie wierzącego. Ty świadomie dopuszczasz kompromis — to nieprzystawanie tych figur jest dowodem. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo różnisz się od prawdziwego katolika, już nie samymi dogmatami, ale mechanizmem twojej psychiki w tych sprawach.

KNIAŻ BAZYLI: To, co ty bierzesz za kompromis, to tylko rozwój myśli w obrębie katolicyzmu. To jest nauka żywa, a nie zbiór martwych dogmatów.

BENZ: Otóż w tym grubo mylisz się. Wszelki ewolucjonizm, jeśli chodzi o prawdy absolutne, o racjonalizm w ogóle, jest nonsensem. To już jest obrona nie religii samej, tylko instytucji, którą ona wytworzyła. Instytucji chce się nałogowo żyć i robi kompromis z własną religią, zmienia ją, przystosowując się. Oczywiście na tej tolerancji zyskuje pewną ilość zwolenników w rodzaju ciebie. Ale to marny materiał dla Kościoła, który chce walczyć i ma jeszcze ambicję zawładnięcia światem. Tu nie chodzi o ilość, tylko

o jakość. Dopóki Kościół był naprawdę żywy, twórczy w życiu, wtedy palił i mordował heretyków...

KNIAŻ BAZYLI: To były błędy czysto ludzkie. Teraz właśnie przychodzi czas naprawy, kiedyśmy zobaczyli, że ani bolszewicki raj, ani faszystowski dobrobyt nie prowadzi do niczego. Rozwój wewnętrzny jest przed nami jeszcze — jak wszyscy będą dobrzy, wszyscy będą szczęśliwi...

BENZ: Skończył ci mózg na tej pustelni. O takich zdańkach nie ma co dyskutować. A rozwój „wewnętrzny”, jak go nazywacie, będzie trwał, aż do rozsadzenia ram dogmatów podstawowych i potem koniec. A cóż powiecie o Wschodzie, który przejąwszy od nas naszą cywilizację, nie kulturę, bo jej nie ma w ogóle, jak słusznie mówił Spengler — i płynącą z niej naszą problematykę społeczną, wali na nas i może za parę miesięcy będzie tu, w tym kraju ciemności, otoczonym okopami okropnej trójcy: ciasnoty, tępoty i tchórzostwa.

KNIAŻ BAZYLI: Jesteś samo-cynik, Benz. To okropna wada Polaków i niektórych Żydów nawet. To gorsze niż nasze samobiczowanie się, bo u was jest to płytkie. A co do buddyzmu, to jest to jedyna religia, której jedyną jeszcze wartością jest to, że przypomina coś w rodzaju niedociągniętego chrześcijaństwa.

BENZ: Czy właśnie nie na odwrót. Buddyzm się nie „rozwił” w waszym znaczeniu — mówię to słowo w cudzysłowie, z ironią — bo był od początku głęboką filozofią, opartą na koncepcjach metafizyki brahmańskiej, był religią dla mędrców. A wasze chrześcijaństwo zaczęło się od prostaczków i dlatego musi się teraz dociągać do wyższych umysłów. Ale w tym dociąganiu się traciło w idei samej to, co było jego istotą, tak jak straciło tamtą prostaczkowość, aby móc społecznie istnieć. To był szalenie mądry krok rzymskich cesarzy, a może było to też motywem nawracania się patrycjuszów, że uznali chrześcijaństwo oficjalnie — obezwładnili tym samym socjalne jego znaczenie i pozwolili zeska-motować je możliwym światu tego i uczynić z niego Kościół, żyjący początkowo w zgodzie z cezaryzmem — potęgą równoznaczną. Potem dopiero, przyjąwszy formę tego cezaryzmu, rozpoczął z następcami jego walkę o panowanie nad światem. A kiedy to się mu już definitywnie wypnęło, wtedy, z obawy przed konsekwencją doktryn społecznych, nie opartych na żadnej metafizyce, tylko na idei materialnego dobrobytu, zaczyna szukać drogi wyjścia i stąd wasz kompromis. Ożywić Kościół mógłby tylko powrót do form jego dawnych, przedpaństwowych. Ale na to odwagi nie ma nikt i mieć nie będzie, bo ludzie, którzy by na to odwagę mieć mogli, z założenia samego do Kościoła wejść nie mogą. To jest właściwie nie wasz kompromis, bracie Bazylu (tak nazywał Benz kniazia w chwilach najgorszego rozdrażnienia), tylko przywódców Kościoła, którzy tego kalibru wyznawców biorą na lep swoich wolnomyślników.

Kniaź Bazylu milczał. Jego piękna orla twarz, nasycona od wieków fizycznym wyrafinowaniem, jak materia nieprzemakalna kauczukiem, odbijała, niby tarcza, wszelkie zwątpienie. Sama twarz z tej strony. Jakie były jej wewnętrzne podstawy? Na dość marnym bagienku podskórnych sprzeczności trzymał się ten wspaniały profil dawnego władcy. Nie było w nim siły tkwiącej korzeniami w głębiach nieużytego organizmu. Ci ludzie nie mieli przodownictwa nie dlatego, że je im bezprawnie odebrano — tylko mieć go już nie mogli. Były to wyjedzone skorupki bez farszu. Bóg kniazia Bazylego nie był tym nawet, (nie był tak nasyconym w swej ontologicznej boskości), którego propagowali obecnie pół-religijni optymiści z Zachodu, już nie wiedzący, co robić, z ostatecznej nudy, spotworzali w antymetafizycznej pustce Francuzi. Właśnie bąknął coś Bazylu o tych francuskich „odrodzeniach”. Na to mu Benz:

— Dlaczego w Niemczech tego rodzaju ruch odmartwienia religii jest niewyobrażalny? Tam może powstać teozofia jako coś zupełnie innego: jako wyraz nienasyceń, wytworzonego przez negatywne skutki rozwoju i rozpowszechnienia filozofii, która ostatecznie nie zapełnia luki przez siebie wytworzonej. Ale nie można pomyśleć, aby Niemcy, po takiej tresurze myśli — nie mówię oczywiście o Heglu i Schellingu — to bzdura — mogli powrócić do dawnych kostiumów, wytrześć je i urządzić ten religijny kinderbal, na którym rolę Boga-Ojca odgrywa z zezwoleniem i świadomością wszystkich stary rozum w odpowiedniej masce. Ale tylko płytki, antymetafizyczny racjonalizm francuski XVIII wieku, który następnie wydał taką potworę, jak pozytywizm, który to dziś zno-

wu zmienił się w spopularyzowaną fizykę, jako jedyną filozofię, może być podłożem dla takiej wolty, jak to całe tak zwane odrodzenie religii.

KNIAŻ BAZYLI: Żał mi cię, Benz. Ty, mimo wszystkich twoich znaczków, jesteś zakutym materialistycznym łbem. W tobie nie ma wiary w ducha. Twoje wszystkie gadania o twórczości oznaczają jednoznacznie to: z jednej strony sformalizowana logika unosi się już nie w idealnym bycie, platońskim czy husserlowskim, tylko w zupełnym niebycie, pozwalając ci z góry patrzeć na wszelką myśl nie-negatywną, jako na nonsens; a z drugiej strony masz pogląd zupełnie bydlęcy, pierwszego lepszego życiowego spłyciarza i spryciarza, który dla wygody nie wierzy we własną jaźń i człowieczeństwo. Ty nie masz odwagi na światopogląd, z obawy, że może on się okazać w sprzeczności z twoim systemem logiki. Może właśnie system ten należałoby zmienić w zależności od czegoś pozytywnego.

BENZ: Znowu ten ewolucjonizm w zastosowaniu do niezmiennych zasad myślenia! Nie rozumiecie zupełnie, o co chodzi, ojcze Bazyli. Teoria typów uwzględnia wszelki nonsens, bo wszystko jest względne, oprócz samej teorii typów. Brak sprzeczności jest czymś najwyższym.

KNIAŻ BAZYLI: Czysto negatywne żądanie. Zbyteczna skromność. Ale skądęście wzięli tę teorię typów?

BENZ: Z niemożności wybrnięcia z paradoksów. To jest Russell, bo ja...

KNIAŻ BAZYLI: Ha, dosyć już! To jest powód jedyny!! Ja nie mogę tego słuchać. Przyjdzie czas, gdy w strasznej pustce ockniesz się ty i tobie podobni. Może przy pomocy waszych umysłowych koziołków znajdziecie system, który was zadowolni w obrębie samych znaczków, ale systemem tym nie będziecie mieli co opracowywać: będzie on gmacchem opuszczonym bez życia i mieszkańców i w tym zamrzeciu: w nicości bezpłodnej i udęczeniu.

Benz milczał. On sam myślał podobne rzeczy, gdy mu się coś tam nie udawało w jego znaczkach. W ogóle co będzie wtedy, kiedy system bez sprzeczności, wywleczony z jednego aksjomu, będzie siedział już sobie w doskonałości idealnego bytu? Pustka i nuda zakończona, zmechanizowana definitywnie myśli. Aparaty będą cudowne — niestety nie będzie czego przy ich pomocy tworzyć. [Tak jak w dzisiejszej prozie, która w obawie przed problemami zamarła w czysto-stylistycznych ćwiczeniach ludzi, nie mających nic do powiedzenia. Tak mówił Abnol]. Tak — to jest prawdą dalekiej przyszłości — ale tymczasem są znaczki i nic nie ma poza tym — to jest najwyższa marka. Benz poprobował zażartować:

— Zlogizuję kiedyś katolicką dogmatykę i zobaczycie, co z niej pozostanie, Ojcze Bazyli — nic: kupa znaczków. — Rozśmiał się cynicznie, ale echo odpowiedziało mu pustym dźwiękiem z jego własnej głębi, jak ekskawacje wulkaniczne, gdy rzucić kamień na ich sklepienia.

— Otóż to: tobie chodzi o zniszczenie wszystkiego, nie o twórczość. Jesteś widomym zaprzeczeniem życia myśli i wszelkiego ruchu idei.

— Lepsza zastygła prawda, niż fałszywy „ruch w interesie”, będący wyrazem błędu inicjalnego. Wielość poglądów nie dowodzi życia, tylko niedoskonałości. Prawo entropii pojęciowej...

— Błaga. Pogardliwie nazywasz to ewolucjonizmem, które to pojęcie w tej twojej sferze ma właśnie zastosowanie, bo twoje pojęcia rozwijają się też. Według ciebie samego logika stała w miejscu od czasów Arystotelesa i poszła naprzód od Russella.

— Ale stanąć musi i to na mnie. Nic nie rozumiecie logiki i nie rozumiecie się na żartach. Pewien pan, zniechęcony do logiki, twierdził, że trzeba założyć jeden tylko znaczek, na przykład punkt, a jako regułę postępowania przyjąć: „nic nie robić z tym znaczkiem” — wtedy byłaby to osiągnięta doskonałość — „żartował” Benz (i takie bywają żarty), chcąc jednak pogodzić się w końcu za wszelką cenę. Zakończenie rozmowy w niezgodzie pozostawiało u niego trwałą depresję. Ale nagle spochmurniał, osunął się, zapadł się w siebie. Bazyli rozwijał dalej, aż do rzygania z nudów włącznie, rzecz swoją o zmienności pojęć religijnych, która to zmienność nie miała im wcale ubliżać.

Jakąż intuicją wiedziony zaprowadził tu Tengier swego pupila?! Dla niego były to rzeczy znane — asystował już przy x takich beznadziejnych wichrowatych (w znaczeniu geometrycznym) rozmowach. (?) Ale dla Genezypa nic nie mogło być bardziej w porę, niż to, co słyszał. Albo też bardziej nie w porę — zależnie od punktu widzenia. Ale mo-

że raczej pierwsze: zniechęcić się w dniu przebudzenia się z dziecinnej nieświadomości najpierw do sztuki, a potem do religii, nauki i filozofii w tych czasach, może to było szczęściem właśnie. Wszystko zależało od dalszego ciągu. Proporcjonalnie do rozbieżności tamtych dwóch sfer, reprezentowanych przez tych panów, zagłębiał się coraz bardziej w swój jednoznaczny świat nie dającej się zanalizować, niezróżniczkowanej, bydlęcej tajemnicy. Tamto były bieguny — on był czymś zawieszonym w środku, możliwością jedynej prawdy. Neo-katolicyzm + symboliczna logika, dzielone przez dwa — jedna z tych połów to była ta nieuchwytna koncepcja, której szukał. „Tak aby byt z pojęciami stanowił jedność i żeby życie osobiste stanowiło, w całej swej niespodzianości, doskonałą ich funkcję” — myślał, powtarzając nieświadomie nieziszczalne marzenia Hegła. Gdzież podział się dawny system koncentrycznych kółek z „najsztubtelniejszymi wrażeniami” w środku — przekłety psychologiczny estetyzm, który go pchał w literaturę? Rozpłynął się w oparze tej rozmowy na coś zupełnie niepotrzebnego, zdechłego. Geneczyp dojrzywał ze straszliwą szybkością. Coś się oberwało, waliło w dół z wzrastającym pędem. Na dnie, jak zaczajony pająk czy polip, czekała księżna i problem jej ostatniego nasycenia. Na to była potrzebna cała ta jego przemiana, aby „osłodzić” (tak) ostatnie chwile jakiejś zamierającej płciowej żarłoczki, czy żarłocznicy. Tu, w tym punkcie uświadomień, wstała w nim znowu zła siła. Nie — to on ją zużyje dla dalszych celów swojej wewnętrznej przemiany. Teraz dopiero zrozumiał. Ta chwila: [trzech starszych wiedzących panów i on jeden, nic nie rozumiejący, wstępujący w życie bubek, w ludzimińskiej puszczy, w mroźną lutową noc; na tle szumu wspaniałego samowaru kniazia Bazylego (prezentu księżnej), a dalej na tle szumu sosnowego boru] mimo swej nieruchomości (siedzieli teraz milcząc wszyscy czterej), zdawała się pędzić i to pędzić równie szybko na wszystkie strony.

Tengier z rozpaczą wypatrzył swe błękitne ślipia w czerwony płomień lampy, świecący przez mleczny klosz. Cała beznadziejność nie dającej się w nic wcielić wszystkości, rozdrobnionej wielości świata, była w tym spojrzeniu. Objąć i zadusić w śmiertelnym uścisku, jak jakieś babskie ścierwo. Doznać raz w życiu tego piekielnego metafizycznego orgazmu w zgwałceniu całości bytu, choćby za cenę wiecznej nicości potem. „Każdy najohydniejszy kokainista ma to właśnie” — pomyślał ze wstrętem. Nie — narkotyki są wykluczone — tak się nie upodli, żeby takimi „*truc'ami*” osiągać niezdobyte. Wiecznie to samo balansowanie między śmiercią, jako jedynym nasyceniem, a życiem, rozproszkowanym w przypadkowości (to było najokropniejsze) nawet tych niby „koniecznych” „dzieł sztuki” — o jakże nienawidził tego słowa w tej chwili! Widział zasłuchanego w swoje utwory jakiegoś nad wyraz przykrego melomana (bogatego Żyda na pewno — Tengier był antysemitą), pochłaniającego *jego* *rodzone dźwięki* (których on nigdy może w orkiestrze nie usłyszy) i doznającego jeszcze jednej (na tle tylu innych, których on, Tengier, był pozbawiony) przyjemności! Był zabawką w rękach okrutnej potęgi dlatego tylko, aby dopełnić do stopnia doskonałości serię rozkoszy jakiegoś tam — wszystko jedno — w każdym razie nie nędzarza takiego jak on, tylko jakiegoś „władcy” pod maską dobra ogółu czy interesów jakiejś klasy. (Bo nawet jeśli przez radio usłyszą go tłumy całego świata, to *pojmie* go tylko „ten” — obecny wróg — i jemu podobni, których będzie kilku, może kilkunastu — reszta słuchać i podziwiać będzie przez snobizm jedynie... Ale gdyby zjawił się taki drań teraz — a, to nie byłby wrogiem — machałoby się przed nim ogonkiem i poszczekiwało radośnie). O nędzo! Ale cóż: cała pracująca klasa nie ma czasu na takie estetyczne frykasy, nie ma czasu nauczyć się ich pojmovać — ona istnieje po to, aby dać wyrosnąć na sobie takiemu grzybowi, który by ją reprezentował. Bo o dawnych „*aristos*” mówić nawet nie warto — spsiali tak, że nie odróżnisz ich na szarej miazdze towarzyskiej miernoty. A byłiby lepsi może od tych — — — Nie czuł Putrycydes Tengier, jak odwracał wszystko na odwrot w swoim zniekształconym przez artystyczną twórczość i życiowe niepowodzenie mózgu. Długie, smutne solitery myślowe pelzły w dal, daleko poza tę budę i ludzimierskie lasy. Wielkość takich „falszów”, gdzieś w tajemniczym punkcie przez przypadek z różnych stron skondensowana, zmienić może w danej chwili kierunek historii. „Z jednej strony dowolność tego, co ma być z ludzkością: przyszłość zależna od sumy jakichś tam wcale niekoniecznych myślatek — z drugiej: fakt dokonany, olbrzymi, męczący swoją jednoznacznością — fakt uspołecznienia. I wszędzie tak być musi. Dewiacje mogą być na małą skalę — wypadkowa musi być taka sama na planetach Altaira i Canopusa, jak i tu — faszyzm czy bolszewizm — *ganz gleich, égal, usio rawno!*

— maszyna, albo bydło. Zasada wielkich liczb: chaos cząsteczek w masie gazu stwarza przez ilość prawa precyzyjne np. zależności temperatury i ciśnienia — takie a nie inne co prawda, ale nie jedynie myślowo-konieczne — nie to, co Niemcy nazywają „*denknotwendig*”. Z drugiej strony są też niedozwolone eksperymenty myślowe, to co znów Niemcy nazywają „*unerlaubte Gedankenexperimente*” różnych optymistów, wierzących w odwracalność społecznego rozwoju, jeśli idzie o twórczość w sferze myśli i w sztuce. To samo co zakładać czas wielowymiarowy dla wytłumaczenia spirytyzmu czy telepatii, albo wierzyć w inną logikę. „A może gdzie indziej $2 \times 2 = 5$ ” — mówią tacy panowie. Ale jeśli im powiedzieć: „lepiej założcie że *A* nie jest *A*”, oburzają się. „Gdzie indziej” nawet nie wolno wyjść poza identyczność pojęć, bo to nie jest żaden inny świat, tylko idiotyzm. Wtedy lepiej wycić, niż operować pojęciami — i to jest ostateczny wniosek z Bergsona”. Myśl rozwiewała się w nieobjętych, nieściśliwych szerokościach. Tengier ocknął się.

Kniaź Bazyl miał dziwne wrażenie, że przegadał dziś swoją sprawę. Fatalnym było to, że cała ta kwestia odrodzenia katolicyzmu i w ogóle wiary ważniejsza była dla niego wtedy, gdy o niej mówił, niż kiedy ją sam przeżywał. Tak — być po prostu dobrym człowiekiem, raczej człowieczkiem, to duże jest zadowolenie, o, duże. Jakże wszystko się przez to upraszcza, wygładza, zalizuje, natłuszcza, wypomadowuje, duchowo uobleśnia — po prostu zagwazduje. Brrrr... Ale nagle przychodzi takie okrutne „piknięcie”: pałac w Pustowni, zmarła żona (no to mniejsza, ale przecie „*tyż*”...), dla której na siedemnaście lat wyrzekł się innych kobiet, i zamordowany syn: piętnastoletni chłopak, który dowodził jakąś zatraconą przeciw-bolszewicką partią fioletowych kirasjerów „*Jewo Wieliczestwa*” i potem te historie z tą tu i z innymi, już dogasająca piękność i siła, już wszystko „nie to” i żal okropny za przeszłością targa jakiś najbardziej bolesny bebeszek, ukryty przed ludźmi głęboko w świetnie dotąd utrzymanym cieple. Ale wszystko to już „nie to”, „nie to”! I jedyne na to lekarstwo to ta przeklęta dobroć; ale nie ta jasna i pogodna, dająca wszystko wszystkim (no tak znowu może nie) z nadmiaru, bez rachunku, tylko taka wywleczona ze stężałego z bólu serca, starego zużytego worka, co się dość dla niegodnych rzeczy natłukł; taka dobroć nieszczęsna, przykra, nieszczerza i *nie-codzienna*, tylko okwiecona odświeżnię, jak nędzna kapliczka na rozstaju przez jakiegoś pastucha-idiotę, który nawet w niedzielę żadnej przyjemności mieć nie może. Kąsa coś w środku bezlitośnie co dzień od samego rana, a gdzieś przewala się inne życie, do którego nigdy już, nigdy dostępu nie będzie. Przekonał się „na” swoim romansie z księżną Ticonderoga, że już nie pora na takie figle. Stracił dawną śmiałość — nie był z typu tych starców, trochę grubawych, prawie brzuchatych, rumianych i wesołych, co to mogą pokryć fizyczną starość lakierem lekkomyślności i beztróski, zamienionych na drugą, sfalszowaną młodość. Trzeba było się cofnąć. Potem pięć lat pustelni i gdyby nie ten fałsz, który taki oto wstrętny, suchy znaczkoman nawet odczuć może, to w ogóle nie wiadomo jak by to życie wyglądało. Tylu ludzi przewinęło się przez tę pustelnię! Iluż nawrócił, ilu omamił, ilu od śmierci wybawił! Bezsprzecznie „społeczną” wartość to miało i chyba dostateczną było pokutą za gwardyjskie przestępstwa, a jednak ssało coś „pod łyżeczką”, czy w dołku — nieokreślona bolesna nuda i tęsknota za innym, bardziej namacalnym zakończeniem życia, nie w tej plugawej i pożytecznej dobroci, w którą sam nie wierzył. Dobrze było nawracać — niedobrze było żyć jako ten nawrócony. Ekspansja zewnętrzna pokrywała pustkę wewnątrz. Każdy książdz ma na to odpowiedź: „Bóg zsyła zwątpienie, aby wiarę tym cenniejszą uczynić”. Ale to nie wystarczało księciu Bazylemu. Strasznie był nieszczęśliwy. Na tle tych jego myśli Tengier zaczął mówić i było to męką bez granic dla wszystkich — do czytelnika włącznie. (W ogóle każdy mówiąc krył się jedynie przed samym sobą, byle tylko nie widzieć życiowej otchłani, otwierającej się na każdym kroku).

— Wiara w sens życia jest jedynie udziałem ludzi płytkich. Ze świadomością irracjonalności istnienia żyć tak, jakby ono było racjonalnym — to jest jeszcze marka. To leży między samobójstwem a bezmyślnym bydlęctwem. Wszystko, co było głębokim, powstało tylko z rozpaczki ostatecznej i zwątpienia. Ale miało tę wartość, że przez wynik, niepodobny nawet do źródła swego, uświadamiało innych o czymś zupełnie innym: o indywidualnej ich wartości, która znowu tworzyła podstawy uspołecznienia, uniemożliwiającego następne zwątpienie. Ale dziś czasy wątpicieli skończyły się. Trzeba bezmyślnie — nie w znaczeniu technicznym oczywiście — działać: produkować jak najwięcej za wszelką cenę. Wszystko, co czynimy, nawet my, są to tylko różne formy tego zama-

skowania przed sobą ostatecznego nonsensu istnienia. Ludzkość baranim pędem dąży do szczęścia niewiedzy, zaczynając gnębić tych skarłałych dziś uświadomicieli, którzy jej w tym przeszkadzają, nic w zamian nie dając. Byli potrzebni dawniej dla uświadomienia bytła i dania mu możliwości organizacji. Teraz są zbyt tacy — mogą ginąć, tym bardziej, że są dużo niższej marki niż ci dawni. Tak — to jest pewne, że sam fakt istnienia jest potworny: polega na krzywdzie innych, począwszy od milionów istnień, ginących w nas w każdej chwili — i rodzących się — to prawda, ale na taką samą mękę, abyśmy my mogli trwać ten marny wycinek czasu.

— Nic nie ma gorszego nad beczasowość. Mogę się zabić, ale na myśl, że mógłbym nie istnieć wcale, zimno mi się robi z przerażenia — rzekł Benz, a potem krzyknął nagle w histerycznym uniesieniu: — Mówię wam, że jedyna pewność to moje kochane znaczki i wszystko, co z nich wypływa: matematyka, a dalej mechanika i wszystko, wszystko! A reszta to wcielenie niepewności. Znaczki są czyste, a życie jest brudne i plugawe z założenia. Tengier ma rację.

— Taki sam kręcik jak neokatolicyzm księcia Bazylego. Zatulanie się w rozkosznej kąciek i wmawianie sobie przez łzy rozpacz i zawodu, że jednak coś jest dobrego we wszystkim, że istota świata jest dobra, tylko zakryta jest chwilowo przez zło, wskutek naszej niedoskonałości. Nieprawda! Pomijając już krzywdę komórek, pracujących we mnie i tego, co ginie przeze mnie w tak zwanej materii martwej, która jest tylko konieczną kupą istnień w każdym układzie teoretycznie możliwym, stanowiącą podłoże dla innych. Bo jakkolwiek istnienie jest nieskończone, tu w danej zamkniętej przestrzeni musi być mniejszych istnień więcej niż większych. Nieskończona w granicy podzielność istnienia, oto źródło fizyki, opierającej się na przybliżeniu, na granicznym porządku, w ostateczności swej nigdzie nieosiągalnym... — Zaplątał się i nie mógł skończyć wypowiedzenia jasnej intuicyjnie myśli.

— Zleż pan z tej metafizyki, bo nie wytrzymam — przerwał Benz. — Jak pan śmie wobec mnie produkować taką baliwernię? Ja zabraniam o tym myśleć i koniec. Między tym bredzeniem a teozofią nie ma żadnej różnicy. Ja panu to powiem jaśniej, przyjmując pańskie idiotyczne założenie, że w nieskończonej przestrzeni nie ma nic, prócz żywych stworzeń: oto, że dla każdego rzędu wielkości stworzeń znajdują się tak małe, że będą dla niego stanowić podłoże materii martwej, mogącej być ujętą w przybliżeniu w prawa o matematycznej formie. Ale co się stanie z aktualną nieskończonością w znaczeniu ontologicznym? Jak będą wyglądać istnienia żywe nieskończenie małe? I na jakim podłożu one będą istniały? A co pan powiesz o tym, że atomy są rzeczywiste, a nie tylko hypotetyczne? I elektrony i tak dalej — na równi z systemami gwiazdowymi? Czy założy pan ciągłość takich skupień we wszystkich rzędach wielkości i budowę materii żywej niezależną od nich, mającą swoją strukturę? Bzdury. —

Tengier uśmiechnął się z goryczą, która w formie łez, wypompowanych gdzieś aż z dolnych trzewiów — podeszła mu pod same oczy — oczy „podeszły” upokorzeniem, jak kwaśne mleko wodą. Dawny nienasycony intelektualny apetyt dłał straszliwie. Już za późno było na to wszystko w najwyższej formie. Z zazdrością niesłychaną patrzył na Benz, który puchł mu w oczach jak gąbka, przesycona absolutną wiedzą, negatywną, ale absolutną, psia-krew! A jednocześnie wiedział, że to też niczym jest wobec otchłani bezdennej wszechistnieniowego nonsensu i tajemnicy, która ten nonsens rodzi.

— A jednak mam rację — rzekł z uporem. — Może mój system pojęć nie jest dość doskonały, aby jednoznacznie i adekwatnie to wyrazić, ale tym niemniej jest jedynym prawdziwym — zdaje sprawę z tego, co naprawdę jest. Gdybym go wykończył, bolszewicy musieliby go przyjąć jako wyższą formę materializmu, od tego, który oficjalnie teraz wyznają — materializm biologiczny — jest tylko materia żywa, w różnym stopniu zindywidualizowana, obdarzona świadomością, w znaczeniu tym, że nawet mikroby mają czucia i pewną rudymentarą osobowość. U nas świadomość łączy się z intelektem — to jest luksus, nadbudowa. Łatwiej nam sobie wyobrazić stopniowanie wzwyż, niż w dół — a zależy ono od ściślejszego lub luźniejszego związku części organizmu między sobą — bo komórki też muszą być złożone. Tę ich złożoność wyrażamy w postaci chemicznych kombinacji w sposób przybliżony. — (Benz machnął ręką z pogardą). — Ale nawet jeśli tak nie jest, to obaj panowie nie możecie być dla mnie uosobieniem doskonałości. Nie widzę w was umysłowego rozpędu dawnych mędrców i proroków, nie czuję w was inte-

lektualnego ryzyka. Dostrzegam tylko ostrożność asekurujących się w swych skrytkach ślimaków, które boją się, aby ich nie rozkwaszono w Nielitościwej społecznej walce. Ja wiem dobrze, jak by to było przyjemnie uwierzyć tak, że nic nie ma ponad znaczki — jak wtedy inaczej przedstawiałaby się nędza życia, choćby pańskiego, panie Benz — z mojego punktu widzenia. Oczywiście lepiej, aby pana uznano. Ale jak pomyślę, na jakie niebezpieczeństwa narażony jest człowiek uznany, chcący się utrzymać na tym samym standardzie, to widzę, że jednak może lepiej jest, że obaj jesteśmy na marginesie. Może nie użyjemy wszystkich życiowych frajd, ale stworzymy za to rzeczy głębsze. Ja nie umiem być złośliwym, ale umiem mówić przykre prawdy. A pan znowu, panie Bazylu: gdyby wszyscy uwierzyli w pana neo-pseudo-katolicyzm, straciłby pan sam dla siebie cały urok: bo kogóż wtedy można by nawracać? — (Tamci obaj skurczyli się od cierpienia). — Ja wiem, że moja muzyka jest też ochroną siebie samego przed okropnością metafizyczną i tą nawet codzienną okropnością istnienia. Tylko to wiem jedno: ona wyrosła ze mnie tak, jak wyrasta skorupa razem ze ślimakiem — jestem razem z nią naturalnym wytworem czegoś, co mnie przerasta — wy raczej przypominacie mi gąsienice chruścika, które budują sobie futerały ze wszystkiego, co napotkają i to takie, których kolor przypomina ogólny ton podłoża.

— W czymże to my przypominamy podłoże — spytał zraniony w żywe mięso książę Bazylu.

— Nie wiecie o sobie samych nic. Ja przynajmniej wiem, kto jestem w mojej epoce. Może właśnie i jedno, i drugie — i pańska religijność, i pańska symboliczna logika, jest tylko wyrąbaniem ścieżek dla jakiegoś tam Murti Binga, którym teraz pogardzacie, a którego wiarę za parę dni możecie przyjąć, jako jedyny narkotyk, który was wybawi od was samych. A to wszystko może być funkcją jakichś zmian społecznych w Azji. A poza tym w tych maskach najłatwiej wam przemknąć się przez życie, ratując ogonek indywidualnego psychicznego dobrobytu. — Mówił zupełnie nie na serio, nie wiedząc sam, jak bliskim był prawdy niedalekiej przyszłości.

Przed Genezypem otwierały się coraz dalsze wewnętrzne przestrzenie. Czuł, że się kończy, tu, w tej budzie, ostatni podryg jego nieodpowiedzialnej egzystencji. Wszystko wlokło się jak bezręki i beznogi kadłub życia, ale nie ono samo. Jakież ono być miało, to jego życie własne — już nie ta czyjaś systematyka bez flaków i jąder, i mózgu? Zerwał się. Czas uciekał. Tamci zastygli w pojmowaniu prawd, czy też fałszów, ostatecznych. Spojrzeli na niego wszyscy trzej — już uciekało im, każdemu inaczej, to, do czego rwał się ten. Każdy z nich czuł to i chciał temu oto pędrakowi albo: dać całą mądrość, której sam wcielić nie potrafił, albo też przeciwnie: widzieć, jak będzie cierpiał ten nieświadomy nieszczęśnik, tak, jak oni cierpieli kiedyś. Ostateczna prawda, że nic nie jest tym, czym być powinno... Czemu? Głucho szumiał bór od parcia rodzącego się w górskiej oddali wichru. Okropna tęsknota szarpnęła jelitami Tengiera. Nie mógł wymyślić nic. Wszystkie antidoty były wyczerpane — chyba pójść tam znowu do swojej chaty i stawiać znaczki na pięcioliniach, prawie takie same, jak ten wyschły schabek, Benz. Po kiego czorta? A jednak czuł, że tam, na dnie chaosu bezsensownych, potencjalnych dźwięków, kryje się dla niego jakaś niespodzianka. Już nie wewnętrzna. Z tymi skończył — już wiedział wszystko. Cóż zostało mu w życiu? Paru świństw dokonać. Czy warto? Nie wiadomo czemu właśnie na tle poznania Genezypa ta straszna prawda o niemożności przekroczenia granic swego „ja” stała się dla niego dopiero teraz tak jasna, jak nigdy. Stęzał w okropnym, bezprzedmiotowym bólu. Trzeba działać, rwać się do czegoś (kto powiedział?), ku czemuś pędzić — a tu nic — zastygło wszystko w bezimiennym, „opłakanej”, stęglej, *metafizycznej* codzienności. Wszyscy wstali — dźwignęli wstając swoje beznadziejne życia na karkach. Szumiał coraz silniej wzbierający wichur. Dlaczego wszyscy „jak jeden mąż” poczuli absolutnie to samo. (Ten pędrak się tam przeżył, ale co im było do tego). Stanowili teraz, mimo indywidualnych różnic w przeszłości i konstytucji cielesnych, prawie jednego człowieka.

ROZDŁAWDZIEWICZENIE

Zaraz po wyjściu Tengiera i Zypcia z chaty (Afanasol został na noc u księcia) stało się na dworze coś strasznego. „Tak dłużej być nie może” — powiedział sobie Tengier i zaczął mówić tak do swego pupila: [a było to nad wyraz wstrętne dla nich obu — cóż robić].

— ...Zypku — [fala odwilży, jako refleks wzdymającego się wiosennego huraganu, przewaliła się przez las. Z hukiem zwały się wszędzie zwały mokrej już okiści]. — Zypku, będę mówił z tobą otwarcie. Ty nie wiesz jeszcze, jak okropne jest życie. Nie w tym banalnym znaczeniu, na przykład dla urzędnika, który stracił posadę, czy syna organisty, który musiał się ożenić z chłopką, aby stworzyć swoje pośmiertne rzeczy. — Zaśmiał się i apetyt potworny na wszystko zalał go po brzegi, jak głodną świnię przed śmietnikiem, wielkim niby krater Kilimandżaro. Żądza czystości i wzniosłości, tej możliwej jedynie po dokonaniu jakiegoś [jakież miał pod ręką możliwości, jak nie te pseudohomoseksualne uwiedzenia?] wysokiej marki świństwa, ukłuła go boleśnie w podsercowe okolice. Skóra stała się bolesna z niedosytu, jak w gorączce. Widział siebie w lustrze podczas mycia się — suchą nóżkę, tę lewą, wdzięczną jak u młodej kózki, i prawą, normalnie chamską, i obojczyki wystające i zapadłe „solniczki” i „Chrystusową” (tak mówił pewien sentymentalny knociarz) klatkę piersiową z małpimi długimi rękami po bokach i inne części, wielkie jak u nosorożca, chorego na słońniowaciznę. *Takim* właśnie sięgnąć po to niewiniątko, zanim jeszcze uwiedzie je ta stara kurwa, Irina Wsiewołodowna — podwójna rozkosz: zemsta nad nią za to, że jeszcze jej pożądał, mimo że nawet jego, (w tym wieku — ona!) kaleki, nie była godną — nawet jego, a jeszcze pożądał — straszne to były słowa, a musiał je trawić, jak zgniłą kielbasę, zeżartą z głodu z odbijaniem, nieomal z podrzygiwaniem. A tu obok szedł ten piękny bubeł — baron w dodatku — dziewiętnastoletni! („Boże! Jakże nędznym było moje życie wtedy!” Surowy bób; pokryjome granie kompozycji na fisharmonii; chodzenie boso, bo na buty nie było, i kochanie się bezpamiętne, aż do upadającego onanizmu włącznie, w małej, rudej Rózi Fajerzajg, która nim pogardziła dla subiekta z blawatnego sklepu w Brzozowie). To wszystko połknął teraz po raz drugi, jak okropnie gorzkie lekarstwo. A nad tym dzisiejszy dobrobyt i żona i dzieci, spiętrzone w niewyraźną masę wstrętu, męki, bezpieczeństwa, w sosie prawdziwych, tych najbardziej wartościowych uczuć. — ...Zypku: życie jest straszne — nie w tych codziennych okropnostkach, z których usprawiedliwienia zrobili kiedyś Norwegowie soczek nowalii w swej literaturze: to wyolbrzymienie uroku codzienności do rozmiarów wszystkości, to wmawianie, że wszyscy są równi w podstawowych namiętnościach, to konstatawanie banalnych podobieństw między księciem krwi a zbydlęconym robociarzem — czemu nie między człowiekiem a mięczakiem od razu — to nie jest droga prawdy. Zaktualizowana równość chrześcijańska, raczej jej złudzenie i te wszelkie osobiste udoskonalania się *à la* Bazyli, to kłamstwo słabych. Równość będzie kiedyś — kiedy idealna organizacja społeczna rozdzieli bez reszty wszystkie funkcje według zdolności. Ale hierarchia nie zniknie nigdy. Ja jestem okrutny wobec siebie, a przy tym jestem ostatni — dlatego mam prawo na wszystko. — Coś dzikiego zabrzmiało w jego głosie. Objął Zypcia prawym ramieniem, patrząc mu z dołu w uciekające oczy. Z chwiejących się świerków i sosen sypał się na nich mokrawy śnieg. Las pachniał wilgotno-grzybowo-zmysłowo, tajemniczo, prawie wstrętne. Nie śmiał odsunąć Tengiera Genezyp. Przy tym, mimo obrzydzenia, ciekawy był, co też jeszcze z tego wyniknie. Myślał wytrzymać do ostatniej chwili, a potem kopnąć nagle z całej siły. Nie obliczył dobrze słabości swego serca, tej samej, co kazała mu te psy w dzieciństwie spuszczać. Ohyda. Tengier mówił dalej: — Ja nie chcę udawać jakiegoś parszywego rozestetyzowanego Greka, ale pomyśl: czy oni jednak nie mieli racji — (Zypcio nie rozumiał nic) — stwarzanie czegoś zamkniętego, jednorodnego, w co nic już obcego wmieszać się nie mogło. Czysta myśl, spięta ekstazą równie czystą, bo z jednakowych elementów złożoną — ta właśnie cudowna helleńska beztraska i brak wszelkiego upokorzenia, które pociąga za sobą stosunek z kobietą — ty tego jeszcze nie rozumiesz — (tu puścił Zypcia i zażył pigułkę strasliwego afrodyzjaku, którym kiedyś raczyła go księżna) (bo ochoty nie czuł bezpośrednio żadnej — chodziło jedynie o skutki) — czyż to nie jest szczytem tego, co można we dwóch — a nie we dwoje — osiągnąć w tych wymiarach. Ty tego nie pojmujesz i może Bóg księcia Bazylego uchroni cię od tego, żebyś kiedykolwiek pojął tę męczarnię, kiedy nie to, że się nudzisz

czysto negatywnie, ale nuda jako ból nieznośny, jako odrębny byt w tobie wchodzi do tej ostatniej twojej komórki i wyżera ci największy skarb, samą jedność twojej jaźni i zamienia ją na bezosobowy ochłap żywego mięsa wysychający w bezwodnej pustyni. Ach — nie wiem... I czujesz wtedy, że to wszystko nie ma żadnego sensu — gorzej, że to jest zbrodnia, że niby dlaczego ty tu właśnie, tego człowieka, to jemu, a nie co innego i nie tam — i dlatego, właśnie dlatego — tylko te słowa okropne przez swoją jedność, tę samą, a nie inną. I to cię boli, jakby cię piekli na żywo, że tylko sobą być musisz, a nie wszystkim, i wznosisz się wtedy ponad siebie aż w nieskończoność. I to przerażenie, że może poza tobą nie ma już nic — bo czyż mogłaby być taka dziwność, żeby jednocześnie w niewiadomej przestrzeni, jednocześnie dwa takie same stwory... nie wierzysz, że może istnieć drugi stwór, a jednak musisz przez to właśnie... Z kobietą nigdy... o Boże: ja ci tego nie wypowiem, Zypku najmilszy... (Nienawidził w tej chwili tego ładnego bubka do obłędu i to go podniecało). (Na to słowo ostatnie „najmilszy”) Genezyp skrzył się w jeden węzeł tępego bólu, jadowitego obrzydzenia i wstydu bez granic. To było naprawdę plugawę. — Ja nie potrafię — bulgotał tamten zapieniony w najgłębszej z ohyd — a już z nocnej oddali, jakby zza tych wypełnionych sypkim śniego-wichrem lasów, szła fala nieznanymi dźwiękami, piętujących się w diaboliczną, rogatą, najeżoną groźnymi wieżami konstrukcję. Na Putrycydesa Tengiera przychodziło natchnienie. Nie bał się ani wilków, ani samego Belzebuba. Duch jego leciał ponad światami w metafizycznej burzy. A język belkotał dalej niewiarogodne, zamaskowane świństwa: — bo uciekam od chwil takich i nie umiem — rozumiesz — nie umiem — a jednocześnie pragnę ich do szaleństwa, bo tylko na granicy potworności jest prawdziwa głębia. I to nie jest żadna perwersja — każdy to wie, tylko społecznie lepiej jest, gdy się tego nie widzi. Dawniej było inaczej: wszystkie okrucieństwa, ofiary z ludzi, orgie religijno-erotyczne — wtedy kilku ludzi przeżywało to wszystko pięknie i potężnie. Dziś oto co jest: jakiś nieuznany muzyk w zaśnieżonym lasku... — (Genezyp zwił się dalej, ale musiał słuchać tego, gdyż to, co mówił tamten, zionąc na niego nieczystym oddechem, wyjaśniało mu jego własną zawilgość. W tym był właśnie szczyt obrzydliwości. Tengier plótł ciągle:) — Boję się wtedy samego siebie: że- bym nie popełnił czegoś tak okropnego, że już potem życie byłoby nie do zniesienia! Ja ci powiem w tajemnicy, że chce mi się czasem wyróżnić w pień całą rodzinę. — („Ależ to obłęd” — pomyślał Zypcio ze strachem. — „On gotów mnie tu...”) Tamten mówił już spokojniej: — Ale nerwowcy nie wariują podobno nigdy. Wiem, że tego nie zrobię, ale zamiast tego muszę mieć jakiś ekwiwalent. Bechmetiew badał mnie — nie znalazł nic złego. I nagle w tę burzę, rozumiesz — zaczął znowu tamtym tonem — spokój wchodzi taki, że wszystko martwieje w podziwie nad bezsenssem wszelkiego ruchu i ja stoję między dwoma zwałami dziwności w sobie, zwykłymi, jak ściany w mojej chałupie, i nie rozumiem, że przed chwilą wyc mogłem ze strachu i zdziwienia. I gdybym wiedział, że to jest właśnie prawdą, a nie takim samym omamieniem jak eter, kokaina i haszysz, których się wyrzekłem, przysięgam ci: dla jednej chwili takiej ja bym zniósł tysiące, nie dziesiątki lat cierpień i modlił się do byle czego o sekundę takiego objawienia, aby choć umrzeć tam, a nie w tym okropnym świecie okrutnego przypadku. Ale *na pewno* nie wiem — „O, gdyby to było prawdą” — rzekł w Genezypie dość obcy mu „dorosły” człowiek, który zjawił się w nim po raz pierwszy tydzień temu, w czasie odczytywania maturycznych wyników, kiedy ten pierwotny, „nędzny dzieciak”, jak go znowu nazywał ten nowy, wiedział o tej prawdzie na pewno. Jakiej? No to, że bbb... — że jak mówi Wittgenstein: „*wovon man nicht sprechen kann, darüber muss man schweigen*”. To wszystko, o czym się tomy pisze bez skutku już od dwóch tysięcy lat i co nareszcie w uniwersytetach zabronionym zostało na zawsze. Nie wiedział jeszcze Genezyp, czym są narkotyki. (I nie dowiedział się nigdy). Tengier wiedział i bał się jak ognia fałszu, wiedząc też, jak cienkie przepierzeńko oddzielało te dwa bliźniaczko podobne (jak dwie martwe natury nieboszczyka Fudżity, jakby powiedziała księżna), różniące się niedostrzegalnymi na pierwszy rzut oka „detajlami”, światy. „*Identité des indiscernables*” — gdyby nie skutki, chyba zawsze złe, któż by je odróżnił od siebie w chwili trwania: moment metafizycznego natchnienia od upojenia jakimś świństwem.

— Więc pan nie wie na pewno — to straszne. Więc pan jest w takich samych ciemnościach jak ja — mówił brutalnie i zupełnie nieszczerze Genezyp, ściskając w kieszeni pożyczony od Kniazia Bazylego rewolwer. Jediną pewnością była ta martwa, zimna,

metalowa rzecz. — W tych rzeczach nie może być stopni: albo jasność, albo mrok — wszelkie półcienie równe są ciemności. Ja chcę być zupełnie oświecony, albo od razu w „łeb sobie zapalę” i koniec — krzyknął Genezyp historycznie i wyciągnął kabotyńskim ruchem rewolwer z kieszeni. A może naprawdę zastrzeliłby się w tej chwili, gdyby nie tamten.

— Dawaj to, szczenię podle! — ryknął Tengier w tumanie lecącego śniegu. Zgniół mu rękę i wyluskał z niej tak zwane „śmiercionośne narzędzie”. Genezyp zaśmiał się nie-naturalnie — nie na miejscu były takie żarciki. — Dlatego zaprowadziłem cię do nich — mówił dalej Tengier spokojnie. — Oto masz dwa szczyty świadomości — może nie najwyższe, ale dla przykładu wystarczą. Prawda okazuje się tylko wygodną trampoliną do skoku w wygodne łóżeczko z miękkimi piernacikami, którymi są dawno odarte ze znaczeń pojęcia. To, co było dawniej, w chwili rodzenia się, czymś wielkim, dziś zeszło na tresowane morskie świnki. Prawda, doskonała czy nie — wszystko jedno — i wiara istniały dawniej z konieczności — niechętnie brnął Tengier, widząc jasno, że na tle samej uczuciowej maskarady, bez wyższej dialektyki, nie zdoła uwieść tego jedyne w swoim rodzaju bubka — wyjątkowego oczywiście względnie tylko, na tle wstrętnej mu, zbydlęconej w sportowym zmechanizowaniu, młodzieży — dziś są wytwarzane sztucznie w odpowiednich stopniach i dawkach dla rozwiązań częściowych: życiowych, politycznych, społecznych — nie mają swoich własnych krajów, w których by obowiązywały — prze-filtrowały się, spowszechniały, spospolociały, rozeszły się między wszystkich i zmarniały. Nie odwróci się ten proces za nic na świecie. —

— A ci dwaj? Gdyby tak połączyć ich myśli w jedno... — zaczął Genezyp, uwalniając się przemocą z świętokradczego uścisku. Nie sam czuł się świętością dla siebie, ale pewne rzeczy bądź co bądź... no, te dziecinne kółeczka... Ach, czemu nie miał przed chwilą odwagi strzelić w ten swój „biedny lepek” — tak pomyślał o sobie. Już obcy człowiek litował się w nim nad zdechłym dzieciątkiem. Widział jak na dłoni wielkość wielowymiarową tej włochatej kupy wykoślawionego mięsa z kośćmi, brnącej obok niego w krótkim kożuszku przez odwilżający śnieg. Miał przecie do czynienia prawie z „człowiekiem reprezentatywnym”, z unikatem — a jednak nie czuł z tego powodu najłżejszego nawet snobistycznego zadowolenia. Jednocześnie z dławiącym poczuciem wielkości, już nie tylko muzyczno-artystycznej, tego pokręciła, tak strasznie pogardzał tymże samym Tengierem jako cielesną osobą; mężem tamtej chłopki, która mu się nawet z lekka podobała; tym bezwstydnikiem psychicznym, wyładowującym ekskrementalnie niesmaczne wywnętrzania i to przed nim, dzieckiem prawie.

— To tak, jakbyś na przykład chciał roztopione żelazo zmieszać z oliwą w jedną emulsję. To bieguny. Między nimi, a nie w nich, jest ten cały opuszczony kraj, ta wymarła kotlina, w której żyję ja. Jeden stwarza sobie Boga, nacytawszy się historii religii, w analogii do wszystkich innych bóstw. W tej tolerancji jest już cała nicość jego wiary. Jego Matka Boska to Astarte i Pallas Atene i Kybele i diabli wiedzą kto, a jego Bóg ledwo w mówieniu o nim, ale nie w odczuciu, oddziela się od całości świata brahminów, a jego święci — to prawie chińskie bożki, patrolujące wszelakim czynnościom i przedmiotom. Jakże dziś trudno odróżnić rzeczywistą wartość jakiejś koncepcji od udanej — skąd można wiedzieć, czy jest ona zręcznym zlepkiem wymierających gadań o czymś, co było kiedyś żywym, czy też strzałą światła, przebijającą po raz pierwszy ciemność wiecznej tajemnicy? — Genezyp odczuł fałsz jakiś w tych słowach.

— No dobrze, a ten drugi? — spytał, by na jak najdłużej odciągnąć zbliżające się z przyszłości zdarzenie.

— To samo. Drugi kraniec. Oto straszliwy aparat, może nawet i bez sprzeczności — chociaż niektórzy wątpią w to, twierdząc, że gdzieś coś tam musi być nie w porządku na dnie — i co dalej? Nasyca to tylko intelektualne żądze swego twórcy, apetyt chorego żołądka, który nic już strawić nie potrafi, a tym mniej przetworzyć na pokarm dla żywego organizmu. Bezduszna machina, z której wyżyn — tak: z wyżyn maszyny — czemu nie? — (podoobało się Genezypowi to przyznanie się do błędu i z powodu takiej drobnostki stracił ośmdziesiąt procent oporu) widać tylko pustkę myśli i równowartościowość wszystkich koncepcji świata, jako bzdur — cóż z tego, że różnej klasy, ale bzdur. — („Gada tak o nich, jak oni wygadują na drugich, ale sam rdzenia nie ma” — pomyślał Genezyp.) — Nie — wykluczmy to zupełnie — mówił niesmacznie Tengier. — Nie

dam ci — (znowu przysunął włochaty, śmierdzący pysk do brzoskwiniowych, zimnych, pachnących puszkową młodością, policzków tamtego.) — zejść w bezpłodną metafizykę. Musisz to czuć, ale nie myśleć o tym. Cały ten kłęb nierozplątany — bo moja myśl jest z założenia niejasna — u mnie jest motorem mojej sztuki — wszystko jedno, czy ci durnie rozumieją ją, czy nie. Gdybym to zanalizował do końca, straciłoby to momentalnie wszelką wartość: tak, jakbym 100000 ton piroksyliny spalił na wolnym powietrzu. W ten sposób daje mi to prężność wewnętrzną wprost piekielną. Jestem jak pocisk, który siłą woli posuwa się powoli, a zmuszony jest pędzić prędko — zrozum, co to jest! To da się porównać z jedną rzeczą: z przedłużeniem sztucznym erotycznej rozkoszy. Ale ty tego nie rozumiesz. Ile czasu nie byłeś tak sam ze sobą?

— Przeszło półtora roku — twardo wysiękł Genezyp słowa, jakby walił różgą tamtego w twarz. A jednocześnie pokusa straszna, aby pod pokrywką czegoś nadzwyczajnego odciażyć po prostu przeladowane gruczoły. Bał się straszliwie kompromitacji jakiejś wobec księżnej i za jaką bądź cenę postanowił nie przyznawać się, że to pierwszy raz. Nie wiedział, że jest już zdemaskowany od dawna. A do tego jeszcze przyjemność, której tyle czasu sobie odmawiał. Wstręt topniał, przetwarzal się na wartości pozytywne. Wszystko nieodwołalnie pchało go w kierunku poddania się tej niemożliwej piramidzie sprzeczności, jaką była idąca obok nieszczęsna pokraka — nie tylko dla niego, ale obiektywnie. A przy tym ta analogia z psem... Jak raz coś podobnego domieszało mu się do dowolnej magmy uczuć, stawał się niewolnikiem danego człowieka. Oczywiście dotąd na bardzo małą skalę jedynie. Już parę razy zaobserwował podobne zjawisko — sytuacja stawała się groźna. Czas biegł szybko — zdawało się, że przelatywał obok, szepcząc w biegu, mimochodem, groźne ostrzeżenia. — No więc widzisz sam, że musisz dać mi spróbować. Ja nic nie chcę, tylko, żeby tobie było przyjemnie. Jeszcze kiedyś do mnie wrócisz — później — jak poznasz, że tamto jest także wstrętne. — Żal okropny tego człowieka paraliżował Genezypowi wszystkie centry obrony. Już nagi i bezbronny wystawiał się na łup, wiedząc, że w tym dniu właśnie jest to po prostu zbrodnią. Powietrze było teraz drażniące, gorące, przesycone jakby chuchaniem olbrzymich warg. Wszystko w nim i poza nim rozplawiało się w przyjemnawej obrzydliwości i nieznośnie rozkosznym rozdrażnieniu — przypominały się dawne onanistyczne czasy. Tengier upadł na kolana i Genezyp poddał się upakarzającemu tryumfowi diabelskiej rozkoszy. Nie był w tym sam — jakie to dziwne, Dziwne, DZIWNIE... — „auuu...!” — zawył nagle i w dreszczu obrzydliwym, który jednoczesnym bólem i wydrzącym przeprzyjemnieniem rozlał się po ciele, spadła z niego jakaś wewnętrzna maska — i przejrzał. Któryż to raz już budził się tego przeklętego dnia. Nic podobnego jeszcze nie czuł. Tylko oczywiście dalej nie w ten sposób — nic homoseksualnego nie odezwowało się nawet w najtajniejszych zakamarkach jego istoty. Ale warto żyć. To był eksperyment taki jak w laboratorium gimnazjalnym, wywiązywanie wodoru czy też jakiego czerwonego zabarwienie od rodunku żelaza. Ale zawsze to, co było przed nim, zdawało się tylko coraz bardziej męczącym snem bez końca.

Z Tengierem też się coś tam stało, ale tak bardzo znowu nie był zadowolony z tryumfu. Tak na śniegu, bez widoku ciała tamtego, bez tego kontrastu z jego własnym kalectwem, nie było to, jak mawiał, dociśnięte do dna, ale zawsze pognął trochę tego młodzika, a nade wszystko tamtą megierę. Natchnienie rosło: dźwięki skupiały się i organizowały pośpiesznie, diabolizując się przy tym wyraźnie, szeregując się po ciemnej stronie świata duszy. Spoistość ich rosła — konsolidował się prawdziwy utwór w większym stylu. Tengier oddychał — słoństwo zostało usprawiedliwione — ostatnie odbłyśki dawnej etyki w formie wyzyskiwania zła dla celów artystycznych.

Genezyp też był wstrętne zadowolony. Miał przyjemność większą niż tamte dawne, a przy tym nie czuł żadnych wyrzutów. Świat sennie układał się dokoła w harmonijne zwoje, jak wstrętny wąż, idący spać. Najprzyjemniej byłoby zasnąć razem ze światem. Ale dzień ten, raczej doba, nieskończenie długa, wlokła się dalej bez litości. Tyle jeszcze było do dokonania! Ale przed księżną nie czuł już żadnego strachu: teraz jej pokaże, co to jest mężczyzna. (A jednak przeliczył się biedny Zypcio co do swoich sił). Inaczej teraz patrzył na problem obudzenia się. Rozmowa tamtych dwóch krańców myśli była dość odstrasza-jąca w stosunku do każdej metafizyki. Jeśli to miały być ostatnie rozpięcia, to rzeczywiście lepiej nie zaglądać tam wcale: niech dziwy tworzą się same w życiu. Ha — może takie,

jak ten cud tu na śniegu? (Jednak wyrzut sumienia na dnie był — to nie ma o czym gadać). Myśl mogła tylko zabić te mgławie potwory, zagładające ciekawie z przyszłości do krwawej dziury terażniejszej chwili, w której świat wypinał się w nieznaną. A wierzyć w cokolwiek bądź określonego, albo zająć się znaczkami, nie miał Genezyp najmniejszej ochoty. Tak wybył się największego niebezpieczeństwa współczesnego człowieka: metafizyki. (Szatan mechanicznej nudy śmiał się i kwiczał gdzieś w podwietrznej, wyprawiając dzikie kozły: on sam nie potrzebował się przecie mechanizować). A zawdzięczał wszystko to tej niepojętej, obrzydliwej, włochoatej, flakowatej półbestii, którą w życiu pogardzał, a jednocześnie podziwiał, jako tajemniczy instrument przetapiający wszelką, dławiącą aż do męki dziwność w łatwą do odcyfrowania konstrukcyjną mieszaninę tonów. Zypcio był bardzo muzykalny: z łatwością całkował straszliwy muzyczny galimatias Tengiera, lepiej może, niż to czynili obrzmiali wiedzą oficjalni fachowi krytycy.

Szli tak dalecy od siebie, jakby znajdowali się na różnych planetach. Pierwsza biła na odległej wieży ludzimierskiego kościoła, gdy wychodzili z mroków ludzimierskiej puszczy. Zazębiły się niezbadane przeznaczenia. Okropna żałość porwała się z Zypciowych bebeczów wzwyż. Zapragnął być czymś! O nędzo! Czymś dla kogoś przynajmniej, nie dla wszystkich, nawet nie dla większej części. Zazdrościł Tengierowi — którego pożegnał zimno przed chwilą — że może on, mimo że teraz pies go nie uznaje, kiedyś kimś dla wielu, wielu być może. Cóż to za rozkosz jest stworzyć coś doskonałego, odrębnego w sobie, istniejącego własnym życiem. Za tą cenę można się bez bólu wyrzec wszystkości. Ale znowu jeśli się weźmie pod uwagę to, że słońce zgaśnie i w ogóle z tego wszystkiego nic nie pozostanie, to może nie jest to tak bardzo ważnym, aby być czymś w „sercach milionów”. Co myślał w tej chwili tamten? Ach — wiedzieć to choć przez sekundę. Wtedy stałby się tak mądrym, że nikt by mu rady nie dał. I skąd ten problem pokonania innych ludzi? Nigdy się nie załatwi z tym chaosem. Jakiegoś małego aparatu porządkującego brak mu. Zwierzenia Tengiera, choćby najbardziej bebeczowe i dla niego przykre, nie umniejszały go nigdy, nie czyniły go bardziej poznawalnym. Może to sztuka dawała mu ten pancerz psychiczny mimo jego woli. „Nieświadomie żyjemy tak, jakbyśmy mieli trwać wieczność na ziemi, a w każdym razie jeśli nie my, to nasze twory. Ale wyobraźmy sobie, że astronomowie obliczają koniec świata — jakieś ciemne ciało włącza się w nasz system i krąży ze słońcem naszym naokoło wspólnego środka ciężkości, przy czym ziemia powoli, w dwa tygodnia np. oddala się aż na orbitę Neptuna. I to stać się ma za 300 lat — na podstawie perturbacji w ruchu planet zawczasu jest obliczone. No i co wtedy dzieje się z pokoleniem, które się o tym dowiaduje i jak ono zmienia wychowanie dzieci, jak się wychowuje pokolenie następne i następnie to, które doczeka się katastrofy? Czy rodzenie dzieci nie będzie zakazane i jak wtedy będzie z wiecznością? A, cudowny pomysł powieściowy dla Sturfana Abnola! Muszę mu to opowiedzieć. Ale broń Boże nie pisać programowo, tylko wżyć się w psychologię tych ludzi i zobaczyć dopiero, co będzie, co z tego samo „wyjdzie”. A może niektórzy, Conrad np., tak pisali — i ukrywali się z tym, żeby sobie u durnych tzw. krytyków literackich nie psuć marki”.

Była głucha noc, ale ruchoma. Psy wyły na tle szumu wiatru, coraz cieplejszego, lubieżniejszego. Nieprzyzwoitości czekały zaczajone, nęcąc do jakichś przeobrzydliwych babrań się i babrotek. Okropne (wszystko okropne!) ciągotki przesunęły się po wierzchu, a potem szarpnęły ciało Genezypa barona Kapena, lat dwiętnastu, może ostatniego z tego rodu. Ród Kapenów chciał trwać. Zastanowił się Zypcio nad przełomowością tej chwili. Nie mógł się tym nasycić. Ktoś — taki instynktowny pasażer w nim — zlekceważył wszystko natychmiast, jak Afanasol Benz przy pomocy znaczków. Ale przy pomocy czego robił to ten instynktowny pan, nie znoszący wysokich napięć praktycznie nieusprawiedliwionych? Może tak było naprawdę lepiej.

U stóp wapiennych skał, za którymi była fabryka wapna, stał w starym, zapuszczonym trochę ogrodzie, nowy pałac Ticonderogów. Teraz przypomniał sobie Genezyp, że zapomniał klucza od furki, który mu dała księżna. Wydrapał się z trudem na wysoki mur, o grzbiecie pokrytym odłamkami szkła. Już miał zeskoczyć, kiedy zranił się silnie w rękę na przegubie. Krew buchnęła ciepłą falą. „To pierwsza ofiara dla niej”, pomyślał prawie z miłością. Nieprzyzwoitości złączyły się na chwileczkę z sympatią — coś jakby prawdziwa miłość. Zawiązał rękę chustką, ale krwotoku utamować nie mógł. Szedł, farbując silnie, na przelaj przez park, wśród huczących w wietrze olbrzymich bezlistnych

oczywiście jesionów i lip. Renesansowa fasada (czyż jest coś ohydniejszego nad renesans? — dla Genezypa architektura zaczynała się od brahmańskich gopuramów) ukazała się na dnie biegnącej w dół alei strzyżonych po wersalsku świerków. Psów ani śladu. W prawym skrzydle na parterze buchało stłumione krwawe światło z dwóch okien. To była sypialnia — ten od dwóch wieków przeznaczony pokój (i od kilkudziesięciu lat przeznaczona baba), gdzie (i na której) stracił miał niewinność, „rozdławdziewicz się”, baron Kapen de Wahaz — „ostatni tego nazwiska”, jak pisze Klaudiusz Farrère. Genezyp poczuł się szlachcicem, urodzonym z hrabianki i to zrobiło mu pewną przyjemność. „To jednak już jest coś”, pomyślał i zawstydził się sam przed sobą. A mimo to tamto uczucie trwało. Ojciec (żywy czy umarły) nie istniał dalej zupełnie. Podle myślał Zypcio, że w razie tej śmierci może nagle obudzić się w nim jakieś uczucie, dawno stłumione, i wtedy zacznie cierpieć. Bał się tego, a znowu z drugiej strony nieprzyjemnie było trwać w tej obojętności — wyrzut sumienia z tego powodu mógł przejść w natężenie prawdziwego bólu.

Zastukał w okno. Ukazała się zza firanki *ciemno-czerwona* sylweta księżnej. Zrobiła kolisty ruch ręką z prawa na lewo, Zrozumiał, że ma wejść przez główny ganek pałacu. Widok tej wścieklej baby, czekającej na to właśnie i tylko na to, zrobił na nim zabójcze wrażenie: jakby miał ogon, który się podkurczał aż pod brzuch z dziwnej mieszaniny żądz, strachu, odwagi i obrzydzenia. Poczul się, jakby był subiektem w sklepiku — drobna sprzedaż nieprzyzwoitości. Wszedł między kolumny pałacowego ganku, jak zwierzę, prowadzone na rytualną rzeź do świątyni.

Informacja: Księżna siedziała w sypialni z mężem, najwybitniejszym ze zramolowanych polityków, jednym z twórców obecnej sytuacji równowagi wewnętrznej kraju (wśród morza chronicznej rewolucji była to wyspa z dawnego snu o dobrym demokratycznym życiu) i polityki zewnętrznej, polegającej na niemieszaniu się czynnym w rosyjską kontr-rewolucję. Polska dała tylko wolny przejazd wojskom, tzw. „tranzyt wojskowy”, i za tę cenę wymigała się od czynnego udziału. Obecnie lawina chińskiego komunizmu, waląca się z Ałtajskich i Uralskich gór w moskiewską równinę, zachwiała ten idealny systemat wzajemnie podtrzymujących się sprzeczności. Potworne kapitały, których źródła nikt nie znał, włożone w polepszenie bytu robotników, przestały dawać procent w postaci uległości wobec metod organizacji pracy. Mimo wszelkich wysiłków coś zaczynało się burzyć od samych podstaw. Absolutna izolacja nie dawała się utrzymać nawet przy pomocy niebywałych ostrożności paszportowych i systematycznego fałszowania wiadomości w całej prasie, będącej tylko jednym wielkim, nieomal płciowym organem „Syndykatu Narodowego Zbawienia”. Przyszedł czas, kiedy wyspa szczęśliwości zaczęła się dziwnie zwężać, jeśli nie fizycznie na razie, to moralnie. Mimo że kraju nie ubyło ani pięćdziesiąt, zdawał się być coraz to mniejszym skrawkiem, zalewanym wokół rozpaloną magmą. Członkom „Syndykatu” gorąły pięty, ale jeszcze się trzymali. W imię czego? Nie wiedział nikt — nie było gdzie uciec w razie czego. Nawet nikomu nie chciało się używać życia w dawnych wymiarach — przecież wiecznie to trwać nie mogło... Oficerowie przestali robić byznesy (Kocmołuchowicz rozstrzeliwał bez pardonu), byznesmani nie dawali łapówek w „odpowiednich sferach”, w ogóle nie robili tzw. „wielkich transakcji”; restauracje nocne bankrutowały, w dancingach tańczyły tylko ostatnie kurwy i rzadcy prawdziwi dranie — gatunek wygasający. Ostre sportowe oglupienie zamieniło się w sferach inteligencji na racjonalną godzinę dla zdrowia dziennie — rozdzieliła się ta niebezpieczna mania między wszystkich członków społeczeństwa równomiernie. Nawet groźne dla wszystkich możliwych wyższych dziedzin kino zanikało powoli, ale systematycznie. Jeszcze w jakichś budach na przedmieściach, ostatnie zagwazdrane kretyny, podziwiała zaćmione gwiazdy filmowe i 200%-owe piguły męskiej ohydy i pospolitości w stanie kompletnego rozkładu. Nawet radio chyliło się ku upadkowi, doprowadziwszy wprzód do zupełnego skretynienia 50% średnio-muzykalnej pół-inteligencji. Prasa ujednoliconą przez syndykat nie mogła się „prześcigać” w przesadnie natę-

zonym urabianiu opinii przez rosnące stale dzienniki, według doktryn danych partii — partie zanikły prawie — panowała powszechna zgoda. Jakaś bezbarwna, nudna masa zamierających widm przelewała się z kąta w kąt nie wiadomo po co. Ale samo dno, zupełnie spontanicznie, bez ingerencji sparaliżowanych centrów agitacji, zaczęło się z lekka wydymać i podnosić. Niektórzy, przywykli do prostych podstaw społeczeństwa, mieli chwilami wrażenie, że chodzą po trochę pochyłym, jakby bagnistym, czy też może, w bardzo szerokich amplitudach, falującym gruncie. Ale przeważnie uważano to za złudzenie. Mówiono, a nawet przebąkiwano zupełnie wyraźnie, o potencjale żółtej masy za Uralem, zmieniającym jak potencjał grawitacyjny strukturę dookolnej przestrzeni, psycho-społeczne środowisko, w sposób nieeuklidesowy — ale nikt poważny na serio tego nie brał. Izolacja, raczej jej chwilowa złuda, trwała głównie dlatego, że żadne ze zbolszewizowanych państw Zachodu nie miało ochoty dobolszewizować się do końca w ostrym chińskim sosie. Wbrew zasadom powszechności rewolucji, wszystkie rządy świata utrzymywały Polskę w sztucznym konserwatyźmie, przy pomocy olbrzymich sum pieniężnych, zwolnionych od komunistycznej propagandy (nie było po prostu kogo namawiać) — za to była Przedmurzem, na razie prawie szczęśliwym w swym bezwładzie. Rozpanoszył się pewien gatunek ludzi, znanych dawniej w mniejszym natężeniu i to przeważnie w sferze krytyki artystycznej i literackiej, a mianowicie tzw. obecnie „spłyciarzy” (Ł, łubin, Ładoga), w odróżnieniu od normalnych spryciarzy. Były to indywidualia, mogące spłycić dowolnie głębokie zagadnienie, odwrotnie niż np. Whitehead i Russell, którzy z każdego głupstwa, jak przystało filozofom (i to matematycznym) mogli zrobić problem dowolnie trudny. [„...we can define this kind of people as those, who, by means of introducing suitable notions, can give to any problem, as plain as it may be, any degree of difficulty, that may be required.” z mowy Sir Oscara Wyndhama z *M. S. G. O. = Mathematical Central and General Office*]. W ogóle zapanował wszędzie Duch (przez wielkie D), ten, którym tak, „nadojeli” wszystkim neo-pseudo-romantycy, abstynenci i w ogóle ludzie w życiu zawiedzeni. Teraz duch zatryumfował nagle i wcielił się bez reszty w życie, ale robiło to wrażenie, jakby jakieś niesamowicie potworne bydlę wdziało idealnie przystającą do jego pyska maskę wzniosłego anioła. Ci, co ten kierunek — czy jak to nazwać — propagowali, byli wprost nieszczęśliwi — nie mieli co propagować — wszyscy niedawni najzakamienialiści materialści zgodzali się z nimi bez dyskusji, ale były to przekonania martwe, pozbawione wszelkiej żarliwości. Książę Ticonderoga był prototypem „spłyciarza” i durniem ponad wszelką miarę skończonym — Michał Anioł i Leonardo nie mogliby dodać ani jednej kreski. Właśnie dlatego był jednym z filarów tego dziwnego zszarzenia, które nie miało jednak spokojnych cech „suchej mgły” tatrzańskiej, ani październikowych rannych oparów, tylko raczej wygląd złowrogi i duszący niepokojem, z lekka miedzianej, a miejscami ołowianej szarzyzny nieba przed straszliwą burzą — nie tą, która nadchodzi lub przechodzi „stronami”, tylko tworzy się w naszych oczach, burzy-maciory, karmiącej drobniejsze chmurki-wysłanniczki, jak samica małe. Dostyc — precz z literaturą. Ta powszechna zgoda, to jakieś bezwstydne „kochajmy się” i tzw. „ramię do ramienia”, w którym czuło się przyciszony zgrzyt drzemiącej nienawiści; to wzajemne chwalenie się do utraty przytomności, kryjące zawiść o niebywałym dotąd napięciu jadowitości; to lubieżne kłamstwo, w którym ludzie tarzali się ze łzami w oczach, jak psy w ekskrementach — to wszystko było wprost straszne. Ale mało kto zdawał sobie z tego sprawę — w każdym razie nie Genezyp i nie książę. Ludzie wiedzący kryli się gdzieś w ostępach czterech stołecznych miast, a może nawet w zwartych pozornie batalionach, szwadronach i bateriach generalnego kwatermistrza. Na wsi nie rozumiał oczywiście nikt nic — chłop to beznadziejnie martwa rzecz, materiał dla idei owego zaśnięcia dla mdłych demokratów, tych wygodnisiów społecznych, chcących na zakłamaniu się

„wielkimi” ogólnoludzkimi ideami, zbudować miły światek wyzysku i grabienia obalwianionych *duchowymi dostojnościami* i pseudo-dobrodziejstwami pracowników. Zapchać mu tak brzuch, aby to robocze bydło zapomniało, że jest i *może być* człowiekiem. Dobrobytem uśpić wyższe duchowo aspiracje i wewnątrz spętanych piorunów uwić gniazdko swego małego używanka, trochę wyższej marki niż tych zwierząt — ot co. Tak myśleli jedni, a inni, ukazując na ciągły spadek produkcji i wzrastającą pod płaszczykami wielkich idei (tych wielkich naprawdę) nędzę robotników w państwach bolszewickich, twierdzili, że innego wyjścia jak faszyzm nie ma i być nie może. I gdzie tu racja i czy w ogóle o racji może tu być mowa? Czy to pojęcie ma sens w stosunku do tej klasy problemów?

Wszystko śmierzdziało potwornie. Jak na złość całe złogi pseudo-ludzi twierdziły, że pachnie i to nawet bardzo ładnie. Pod niektórymi mundurami (głównie członków Syndykatu) zamiast mięśni trzęsły się robaczywe flaki — nikt tego nie widział. Ale mocą dziwnego bezwładu trzymały się te wszystkie sprzeczności, jak zawieszona z tartych wszów w letniej wodzie z lekka ocukrzona. Tym trzymadłem był duch przez wielkie *D* i komunistyczne pieniądze. Coś naprawdę strasznego było w tym nie dającym się zdemaskować wysoko-etycznym nastroju wszystkich warstw, z wyjątkiem paru durniów z najwyższej arystokracji. Dobrzy ludzie mówili: „Aha — widzicie — nie wierzyliście, że wszystko będzie jeszcze dobrze”, — a mówili tak do wzruszonych pesymistów, którzy ze łzami wstrętnego rozczulenia w oczkach, przywykłych do sardonicznego zmrużenia, pytali sami siebie: „Ażaliśmy błędzili w programowym samoutrapieniu, w ukatrupieniu wszelkiej nadziei dla dobra tych przyszłych cierpiętników (bo przecież kiedyś musieli przejrzeć), którzy na razie nie chcieli widzieć otaczającego ich zła i nadchodzącej niemocy twórczej wszystkich sfer” — tak, jakby to była naprawdę wielka frajda ludzi się pół-świadomie marnymi niby-ideątkami: (odrodzenie różnych wiar, odwracalność deindywidualizacji, przewyciężenie mechanizacji przez picie mleka i czytanie Biblii, twórczość artystyczna proletariatu, pigułki zastępujące pożywienie itp.).

Jakoś nieśmiało, ze sparszywiałym nagle sercem, szedł Zypcio przez oświetlone pokoje. Łypały nań oczy portretów kniazów Zawratyńskich, z których jeden niegdyś, jeżdżąc w poselstwie do papieża, uwiózł jako żonę włoską księżniczkę Ticonderoga. Z czasem włoskie nazwisko wyparło ruskie zupełnie. Młodszy syn miał tytuł markiza di Scampi — jedyny w kraju. Właśnie przyjechał z samej granicy nocnym kurierem węgierskim z ważnymi wiadomościami. Komuniści chińscy oblegali już od wczoraj białogwardyjską Moskwę — tak twierdził lotnik, który przyleciał rano do Budy. Ale wiadomości tej nie rozpuszczano, aby nie powiększać kołysania się dna. Zresztą nikt naprawdę nie wierzył w dno. Sytuacja zdawała się bezdenną w czysto duchowym znaczeniu. Ludzie przestali widzieć realne skutki swoich czynów — chodziło tylko o towarzyszące stany psychiczne. Ale tak długo żyć nie można — ostatecznie musi skończyć się to bankructwem. „Duchowej głębi Bezdennosc” — ten dźwięk, jak „gul” potwornego dzwonu, kołysał wszystkich na wieczny sen, zaczynając od autentycznych analfabetycznych niemowląt, aż do mowłat alfabetów, o chlujnych, siwych brodach i przemądrzałych, wypatrzonych dawno oczach. Pozornie wszystko to było sprzeczne ze sobą samym — nie miało żadnej „*self-consistance*” — a jednak, cóż na to poradzić: fakty, fakty. Najdziwniejsze zaś było to, że nowa wiara (o której wspomnieli w rozmówkach swych tamci panowie w pustelni) tzw. „murtibingizm”, zaczynała szerzyć się, nie jak dotąd teozofia i inne pół-religijne wyznania, od szczytów społeczeństwa, tylko od tego właśnie falującego dna.

Dwudziestoletniego markiza nie obchodziły nic losy kraju. Wiedział, że z taką urodą jak jego, choćby wszystko diabli wzięli, on zawsze dobrze się zabawi. Ogonki kobiet włożyły się za nim wszędzie, cierpiał bowiem na tak zwany w rosyjskiej gwardii „*suchostoj*”. Cynizm całej tej rodziny przekraczał praktycznie o nieskończoność pojęcia niedoświadczonego Genezypa o życiu. Scampi, o rok od niego starszy, był czystym typem życiowca bez żadnych złudzeń i to od dwunastego roku swego istnienia. Mówiono nawet, że ma-

masza i jego... ale to było chyba już na pewno nieprawdą. „Prześliczny brunecik, ubrany w airdale’owego koloru garnitur od potomków Skwary, pół-leżał rozwalony na fotelu, chrupiąc tartinki, a nad nim stał, potężny jak dzik rasowy w ostępie otępienia, Książę papa”.

— Pan Kapen de Wahaz — przedstawiła księżna, ściskając jednocześnie w pełen obietnic sposób rękę przyszłego kochanka. Ledwo przywitali się z Zypciem tamci panowie zajęci politycznym dyskursem. A — „cóż dla nich był” ten nowy kochanek tej ich domowej matrony: matki i żony. — Niech pan siada i je. Wygląda pan na bardzo zmęczonego. Co się z panem działo od wczoraj? — mówiła z matczyną czułością ta lśniąca przekwitająca pięknnością bestia. — Czy nie napastowały pana złe duchy tych stron: Putrycy i jego przyjaciele? — Genezyp zdumiony tym oczywistym jasnowidzeniem, przerażony sytuacją, wpatrywał się nieprzytomnie w swoją kacię i zdawało mu się, że w tej przelotnej chwile pożera w krwawych kawałach, świeżo wyrąbanych z tętniącego tajemnicą wnętrza, nieuchwytnie, dalekie życie — to przez wielkie Ż. Ale widać było wyraźnie, że księżna powiedziała te słowa na wiatr, dla wypełnienia kłopotliwej pustki. Okropny gomon uczuć kłębił się w jej nieznacznie więdnącym ciele. (Najgorsze były chwile, gdy zapominała o tym wszystkim — i potem ostry ból gwałtownego przypomnienia — jakby kto ścierką brudną dał po mordzie...) Głowa, mądra jak sowa, wystawała ponad to okropieństwo, a myśli, zimne motylki-automaty, latały nad nim pozornie swobodne i beztroskie, ale każda z nich ociekała krwią, łatwo krzepnącą, niepachnącą, jakby zmieszaną z ropą — krwią, którą krwawiła się z bólu nadchodząca starość. Gdyby tak już raz przejść tę granicę i zostać matroną naprawdę! Ale, jak mówili optymiści, prędzej mur chiński stanie pod Ludzimierzem, niż się przewali to dziwne, piękne nieszczęsne cielsko na drugą stronę życia i da się zdeptać duchowi, który przecie był i jest potężnym dotąd, tylko nie miał na siebie czasu, musząc być sługą *précieuse’*owatej zorganizowanej lubieży, jaką była ta kupa rozwydrzonych organów. Od pewnego czasu czytała księżna życiorysy wszystkich występnych władczyń i najpiekielniejszych kurtyzan i tam czerpała trochę ukojenia, jak Napoleon I w Plutarchu. Ale straszna rzecz szła nieubłaganie i trzeba było oszukiwać już nie tylko ich, ale i siebie. Coś się popsulo nawet z samą przyjemnością: już nie można było tak często dojeżdżać tam, do krainy okrutnego tryumfu nad spracowanym w upadający sposób samczym ciałem, do tej zakrzepłej sfery doskonałego dosytu, kiedy to wytryśnięte z rozrodzonych głębin soki pokrywały świat cały aż po brzegi jedynym możliwym sensem: osiągniętego maksimum tajemniczej w istocie swej, bydlęcej rozkoszy. O, dobre to były czasy, gdy po prostu nie zlazily z niej te dranie, ciągle inne, w jądrach swych istot niedosiężne, rzygające duchem w otchłanie wszechświatowego nonsensu, potężne i dumne, a tak zmarmeladowane, ukatrupione w tej sferze, z której tamto wszystko płynęło. I właśnie tym, ją, z dziką rozpaczą, w upadku, a jednak z potęgą... Wzdrygnęła się. Oto ma teraz taki kąsek i w dodatku do wściekłości doprowadzający tą przeklętą młodością, która jej samej wymykała się na zawsze. Tak — jeśli teraz zdarzył się obiekt odpowiedni a przy tym małe piguleczki Dr. Lancioni — ha, wtedy działo się coś wprost piekielne-go... Tak była straszliwa rozkosz, spotęgowana do niewytrzymania samobójczą ponurością ogólno-życiowego tła: może to już ostatni raz i trzeba będzie zostać starą wyranżerowaną „*bas-bleu*” do końca dni swoich. Ta myśl stwarzała, nieprzeczuwane nawet w rozkwicie młodości, głębie dziko-niesamowicie-rozkosznego zatracenia — raczej była to tortura — a nie! — w tych terminach opisać tego nie można! — niechże się raz zacznie dziać to (to, to, to samo niepojęte) naprawdę, a wtedy, w rozpalonym wnętrzu, zdającym się być ogniskiem wszystkich potęg świata, znajdą się może słowa, zdolne na wieki zatrzymać ulatującą chwilę wcielonego cudu. I to w taki sposób...!

Beznadziejność. Genezyp, okrutny w swej bezświadomości, piękny młodzik, w zmieszaniu najwyższym napychał swoją śliczną buzię tartinkami, żuł je nadmiernie długo i potem papka bez smaku nie przechodziła mu przez zaschnięte i ściśnięte gardło. Księżna, która zdawała się być obecna wewnątrz jego ciała, w najskrytszych fibrach, a nawet w środku poszczególnych komórek, powiedziała: (nie: — duch jej unosił się w przestrzeniach między-komórkowych, jak materia żywa wyższego rzędu między gwiazdami, dla której struktury, nasze systemy gwiazdne są tylko punktami zaczepienia, podobnie do elektronów, w stosunku do naszej własnej żywej substancji) — a więc to metafizyczne bydlę powiedziało, a głos był czysty jak srebrny dzwonek i padał z wysoka, gdzieś z krysz-

tałowych zimności międzyplanetarnych wyżyn (czy nizin): — Niech pan popije — inaczey nie przejdzie. — I zaśmiała się dziecinnie, zdrowo, ładnie, jak grzeczna dziewczynka. Ach — cóż to był za grzeszny potwór! Głupi Zypcio nie mógł tego nawet w przybliżeniu ocenić. Czemu to w ogóle jest tak głupio urządzone, że nikt nikogo w porę ocenić nie może = suma liczb lat płciowej pary musi być mniej więcej równa 60: on 50 — ona 10, ona 40, on 20 itp. (Teoria tego samego Rusina, który wymyślił taylorzację erotycznych stosunków). Żeby taki właśnie przekwitający kwiat, jak ta dziwna klempa, mógł być do głębi zwartościowany przez jakiegoś prawdziwego znawcę tej właśnie sfery! (Czyż jest coś wstrętniejszego jak seksualne znawstwo?) Ale nie — taki pan jest już wtedy do niczego, albo też ma manię askezy, czy coś podobnego, albo lata za głupimi podlotkami, ucząc ich jakichś idiotycznych sztuczek z młodości. Ach — teraz nawet i to się zmieniło. Jakiś nieład zapanował w całej tej hierarchii i ogólne odwartościowanie wszystkiego. A na to wkraczał tryumfujący duch, chyba ostatni raz już przed ostatecznym zapadnięciem się w nicość. Oczywiście w Polsce, w tym „przedmurzu”, broniącym wszystkich i siebie przed najistotniejszymi przeznaczeniami, miała się rozstrzygnąć ta walka. Narody, jak i pewni ludzie, mają swoje przeznaczenia (ale nie w znaczeniu konieczności) i misje. O ile dość długo da się komuś pożyć, to ostatecznie (o ile nie staną mu na przeszkodzie tego rzędu potęgi i wypadki jak: uwięzienie, obłęd, utrata pewnych członków, itp.), dokona swego — może w pewnej deformacji, w karykaturze, ale dokona. Zahamowany w swej ekspansji przez tę „przeklętą Polskę” Wschód, w dziwnej jak na siebie ultra-zachodniej transpozycji społecznej, w nieprzetrawionej, na surowo zzutej formie, nareszcie zaczął rwać się na Zachód. Otworzył mu drogę komunizm. Buddyści w ogóle konsekwentniejsi byli zawsze od chrześcijan, a od taoizmu do socjalizmu też niedaleka droga. Pozornie arystokratyczny konfucjanizm także łatwo dał się transformować w wymiary europejskiego idealizmu społecznego. A przede wszystkim, w związku z tłem głęboko metafizycznym ich świadomego istnienia, tym żółtym diabłom nie chodziło tak o żołądki i chamskie używanie życia: u nich cała ta przemiana połączona była z dążeniem do wewnętrznej doskonałości. Duchowe hasła nie były „płaszczkami” — ci ludzie naprawdę mieli wizję innego świata ducha — może nieosiągalną, może dla nas niezrozumiałą, ale mieli. Ale cóż: zarażeni problematyką Zachodu, nieznacznie, sami o tym nie wiedząc, coraz bardziej tracili pierwotny charakter nadczłowieczego rozpędu — lada chwila brzuch mógł wyrosnąć ponad ducha. Na razie był to rzadki wypadek, że masa była dosłownie przepojona tym duchem, którego po same gardła mieli jej przywódcy: nie chodziło o zaspokojenie potrzeb materialnych, tylko o nowe możliwości wewnętrznego rozwoju, który w Europie stał się od lat dwudziestu zupełną fikcją — przestano nareszcie wierzyć w baśnie o nieskończonym postępie — człowiek biały zobaczył zagradzającą ścianę w sobie, a nie w naturze. Czy wiara chińska była omamieniem, czy opierała się na innych danych psychicznych? Pesymiści, najhardziej zażarci, twierdzili, że jest to tylko pewne ograniczone co do miejsca i czasu opóźnienie ogólnej niwelacji wszelkich wartości indywidualnych — po czym nastąpić miał tym gęstszy mrok społecznej nudy i metafizycznej codzienności. A od spodu, od kości, od tej warstwy pierwotnej, od strony tej „największej biedoty” zaczęło się coś „psować i psować” — (jakież słowo jest tu możliwe? — „psuć” nie daje tego odcienia, o który chodzi, a tamto jest wprost wstrętne). [Ciekawa rzecz, czy inne języki posiadają (dla ich „jednorodców”) słowa, mające tego rzędu „wstrętliwość”, co niektóre wyrazy polskie?] Był to dowód oczywisty, że na *dostatecznie niskim poziomie zewnętrznej dziedzicznej kultury* nie da się przy pomocy zapchania żołądka i uszu (radio) i zastosowania pewnych środków lokomocji (auto), zabić ideotwórczego podłoża natury ludzkiej. Dowód oczywisty był też w samym istnieniu państw zachodnio-bolszewickich. Ale to dla niektórych „głębiarzy” był eksperyment „na krótki dystans”. Mimo głębokiego zanarkotyzowania „Duchem”, męczyła wszystkich powolność społecznych przemian. To bydlę wyższego rzędu (społeczeństwo) miało czas — jako całość oczywiście. Co je obchodzić mogło, że giną w torturach jakieś wyrzucone odśrodkową siłą odpadki, a nawet same elementy miąższu centralnego, istotnego? Co kokainistę obchodzi, jak się czują poszczególne komórki jego mózgu?

Markiz Scampi „sipal” likier przez zęby, słuchając biadań ojca:

— ...bo żeby to była naprawdę siła, ale naprawdę, tak zupełnie naprawdę, to jest de-zor-ga-ni-za-cja. Polska zawsze nierządem stała i stoi. A ponieważ tam naokoło wzra-

stanie automagnetyzmu masy odbywa się w postępie geometrycznym w stosunku do natężania się w sobie naszego syndykatu, więc musimy ulec — nie absolutnie — rozumiesz, Macieju? — tylko w czasie. Bo reakcja nastąpić musi. Wierzę w odwracalność społeczną na kolosalnych dystansach. Bóg jest i jest władcą — oto jest prawda. I zobaczy jeszcze ziemia faraonów, tylko w lepszym stylu niż dawni, nie zachwaszczonych totemistycznymi przesadami, jasnych jak prawdziwi synowie Słońca ostatecznej wiedzy. — („O jakże bredzi ten stary osioł” — pomyślał ze znużeniem Scampi). — Nie obliczyliśmy jednej rzeczy: uzgodnienia w czasie z odpowiednimi zmianami w innych krajach. Ba — gdybyśmy bolszewizm, nie komunizm nasz, tylko rosyjski bolszewizm, gdybyśmy, powtarzam, mieli poza sobą, ha — wtedy, na tle tej immunizacji, moglibyśmy przetrzymać 10 lat spóźnionej fazy i zatrzymać na naszych karkach stu Dżingis-CHANÓW któreś tam Międzynarodówki. Zawsze mówiłem, jeszcze przed wielu laty, kiedy byłem niedoświadczonym, politycznie nieletnim pułkownikiem artylerii: wpuście ich swobodnie do środka kraju — to się oplaci na pewno: długo się nie utrzymają, a uodpornią nas na jakie 200 lat...

— O nie, papusiu — przerwał Scampi. — Nie widzi ojciec jednej rzeczy: zasadniczego braku wielkiego stylu naszych kompatriotów i tak zwanych ludzi przodujących. Myślę zarówno o ryzykownych koncepcjach politycznych, jak i o odwadze i zdolności do poświęceń. Niewola, romantyzm i polityczne tradycje doprowadziły wszystkie dodatnie jednostki do stanu potencjalnego. Przedstawiciele kinetyzmu to tyłkująca banda bez wielkich ambicji — co najwyżej z ambicyjkami — albo też tak zwani ludzie dobrzy, w rodzaju naszego wujcia Bazyla na przykład. Ich czas minął — przestali być twórczymi — byli nimi w wieku XVIII. Dzisiejszy dobroczyńca ludzkości może być pierwszoklasnym demonem — byleby był mądry — znał się na ekonomii — a o to coraz trudniej. U nas od czasów Targowicy nie zmieniło się nic. Są wyjątkowi ludzie — nie przeczę — ale że tyle zdziałać mogli, to nie zasługa narodu, tylko dziwnie szczęśliwych przypadków. Gdybyśmy Moskali wpuścili wtedy w formie bolszewizmu, to dziś byłibyśmy prowincją monarchistycznej Rosji, tej, która się kruszy już od uderzeń chińskiej lawiny. Teraz mamy jeszcze swobodę działania — możemy „wykinut’ takuju sztuku, czto nie raschliebat’ jej usiej Jewropie”. Kocmołuchowicz jest obecnie najbardziej tajemniczym człowiekiem na obu półkulach, wzięwszy również pod uwagę skomunizowaną Afrykę i już przewalające się w tę stronę państwa Ameryki Północnej. My w M. S. Z. prowadzimy politykę trochę samodzielniej niż wy, wewnątrzniczy — i mamy własny wywiad tajny.

— Maciek, bój się Boga — czyżby on chciał jeszcze teraz robić jakieś eksperymenty?

— Czemu by nie? Papa stracił teraz zupełnie całą fantazję. Osobistej fantazji w bród, a w polityce szarość, banał i tchórzostwo. To była nasza wada w ciągu całej historii — obok ulegania sugestii fałszywych tradycji. Jeden człowiek wysokiej marki u nas, po Batorym i Piłsudskim, to Kocmołuchowicz — a do tego jest jeszcze tajemniczy. Umiejętność bycia w dzisiejszych czasach tajemniczym uważam za sztukę najwyższą, za podstawę do nieobliczalnych możliwości. Naturalnie o ile tajemniczym będzie jakieś przedwcześnie zdegenerowane artyściątko, nie będzie w tym nic dziwnego. Ale stojąc w centrum żyrandolu, w ognisku wszystkich sił, będąc faktycznie tajnym rzeczywistym słońcem całej tej ciemnej sprawy, jaką jest historia ostatnich lat naszego kraju i to na pozornie skromnym stanowisku generalnego kwatermistrza armii, być przeświecłanym przez najęźsze reflektory krajowe i zagraniczne i być mimo to w tym stopniu tajemniczym — to *jest* klasa. Coraz większy rozdźwięk z tym stanowią jego manieri: jest wprost słodki. —

— U was tam, w M. S. Z., wszystko traktowane jest jako sport: wy odwartościowujecie całą powagę istnienia. My chcemy jeszcze żyć pełnią życia, jak dawniej.

— Wszystko trzeba dziś traktować jedynie sportowo i nie na serio. Ciesz się, papa, że masz takiego syna. Z twoimi zasadami byłbym dziś nieszczęśliwym, zawiedzionym niedołągą. Na samą ideę państwa należy patrzeć dziś ze sportowego punktu widzenia. Kwestii jego zachowania można bronić jak bramki w piłce nożnej, ale ostatecznie jeśli syndykaliści antyfaszystowscy zrobią gola, to nic tak znów strasznego się nie stanie. A resztą ta partia państwowców w każdej postaci, z wyjątkiem chwilowo, chwilowo zaznaczam, komunistów, z góry jest przegrana. Wiem, że mało jest dziś u nas ludzi — pod ludźmi rozumiem naszych — którzy chcą w ten sposób na wszystko patrzeć. Ja proponuję rozwiązanie Syndykatu Zbawienia i programowe, przedwcześnie pojednanie się z jakim-

kolwiek możliwym przewrotem. Wobec ostatnich wiadomości z Rosji, widać, że przyszła na nas kolej. Wstrzymywanie się od wyjścia naprzeciw wypadkom, ale wyjścia istotnego, a nie jakiegoś immunizującego szczepienia, możemy opłacić rzezią, jakiej świat nie widział. — Kocmołuchowiczowi jest oczywiście zupełnie obojętne, ile ludzi zginie — jemu chodzi o wielkość samą w sobie — choćby pośmiertną. To jest postać zaiste cezaryczna. Ale my? —

— Nie żadna postać cezaryczna, tylko nędzny kondotier. W razie czego okaże się zwykłym lokajem najradykalniejszej grupy.

— Nie radziłbym ojcu mówić tak przedwcześnie — trzeba będzie odszczekać, bo przeżyć to życie trzeba. Gdyby Kocmołuchowicz chciał robić drogę dla Chińczyków, robiłby to dawno. Podejrzewam, że pozytywnego planu nie ma wcale. Ja nie myślę ginąć za żadną ideę — życie samo w sobie jest celem.

— Wy, to młode pokolenie, macie rzeczywiście fantazję, bo jesteście śmiecie. O, gdybym ja mógł się tak wewnętrznie zmieniać! Ale wtedy musiałbym nauczyć się pluć sobie we własny pępek.

— Ideowość papy, cały ten Syndykat Narodowego Zbawienia — cha, cha — narodowego w dzisiejszych czasach! — to tylko pozory. Chodzi tylko o używanie życia przez pewną klasę ludzi, która dawno straciła do tego prawo. Ja się nie okłamuję. Papa nauczy się dopiero z oberżniętymi uszami, własnymi genitaliami w zębach, naftą w brzuchu i tak dalej.... — Zaczęli mówić szeptem. Genezyp słuchał tej rozmowy z rosnącym przerażeniem. Dwa odrębne strachy: przed księżną i głębią polityki, windowały jego poczucie jaźni na zawrotne, nieznane mu dotąd wyżyny. Czuł się niczym wobec tego cynicznego młodzika, o rok czy dwa zaledwie od niego starszego. Owładnęła nim nagła nienawiść do ojca, że uczynił z jedyne go syna swego takiej miary niedołęgę. Jak „ONA” mogła go mieć za coś, mając *takiego* potomka! Nie wiedział, że właśnie jest odwrotnie, że cała jego wartość polega na bezdennej głupocie i naiwności, przy dość dużych zresztą fizycznych danych.

Księżna patrzyła na niego uważnie. Intuicją płciową odgadła scenę w lesie — oczywiście nie co do miejsca (las) i sposobu (Tengier), ale w ogóle. Coś „takiego” zaszło w tym ślicznym chłopcu, którego właśnie chciała mieć na surowo, na świeżo, jako rozpękającego nieprzyzwoicie pączek, jako głupiego, nic nie rozumiejącego zestrachanego szczeniaka, jako biednego duszka wreszcie, którego najpierw można będzie popieścić, a gdyby, w związku z uświadomieniem pokazał rogi i pazury, trochę „stortiurować” — (jak mówiła). Tylko czy będzie miała siłę na te tortury? Nie było w niej nic z bezpośredniego sadyzmu, a do tego trochę zanadto podobał się jej ten mały — to może jest naprawdę ten przerażający „ostatni raz”. „Na starość wymagania nasze rosną, a możliwości maleją” — tak mówił do niej kiedyś jej mąż, chcąc delikatnie wytłumaczyć nienasyconej megierze po raz pierwszy, że mu jej fizycznie dosyć. Od tej to rozmowy datował się początek serii oficjalnych kochanków.

— ...najgorszą rzeczą jest rozpanoszenie się psychologizmu i przepelnienie jego na wszystkie sfery, do których wcale nie pasuje: socjologia psychologizyczna jest bzdurą — mówił stary książę. — Gdyby konsekwentnie wszyscy przeprowadzili taką zmianę w swoich poglądach, ludzkość przestałaby po prostu istnieć: nie byłoby nic świętego i nic konkretnego.

— Nawet Syndykat Narodowego Zbawienia stałby się fikcyjną projekcją zbiorowego stanu psychicznego pewnej grupy społecznych zaprzańców — zaśmiał się jadownicie Scampi. — Ale jeśli ktoś jeden ma odwagę być konsekwentnym psychologistą, tak, jak Kocmołuchowicz — a być konsekwentnym psychologistą to znaczy być *solipsystą*, mój papo — to wtedy, na stanowisku generalnego kwatermistrza nawet, można dokonać rzeczy cudnych w swej potworności.

— Tak pleciesz, Macieju, że wytrzymać już nie można.

— Ach, ojciec jest beznadziejny mamut! Nie rozumie ojciec, że nareszcie przyszła pora na krótki okres fantastyczności w polityce i to właśnie u nas. Oczywiście są to ostatnie podrygi przed pełnym uspokojeniem się — i to na żółto, po chińsku. Ci dranie pozwalają sobie na fantazję tylko w oderwaniu od życia, a w nim samym są maszynkami bez skazy i trwogi. My, ohydne, kłamliwe kanalie, przeciwnie: upospoliciliśmy się wewnętrznie tak, że przez kontrast w stosunku do naszych zszarzałych bebechów, to, co jest

najświętszego: polityka, musiało się stać czymś pozornie tak już zdeformowanym, jak przedmioty na obrazach kubistów, hyperrealistów i bylecoistów polskich, ja posiedzę tu 3 dni i jeśli w tym czasie nie zrobię z papy męża stanu nowego typu, to przepowiadam, że zginie papa w męczarniach — kto wie nawet, czy sam nie będę zmuszony tego dokonać w imię moich zasad. Ale już pół do trzeciej — trzeba iść spać.

Wstał i pocałował matkę z jakąś kocią czułością, która bardzo nie podobała się Genezypowi. Teraz dopiero poczuł naprawdę, że księżna jest stara baba — przecież to z niej tyle lat temu wylał ten piękny młodzieniec, mało co starszy od niego. Ale już w następnej sekundzie to właśnie podnieciło w nim ciekawość i uprzyjemniło strach poprzedni: znalazł punkt wyższości nad swoją przeznaczoną kochanką. Scampi mówił dalej, przeciągając się z lekka — (czyż są gorzej wychowani ludzie od polskich arysto- i pseudo-arystokratów?): — Ale zapomniałem zupełnie o tym młodym człowieku. Co on robi o tak późnej porze w naszym gronie rodzinnym? Ale chyba nie potrzebowałem się krępować... Czy to jest nowy kochanek mamy? — Genezyp podniósł się, niemy z nagłej wściekłości: „mnie śmiało traktować tu jak dziecko!” Jakieś kolce wbiły mu się w skronie, z gorącego nosa zdawał się buchać fioletowy płomień — i do tego straszny żal beznadziejny, że to teraz właśnie w tej chwili... Z boku ujrzał wszystko, jakby spojrzął na istnienie spoza jego koniecznych form: czasu i przestrzeni, raczej dwóch stron dwoistości jednej, jedynej formy. Całe życie niedościgłe, cudze aż do wycia z zazdrości, a piękne nie do zniesienia, zawiroowało na dalekim obwodzie niezbadanych wyroków. Honor, jak „brylantowy ptaszek pocieszyciel” ze snów dziecinnych, wyklął się w tej chwili z jajka, z tego ludzkiego, męskiego, po prostu. Zrobił krok, gotów do bicia zupełnie na serio. Księżna chwyciła go za rękę i wsadziła go na powrót w fotel. Przeszedł przez niego dziwny prąd: poczuł się tak, jak gdyby zrośnięty był z nią w jedno ciało. A było w tym coś rozkosznie nieprzyzwoitego... zupełnie stracił siłę. Już nie mógł widzieć jakby z boku, jak to tam wszystko jest w tym życiu naprawdę. Markiz di Scampi patrzył na niego z pobłażliwym, wszechwiedzącym uśmiechem: on wiedział o takich chwilach objawień, ale nie miał na nie czasu: za mało procentowały w jego wymiarach kociej, nieomal dziecinnej intrygi i dyplomatycznych, *bezcelowych* subtelności, a przy tym zanadto zniechęcały do życia. Umiarkowane bydlęctwo było lepsze. Stary był już myślami o setki mil stąd, w stolicy. Widział Kocmołuchowicza — solipsystę (eliptycznego syczącego jak wąż solitera w kłakach kanapowych, pełnych sadzy) w jego czarno-zielonym gabinecie, który znał tak dobrze.... Straszny to był obrazek — jak chodzenie we śnie z zapalką po podziemiach napełnionych piroksyliną. Co za nieobliczalność, co za nieobliczalność! „Jak będzie trzeba, i ja zostanę solipsystą”, pomyślał i to przyniosło mu znaczną ulgę.

— Pan nie zna jeszcze naszej rodzinki — mówił do Zypcia *marchese*. — Pod pokrywką, a nawet płaszczykiem cynizmu, jesteśmy najdoskonalszą rodziną na świecie. Kochamy się i cenimy i nie ma w nas tego drobnomieszczańskiego brudu, przypudrowanego zewnętrznymi przesądami. Jesteśmy naprawdę czysti, mimo pozorów ohydnych dla ludzi naiwnych. Zdrada jest u nas jawna i nie ma kłamstwa między nami — jesteśmy sobą, bo na to nas stać, aby się nie wymigiwać i podle nie udawać. Pan nie jest jeden, który tak myśli.

— A jednak — wtrąciła lekko i swobodnie księżna — ludzie muszą nas szanować dla innych powodów: — (zdawał się jej dziką, sadystyczną frajdę sprawiać ten wymuszony szacunek u nienawidzących ją ludzi) — pieniędzy, stanowiska męża w Syndykacie i tego uroku, który ma Maciej. On *jest* niebezpieczny człowiek, naprawdę niebezpieczny jak oswojony ryś. Adam, mój drugi, nie dorówna mu, choć jest ambasadorem w Chinach — nie wiadomo, co się z nim właściwie dzieje — taki głuptaś z M. S. Z. — ma być podobno w drodze powrotnej. Maciek jest jak te chińskie pudełeczka, które się otwiera bez końca i ciągle znajduje się nowe — a ostatnie z nich jest puste. On jest niebezpieczny przez tę pustkę — psychiczny sportsman. Ale niech pan się nie boi Macieja. On bardzo mnie kocha, a przez to samo nie zrobi panu niczego złego. Jeśli pan chce, to pana możemy wkręcić w M. S. Z.

— Ja nie potrzebuję żadnego wkręcania! Nic mnie nie obchodzą wasze głupie Emeszety! Ja idę na literaturę — jedyna interesująca rzecz w dzisiejszych czasach — o ile nie wezmą mnie do wojska naturalnie. — Znowu wstał, znowu księżna posadziła go siłą, tym razem już z pewnym zniecierpliwieniem. „Ależ jaka ona jest silna. Jestem ni-

czym. Czemu to włochate bydlę odebrało mi siłę i pewność siebie. Muszę mieć podbite oczy, jak gdybym się zonanizował”. Mało się nie rozbeczał jak ciamkacz ze złości bezsilnej i samobójczej nieomal rozpaczy.

— Bardzo sympatyczny chłopczyk — rzekł bez cienia sztuczności Scampi. — Niech pan nie wydaje przedwczesnych sądów. Możemy jeszcze być kiedyś w wielkiej przyjaźni. — Podał rękę Genezypowi i spojrział mu głęboko w oczy. Miał oprawę księżnej, a kolor czarno-bury starego. Genezyp zadrżał. Zdawało mu się, że tam, w głębiach tych kłamliwych gałek, które nie wiadomo czemu uchodzą za „zwierciadło duszy”, ujrzał swoje najtajniejsze przeznaczenie: nie wypadki same, tylko ich najgłębszą esencję, nieodwracalną istotę. Zatrząsał się w dzikim strachu. Nie wiadomo co by dał w tej chwili, aby odwlec chociaż trochę mający nadejść moment stracenia niewinności, jeśli już o całkowitym uniknięciu tego nie można było marzyć. W takich to chwilach młodzi ludzie zostają czasem księżmi lub wstępują do klasztorów na mękę całego życia. Teraz dopiero „na ratunek” (jak Bóg) przypomniał mu się chory ojciec, może umierający w tej chwili, a może już umarły. Aż mu się nareszcie przykro zrobiło, że dopiero teraz... Cóż robić? Jest się, choćby w niekontrolowanych myślach swych, takim, jakim się jest naprawdę i nie trzeba żałować tej odrobiny swobody, jaką się ma w tym potwornym więzieniu, jakim jest świat i sam człowiek dla siebie. Na dworze dał orawski wicher, przeciągle podwywając w kominku i wokół węglów pałacu. Zdawało się, że wszystko pręży się i wydyma w straszliwym napięciu, że meble puchną i szyby lada chwila wylecą pod ciśnieniem tłoczącej je, niewiadomej siły. Czekanie, zmieszane ze strachem, rozprężało się we wnętrzościach Genezypa, jak kulka waty ugniecionej z tłuszczem we wnętrzościach szczura — (jest taki dziki zwyczaj zabijania tych nieszczęsnych stworzeń, dla których nikt nie może mieć współczucia). Już nie mógł znieść tego stanu, a jednocześnie zrobienie najlżejszego ruchu wydawało się absolutną niemożliwością — a cóż dopiero tego „*mouvement ridicule*”, — (o którym słyszał) — i to w takich warunkach! Nic nie było chyba potworniejszego dla niego w tej chwili nad stosunek płciowy. I on będzie *musiał* to zrobić — to w to i tak dalej. To coś nie-dowierzenia! Z nią!! *Ab — non, pas si bête que ça!* Sama egzystencja organów płciowych kobiecych stawała się czymś niepewnym, jeśli nie wręcz wykluczonym. Tężał powoli coraz bardziej w bekształtną masę bez woli, myśląc z rozpaczą, że jeśli ona nie powie pierwsza jakiego bądź słowa, albo nie dotknie go, o teraz, zaraz, to on, Genezyp Kapen pęknie tu, na tej błękitnej kozetce, rozpylając się chyba aż w nieskończoność. Wszystko to była gruba przesada, ale przecie... Jednocześnie pożądał do bezmiaru (teoretycznie raczej) tego, co stać się miało i musiało, a jednocześnie rzęsy mu drżały z niesamowitego przerażenia: jakże to wyglądać może naprawdę to wszystko i co on z tym (z *tym* — o potęgi ciemne, o Izis, o Asztaoth!) zrobić może i powinien — to najgorsze. Czymże wobec tego były wszystkie egzaminy i matura nawet. Było to trudne jak rysunek z geometrii wykreślnej: jakiś cień rotacyjnego elipsoidu rzucony na graniastosłup, przecinający się z ukośnym ostrosłupem. Zajączał, zamyczał raczej jak krowa, z męki niewysłowionej i to go ocaliło od pęknięcia. Udało mu się spojrzeć na księżnę ukradkiem. Siedziała, sępm swym profilem ku niemu zwrócona, tajemnicza, jak jakiś ptak święty nieznannej religii. Zagłębiała w myślach, zdawała się tak daleką od rzeczywistości, że Genezyp zadrżał znowu i wyłupił oczy z podziwu. Miał pewność, że przeszedł nieznanie w zupełnie odmienny świat w sposób ciągły, a jednocześnie świat ten odległy był od tego dawnego (który trwał tuż obok) o niewymierzalne otchłanie „psychiczności”. Jakie były równania transformacyjne tego przejścia, nie miał Zypcio nigdy się już dowiedzieć. W ogóle cały dzień ten (doba), a w szczególności wieczór, pozostał dla niego tajemnicą na zawsze. Szkoda, że takich rzeczy nie można później całkować. Momenty są jasne, ale całość najgłębszych przemian, podziemny nurt duchowych przekształceń, pozostaje niepojęty, jak sen dziwaczny nie-do-przypomnienia. Od tego punktu wszystko się „skaraluszyło” — tego był pewnym: widział kiedyś dwa karaluchy tak dziwnie zczepione... Razem z pożądaniem, ordynarny strach wybuchnął z centrum wnętrzości (z tego cielesnego środka osobowości) i zalał całą istotę jego aż po najdalsze krańce wspomnień. Tak silne było poczucie dwoistości, że chwilami naprawdę czekał tego wyjścia ducha z ciała, o którym opowiadali plebsowi wyznawcy Murti Binga. Na zawsze ucieknie duch ten od strasznych spraw płciowych i żyć będzie gdzieś w świecie absolutnej harmonii, czystych pojęć i prawdziwej, nielekkomyślnej beztróski — a tu zostanie to wstrętne ścierwo, na pożarcie demonom i monstrom

z piekła rodem. Nie było takiego kraju wyzwolenia. Tego trzeba dokonać tu, wlokąc za sobą ciągle żądny szaleństw, nienasycony worek organów, piekielny futerał z surowego mięsa, w którym tkwią rzadkie, tęczo błyszczące drogie kamienie. Nie, strach nie był ordynarny — to była ostatnia obrona męskiej (tej nie wstrętnej) godności przed największym z upokorzeń: oddaniu się we władzę nieczystych snów samicy. Tylko miłość może to usprawiedliwić i to nie bardzo. Coś się tam tliło, ale to nie było *to*. Jak żyć, jak żyć? Czyż ciągle będzie szedł tak jak po linie nad otchłanią, by runąć w nią nieuchronnie po strasznych, bezskutecznych z założenia, wysiłkach. Jakimże zakutym katolikiem był Zypcio w tej chwili, katolikiem negatywnym tak zwanym. Ręce miał spocone, uszy go paliły, a wyschnięte usta nie mogły przepuścić ani jednego ze słów, nad którymi biedził się skołcały język. Tamta strona stężała też w naprężonym marzeniu, zapomniała kompletnie o jego obecności. Genezyp z bolesnym aż wysiłkiem wstał z kanapy. Był małym, biednym dzieckiem — nie było w nim ani krzty mężczyzny, a nawet gdyby, to wstrętnym by to było, bo wygląd jego był wprost fatalny. Księżna drgnęła jak zbudzona i daleki jeszcze wzrok skierowała na tę nieszczęsną karykaturę sympatycznego skądinąd zakłopotania w stanowczej chwili płciowego przełomu. Przed sekundą, w zabójczym skrócie, przemyślała całe swoje życie. Poczula, że tu jest jej kres — koniec — ten chłopczyk i dalej — albo zupełnie wyrzeczenie się i życie dalsze z tym ciągłym, okropnym niby-bólem w skórze, z tym nudnym zdrętwieniem nienasyceń w łędźwiach i głuchym cierpieniem gdzieś daleko w brzuchu — to wszystko — albo jeszcze kilka lat kompromisu — ale wtedy trzeba będzie płacić — jeśli nie wprost, to z okrażeniem, bocznymi drogami i pogardzać sobą, a nade wszystko tymi „draniami”. Nic nie pomoże już „*précieuse*’owatość” i to niby intelektualne życie. Dobrze to było jako środek omamienia tych bydląt, żeby nie widzieli już znowu tak wyraźnie wypiętych, sterczących z żądy organów. Ale samo w sobie? — „*taż to panie nuda niemożliwa*”, jak mówił ten przeklęty Rusin Parblichenko, co wszystko chciał staylorzować i koniec. O jakże wstrętny był w tej chwili dla niej mężczyzna! Nie to biedne dziecko, które siedziało tuż koło niej zmartwiałe ze strachu (wiedziało o tym), tylko *ten*, jeden w wielości jak pojęcie, ci ohydni, te ohydne włochate samce, wiecznie dalekie, nieuchwytnie, kłamliwe — „o, stokroć kłamlivsze od nas”, pomyślała. „Bo my wiadomo, że robimy wszystko dla *tego*, a oni udają, że dla nich nie jest jedyną prawdziwą rozkoszą nasycić się nami”. Spojrzała na niego, raczej na to „*coś*”, z czego miała zrobić za chwilę (przy pomocy swojej piekielnej erotycznej techniki) mężczyznę, takiego samego, jak ci, na myśl o których wzdrzygała się teraz ze wstrętu i upokorzenia. Genezyp siadł znowu obezwładniony sprzecznością, przerastającą jego wymiary aż w niesprawdzalną sferę, gdzie urojenie łączy się z rzeczywistym bytem. „*Ha, niech się dzieje wola nasza*”, pomyślała księżna. Podniosła się lekko i zwinnie. Siostrzano-dziewczyńkowatym ruchem wzięła Genezypa za rękę. Wstał i nie opierając się powłókł się za nią. Miał prawie pewność, że przesiedział godzinę w poczekalni u dentysty, i teraz idzie rwać zęb, a bynajmniej nie „*udaje się*” na pierwszą noc rozkoszy do jednego z pierwszych demonów kraju. Ale tamto było fraszką wobec tego, co czekało go teraz. „*Oto są skutki tego przeczekiwania, tego przetrzymywania*”, myślał z wściekłością. „*Ojciec, wszędzie ojciec. Inaczej bym tu działał w tej chwili, gdyby nie ta przeklęta cnota*”. Uczuł wprost nienawiść do ojca i to dodało mu siły. Nie wiedział, że cały urok sytuacji polegał jedynie na tym przeczekaniu się na wylot, na które narzekał. Gdybyż to można *być* dwiema przeciwnościami naraz, a nie tylko o nich myśleć! Cóż to byłaby za przyjemność! Niby staramy się o to czasami, ale wychodzą z tego rzeczy połowiczne, niedociągnięte. Chyba obłąd... Ale to zbyt niebezpieczne. A przy tym nie ma się wtedy pełnej świadomości...

Znalazł się w pachnącej macierzanką i jeszcze czymś nieokreślonym sypialni księżnej. Cały pokój robił wrażenie jednego olbrzymiego organu płciowego. Było coś nieokreślenie nieprzyzwoitego w samym rozkładzie mebli, nie mówiąc już o kolorach (rakowych, różowych, sinych, buro-fioletowych) i drobniejszych akcesoriach: sztychach, bibelotach i albumach, pełnych najdzikszej pornografii, od ordynarnych fotografii, do subtelnych rysunków i drzeworytów chińskich i japońskich — nienormalny objaw nawet u takiego „*bas bleu*” jak Irina Wsiewołodowna — przecież to zbieranie świństw jest wyłącznym przywilejem mężczyzn. Ciepły półmrok rozpylał się razem z nieprzyzwoitym zapachem, przenikał do kości, rozmiękczał, rozluźniał, a jednocześnie spręzał, rozbestwiał i rozbyczał. Genezyp poczuł znowu jakieś tam męskie skomlenia i nakazy wewnątrz ciała. Gruczoły

zaczynały się ruszać, niezależnie od stanów ducha. Co on je w ogóle obchodził — teraz użyjemy my, a resztę niech biorą sobie wszyscy diabli.

Księżna rozbiierała się szybko przed lustrem. Gniotące milczenie trwało. Szelest sukien zdawał się być strasznym hałasem, zdolnym cały dom porwać na nogi. Pierwszy raz widział Zypcio coś podobnie wspaniałego. Czymże były wobec tego najcudowniejsze widoki górskie. W mroku znikły drobne (drobniutkie) usterki tej przepięknej bydlęcej mordy (uśmiechającej się do niego z lustrą wywlekającym flaki uśmiechem), którą owiewał dookoła potężny duch, jak huragan szczyt jakiś niedosiężny. Pławiła się w nim, nabierając niezwykłej potęgi i jakiegoś nadziemsko-satanicznego uroku, rwącego chłopczykową duszę Zypcia rozdzierającym bólem nigdy niedokonanego życia. Cóż znaczyły, wobec tego czarodziejstwa, zauważone poprzednio jakieś tam drobne zmarszczki i leciutkie dziurkowanie przepysznego nosa. Marzenia, posągi i raj Mahometa i szczęście bycia owadem (o czym tak kiedyś marzył Zypcio) czymże były w porównaniu z tym cielesnym przepychem, dławiącym za gardło aktualną nieskończonością w olbrzymości czegoś, co czasem przecie w życiu zwęża się w jakąś szpareczkę, „pecynkę” nędzną, wobec szczytowych mamedel świata pojęć. Tylko w tym świecie jest to nieadekwatnym zlepkiem przypadkowych kawałków, odpadków całej praktyczności ludzkiego stada — tu „stoi oto, panie, jak byk przed panem” taka niezwykła piramida pozornego nonsensu, której syntetyczność nie jest zasadą, pływającą gdzieś w „idealnym bycie”, tylko czymś rzeczywistym (o jakże słowo to, przez bezecne nadużycie, straciło wszelką swoją wartość), jednolitym, bez skazy, bez dziurki, czymś gładkim jak szkło, nie dającym się niczym przebić i zanalizować — chyba po prostu sztyletem, albo pogardzaną przez 6000 lat artystyczną bzdurą. (Pogardzaną dlatego, bo inne były na to kiedyś środki: okrutne, erotyzmem przepojone religie, wielka sztuka, wielkie wyrzeczenia, straszliwe wieszce narkotyki i poczucie straszliwszej ponad wszystko tajemnicy — nam został tylko nonsens, jako środek ostatni — potem koniec — tak mówił Sturfan Abnol). Było to czymś tak prostym, jak każda jakość (kolor, dźwięk, zapach itp.) dla wszystkich, lub pojęcie dla — („he, he”) — Husserla. „I ta ludzkość, która tyle wieków [oczywiście z punktu widzenia racjonalizmu (który jak wiemy bynajmniej nie zawsze dla wszystkich [y compris najtęższe łby] ma rację)] brnęła w najpiekielniejszy nonsens religijny i pławiła się w nim po prostu z wyuzdaniem, teraz oburza się na ostatnie podrygi sztuki, nie mogącej stworzyć swego zamierającego świata form, bez lekkiego wykrzywienia „świętej rzeczywistości”, to znaczy wizji świata i uczuć w mózgu najbanalniejszego „*standard-common-man'a*” dzisiejszych czasów” — tak mówił pół godziny temu czort wie *à propos* czego, tak *en passant* ten wstrętny Maciej Scampi. To ciało, to ciało — teraz otwarła się przed zdumionymi oczami śmiałka (raczej nieśmiałka) straszliwa tajemnica drugiej osobowości, teraz, kiedy ujrzał ją spowitą w niedosiężne pięknością i materialnym oporem (chyba zmiażdżyć lub podrzeć w strzępy, w ogóle unicestwić) pożądane ciało. To wszystko to była ona, ta piekielnica. Był jak arcykapłan przed posągiem Izdy. Wszystkie wschodnie potworne mity i plugawe seksualne misteria, ucieleśnione w ten zaklęty w swej doskonałości byt, przesuwają się przez skażoną wyobraźnię młodego byłego onanisty, jako opar lubieżny, wydzielany przez to nieopisane coś, co etalowało się przed nim z takim smutnym bezwstydem. Bo księżna była smutna i ze smutnym wdziękiem obnażała swoje zabójcze okrągłości — *des rondeurs assommantes*, jak mówił jej kiedyś któryś tam z francuskich jej wielbicieli. A ogłupiałe spojrzenie chłopca (patrzyła w lustro poza siebie także), piekło jej skórę jak rozpalone płyty diatermicznego aparatu. „Dla tego szczęścia warto nawet pocierpieć trochę”, myślała biedna.

Nieznośnie olbrzymiał świat Genezypowi. I w tym ona, jak w gorączkowym koszmarze, stawała się malutka, niby pesteczka w kolosalnym owocu — oddalała się, nikła gdzieś w otchłani piętrzących się nad nim przeznaczeń. Znowu strach. „Czyż jestem tchórzem”, pomyślał rozpięty na swoim podręcznym krzyżyku Zypcio. Krzyż ten miał się rozrosnąć potem w krzyżyisko i nie opuścić go już nigdy — miał wrosnąć mu w ciało, a nawet w dolne kończyny ducha. Nie, nie był tchórzem biedny Zypek Kapen, odrobinę za późno tracący niewinność maturzysty. Strach jego był teraz natury w istocie metafizycznej — nie kompromitował rodzącego się w chłopczyku mężczyzny. Pierwszy raz poczuł Genezyp, że ma ciało naprawdę. Czymże były wobec tego sporty i gimnastyka! Muskuły tego „systemu” (jak mówią Anglicy) drgnęły i podszedł do stojącego przed nim złowrogiego

bóstwa na dwa kroki — bóstwa, z którego opadły właśnie na deseniasty dywan majtki, bardzo zresztą ładne. Ale co on się na tym rozumiał czy wyznawał. Ciało i rudy ogień tam... Nie wytrzymał tego widoku. Spuścił oczy i uważnie wpatrywał się w wielobarwny deseń dywanu, tak, jakby zapamiętanie tych perskich zygzaków było w tej chwili właśnie czymś najważniejszym. Boczna akomodacją tylko widział niższą część całości piekielnego obrazu. Tamta odwróciła się, wyskoczyła lekko z leżących na ziemi majtek i nie patrząc na niego, zdjęła wdzięcznym ruchem małej dziewczynki błyszczące pończochy. Ten błysk miał w sobie coś z okrucieństwa polerowanej stali jakiejś potężnej maszyny. Wymiary zmieniały się co sekundę — oscyloowało wszystko ciągle między brobdignagizmem i liliputyzmem, jak w peyotlowych wizjach. (Irina Wsiewołodowna nosiła zawsze podwiązki okrągłe nad kolanami). I Genezyp ujrzał jej nogi tak piękne, że żaden grecki posąg — ale co tu gadać: nogi jakby oddzielne bóstwa żyjące swoim niezależnym życiem, bose, gołe, nieprzyzwoite... Przecież noga jako taka nie jest czymś właściwie tak znów już bardzo pięknym — ale jest czymś piekielnie, najhardziej chyba nieprzyzwoitym. A tu — o do diabła! — to chyba jest cud. I że to takie jest właśnie, a nie inne, w tym przekroju uciekającego beznadziejnie czasu, walącego się w przepaść przeszłości życia — to trwa, to *jeszcze* jest — tortura pękającego od nasycenia samym sobą momentu. Genezyp spojrział w jej twarz i skamieniał. To był „anioł rozpusty” — tak: innego na to słowa nie ma: ANIOŁ ROZPUSTY, AAA, aaaa... Ta piękność, wyuzdana do granic szału, wtopiona w niedosiężność zaświatowej świętości, była czymś nie-do-znie-sienia. I to w połączeniu z tymi nogami i tym rudym, wirowatym kłakiem, kryjącym obrzydliwą tajemnicę początku. Czyż mógł stamtąd wychynąć się na świat ten przykry i piękny dryblas, którego poznał przed chwilą? Zypcio zapadł się w bezdnie tak dzikiego przerażenia, połączonego z tak cholerycznie *nieprzyjemnym* cierpieniem płciowo-ogólno-życiowym, że trząsał po prostu od środka, jak purchawka, jak pluskwa napita krwią. Nigdy nie odważy się do niej podejść, nigdy nic już między nimi nie będzie i nigdy nie odetchnie od tego nieznośnego stanu wewnętrznego obolenia aż po krańce dni swoich. Zamiast genitalii czuł jakąś bezsilną, grząską i bolesną w swym znieczuleniu ranę. Był kastratem, dzieciakiem i durniem.

— Boisz się? — spytała księżna z czarującym uśmiechem łukowato wygiętych warg, potrząsając rozkosznie grzywą miedzianych włosów. Teraz nie myślała już o tym, że było w nim dzisiaj coś podejrzanego — zapomniała o swoich przeczuciach. Straszliwa miłość wstąpiła w jej niezwykłe uda i w niespokojnym dreszczu innych przeczuć spiętrzyła wnętrzości na wywrót w jakąś chłonącą wklęsłość bez dna. Słodycz gęsta, aż do bólu rozkoszna podeszła jej pod krwawe, obolałe, tęskniące za czymś najwyższym serce: mogła wchłonąć w tej chwili cały świat, a nie tylko tego dzieciaka, dzieciucha, dzieciątko, tego chłopczyka, chłopysia, chłoptasia, tego ślicznego aniołka, już zbyczonego od męskości, który miał coś tam dla niej w spodenkach — coś miękkiego, nieśmiałego, biednego, co za chwilę wstanie groźne jak palec przeznaczenia na burzliwym, letnim niebie, przepojone nim samym (jego duszą nawet) i zmiażdży ją (to i on sam razem — o niepojęta dziwności tej rozkoszy), zabije, zniszczy i będzie się pastwić krwawym jak jej serce niedosytem, aż rozszarpie ją i samego siebie w haniebnym, upakarzającym i tryumfalnym (dla niego — sprawcy tej piekielnej frajdy) spaźmie orgazmu. *Cóż mężczyźni wiedzą o rozkoszy!* Oni, którzy robią co chcą, pośrednio zaledwie uświadamiając sobie, że to ta, jakaś ona, potęguje biernie rozkosz tę do szału, tym, że jest taką, a nie inną — poza drobnymi jakimiś uczuciami. Ale nie wiedzą nędzni, czym jest czuć w sobie we wnętrzościach własnych zgębnionego, upodłonego, a jednak wielkiego i potężnego prawdziwego jej *sprawcę*. To on to ze mną robi, jest tam — ta bezsilność poddania się obcej mocy, to jest dopiero szczyt. I do tego jeszcze poczucie upadku tamtego bydlęcia. „Ach nie, ja tego nie zniosę, ja zwariuję” — szepnęła, rwąc się w strzępy od żądz, ogarniającej całe ciało, na które ten bałwan nie śmiał spojrzeć jak zdobywca. Tak to sobie wyobrażała biedna Irina Wsiewołodowna. A jak się stało naprawdę? Lepiej by o tym nie mówić wcale. I można by nie mówić, gdyby nie pewne rzeczy, które dowodzą jednak, że tak będzie lepiej.

Teraz dopiero naprawdę poczuł Genezyp sens swego popołudniowego przebudzenia się z dziecinnych snów. (Po raz który?) Nieskończone są kondygnacje duszy ludzkiej — trzeba tylko umieć brnąć nieustraszenie w głąb — albo się zdobędzie swój własny szczyt, albo się zginie — w każdym razie nie będzie to psie życie miernot, wiedzących zaledwie

to, że są i to nie bardzo. Ha — spróbujmy. Cała rozmowa kniazia Bazylego z Benzem rozświetliła się nagle po raz ostatni, jak sklębione na wschodzie obłoki, gdy słońce przedrzeć się pod sam zachód i rzuci na nie, już zza horyzontu, swoje zamierające, malinowo-krwawe promienie. Gdzie był w tej chwili, nie wiedział. Przekroczył granice swego dotychczasowego „ja” i wyrzekł się intelektu na zawsze. Była to pierwsza zbrodnia, popełniona względem samego siebie. Starcie dwóch światów, uosobionych w tamtych panach, dało wynik równy zeru, „Życie samo w sobie” (najzludniejsze pojęcie najpospolitszej miazgi ludzkiej) otworzyło mu drogę upadku. Wyrzekając się pozornej nudy, właściwej sferze pojęć dla początkujących, wyrzekł się tym samym życia, dla którego sferę tę poświęcił. (Nie dla wszystkich prawo to jest ważne, ale iluż jest dziś ludzi, którzy *bezprawnie* postępują w ten sposób). Groźne bóstwo bez majtek i pończoch, z „czut’ czut’” obwisłymi, ale jeszcze (podniesiony groźnie palec — sam w powietrzu) pięknymi piersiami (Genezyp doznał wizji nieznanych owoców z innej planety), stało milczące, kochające, pokorne. W tym właśnie była cała groza. Ale o tym nie wiedziało biedne niewiniątko. Nie wiedział też Zypcio, jak straszliwy urok miał dla niej w tej swojej bezradności i zakłopotaniu, jak głęboką miłość, rozpruwającą wnętrzości zastygłymi w krystaliczne kolce łzami, budził w niej prawie poza pożądaniem, gdzieś aż w byłej matce, tym, że był właśnie dzieciakowatym erotycznym jełopem, bezcennym wprost okazem w tych strasznych czasach. A tu jak na złość wstręt... Jak może takie obrzydzenie do siebie po jednej stronie być ekwiwalentem tak wzniosłych uczuć do przedmiotu tego obrzydzenia po drugiej? Tajemnica. Niezbadane są wyroki, kryjące się w kombinacjach gruczołowych wydzielin. Ten cocktail zawsze może zrobić niespodziankę swoim smakiem. Ale ostatecznie wszystko to musi się skończyć raz do diabła i zacząć co innego — inaczej chwila minie, ta jedyna chwila, której trzeba użyć, *użyć* — ach...

— Chodź — wyszeptano tajemnicze bóstwo, przez zdławione żądzą gardło. (Gdzie, o Boże, gdzie?!) Nie odpowiedział nic: stężały język należał jakby do innego człowieka. Podeszła i poczuł zapach jej ramion: subtelny i nikły, a jadowitszy stokroć od wszystkich alkaloidów świata — mandżun, dawamesk, peyotl i „lukutate” czymże były wobec tej trucizny. To go podcięło ostatecznie. Mało nie zwymiotował. Wszystko działo się na opak, jakby ktoś złośliwy nastawił całą maszynę na wywrót. — Nie bój się — mówiła dalej głębokim, trochę drżącym głosem, Irina Wsiewołodowna, nie śmiejąc go dotknąć. — To nic złego, to nie boli. To bardzo będzie słodko tak razem zrobić to coś takiego nieprzyzwoitego, takiego miłego, czego nigdy nikt nie widzi i wstydzi się. Czyż jest coś piękniejszego jak dwa palące się do siebie ciała... (Znowu nie to psia-krew!), które się przenikają w rozkoszy, którą dają sobie wzajemnie... (Ten ponury schyłkowatością demon nie wiedział, jak oswoić, ugłaskać i uwieść to biedne zastrachane bydlątko. Duch uciekł, pękając ze śmiechu nad biednym, zszarganym, drżącym od „otchłannych” pragnień, starzejącym się ciałem, które teraz w półmroku, w oczach niewinnego wstrętnego chłopca, zakwitowało w nigdy niewidzianym blasku, może po raz ostatni. Cierpienie potęgowało urok chwili w niemożliwy sposób. Wszystko podlane było szarym sosem męki, w którym pływały drobne rodzynki starczego prawie wstydu, udającego ten dziewiczy, prawdziwy. Ale zwyciężyła wielkość gestu samego w sobie, a potem dopiero przyszło spóźnione odpowiednie uczucie: tajemniczy amalgamat macierzyńskiej tkliwości i bestialskiej, morderczej żądzy, to jest właśnie szczęście kobiety, o ile znajdzie się obiekt, na którym ten melanz „skrupić” można. Tak myślał Sturfan Abnol — ale naprawdę nie wie tego nikt). Wzięła go za rękę. — Nie wstydz się, rozbierz się. Tak ci będzie dobrze. Nie opieraj się, poddaj się mnie. Taki śliczny jesteś — nie wiesz, jaki jesteś — nie możesz wiedzieć. Ja ci dam tę siłę. Poznasz samego siebie przeze mnie — napniesz się jak cięciwa łuku do tego rzutu w dal, którym jest życie — skąd ja wracam, aby ciebie tam wprowadzić. I może ostatni raz kocham... kocham... — szepnęła prawie ze łzami. (Widział jej twarz płomienną tuż przy swojej i świat stawał przed nim dęba powoli, ale systematycznie. Tam, w genitaliach, trwała złowroga cisza). A ona? Biedne, zatulone w jedwabne szale puchy, zakute w cyniczną, metalową maskę, zahukane przez mądrego (jak na babę) ducha i przez kryjące swe (drobne zresztą) wady ciało, serce jej, ten kłębek niedorosłych i przerosłych, niewspółmiernych i pokiębaszonych niemożliwie (była przecie matką kiedyś) uczuć, to serce rozwierzało się całe w dzikim bezwstydie przed tym młodym okrutnikiem, w swej nieświadomości zadawanych tortur, aż wstrętnym prawie chłopcem. Chłopięctwo to dość

przykra rzecz właściwie i nieciekawa, o ile nie rozświetla jej dość wysokiej marki intelekt. Jeszcze nie rozbłysło to światło w Genezypie, ale coś się w nim tam bądź co bądź kołatało. Dziś koniec z tym. Już nigdy nie odnajdzie siebie z tamtej strony. Już się przewala po nim zło, okrutne życie, jak bestia jakaś z atlasu potworów — może Katoblepas, a może coś gorszego jeszcze — (a mógłby to być posłuszny baran przecie) już jak długie, duszące elasmosaury platyury, żądze opłotły go i wlec będą dalej w tę ciemność przyszłości, gdzie dla niektórych nie ma ukojenia, chyba w narkotykach i śmierci, albo w obłędzie. Zaczęło się *to*. — Znowu jej słowa:

— ...rozbierz się. Takie śliczne masz ciało. (Rozbierała go powoli). A jakie silne. Jakie mięskuly — to zwariować można. Tu jest spinka — tu ją kładę. Ty mój biedny, kochany impotencie. Ja wiem — to dlatego, że się przeczekał. A co to za plamka? (Głos jej zadrgał). A — zonanizował się mój chłopczyk. A to nieładnie. Trzeba było zachować dla mnie. A teraz flak. Ale to o mnie myślałeś, prawda? Ja cię oduczę od tego. Nie wstydz się. Cudny jesteś. Nie bój się mnie. Nie myśl, że ja jestem mądra bardzo — ja jestem taka sama mała dziewczynka jak ty — to jest: nie dziewczynka: ty jesteś duży chłopiec, taki silny mężczyzna. Będziemy się bawić w małżeństwo jak siedmioletni Papuasi w chatce w dżungli. — To mówiąc wyglądała rzeczywiście na małą dziewczynkę, taką, jakimi pogardzał dawniej. — Ja nie jestem taka straszna — to tylko mówią tak o mnie. Ale ty ich nie słuchaj, nie wierz im. Sam mnie poznasz i pokochasz. To niemożliwe, żebyś mnie nie pokochał, kiedy ja ciebie tak... — i pierwszy pocałunek wszechwiedzącej samicy zawałił się na jego niewinne usta i oczy obłędnie-lubieżne wgrzyły się w jego oczy, jak kwas siarczany w żelazo. Nareszcie poznał, co to za straszna rzecz są usta — takie usta i do takich należące oczu. Spłomienił się na zimno cały i zaraz ją pokochał — ale na krótko i gwałtownie. Zaraz przestał. Mimo wszystko wstrętne mu były te rozkwaszenia jego twarzy mokrym mięczakiem i te „lizi” szalone nieprzytomnego języka. Rozdwoił się zupełnie aż do dna prawie. Ale co ją to obchodziło. Zawlokła go wśród pocałunków na kanapę i mimo oporu rozebrała do naga. Buty mu zdjęła, całując gładkie, przepyszne łydki. A tam nic. Więc innego użyła sposobu: wzięła głowę jego w ręce i zmusiła go by ukłęknął, a sama rozwalila się piekielnie, jak zmora ohydna. I wtedy tę głowę i tę twarz tak pożądaną zaczęła pchać tam bez litości. A on, mężczyzna na skraju upadku, broniący siebie przed przekleństwem całego życia (szczęście czy nieszczęście to prawie wszystko jedno, z wyjątkiem niezmiernie krótkich chwilek złudzenia), mimo że już potencjalnie upadły i staczający się po pochyłości, walczył instynktem samej osobowości przeciw wielości istnień i stadu, które ona z konieczności metafizycznej tworzy. Rozrywało go wprost na wszystkie strony. Dusił się, wymiotował do wewnątrz i prychał i parskął, ujrawszy przed sobą to, czego obawiał się najwięcej. Nie miał najmniejszej chęci zrobienia jej przyjemności, nie mówiąc już o tym, jak nie doceniał tego, co danym mu było oglądać. Jakiś potwór zacieniony rudym włosem (księżna pogardzała wszelką nienaturalnością), dziwny, wstrętny, różowawy, pachnący piekłem (chyba) i świeżością morza i najlepszym tytoniem od Rothmana i utraconym na wieki życiem — to właśnie; i ten brzuch niby zwykły, a tak świętokradczo-poddańczo delikatnie wypiętrzony jak kopała jakiejś zakazanej wschodniej świątyni; i piersi jak białe dagoby, których szczyty oświetla wschodzące słońce; i te biodra, znane skądś, może z podświadomych marzeń, obce i bliskie, i takie, że nic im poradzić nie może w ich piękności i nic z nimi zrobić, psia-krew, nie można, i trwają tak na mękę i wstyd dla wszystkich. I do tego ta twarz, ta morda piekielna!... I miłość. (Wiadomo czego trzeba by, aby zgłębić to wszystko razem, w jednym pchnięciu bohaterskim i uczynić czymś poza sobą: przeszłością, czymś i dalekim, i obojętnym choćby na chwilę. Ale tam trwała dalej cisza złowróźbna, jakby na morzu na godzinę przed cyklonem). I znowu sprzeczne z „poprzednio opisanym stanem” zwały nieznanymi uczuć i wstyd palący za własne niedołęstwo (to fizyczne) i głupotę. Pustynia bezpłodnych, okrutnych przeżyć, druzgocących stworzone z trudem ośm lat życia. Tak to się urabiała nieodwołalna przyszłość w tej chwili dziwnej męki i sromu... (Co? Ohydne słowo, ale cóż jest wyższego nad wstyd, prócz tej okropności). I do tego ona, taka dobra w swoim wyuzdaniu, jak mleczna czekolada, jak bezwstydną krowa jakaś, a nie człowieczyca, samica jelenia, krokodyla, czy kapibary... Taka duża się zrobiła i ciężka, i niewygodna — w ogóle zbyt ciężka — a tu nic, jak na złość, ani jednego drgnięcia. I, zamiast uczynić to, czego żądała ona, tulił się do jej piersi troszeczkę, odrobineczkę obwisławych, ale

tak cudownych, jako „czysta forma”, że zaćmić by mogły niejedne okrągłości niejednych szesnastolatek. Aż nareszcie zniecierpliwiała się definitywnie ta cała skombinowana machina, ta tak zwana księżna Ticonderoga. I, machnąwszy grzywą w tył, podała mu znowu usta, jako coś tak bezprzykładnie nieprzyzwoitego i wstrętnego aż ze ślimaczej wprost lubieżności, że wzdrygnął się cały w nieludzkiej męce obrzydzenia w stosunku do rzeczy, której najbardziej pożądał, obrzydzenia złączonego mimo wszystko z uczuciem rozkoszy i głębokiej dumy: jednak on też całuje naprawdę. Ale właściwie nie wziął tych wspaniałych ust ten idiota. I wtedy ona wzięła go sama i zaczęła się znowu męka wymuszonych pocałunków, od których nie było już ucieczki — chyba żeby zrobić jakąś przykrość temu straszniemu, nalażącemu nań zwierzęciu. Ale tego nie chciał Zypcio za nic, mimo strachu i obrzydzenia. Patrząc by na nią mógł, taką nagą, z zachwytem dziesięć godzin nawet bez przerwy. Już kochał i to naprawdę prawie, ale dziwnie jakoś, nie tak jak matkę, ale podobnie (to straszne), to stworzenie w gruncie rzeczy dobre, które pod nim takie niewiarogodne wyprawiało szpryngle, zachwycając się przy tym bezwstydnie wszystkim tym, na co on w sobie taką małą zwracał uwagę. I nic. Flak i flak. A chciało mu się czegoś tak strasznie, że mało nie pękł — ale czego — nie wiedział. To znaczy wiedział pojęciowo — zabrakło mu tylko w środku jakichś połączeń.

Aż wreszcie znudzona, zniechęcona, zawiedziona, wściekła księżna (wiedziała, że za pół godziny przebaczy mu wszystko i da mu — może kiedyś — drugą lekcję inną metodą) krzyknęła na niego ostro, odepchnąwszy go ze wstrętem, właśnie gdy czulił się do niej lekko, z zupełnie prawdziwym przywiązaniem:

— Ubierz się w tej chwili. Późno. Jestem zmęczona. — Wiedziała, co robi: jakby go kto batem po niewinnym „liczku” smagnął.

— Chcę się umyć — dosłownie wycharczał, zraniony do głębi. Czuł, że jest bezmiernie śmieszny, a wewnątrz upokorzony po prostu i zhańbiony.

— Po czym, ciekawa jestem. A zresztą idź do łazienki. Już ja cię myć nie będę. — Wypchnęła go delikatnie, pogardliwie za drzwi na korytarz, bosego, gołego, ociekającego opuszczeniem i niedołęstwem. Gdyby był tytanem woli nawet, nic by nie mógł przeciw temu poradzić. „Ciekawy jestem, jak by w takiej sytuacji zachował się Napoleon, Lenin albo Piłsudski” — pomyślał, starając się uśmiechnąć. O — gdyby mógł wiedzieć, że tak się skończy ta noc, wolałby Tengierowi oddać się zupełnie w zawilczonej ludzimierskiej puszczy. Ale powoli wzbierała w nim jakaś złość niesamowita.

Już robił się świt. Wicher dął dalej, już ciepły widać, bo drzewa stały czarne i wilgotne i z dachów lała się woda, porywana podmuchami, jakby zakasywana w nieprzyzwoity sposób. Ten zwykły ranek, który zaczynał się teraz ni w pięć ni w dziewięć, był, po tym, co zaszło, okropny w swej codzienności, jakiejś hypernormalności właściwie. Wyprychawszy się, poczuł Zypcio na nowo pewną godność męską. Tylko ten dzień bezlitośnie wstający — o, jakże ciężko będzie go udźwignąć. Co robić w ogóle? Czy wszystko się już skończyło i on zostanie tak do śmierci jako otwarta, krwawiąca się rana? Jak dożyć wieczoru? Jak przeżyć życie? Być już tam, po tamtej stronie, gdzie w oddali czaiły się zblazowane, rasowe mordy starszych panów, którzy wiedzą wszystko. Albo nie: roztworzyć jakieś ukryte dotąd wrota od tego brudnego podwórza teraźniejszości i żeby przez nie buchnęło prawdziwe słońce wiedzy o życiu i wyjść stąd tam, tam — gdzie jednak było to *tam*? Jakieś dalekie wspomnienia bezprzedmiotowego rwania się ku czemuś wielkiemu w czasach dzieciństwa, przypomniał sobie zaiste w porę. Zaśmiał się gorzko, uświadomiwszy sobie swoje półcienie. Ale to dało mu nowy „szturch”. Nie czekać już tych chwil jak dawniej, tylko je tworzyć świadomie. Czym? Od czego wola? Jak? Zacisnął pięści z siłą, zdolną pozornie cały świat przetransformować na nowo w jego własny twór, w posłuszne mu bydło, jak suka jego, Nirwana. Rzeczywistość ani drgnęła. Tu muskuły same są na nic — trzeba jeszcze jakiejś małej, malutkiej sprężynki. Nie miał jej. Nie pomyślał nawet o swoim intelekcie, którego się wyrzekł przecie na zawsze. Jak zmienić choćby ten pałac, w którym był podłym intruzem, i tę obcą babę (nie kochał jej w tej chwili wcale) w swoją dziedzinę i swoją kobietę (nie w jakąś miłość na zawsze, nie w małżeństwo, o tym nie pomyślał dotąd, jak i o dzieciach możliwych), tylko w te przedmioty swego wewnętrznego użytku, należące do obrzędu dawnych symbolicznych kólek dziecinnej metafizyki, nad którymi dotąd panował. Jak nieznośny ciężar legł na nim świat — tylko to ostatnie kółeczko jeszcze ledwie zipało. (Genezyp Kapen — *je ne „zipe” qu’à peine* — ledwozip —

jak go nazywano w szkole). Tym kółkiem był on sam, raczej jego bezwymiarowa jaźń, ale już jakby poza ciałem. Nawet ciało jego, mimo prężności mięśni, nie należało teraz do niego. Rozłożył się na poszczególne, obce sobie, pozbawione chemicznych pokrewieństw elementy. Był tu, goły, trochę zziębnięty, we wrogim sobie miejscu, w labiryncie pokójów tej również gołej baby, która czekała na dowód jego siły, podczas gdy matczyne jej w stosunku do niego uczucia wyciekały z niej powoli, jak woda przez dziurawy garnek, (jak mleko przez rakowatą pierś). Dobrze to było i zabawne, nawet przy końcu życia na parę godzin. (Raz miała podobny wypadek, ale nie z niewinnym chłopcem, tylko z jakimś świętawym, długoletnim abstynentem płciowym). Ale jeśli tak będzie ciągle (może on jest nienormalny, o Boże?!), to to jest niemożliwe po prostu i koniec. Jeśli ten mały, przy *takich* swoich warunkach, nie zadowolni jej płciowo, tak czy inaczej, to to jest do kwadratu po prostu tragedia, trzeba będzie zastosować znowu, po raz nie wiadomo który (tylko z innych powodów) demoniczne metody, całą tę kłamliwą grę, której miała już potąd... A tu chciałoby się odpocząć trochę, pokochać tak po prostu, wyciągnąć się i przeciągnąć ostatni raz rozkosznie i spokojnie na niewinnym sercu i tęgim ciałku *sur ce paquet de muscles* tego ślicznego „chłopysia”. A przy tym, żeby ten „chłopys” bez żadnych już dopingów sztucznych wściekał się zupełnie dobrowolnie, a przy tym jeszcze, żeby wszystko to było łagodne i ciche, a jednak interesujące. Tak myślała księżna (próżne marzenia!), drzemiąc z lekka, z rozdartymi wnętrznościami, spowita w seledynowy w złote kwiaty (co za zbytek!) szlafrok, *vel*: zatulnik, leniwnik, rozmemlnik, wylegadło, zawijak. Pewna była, że to stworzonko dziwne nie ucieknie jej wprost z łazienki. Chociaż po takim wszystkim można się spodziewać: gotów chwycić jakie futro z „hallu” i drapnąć w kaloszach jej męża. Straciła pewność co do tego, jak romans ten dalej się rozwinie. A przy tym to najbardziej niepokojące zwątpienie w jego normalność w ogóle. Już nie mogła pozwolić sobie na to puszczenie się swobodnie, którego tak w ostatnich czasach pragnęła. Czujne zwierzę (takie miłe zwierzątko, jak świstak, strażnik stadka) zbudziło się w niej znowu i przeżyło się nasłuchując. Co też robi tam ten „golasik” (brrrr...) taki „cudny, gładziutki, młodziutki, a przy tym dość muskulisty i zwalisty, a taki obcawy, mimowolnie kąśliwy i niezadowolony (z takich przepychów! — co za skandal!) i jeszcze w dodatku obrażony!” Nagle drgnęła. Pierwszy raz w życiu zastanowiła się nad tym, co się z NIM dzieje, z tym mężczyzną samym w sobie dla niego (choć tego „dzieciaka” nie mogła właściwie tak nazwać), tym właśnie, będącym jej (choć w tym wypadku niedoszłym) samcem. Niebezpieczna nowość. Tak jeszcze nie myślała — chyba kiedyś przed ślubem, jako mała dziewczynka, o jakichś tam przedhistorycznych bubkach, z których killkunastu potem jako kochanków prawdziwych miała. Czy prawdziwych? Tyle czasu, życie całe, żyła bez miłości — teraz ujrzała jasno tę prawdę. I teraz trzeba będzie tę miłość (bo już wiedziała w tej chwili, że to była miłość, prawdziwa pierwsza i ostatnia) zatruć, zapługawić dawnymi, mniej lub więcej demonicznymi „*truc*ami”, całą tą straszną właściwie, a tak nieodżałowaną przeszłością, której wyrwać z siebie przecie tak na poczekaniu nie mogła. Straszliwy żal chwycił ją za serce i tam poniżej.

A tamten idiotawy chłopczyk nie przeczuwał wcale wyroków, które ciemne, tajne siły jej ciała na niego wydawały i przeżył tęgie swoje mięśnie, chcąc obudzić w sobie potężnego ducha. Na próżno. Rzeczywistość była nieugięta: to znaczy, pałac, mury łazienki, nadchodzący dzień i lasy dookoła, miotane orawskim, lutowym, odwilżowym wichrem. Potworna, przedwiosenna tęsknota niosła się w powietrzu, wciskając się aż tu, do zakamarków tego obladowanego przeszłością domu. Zdawało się, że wszystko mogło być inaczej, „a nie tak okropnie właśnie i bezsensownie”, że są gdzieś dobre światy, w których każda rzecz ma swoje rodzone miejsce i wchodzi w odpowiednie przeznaczenie, jak w futerał, i że wszystko może być jeszcze „tak dobrze, tak dobrze”. Ale na to trzeba czego? Wścieklej pracy nad sobą, wyrzeczenia się całej masy rzeczy na zawsze (to pierwszy warunek), poświęcenia bez granic, dobroci, ale prawdziwej, z serca wprost płynącej, bez żadnych pragmatycznych czy teozoficznych bzdur (a więc dobroci dziś bez zidiocenia prawie już nieosiągalnej, bez tego wstrętnego, przypominającego zaprzałość i „zaparcie stolca”, zaparcia się siebie), zabicia własnej osobowości wreszcie, wyrwania jej ze świata, aż do samych korzeni. Zostanie tylko bulwa w ziemi, pożywna dla innych bydła i ludzi, a liście i kwiaty na to tylko jedynie, aby tę bulwę utrzymać i rozmnożyć — nic więcej. A niech to...! Oczywiście *tak* nie myślał Genezyp, bo do tego jeszcze (mimo prostoty

tych myśli) zdolnym nie był. Taką była jakościowo nieartykułowana miazga, z której, pod pewnymi warunkami, mogłyby „wykwitnąć” takie słowa. I nagle błyskawica myśli wprost genialnej: przecież ona, ta baba, jest jedyną *miękką* rzeczą (i żywą w dodatku) tu przed nim, na dosięg jego rąk oddaloną (daleko w tle, jakby nawet nie za tym horyzontem losów, przesunął się obraz domu z umierającym ojcem i dziwnie obcą mu w tej chwili matką — wszystko należące prawie już do przeszłości) i zaraz poczuł, że tak samo miękką jest duchowo, a jego duch twardym młotem z innej materii, mogącym tamtą jej materię rozbić w puch i proch i stworzyć z niej nareszcie coś, choćby pierwszą podstawę dla późniejszych gmachów życia. Nie uświadomił sobie nędzy tej koncepcji. Zaszczęło w nim nieświadome okrucieństwo młodości i tak jak stał (a cóż miał innego zrobić?) goły i bosy „ruszył” do sypialni na nową wyprawę. Księżna nie zgasiła światła i nie otworzyła okiennic. Wołała w tym stanie klęski nie pokazywać się służbie, a sama zmęczona była śmiertelnie. A zresztą nie miała wcale ochoty na ten nowy dzień, który miał być dniem nowego gatunku szczęścia. W sypialni panowała dalej nieprzerwanie ta sama noc poprzednia. Zypcio wszedł pewnym krokiem, nie zwracając uwagi na trwający dalej stan bezwładu. (Dziwna figura w seledynach zwinięta na kanapie spojrzała na niego przerażonym wzrokiem i zaraz zwinęła się w kłębek, kryjąc twarz w poduszki). Po względnym zimnie łazienki między szóstą a siódmą lutowego rana (więc całe cztery godziny trwały te nieudolne bebeszenia!) ta atmosfera lubieży zapachowo-barwnej, dotykanej prawie, podziałała na wstrętne gołębienie jak nastrój zdobytego miasta na rozjuszonych bitwą żołdaków. Przede wszystkim zatrzeć jakimś czynem wściekłym i „nadmaturalnym” kompromisową obrzydliwość leśnej scenki z Tengierem i chłopczykowatych nieudolności u samego progu rajy. Nareszcie przestał sobie definitywnie uświadamiać względną starość tego babska — była ona samicą jedynie, prasamicą *à la* Przybyszewski, „cuchnęła chucią” (szalenie przykre słowa) na odległość słońca. Dzika żądza rozkoszy, pierwotna, bezświadoma, ta dwuosobowa, prawdziwa, przełamała się wreszcie od centrów mózgu ku gruczołom i runęła na wszystkie mięśnie, z fatalnym zwieraczem włącznie. Księżna nie odwróciła się, ale odczuła, że coś się za nią piętrzy. Czekala w nieznośnym zdrętwieniu karku, które przechodziło dalej ku łędzwiom i udom, rozlewając się w nich łaskocącym warem aż tam, po wiecznie głodne ognisko bestialstwa, źródło niesamowitej, niepojętej, nie dającej się odtworzyć, wiecznie nowej, ponurej, zabójczej rozkoszy. Wiedziała, że *to* stanie się za chwilę. Jak? Czy mu pomóc, czy też zostawić go samego? Żądza podpłynęła pod gardło, jak krwawa, mięsista kula z ognistymi językami, obejmującymi usta, nos, oczy i mózg od środka. Czula teraz to, co czasami przechodziło przez nią nienawistnie-przyjemną falą, gdy wczytywała się w opisy tragicznych wypadków, tortur, i beznadziejnych samobójstw, takich co to ani tu, ani tam... i nad tym wypiętrzająca się w zawrotne wyżyny przyjemność... egoistyczna, wstrętne, świńska, wyprężona, wypięta, gładka, śliska, lepka i trochę śmierdząca, i tym przyjemniejsza, tym właśnie przyjemniejsza, aż do tego zachłyśnięcia się nieskończonością w bolesnym poddaniu się druzgocącym, obcym potęgom. A wszystkim tym byli oni, ci przekłeci... Och, pasy z nich drzeć...! Ale tego jednego, przy jednoczesności wszystkich tych uczuć, kochała jak rodzone dziecko, prawie jak te stwory, co z niej wypelzły na świat, rozdierając jej uda nieznośnym, a jednak rozkosznie-twórczym bólem. Bo księżna była dobrą matką: kochała swych synów i rodziła ich kiedyś z dzikim zadowoleniem. (Najstarszy, melancholik, zabił się niedawno, drugi był w dwudziestym pierwszym roku życia ambasadorem Syndykatu Zbawienia w Chinach [nie wiadomo co się z nim działo od roku], trzeci to Scampi — to już było). Teraz miała wizję wszystkich trzech ich jako jednego ducha z niej poczętego — duch ten wcielił się w Genezypa. Ten śliczny Zypcio to był ostatni jej mamin-synek, kochana „przylepeczka”, jedyne najtajniejsze malutkie świństewko, a przy tym niewinny, a przy tym jeszcze okrutny i już włochaty, obcy, wstrętne samiec. Czymże zabije w sobie tę miłość, gdy jej nie stanie w tamtym. Ale to spowicie przeczuwanej rozkoszy w już trwającą mękę dodawało tylko wszystkiemu piekielnego uroku, jak ostry sos angielski kawałowi rozbe-fu. „Dżywne myszli”, jak nazywał takie stany stary Żyd, dostarczający różnych rzeczy do pałacu, jedyny „niższy stwór”, z którym raczyła istotnie trochę rozmawiać, przerwało jej *to* wymarzone.

Złapał ją zły za ramię i brutalnie spojrzał naga, bezwstydna gębą w jej przepiękną od tamtych myśli twarz. Żądze czepiły się jeszcze przed ciałami. Ona spojrzała niżej

i zobaczyła wszystko takim jak w marzeniu i już nie wypuściła go ze spragnionych, oszalałych rąk, kierując bez żadnych perwersyjnych wstępów całą siłą wybuchu w najtajniejszą ośrodkę rozkoszy swego przesyconego wiedzą ciała. Wszystko zazębiło się i wpiło jedno w drugie i Genezyp poczuł, że życie to jednak *jest coś*. Ona czuła to samo, ale na krawędzi śmierci, gorzej: śmierci za życia. A tamten byczek rozszalał się na dobre i sycił śmiertelne żądze: swoją i jej, stopione w jedno bezdenne morze szaleństwa. — (Jej, „schodzącego w grób starego pudła”, jak mówił sobie potem, walcząc ze swymi dla niej uczuciami). Teraz była dla niego wcieleniem istoty życia: bezczelnej, gołej, aż prawie odartej ze skóry. Niewyraźalne wyrażało się w tym zlewisku świńskich, aż do metafizyczności, rozkoszy. Potem przeszli na łóżko i ona zaczęła go uczyć. A on od tej nauki spiętrzał się w sobie i walił się potem w dół i już nie wiedział, czy żyje naprawdę w tym piekle zgadywanych najbardziej utajonych pragnień, które ona wywlekała z niego jak kiszki z bydlęcia, w tym diabelskim rozszerzaniu się horyzontu najwstydlivszych, nie-do-przyznania się, pomysłów, myśli-pająków czy polipów. Aż wreszcie runął ostatni raz w tę otchłań i teraz już na dobre. A ona, ta „demoniczna” Irina Wsiewołodowna, o której potworne plotki przetrastały wszystko, co dotąd naplotkowane w ogóle było (a nawet być mogło?), całowała, brudną oczywiście w pewnym sensie, rękę młodzika, który nawet nie wiedział, czy jest już wariatem, czy nie, pogrążony w nieme rozpamiętywanie przeżytej lubieży. Był prawie unicestwiony, ale zmęczenie to było rozkoszne jak nieznany narkotyk. Z dumą i tkliwością gładziła księżna jego miękkie, jedwabiste włosy i wdychała ich miodowy zapach, przymykając oczy jak zasypiający kot.

Była godzina ósma. Gdy leżeli jeszcze w łóżku, nie mając siły na rozstanie, pokojówka, śliczna ruda dziewczynka, wniosła śniadanie, składające się z baranich kotletów, jaj z szynką, wędzonych ryb, *poridge’u*, białej kawy i świetnego koniaku. (Księżna afiszowała się z piękną służbą kobiecą, śmiało afrontując niebezpieczeństwa porównań. Za to co do przyjmowania „pań” panowały u Ticonderogów ścisłe restrykcje). Zypcio schował się pod kołdrę. Kobiety śmiały się, szepcząc coś ponad nim. Ale mimo tego drobnego upokorzenia miał wrażenie, że zębami złapał życie za rogi. Czuł tryumf aż do kości prawie: głupi młodzikowaty tryumf: nareszcie był mężczyzną i wiedział, co ma robić dalej. O, jakże się mylił!

Potem przyszedł stary książę, w zielonym „pilsniowym” (?) zatulniku, a po chwili wpadł bez pukania, w kremowej ze złotym (co za cud!) piżamie, Scampi. Genezyp mało nie skonał ze wstydu, gdy książę rozpoczął zwykle w takich razach wypytywania. Oni wszyscy uważali się za tak wysoko postawionych, że naprawdę, ale to dosłownie, nie robili sobie z niczego nic. Zypcio słyszał spod kołdry stłumiony głos księżnej:

— ...z początku był dziwny, ale potem nadzwyczaj miły — wyjątkowo. To dzieciak prawie. Pokaż liczko, chłopczyku — mówiła słodko, odsłaniając kołdrę i podnosząc mu gwałtem twarz za brodę. — Wiesz, Diapanazy — zwróciła się do męża, z tak zwanym wylaniem — od lat, prawie od tego czasu, kiedy cię zdradziłam po raz pierwszy, nie czułam się tak metafizycznie szczęśliwa, jak dziś. Wiem, że nie lubisz tego; mówisz ty i twój, że nadużywam tego słowa — ale co robić? Jak wyrazić w innym skrócie rzeczy tak dziwne. Ty — nie tylko ty — wy wszyscy ludzie czynu, którzy zdecydowali się skreślić się jeszcze za życia z listy żyjących, nie pojmujecie tego, że wszystko może mieć jeszcze jeden wymiar, dla was nieznany. Jeden Chwistek wyraził to kiedyś, pisząc o „wielości rzeczywistości”, ale nie dociągnął myśli swych do końca i ogół uznał je za bzdurę. Nawet Afanasol Benz, który podobno — ale nie wiem, czy to prawda — pierwszy aksjomat wyprowadził po prostu z niczego, nie uznaje tej teorii. A ja wierzę, że tam musi być coś na dnie, a reszta to wina następców, którzy nie umieli rozbabrać...

— Z Moskwy coraz fatalniejsze wiadomości. Te żółte diabły mają jakiegoś generała, który wynalazł nowy sposób ofensywy. Nareszcie zbadano to. Telefonował mi adiutant Kocmołuchowicza, ten niby nasz, wiesz? Ale tego się nie nauczymy, jak koalicja nauczyła się od Napoleona jego strategii. To można podobno zrobić tylko z Chińczykami.

— Co mnie to obchodzi — ja mam jego. — (Trzymała głowę Zypcia pod pachą. Właśnie teraz dopiero wszedł Scampi).

— Niedługo może mama nie mieć nawet tego. Jutro już podobno ma być ogłoszona ogólna mobilizacja. Wojska generała Cuxhavena cofają się w popłochu na nasze linie. Moskwa formalnie wyrżnięta. Chińczycy organizują ich w zupełnie nowy sposób.

Chodzi o wyssanie białej rasy. Nie liczą się zupełnie z siłami, uważając nas za miazgę. A wszystko w imię najszczytniejszych idei: podniesienia nas do ich poziomu. A przy ich pojęciu o pracy i standardzie teje i w dodatku dysproporcji w stosunku do nas w tym względzie, rzecz to bardzo niemiła. O ile nie zginiemy, możemy być skazani na zapracowanie się na śmierć. Ciekawy jestem wtedy sprawdzenia tego, czy ideologia, dla której się ginie powoli, nie nagle, nie jest naprawdę obojętna. Przeciwnieństwem tego trzymali bolszewicy Rosję w ryzach tyle czasu. Ale to dobre dla robotarzy, przed którymi nie ma nic. Czym my możemy usprawiedliwić nasze istnienie w takim wypadku — oto kwestia.

— A nie mówiłam! Gdzież teraz ten wasz syndykalizm wyrosły z burżujskiego ugrupowania z pozorami załagodzenia walki klasowej? Gdzie wasza pseudo-organizacja pracy? Wszystko to bzdura. Trzeba było zrobić izolowaną, ale absolutnie izolowaną monarchię i zginąć z honorem bez kompromisów, jak mój car Kirył... — Scampi przerwał:

— Nie wiadomo, czy zginie. Widzę go w naszym sztabie przy boku Kocmołuchowicza...

— ...albo od razu poddać się prądowi. W ostatnim wypadku my byśmy, my, garstka ludzi prawdziwych wartych życia, wygrali na pewno, a *après nous pust' usio propadajet*. Tak, jesteśmy ordynarnie nabrani przez pseudo-bolszewicki, a *au fond* prawie faszystowski — ale naprawdę — zachód. U nas wszystko jest kłamstwem...

— Cicho! Takich rzeczy głośno się nie mówi. Otóż mama, z jej talentami, wygrałaby na pewno, choćby jako kochanka chińskiego szefa sztabu głównego, czy kogoś tam — ale nie my: mężczyźni. Oto błąd dzisiejszej arystokracji, a nawet pewnego odłamu zakutej burżuazji, to ten aprenudedeluzizm. Dlatego wszystko trzymało się przez cztery tysiące lat, że dawni wielcy panowie umieli patrzeć na daleki dystans i teoretycznie przynajmniej mieli wieczność przed sobą. Odkąd znikła ta wiara, zaczęło się całe zło i mob od razu podniósł głowę. *Głowę* — o to chodzi, a nie zadek, którym wierzył dawniej w uprzęży. A jak raz podniósł — przypadło — z tym się zgadzam. — Mama ma rację: trzeba było iść naprzeciw, ale na to trzeba mieć... honor — he, he... To robi Kocmołuchowicz za nas, a my zostaniemy na lodzie.

„Oto tak się robi polityka — tacy ludzie ją fabrykują! A gdzież jest rzeczywistość?” — myślał dojrzały nagle pod kołdrą Zycio. (Dobry był to inkubator dla takich duszków to osławione i zniesławione łono Iriny Wsiewołodowny). I rzecz dziwna: *jednocześnie* — oczywiście w „*tle zmieszany*” (uświadamiał to sobie naturalnie po kolei) czuł się przynębnym, zmarmeladowanym, małym — aż pociowo-niewygodnie było mu w samym sobie od tej własnej małości, mimo tylko co dokonanego gruntownego nasycenia się, za wszystkie czasy chłopięcych pokut bez winy — taką bolesną była ta małość w stosunku do niezmiernych otchłani nieosiągalnego: wiedzy, stanowisk, wpływów, władzy, tego sylenia apetytów w stosunku do siebie samego i innych. Jeszcze dziwniejsze, że nie pomyślał o ojcu, który też był kimś przecie i też pobabrywał się od czasu do czasu w politycznej kloace. To nie było *to*, te „wartości domowe” — tylko obce walory mogą tu być istotne. I jednocześnie wiedział, że ten o rok od niego starszy Maciek Scampi to zwykły żuizer i gówniarz, wstrętny soliterek w rozkładającym się ciałku dawnej Polski (co siebie samą teraz po śmierci przeżywała) (a iluż jest takich?!), „*un simple „gouveniage polonais*”, jak mówił szef wojskowej misji francuskiej, generał Lebac, który po wybuchnięciu bolszewizmu został na służbie u nas, w usługach „prawdziwej demokracji”, jak się ostentacyjnie wyrażał. „Ach, ty drogi naiwniszu, ty zamaskowany przed sobą samym służko jakiegoś naszego, opasłego burżujskiego brzucha, pod płaszczykiem pseudo-solidaryzmu i naukowej organizacji”, — [*oh, vous autres, polonais, n'est ce pas — mais tout de même la démocratie, la vraie démocratie, est une et indivisible et elle vaincra*] — tak myślał mimo woli już zupełnie szczerze Erazm Kocmołuchowicz, z którym Lebac „współpracował” (?) [kudy jemu było do genialnego Kocmołucha!] nad „ocaleniem ludzkości” przed „kulturalną katastrofą” chińskiego najazdu. Kocmołuchowicz rzygał już tymi pojęciami. Chciało mu się prawdy, ale takiej krwawej, dymiącej, drgającej — nie tej, którą karmił go publicznie Syndykat Zbawienia i do niedawna, prywatnie, jego żona, chuderława, ale piekielnie dla takiego czarnego, ścięgnistego kwatermistrzobyka ponętą blondyneczką, Dziedziarską z domu, podobno aż galicyjską hrabianką. Ach ta jej prawda! Były to otchłanie irrealizmu: „pantozofia”: synteza wszystkich nauk (odpowiednio zdeformowanych — czysto pojęciowe konstrukcje poszczególnych działów, stworzone dla wygody stawały się w tym

ujęciu najdziksą ontologią: tak *jest* i koniec) i systemów: od totemizmu do logiki Russella i Whiteheada (o Benzu nie wiedział pies w tych czasach). Aż nareszcie stał się cud na ziemi: zjawiał się Dżewani, wielki wysłannik Murti Binga... Miał jeszcze inne antidoty kwatermistrz — ale o tym później. Wiedział o tym wszystkim powierzchownie „*marchese*” Scampi, ale jego polerowanej główki nie czepiała się żadna dziwność wyższego rzędu — „*typical polish and polished excremental fellow*” — jak go nazywał angielski kolega Lebacca, Lord Eaglehawk. Międzynarodowa banda ta dawno już „mierzyła” Kocmołuchowicza. Ale czekał odpowiedniej chwili z cierpliwością prawdziwie silnego człowieka, sam nie wiedząc właściwie nic, co miało nastąpić. W tych czasach umieć czekać było największą sztuką. Tylko te myśli, te „dzywne” myśli... Nie mógł się im opędzić kwatermistrz i chwilkami czuł, jak ktoś w nim myśli za niego (nie pojęciami, ale obrazami raczej) i dochodzi do nieodparcie narzucających się wniosków. Czasem nawet zupełnie wyraźnie uświadamiał sobie obecność kogoś drugiego w pokoju, w którym on sam jeden jedynie był na pewno. Zaczynał mówić coś, aby przekonać tamtego i przekonywał się, że nie ma i nie było nikogo i że on sam nie wie właściwie, co mówił. Obrazy rozwiewały się i znikaly, nie pozostawiając żadnego substratu, swądu czy osadu, po którym można by poznać treść tych tajemniczych kompleksów podpojęciowej sfery świadomości. Bechmetiew radził jechać choćby na mały urlop do Żegiestowa do sanatorium potomków słynnego doktora Ludwika Kotulskiego, ale czasu nie było na to ani sekundy. Ha — gdyby wiedzieli o tym wrogowie i niedowiarki! Już — znowu łóżko księżnej Ticonderoga. Genezyp podmyślał dalej skrycie, schowany pod koldrą. (Buchalo zwierzęce gorąco i niesamowite, drażniące zapachy, ale teraz nie podniecało go to już zupełnie — czuł się tylko mężczyzną, takim prawdziwym bykiem, „panem” i dżentelmenem i nie czuł, jak jest w tym wstrętny i niesmaczny). Mimo to wstydział się bardzo, że ten Scampi, to intelektualne zero i cyniczny karierowicz, „ta zimna glista w rozkładającym się, jeszcze od saskich czasów rozpuszczonym polskim brzuchu”, jednak mu imponuje. Jak to się to robi, ta tajemnicza, niedosiężna polityka? Czy to nie jest czasem tylko wszystko jeden olbrzymi głupi *au fond* „bajc”, jakiś sprycik trzeciego rzędu, podła znajomość ludzi, zręczność w małych świństewkach na pograniczu zbrodni. Mimo całej „impozycji” zmalowało Zypciowi wszystko to, co tak niedawno za wielkie, prawie święte, uważał. A od tego zmalenia świat cały powlókł się ordynarnym pokostem chamskiej, proletariackiej nudy i cierpienia. Oczywiście racji Zypcio nie miał, ale kto tę rację miał, zadecydują dopiero doskonałe, ustalone w swym idealnym, osiągniętym drogą eliminacji, ustroju, pokolenia, za tysiąc, czy więcej, lat — zadecydują, o ile znajdzie się między nimi ktoś, kto o tak dalekiej przeszłości myśleć jeszcze będzie. Nie — naprawdę polityka nie należała u nas do najszlachetniejszych zajęć w tych czasach. Chyba tam, na Dalekim Wschodzie, gdzie tryskały nowe idee (niektórzy „spłyciarze” mówili, że wszystko to już było, nawet w tych samych Chinach — ale co do kroćset? czyż nic nie ma istotnie nowego na tej galce — położyć się i zdechnąć), może tam w tym kotle twórczości była czymś, co miało rację bytu, choćby jako zło konieczne, uboczny produkt gigantycznej transformacji zakutych żółtych łbów — polityka wewnętrzna — bo zewnętrzna była w pełni pozytywnego działania i to sposobami nieznanymi ludzom Zachodu: wyznawcy Murti Binga (i ich dziwny narkotyk: Dawamesk B2), robili swoje, powoli, ale na pewno. Ale o tym później. Bo ten cały, wicie, europejski „bolszewizm” (Lenin by umarł po raz drugi, żeby go zobaczył) to było tylko dopalanie i dodymianie się gruzów i pogorzeliisk. A o nowych ludziach, w dawnym znaczeniu, jakoś nie było słyhać nic. Tylko ze stosunkowo nowopowstałych społeczeństw: Australii i Nowej Zelandii, mogłoby przyjść odrodzenie. Ale spóźniło się i za nas zrobią to ci przekłeci mongolowie (zupełnie inaczej — o, grubo inaczej *dla nas*), którzy nigdy się nie śpieszą i zawsze mają czasu w bród. Nie śpieszyć się jest dziś największą mądrością. Cóż kiedy europejski proletariat *nie ma czasu*. Ale proszę spróbować (nie będąc Chińczykiem) żyć w smrodzie, brudzie, wszach, pluskwach i prusakach, w głodzie, zimnie i zupełnej beznadziejności na odległość co najmniej swego pokolenia i pocieszać się myślą, że kiedyś za trzy pokolenia może, pewna grupa świetnie odżywionych i czystych (i równie co prawda beznadziejnie wyspecjalizowanych i zapracowanych) naukowców i kapitalistów, dojdzie do zrozumienia, co i jak potrzeba, i zrobią domki z ogródkami, radiami i biblioteczkami — ale co *nam* z tego przyjdzie, nam, którzy jesteśmy i do końca życia będziemy nawozem tylko? Czy nie lepsza jest walka, niż taka psia egzystencja — walka ideowa, może

bezrozumna, ale nie gnicie w rozpacz bez cienia nadziei. Proszę to zrozumieć do cholery ciężkiej. Czy nie lepiej od razu żyć może tak samo nawet jak pierwej, ale według jakiejś idei i z poczuciem twórczości, choćby szalonej i dzikiej, ale *twórczości*, a nie dreptania w diabelskim kieracie dzisiejszej produkcji. Cóż z tego, że ta idea doprowadzi do tego samego: *pewnego ograniczonego dobrobytu, poza który ogół nie wyjdzie*, nudy i szarzyzny — („mucha nie siądzie” — jak mawiał zoolog Janusz Domaniewski.), ale stanie się to *od razu*, bez tego szatańskiego czekania. O — dobrze wam o tym mówić, panowie „elityści” — ale my chcemy tego teraz, co wy macie od dawna. „Konsumcyjna polityka wewnętrzna”? — spróbujcie tyle „konsumować”, co my. A zresztą nic nie pomogło i Ameryka i cały Świat Stary, pozornie „sfaszyzowany”, przeszedł na bolszewizm, mało od faszyzmu się różniący, ale przeszedł. A więc idee... To były te dziwne myśli Kocmołuchowicza kawalerzysty i paru jeszcze innych bubków wyższej kategorii. Ale o tym sami nie wiedzieli — mieli to dane w formie nieartykułowanego pojęciowo gąszczu. „Jak tu robić kryształ z gówna” — mawiał czasem do siebie generalny kwatermistrz i zamyślał się głęboko, bezprzedmiotowo. Kiedyś indywidualna polityka była czymś, a znajomość ludzi nie była świństwem. Dziś politykierstwo partyjne, z wyjątkiem czysto-ideowego maksymalistycznego szaleństwa w imię brzuchowej podstawy dla urojonego rozwoju ducha, jest tylko zamydleniem oczu sobie i innym pojęciem demokracji i niezależności narodów. Dobrze to było, jak się tworzyło: wtenczas wierzyli wszyscy, że jest to ostatnia prawda — dziś zostało tylko kłamstwo. Dlatego to bezprzytomna walka na ostatnim pinaklu uspołeczniającego się tłumu, walka z panowaniem pieniądza, jest czymś realnym, a reszta to tylko lawirowanie wzajemne tegoż pieniądza i demokracji, triuki i triki, podstępny i posunięcia, gra w pokera z „bluff”em” na wielką skalę — rzecz nieciekawa sama w sobie, chyba z historycznego punktu widzenia. Ale jakim cudem utrzymywała się ta polska koloidalna wyspa, wśród krystalicznych procesów organizującej się wokół masy — nikt nie wiedział — pr. „Polska inercja”, „polska indolencja”, „polski brak wszystkich możliwych cnót”, — mówiono — ale wszystkie wyjaśnienia te były niedostateczne, mimo pewnej dozy słuszności w nich zawartej. Był to historyczny cud — ale czyż nie było już kilku takich cudów w historii? Na przykład: gwałtowność rozprzestrzenienia się chrześcijaństwa, trwałość bolszewizmu w Rosji, sam fakt istnienia do tak niedawna niepodległej i niezrewolucjonizowanej Francji, albo choćby tak długie trwanie wiary w mesjanistyczną misję Polski. Nie — nie wszystko da się wytłumaczyć historycznym materializmem — prawa fizyki są tylko wynikiem zsumowywania się wielkiej ilości wypadków dowolnych i tę pseudo-konieczność przybliżoną wywraca się na odwrót, stosując absolutnie jej prawa do wielkich kompleksów społecznych *par excellence* w sumie dowolnych w naszym rządzie wielkości. Dowolność jest bezpośrednio dana dla każdego ruszającego się stworu — jest faktem pierwotnym — opór stwarza poczucie ograniczeń i konieczności względnej, przy pewnych warunkach — konieczność absolutna jest *konieczną* fikcją przy eliminacji abstrakcyjnej w granicy Istnienia Poszczególnego, czy w ogóle stworów żywych. Dostyc. Związek w ogóle to nie absolutna, graniczna w rzeczywistości, przyczynowość fizyka. Gdzie wielka ilość jednakowych, jednokierunkowych dążeń przypadkowo się zsumuje (co przy bardzo wielkich ilościach i małości elementów, w wymiarach dla nas astronomicznych i chemicznych jest wykluczone), tam powstaje historyczny [a nawet indywidualny] cud, taki sam, jak cud dokonania jakiegoś, połączonego z piekielnym wysiłkiem woli, czynu pojedynczego człowieka. — Dyskusja rodzinna zamierała powoli:

— Pokaż się, syneczku — mówił do Genezypa, przez złociste atłasy, stary książę.

— Pomyśl, co za skala przeżywania: oto ostatnie, przedśmiertne kurcze dawnego świata i my tu wszyscy tak i w ogóle, wiesz? — to niewyraźne — ona ma rację — metafizyczne

— w głowie się mąci — to wielkie słowo — ona zawsze ma rację: pamiętaj — słuchaj jej więcej niż rodzonyj matki, a wybrniesz z tej matni szatańskiej, z życia. Wiem, kim ty będziesz, moje dziecko, i przyznam się: nie zazdroszczę. My jeszcze bądź co bądź użyliśmy ostatniego, wymykającego się kaska rzeczywistości w tej naszej izolacji. Wszystko, co nastąpi — to majak.

Genezyp, ocieplony moralnie łagodnym tonem starego, wysunął zawstydzoną główkę spod kołdry. Księżna gładziła go bezwstydną dłonią po włosach, mówiąc:

— Zrobimy z niego jeszcze kogoś. W domu nie miał nikogo, który mógłby go spreparować. To będzie ostatni czyn mego życia — w polityce jestem już do niczego. — Zypciowi zachciało się szalenie przeciwstawić siebie tej bandzie cieni, „tańczących swój makabryczny taniec na cielsku uśpionej Polski”. Jeszcze nie wiedział, kim będzie, choć noc ta dużo dała mu w tym kierunku samouświadomienia. Ale ładny pejzażyk i małe uczuciutka, i wstyd dziecinny, i prężąca się napoczęta męskość, a nade wszystko to poczucie, że on jest *stad-dotąd* i choćby pękł, nie przekroczy pewnych granic, nie były jeszcze dostateczną podstawą do bardziej określonych działań. Czuł dziwny zamęt (innego gatunku niż poprzednie) (ktoś przemeblowywał mu głowę bez udziału jego woli) i jakby wszystko było *nie to* (ale inaczej niż dawniej: była w tym utajona groza — jakby świat cały, odrzeczywistniając się, mógł się zamienić w potwora ze snu, którego potworności znieść nie można — tylko tam można się obudzić, a tu *cały* świat i — pozostaje chyba śmierć, albo jeszcze „chybiej” to coś, o czym Zypcio słyszał i czego nie rozumiał, a jednak *bał się tego, nie wiedząc, czym to jest*: obłąkanie. Widział kiedyś epileptyka na ulicy i pamiętał ten strach swój wiążący się z zoologicznym ogrodem i dziecinnym onanizmem, strach połączony z przyjemnością prawie płciową: jakby jądra łaskotane *od środka* unosiły w górę ciała, pozbawione zmysłu równowagi: — podobnego wrażenia doznawał na wysokich wieżach i balkonach, mimo że w górach nie bał się ani trochę). Od świata oddzielała go jakaś przezroczysta, a nieprzewycięzalna zaporą tej groźnej dziwności — wszystko wydawało mu się przez nią z lekka zdeformowane, ale gdzie i w czym była ta deformacja, nie można było się dopatrzeć. Czym przebić te zwaly gęstego jak smoła a nieuchwytnego oporu; jak zobaczyć to coś prawdziwego (musi gdzieś być coś takiego, inaczej świat jest świństwem i można by go Bogu odrzucić jak brudną ścierkę, której się nie chce dotykać — ale za to jest kara śmierci) poza tą trójką widm — nie: czwórka — on sam był przecie jednym z nich. Życie powiało na niego śmiertelnym strachem: nie on się bał, tylko cała przyszłość uciekała przed nim w popłochu. Zapragnął znowu czynu. A przede wszystkim dognać te wymykające się czarcie ogony, lejce, czy po prostu zwykłe sznurki, i złapać wszystko na nowo. I taki goły jak był, skoczył na środek pokoju i, porwawszy swoje zmiętoszone ubrania z fotelu, rzucił się ku łazience. Stary aż zamrugał powiekami ze zdumienia i bezradnie poruszył bezzębnymi szczękami. A *marchese* roześmiał się szeroko swoim bestialskim a subtelnym przy tym chichem.

— No — rzekł, wstając. — Ciężki orzech ma mama do zgryzienia. Ale mama zgryzie, zgryzie. — (Do ojca) — No — do roboty, stary. My — mówił znowu do księżnej, która nie drgnąwszy z melancholią patrzyła w nieskończoność — założyliśmy z papusiem „*Krużok samoopiedielienja*” — jak ci idioci w Rosji, co to nie wiedzieli, kim są. Takie czasy, że nawet my, takie wszechświadome gady, takie hyperinteligentne chrząszcze-trupniki, musimy się samookreślać. To taka intelektualna masturbacja. Jeśli ktoś bardzo mądry straci trochę rozumu, który mu jest od Boga dany, to mimo że tą resztą dziesięciu ludzi czynu mógłby obdarzyć, sam nie ruszy swojej maszyny: motor proporcjonalny musi być do całości mechanizmu. Także odwrotny wypadek jest niedobry: motor roztrzęsie wtedy swoją własną, za słabą karkasę. To zdaje się jest „*cas*” twojego nowego chłopczyka, mamo. Ale wolę już to, niż tego kuzyna Toldzia. Ta galicyjska wysoka szlachta to bardzo przykra warstwa — my kresowcy to rozumiemy najlepiej. Ale jak mama odmłodziła przez tę noc! To lepsze od masażu, co? — — Zaiste Irina Wsiewołodowna wyglądała wspaniale. Migotliwe iskry przelatwały teraz przez gałki z błękitnej emalii. Każden tłum poszedłby za nią w tej chwili, gdyby chciała — była kobietą „sztandarową” *par excellence*. A może czasem i marzyła o czymś podobnym, gdy już zabraknie wszystkiego...

— Pudziesz precz, ty, wszechwiedzące szczenię — krzyknęła piskliwie i puściła poduszkę synowi prosto w roześmianą gębę. Ubawiony markiz uchodził szybko z sypialni za przestraszonym papusiem. Niedobrze było wystawiać się zbyt długo na gniew tej nieszczęsnej megiery. „Wróci — nie wróci — teraz oczywiście: z łazienki — w ogóle wrócić musi” — myślała, zawijając się w koldrę. „Nie — teraz nie wróci — wieczór...” I zaczęła obmyślać serię demonicznych sztuczek (wariantów udoskonalonych doświadczeń dawnych), którymi, w razie silnego oporu, miała go opanować doszczętnie. Taka była jej metoda zawsze. Matczyne migdalenia diabli wzięli. Gdyby jakiś notoryczny impotent mógł widzieć ją w tej chwili i czytać jej myśli obrazowe bezpośrednio, uleczyłby się momentalnie z całej swojej niemocy — tak piekielne były to rzeczy. Co za szkoda, że

takie historie giną bez śladu, jak zginęły zresztą wszystkie pijane improwizacje Tengiera, Smorskiego, Szymanowskiego i tylu innych. Głuchy huk ciężkich drzwi wchodowych zamknął wątpliwości w pewność pierwszej klęski. Dziesięć lat temu jeszcze — nie śmiałyby — a teraz...? Starość. Zaczęła cicho, rozpaczliwie płakać — jak nigdy jeszcze.

POWRÓT CZYLI ŚMIERĆ I ŻYCIE

Zatulony w potężniejszą zamieć rwał Genezyp lasami na przełaj w kierunku domu. Bardzo był zadowolony z dokonanego „czynu”, czyli raczej „wyczynu”. Wyczyn ów urastał mu we wspomnieniu do gigantycznych rozmiarów, nabierał znaczenia wzniosłego symbolu potęgi, woli i twardości charakteru. Było już wpół do dziesiątej. Wyszedł nareszcie z lasów i począł brnąć wzgórzami po nawianym na szreń śniegu. Przez tumany nie widać było zabudowań dworskich, „i tak wpółzakrytych huczącymi od wichru parkowymi drzewami”. Minął ponure browary, z których wysokich pylonowatych kominów (cała potęga ojca była w tym symbolicznie zawarta) buchał czarny dym, łącząc się z zamiecią w fantastyczne, żałobne welony. „Żałobne” — szepnął sam Zypcio i złe przeczucie ścisnęło go w dołku jak złośliwy karzełek w nim samym żyjący. O tej nocy, księżnej i dalszym życiu nie myślał w tej chwili nic. Nareszcie dopadł domu.

— Jaśnie pan starszy odwalił kitę dziś o szóstej — szepnął mu w ucho lokaj, zdejmując z niego zaśnieżone futro. (Był to Joe, stary przyk, w którym ceniono oryginalność wypowiedzeń). (Tym razem jednak przesolił):

— Milczeć, Joe — krzyknął młody dziedzic i odtrącił „drżące, pomarszczone łapy wiernego sługi”. W pierwszych kilkunastu sekundach nie zrozumiał Zypcio właściwego znaczenia tylko co usłyszanych słów. I to mimo przeczucia i pełnej świadomości. Nic dziwnego: pierwsza w życiu zła wiadomość. A jednak jakby jakaś ciężka kula oberwała mu się w młodych, rozwydrzonych jeszcze bebecach. „Co to ja robiłem o szóstej! Aha — Aha — to ona wtedy pokazała mi tę kombinację z nogami! Co za świństwo! I on jednocześnie. *Jednocześnie*” — upajał się, nie mógł się nasycić tym słowem. Teraz „dowiedziana się” śmierć ojca spotęgowała retrospektywnie i tak zabójczą rozkosz dotknięcia tamtych nóg, tak straszliwie, nieubłaganie pięknych i nieprzyzwoitych, na cztery godziny w tył — i to na tle jednoczesności, i to nie aktualnej, tylko wspomnieniowej, raczej pojęciowej, abstrakcyjnej. O, gdyby mógł Zypcio przeczytać rozprawkę pewnego sycylijskiego księcia, członka neomaфии, pt. *Gli piccotti sadismi* — wiele rzeczy by mu się wyjaśniło. Chociaż właściwie żadna teoria mechano-psychologiczna nie jest w stanie pozbawić tych istności ich specyficznego wymiaru niezgłębialności. I to nie na tle ich związku z zachowaniem gatunku, tylko dlatego, że rzeczy te dotyczą kwestii fundamentalnej: rozdziału Istnienia na wielość indywiduów, z których każde czuje się jako to jedyne ja, raz na całą wieczność, takie, a nie inne, mimo całej dowolności teoretycznej bycia kimkolwiek bądź. Tylko ta kombinacja półdowolnych danych i przypadkowości ich rozwoju doprowadziła do tego, że to właśnie indywiduum musi o sobie i może tylko o sobie powiedzieć „ja” — (w wypadku wymoczka potencjalnie). I żeby tu tysiąc James’ów powiesiło się na własnych mózgach, to problem ten wiecznym będzie, a nieprzyjęcie bezpośrednio danej jedności osobowości doprowadzi zawsze do bardzo kunsztownej może, ale zbytnej i sztucznej konstrukcji pojęć, która nic istoty rzeczy nie wyjaśni. Dosyć.

Genezyp szedł automatycznie przez puste pokoje, aż wreszcie spotkał matkę. Była spokojna. Gdyby to tak piętnaście lat temu, może cieszyłaby się skrycie ze śmierci męża. Przecież zakorkował ją na amen, zamurował w swoich zasadach i brutalności, jak żywą w grobie. Teraz żałowała go mimo wszystkich tortury tego pożycia — pokonawszy bowiem odśrodkowy pęd za życiem, zrezygnowała już dawno ze wszystkiego i po raz drugi, już inaczej, przywiązała się do dużo starszego od niej jowialnego piwowara. A teraz — za wcześniej przyszłą ta śmierć, zostawiając ją nieuzbrojoną przeciw życiu i samotności i zwalając na jej pół-mistyczną, wątłą główkę ciężar straszliwej odpowiedzialności za tego byczka kochanego, który pękał cały (widać to było) od niepojętego dla niej obecnie nienasyenia życiem. A przy tym to przecie jedyna jej podpora — obowiązek opieki razem z przywiązaniem stwarzały w niej siłę, wywyższającą przedmiot jej uczuć aż ponad nią samą, stwarzając dalej, z niego właśnie, opiekuńczą potęgę. Objęła go i po raz pierwszy od chwili katastrofy rozplakała się na dobre, od samych wnętrzości, które zdawały się być

kulą stężących łez. Dotąd (od szóstej) poplakała tylko na sucho, krótkim, urywanym szloszkiem. Genezyp chciał płakać, ale nie mógł — był suchy jak wiór, zimny i obojętny. Nieprzyjemnie spierzchnięte miał dno duszy, chętnie by odpoczął, a tu taki paszтет i cały pakiet nowych problemów. Jeszcze nie rozumiał nieszczęścia — — a może nie było to dla niego nieszczęściem w ogóle? A jednocześnie z tym „oczekiwaniem bólu”, gdzieś w ostatnich, nienaruszonych jeszcze niczym pokładach jego jaźni, igrał maleńki, figlarny płomycek szalonego zadowolenia. Coś się wyzwałalo od samych podstaw, coś się nareszcie *działo*. Życie zdawało się, od czasu tej wiadomości, kryć w sobie nowe, piekielnie ciekawe niespodzianki. A było już tak nudno (nie doceniał bestia tego, co się stało na tle chwilowego przesytu) mimo tych wszystkich erotycznych awantur i mimo dość stosunkowo nowego, ale bładawego problemu: „czy kochał księżnę, czy też tylko pożądał?”. Było to wzorowane na nieświadomionym w pełni „*mutterproblemie*”: czy kochał matkę dla niej samej, czy też był tylko do niej egoistycznie przyzwyczajony. Obudził się — nie wiadomo już po raz który. Ale teraz dopiero naprawdę wtargnęło życie w to leniwe bajoro jego duszy, jak stado koni do stawu. Spadła ostatnia maska — trzeba się będzie z tym rozprawić. A na powierzchni, poprzez zwał wymuszonego, niedosłego wewnętrznie nieszczęścia, cieszył się naprawdę, że ojciec „odwalił kitę”. (Przypomniały się w młodzieńczej transformacji dawne dziecinne zazdrości w stosunku do kolegów w żalobie po rodzicach i specjalne, aż bolesne pod-płciowe podrywy do ich siostr czarno ubranych — jakaś śmiertelna perwersja, połączona z podświadomą chęcią usamowolnienia się, zmęczyczenia i wzięcia na siebie całej odpowiedzialności za życie). Dni przyszłe nabrały nieznanego uroku. Smak życia, ostry i odurzający, jak smak jakiegoś narkotycznego zielska, rozlewał się po żyłach, łaskocząc, drażniącą falą. Teraz dopiero poczuł istotne zadowolenie z tego, że jest mężczyzną, że ma romans z „prawdziwą kobietą” — gdzież były te fałszywe? — Matka, siostra, panna Ela i tym podobne... Był głową rodziny — on, ten gnębiony przez wszystkich Zypek. Teraz, tą drogą dopiero poczuł coś specjalnego dla matki: przeszedł na drugą stronę synostwa: z ciamkacza stał się opiekunem i władcą. Z pewną wyższością, aż śmieszną dla niego samego, objął ją, zawrócił i tak objęci wzajemnie (ona też się tak inaczej do niego przytuliła, co napełniło go dziwnie słodką dumą) poszli w kierunku sypialni, gdzie leżał trup właściwie ich wspólnego ojca. (Za takiego uważała ostatnio pani Kapenowa swego męża). Matka wydała się Zypciowi starszą siostrą i jako taką pokochał ją jeszcze bardziej i boleśniej. Co za szczęście! Wypełniony był sobą po brzegi i ta chwila była najszczęśliwszą z całego jego życia, o czym zresztą nigdy się nie przekonał. Rozpłynął się cały (na twardo zresztą) w niedoświadczonym dotąd nigdy duchowym komforcie; jak w fotelu rozparł się w świecie; poczuł się kimś.

Naprzeciw nich szła piętnastoletnia Lilian, śliczna blondyneczka z trochę zadartym nosem Kapenów i olbrzymimi, ciemno oprawionymi oczami matki — to jest w tej chwili oczy te były czerwono-oprawne, małe, aż zapuchłe od płaczu. Ona jedna kochała naprawdę starego papusia. Dla niej dobry był zawsze, jak święty Mikołaj. I ją też objął Zypcio wolną lewą ręką i tak poszli we troje ku trupowi. Kobiety chlipały — on promieniał niezdrową zewnętrzną siłą, wynikała nie z prawdziwej potęgi i jedności jaźni, tylko z przypadkowego zbiegu przeciwnych sobie szarpnięć słabości — była to wypadkowa sprzeczności, a udawała prawdziwą moc ducha, pod którym ciało na niby szło karnie, jak ujeżdżony koń. Wszystko to były głupstwa, niewarte nawet zanotowania. Ale w tej chwili nie wiedział o tym Genezyp i dwie kobiety. Dla nich trojga miał ten wycinek czasu wagę nieomal zaświatową. Weszli trochę nagle nie-wiedzieć-czemu przestraszeni, z jakąś fałszywą uroczyością w ruchach do pokoju, gdzie, na tymczasowym czymś w rodzaju domowego katafalku, leżały umyte już i wyfraczone zwłoki starego Kapena. Nigdy nie odczuł Genezyp tak silnie potęgi ojca swego, jak w tej chwili. Trup miał ręce związane chustkami — opadającą dolną szczękę przytrzymywała też jakaś biała szmata. Zdawał się być jakimś potwornym tytanem, którego skrępowano, bojąc się go nawet po śmierci. W zaciśniętych chustą zuchwach czaiła się moc, zdolna do roztarcia miękкими zębami na proszek granitowych, czy porfirowych nawet gładów. Nagle okropny, gwałtowny żal rozdarł wnętrzości Genezypa. Odczuwając jakby telepatycznie stan ten, matka i siostra z jękiem opuściły się na kolana, obok klęczącej panny Eli. Genezyp stał stężały z niezrozumiałego bólu nie-do-zniesienia. Teraz oto odszedł od niego jedyny przyjaciel, teraz, kiedy właśnie mógłby go poznać i ocenić. Czemu teraz dopiero rozumiał ojca jako przyjaciel-

la. Zrozumiał też wysoką markę dyskrecji i znawstwa życia z jego strony, że mu się z tą przyjaźnią nie narzucał. Lepsza była ta dalekość wzajemna, niż wykrzywiona fałszywymi perspektywami przyjaźń ojca z synem. Syn musiał być zrobić pierwszy krok — czemuż go nie zrobił? Z przyjacielem, w razie deformacji stosunku można w każdej chwili zerwać — z ojcem — trudniej. — Dlatego to stary tak był ostrożny w wywnętrzaniach. — Dał coś takiego po sobie poznać w ten poranek wstrętny. Ale tego nie odczuł wtedy Genezyp, zmarnował ostatnią chwilę przed śmiercią. Za późno. Teraz się mścić będzie ta odrzucona przyjaźń i zmieni się we władzę nawet za grobem — wiedział o tym na pewno „dojrzewający (rosnący?) jak na drożdżach” wyrodek. Że też nic przyjemnego nie może dłużej trwać jak pięć do dziesięciu minut. Przypomniawszy sobie któryś tam atak z księżną — to było dłuższe — ale jakież ból straszliwy sprawiło mu teraz to wspomnienie! Miał wrażenie, że nigdy już nie dozna tej rozkoszy — jako pokutę za winy przeciw ojcu chciał uczynić ślub taki. Przeszkodziła mu defilada innych „stanów duszy”.

Poczuł się obrzydliwie samotnym: jakby w zimny i dżdżysty wieczór błądził po podejrzanej podmiejskiej okolicy, nie mając gdzie „skłonić głowy” wśród obcych, wstrętnych, brudnych i nienawidzących go ludzi. Cały świat był teraz takim i takimi zdawali się być wszyscy ludzie prócz rodziny, nie wyłączając księżnej, kniazia Bazylego i Tengiera. (Koledzy szkolni = bezkształtna miazga, w której nie zarysowywał się żaden ktoś — chyba ci „zabronieni”, których właściwie nie znał). Nagle upadł na kolana i zaniósł się trzewiowym, chlapiącym, dziecięcym płaczem — wstydził się, ale podwywał dalej — to była też forma pokuty. Ze zdziwieniem spojrzęła na niego matka (taki był dotąd opanowany!) — a nawet Lilian poczuła, że w tym bezproblemowym, znanym jej dobrze, brutalnym braciszku, dotąd przyszyłym piwowarze jak papcio (O, jakże kochała tego niezbyt zrozumiałego dla niej węża!), krył się ktoś zupełnie inny, niepojęty. I przez chwilę mignęło jej (przez analogię) w „nierozmyślonych” jeszcze, grząskich, bagnistych, kobiecych, świńskich kłębach podpojęciowej miazgi, (która zdawała się znajdować się między sercem a międzykroczem) poczucie, że może w niej także kryje się ktoś, dla niej samej nieznan. Ktoś inny musi coś z nią uczynić, aby wyzwolić w niej tamtą drugą istotniejszą ją — sama nie potrafi. Ale jak? O płciowych relacjach pojęcia jeszcze nie miała. Twarda jak z żelazo-betonu piramida dziwności spiętrzyła się gdzieś w inny wymiar i zapadła zaraz, jak zepsuta, papierowa zabawka, tu, na podłogę tego ponurego pokoju. Zaczęła Lilian kochać w tej chwili brata, ale inaczej, jakoś dziwnie, z daleka, jakby za nieprzekraczalną granicą olbrzymich, niedostępnych gór. Było to tak okropnie smutne, że rozpląkała się na nowo, ale *innym* płaczem (nie tym „zaojcowym”) — jak motor przerzucony na inną szybkość. Ten drugi płacz był lepszy. A w pani Kapenowej, pod wpływem tego Zypkowego opiekuńczego objęcia, zaczęły zachodzić dziwne zmiany, z zastraszającą nie wiadomo kogo szybkością. Płakała już teraz — w trzy minuty po falcie — w cichym szczęściu wyzwolenia, z głęboką wdzięcznością myśląc o mężu, za to, że ją tak w porę jeszcze stosunkowo opuścił. Tak mu była wdzięczna, że prawie chciałaby już, żeby żył — ale niestety w tym była sprzeczność nie-do-przezwyciężenia. Otwierało się nowe życie — tym razem naprawdę nowe, a nie to, które tyle razy bez skutku wewnątrz starego zaczynała. Każde z nich zyskało coś na śmierci mądrego węża, nie mówiąc już o majątku. I wszyscy jeszcze więcej go pokochali, każde proporcjonalnie do swego poprzedniego spólczynnika.

Informacja: Aż tu zwałił się na nich straszliwy cios.... chociaż dla Zypka może było to i lepiej — może by tak jeszcze prędzej... ale o tym później. Kiedy po pogrzebie, odbył się aż nazbyt normalnie — („o rzeczach zupełnie zwykłych pisać nie trzeba — zostawić to można specjalnemu gatunkowi pisarzy, tak zwanym „pospolitystom” — z czegożby inaczej bowiem żyli biedacy? — bo to mówią niektórzy, że temat głupstwo a ujęcie wszystko — ale co do powieści, to nie bardzo zgadza się to z prawdą. I stąd to tylu teraz jest świetnych stylistów, którzy nic do powiedzenia nie mają, bo są głupi i niewykształceni” — tak mówił Sturfan Abnol), otóż kiedy po pogrzebie otworzono „zniecałkany” testament, okazało się, że stary Kapen zmienił swoją fabrykę w robotniczą kooperatywę, a kapitały wszystkie zapisał na propagandę zamierzającej P. P. S., a bynajmniej nie Syndykatowi Zbawienia, którego był członkiem. Rodzina podostawała jedynie skromne pensyjki, zabezpiecza-

jące od głodowej śmierci. Wszystkie próby obalenia tej woli zduszone zostały w zarodku nieomylną i niezłomną decyzją profesora Bechmetiewa: stary był i umarł normalnym — skleroza obejmowała tylko centra ruchowe. Nastąpiły dni fantastyczne. Matka Zypcia szalała z rozpaczy — nowe życie dostało potężnie pałą po łbie zza grobu. Liana, ta dobra, śliczna, preraphaelicka Liana, ulubienica ojca, znienawidziła tak ukochanego „papusia”, że nawet Genezyp, który stał się teraz dla niej jedynym kimś na świecie, nie mógł jej przekonać, że to brzydko jest, a *nawet nieładnie*, tak na zmarłego narzekać. Rozwijała się tak szybko, że wkrótce wszyscy zaczęli mówić z nią jak z osobą dorosłą, a nawet liczyć się z jej zdaniem. Genezyp spędzał dnie i noce dziwaczne ponad miarę najśmielszych dotychczasowych wycieczek w krainy zakazanej wiedzy o życiu. Rozdawał się coraz wyraźniej od spodu, mimo wzrastającego poczucia jednolitości zewnętrznej, czystościowej. Panował jeszcze z góry nad dywergencją swoich uczuć do matki, siostry, księżnej i Wielkiego Zmarłego, który olbrzymiał mu w myśli do wszechobecnej, zaświatowej potęgi — utożsamiał się z dawnym, „niedowierzonym” dziecinnym Bogiem — władał. Myśli, krążących wokół tego „zwrotnego wieczoru życia”, nie hamował Genezyp. Ale same one uspakajały się, obsiadając znane już i nudne pagóry rzeczywistości, jak stada kruków w wiosenny zachód słońca. Powoli, tamten istotny dotąd, pół-dziecinnie on zmieniał się w czystego obserwatora bez woli — był tak w sobie Genezyp, jak w teatrze — rozkoszny to był stan, gdyby nie świadomość nieuchronnego jego końca. A jednak konieczność decyzji narzucała się z coraz większą natarczywością. Był przecie głową rodziny, odpowiedzialną za jej życie — przed kim? przed zmarłym ojcem — gdzie się nie ruszyć, już jest tam to widmo ze swymi tajnymi rozkazami... Która z walczących w nim osób miała decydować — to było najważniejsze. Jeden, to był ten metafizyczny *tout court*, nienasycony życiem bydlak, który, dorwawszy się do pierwszego z brzegu źródła, chciałby żłopać, jak mu się zdawało, bez końca — (wszystko robiło wrażenie czegoś bezdenne) — drugi, to dawny grzeczny chłopczyk, który musiał tworzyć, kuć i budować to życie z męką i świadomie, ale nie wiedział dobrze, jak i z czego. Straszliwe noce z księżną, podczas których zgłębiał coraz bardziej nieskończoną gradację przyjemności i metafizyczną potworność spraw płciowych, i samotne spacerki, oddzielające go od rzeczywistości i zwracające (bez skutku zresztą) ku tamtemu zwrotnemu dniowi [ach, gdyby można cofnąć się — choć raz jedyny — w czasie... — połączyć tamtą hyperświadomość z tą wiedzą! Niestety — nic nie dostaje się za darmo — za tę wiedzę trzeba było płacić obniżeniem dawnego lotu dzieciństwa.] — to były dwa bieguny. Wszystko, co się z nim działo, ukrywał dokładnie przed ludźmi. Podziwiano jego dorosłość, jego sąd zimny i sprawiedliwy w sprawie testamentu ojca. (Papa wiedział, że Zypcio nie wytrzyma jako piwowar, a nie będzie miał dość decyzji, aby samodzielnie rzecz rozstrzygnąć — mogła wyjść stąd tylko kompromisowa zgnilość — wołał to przynajmniej zrobić za ukochanego syna). Fabrykę rozdrapywali w jego oczach jacyś panowie o bardzo niepewnych minach, przybyli ze stolicy. Nie miała co tu robić rodzina zmarłego; trzeba było dekampować z tego beznadziejnego kącika, w którym można było jeszcze egzystować w stanie potęgi wśród bogactw, ale nie w nędzy. Możliwości były żadne.

Tengier odsunął się od Genezypa zupełnie. Nie przyjął go parę razy, a raz spotkawszy przypadkowo oświadczył, że jest „w natchnieniu” i pożegnał go szybko, prawie niegrzecznie. Było to w wietrzny, chmurny, półwiosenny dzień. I znowu figura oddalającego się na tle rozwichrzonego pejzażu, przesyconego muzyką, wszechwiedzącego garbusa wywarła na Genezypie ponure wrażenie: jakby jakaś lepsza część (coś nierozdwojonego — mimo świąństw poprzednich) zdawała się uchodzić od niego na zawsze w postaci tego włocha-tego, potężnego potworka z innych światów. Jedyną „ostoją” dla nieszczęsnego czynnego dualisty była księżna, do której niezależnie od szalonych postępów w dziedzinie czystej erotologii, zaczął się przywiązywać jak do jakiejś drugiej matki nie z tego świata. Ale

wraz z tym pojawiały się też, nagle i rzadkie co prawda, symptomy pewnego erotycznego, prawie że podświadomego jej lekceważenia. To oczywiście widziała jasno Irina Wsiewołodowna i cierpiała i wściekała się coraz bardziej w niepokonanych sprzecznościach: prawdziwa miłość walczyła po raz ostatni na gruzach tego cielska z dawnym demonem z młodych lat. W istotniejszym zbliżeniu Zypcia do księżnej pomogło też nagle zdemaskowanie się w najbliższej rodzinie wstrętnych mu właściwości duchowych, w związku z utratą majątku i stosunkiem do zmarłego ojca. Ona przynajmniej wolna była od materialnej meskinerii — miała w sobie coś z szerokiego bezkresu, coś jak oddech pustyni mongolskich, z których pochodzili jej przodkowie, potomkowie Dżyngischana.

Ale wszystko to odbywało się jakby nie na tym świecie, tylko gdzieś daleko, za tajemniczą przegrodą, która była jednak w nim samym, a nie w zewnętrznej rzeczywistości. Nie był sobą w tym wszystkim. Ze zdumieniem pytał się siebie: „jak to — więc to ja jestem i to jest moje jedyne życie? Tak właśnie upływa, a nie inaczej, wśród miliarda możliwości? I nigdy, nigdy już inaczej — o, Boże”. Zawałał się w jakąś przepastną norę, suterene, podziemie kaźni więziennej, gdzie królował suchy, wieczny, dławiący ból „takości” („a nie inności”). I nie było stąd wyjścia. „Życie jest jak rana — którą zapełnić można tylko rozkoszą” — coś takiego mówiła mu po raz nie wiadomo który ta wiedźma, spiętrzając w nim słowami straszliwymi jak muśnięcia i muśnięciami gorszymi od słów najgorszych to okropne cielesne uświadomienie potworności świata w bolesnej, niesytej nigdy sobie rozkoszy. Tak — tylko to jedno: uświadomić sobie swoje własne bydlęctwo i w tym skonać. Ładny ideał! Do tego tylko służył mu intelekt i tamte flaki. Ale dla niektórych ta właśnie prosta droga, którą starają się uciec od własnej zawilości, staje się niezwykle trudnym labiryntem w obcej im pustyni życia. Świat skurczył się do małego skrawka jakiegoś więzienia, które mogłoby być aktualną nieskończonością (przestrzeń jako forma ograniczenia! — czy nie za wiele pragnął swobody ten mały?), a wewnątrz rozrastało się coś bezimiennego, brzemiennego i *niezmiennego* (martwa twarz „ołowianego trupa” ze snu) coś fatalnego jak wypuszczona z lufy kula i systematycznego w swych niezachwianych funkcjach, jak rotacyjna maszyna na przykład. Zypcio czuł, że teraz sformował się, skryształizował w pewnym systemie i wszystko, cokolwiek dalej być mogło, (najdalsze nawet rzeczy) będzie funkcją zdobytego w tym czasie, zresztą zupełnie mimo woli, stosunku do życia. Jaki był ten stosunek, pojęciowo określić by nie mógł. Ale czuł go w swoim własnym spojrzeniu na przelatujące obłoki, w smaku jakiegoś owocu, w sposobie przeżywania strasznych chwil rozdzierającej sprzeczności, gdy walczyły w nim dwa uczucia do księżnej, rozdwojonej na dziką rozpustnicę i pseudo-matkę.

W niej walka odbywała się także i to w zupełnej odpowiedniości do stanów duszy kochanka, raczej „kochaneczka” czy przyjemniaczka. Z początku poddawała się „matczy-nemu roztkliwieniu” (co za ohyda!) zupełnie. Uczyla go używać siebie i potęgować nikłą i nędzną swędzeniową przyjemność elementarną do granic metafizycznego bólu i zaświatowej ponurości objawień ostatecznych, poza którymi była już tylko śmierć, jedyna wybawicielka z rzeczy zbyt głębokich. Ale za prędko rwał Genezyp w przyszłość i, mimo że on sam nie zdawał sobie dokładnie z tego sprawy, ona za niego czuła, w pewnych jego ruchach, spojrzeniach i bezmyślnie okrutnych powiedzeńkach, czające się zblazowanie i przesyt. Scampi i stary książę ostrzegali ją często przed niebezpieczeństwami tej ostatniej miłości, namawiając dla jej (a nawet i jego) dobra, aby przeszła na system lekkiego choćby demonizmu. Jakże kochali obaj tego potwora, a przez to i „niedoszłego piwowarka”, jak nazywano Genezypa w pałacu Ticonderoga. Długie godziny trawiła księżna na rozmyślaniach, aż wreszcie postanowiła zdobyć się na kompromis w imię celów wyższych: zachowania uczuć Zypcia w pierwotnym natężeniu i zrobienia z niego „człowieka” (?), według pojęć panujących w ich domu: to znaczy: bezideowej kanalii, społecznego pasożyta z maksymalną ilością przyssawek, a-metafizycznego użytkownika, jednym słowem świństwa. Twierdziła, że sama nieszczęśliwą była przez nadmiar utajonego mistycyzmu i tępiła objawy takie u synów bezlitośnie. Jako ta pseudo-mama nie dokonałaby niczego: mogła być chyba tylko opuszczoną i skazaną na zgnicie w rozpacz, w ropnych wydzielinach zranionej ambicji. Na tym bubku przesłicznym kończył się dawny świat — o tym wiedziała na pewno.

Genezyp nie wiedział, czym jest zdrada i zazdrość. Były to dla niego słowa prawie że pozbawione znaczenia. Ale kiedy chwilami zbyt przerażała go potęga tej baby w stosunku do jego wewnętrznych materiałów, przewaga jej sił czysto choćby nerwowych i doświadczenia, znajdował pociechę i podporę w uświadomieniu sobie takiej prawdy: „a jednak ona jest stara”. [To było podłe i *tego* nie przeczuwała nawet Irina Wsiewołodowna. W ogóle nie wszystkie środki obrony mężczyzn znają kobiety (nawet te najmądrze i najgorsze) i nikt uczciwy, należący do bloku męskiego, demaskować ich nie będzie]. Mógł sobie to Genezyp na dwa sposoby tłumaczyć, zależnie od tego, czy był w danej chwili w stanie potęgi, czy też słabości. Albo mówił sobie: „jednak ona jest jeszcze dość młoda, a w każdym razie trzyma się świetnie”, gdy, po gruntownym nasyceniu się, czuł pewne upokorzenie z powodu jej wieku — szczególnie rano, przy kawie, pitej we wspianiałym, byłym małżeńskim łożu Ticonderogów. Były to myśli oczywiście nieszlachetne i wolałby ich Zypcio nie mieć wcale. Ale trudno — działanie „układu mimowolnego, pierwotnego” — nikt temu rady nie da. (Tylko, na miłość boską, nie czynić tej teorii publiczną, bo wtedy nikt z nikim rady sobie nie da). A już robił oko, niedołążne i dość śmieszne [— to dziwne, że „tamto” nie zwiększyło w nim śmiałości w stosunku do kobiet w ogóle — był wyspecjalizowany] do ładnej pokojówki księżnej, Zuzi. To było właśnie symbolem tego dalszego życia, do którego obecne zdarzenia miały być stopniem tylko. Tak myślał już teraz — on miał czas, ale ona...? O, któż, kto tego nie zna, oceni okropność bezpłodnego uciekania „płciowego czasu”, gdy nic już nie ma poza tym?! Ona widziała wszystko to lepiej od niego z wyrazistością peyotlowej wizji i cierpiała chwilami, aż do jęków i „myceń” włącznie. Nie było rady: (jak ci żołnierze, co zrobili rewolucję rosyjską: albo zginąć na froncie, albo walczyć o wolność — *tryń trawa — wsio rawno*) trzeba było spróbować środka heroicznego: albo go zdobędzie na jakiś rok, może dwa — albo straci na zawsze. Trzeba było ryzykować. A tak by się chciało nie babrać się już w tym plugastwie trzecioklasowego demonizmu, i on byłby jej droższym przecie bez tego utyłania go w błotku płciowych cierpień. „Nie chcesz pchać tam jak trzeba, tak? — to jeszcze gorzej ci wyjdzie. Będziesz myślał o tym ciągle i splugawisz nie tylko ciało, ale i duszę — cały będziesz tam w myślach, tym swoim dumnym męskim mózdzkiem — ha, zobaczysz, jak to przyjemnie” — tak myślała biedna Irina Wsiewołodowna, prężąc wspianiałe uda w niezdrowym podnieceniu, graniczącym z gorączką. Coraz trudniej było o antydoty, tym bardziej o tej porze na wsi: Tengier mógł mu ją obrzydzić — Toldzio — tego można było zużytkować zawsze, na tle jego zбочenia do starszych dam. Och, jakie to przykre — więc już... Takie to były zewnętrzne rusztowania pospolitości tej całej obrzydliwej sprawy. Straszne jest wejście w zakulisową technikę teatru tak zwanej miłości. Bo te idealne małżeństwa, te pary z sarkofagów czy ołtarzy, te niezłomne charaktery kryją przeważnie także brudną kuchnię „od tyłu”, w której bezwstydy diabeł przyrządza swój czarodziejski lek na beznadziejną nędzę istnienia albo też wytwarza jeszcze bardziej deformujący życie narkotyk: fałszywą cnotę. Brrr... Na tych rusztowaniach rozpinają się nikłe pozornie subtelności uczuć, które w przyszłości zaważyć jednak miały na wszystkim, ciągnąc w otchłanie podświadomych zbrodni te zatrute od samych podstaw, rozłazące się mózgi. Jakże wstrętne jest dialektyka uczuć i jak ohydne implikuje techniczne środki działania. A bez tego co? Krótkie spięcie zupełnego nonsensu i śmierć. Dobrze to było w dyluwialnych jaskiniach, ale nie dziś. I to takimi rzeczami mogli się zajmować ludzie „wyższych warstw”, kiedy zza horyzontu przeznaczeń ludzkości wznosiły się potworne wizje usymbolizowanych przyszłych czasów. Tylko niektórzy to widzieli i też pili, jedli i obłapiali, i bawili się w przerwach. Nawet najwięksi działacze, może ci więcej jeszcze, bo przecież musieli „choć trochę” odpocząć po straszliwych napięciach pracy codziennej. A tłum pospolitaków tego nie lubi, jak na przykład twórca rewolucji ma dziewczynkę — (jak ma żonę, z którą się męczy — wszystko dobrze). Durnie nie rozumieją, że on musi też zabawić się, by potem tarzać się z natchnieniem po cielsku historii i ryc swoim mózgiem jak ryjem drogi przyszłości: „Oh — *qu'est ce qu'on ne fait pas pour une dupe polonaise*” — jak mówił stary Lebac. Albo, jak prywatnie spytał kiedyś z głupia frant, nieboszczyk Jan Lechoń: „A jakież jest inne życie, jak nie płciowe?”

Na tle niezdecydowania co do wyjazdu do miasta, nadchodził „powoli” ten dzień, w którym znowu skupić się miała cała przyszłość — lecz w „jakiejże losów odmianie”! Jak muszka tęczowa krążąca tuż koło lepkiej pajęczynki, beztrąsko żył Genezyp, nieświa-

domy bliskich niebezpieczeństw, dumny z pokonania *takiego* (!) potwora. Był jak upojony łatwym zwycięstwem młody wódz, który zapomniał rozstawić nocne straże. I coraz bardziej, oczywiście dla niego nieświadomie, zanikał w nim dawny, wąty, dobry chłopczyk, razem ze znikającym śniegiem na słonecznych beskidzko-ludzimierskich wzgórzach. I oto któregoś dnia po południu — [w takie przykre popołudnie, co to nic nie ma i nic być nie może, chyba jeszcze ten ostatni nadchodzący wieczór, który trzeba zapisać, i potem koniec] — Genezyp, mimo poprzedniego wstępu do życia z pracy obżałowanych przez niego robotników, teraz kiedy wszystko stracił, zaczął także odczuwać świadomie (gdzieś w głębi to się czaiło od dawna) pewien żal do ojca, że go tak przed samą śmiercią urządził. Ale stary Kapen kochał syna głęboko i wiedział, co robi: jasno zdał sobie sprawę z nietrwałości tego, co jest, i wołał oszczędzić Zypciowi utraty dóbr w rewolucji. W ten sposób usuwał mu z drogi całą kupę najwstrętniejszych niebezpieczeństw i chronił go przed społecznym rozgoryczeniem, paraliżującym wszelką działalność. Nie było już nigdzie (nigdzie na świecie — co za dziwna rzecz?) banków, w których można by lokować rezerwowe kapitały. Chyba w Rosji — — Ale Kapen na dnie duszy wierzył w niezwykłą potęgę chińskiego muru — może mylił się co do czasu, nawet mimo ostatnich wieści — ale zasadniczo intuicję miał słuszną. Mimo że nie znał dokładnie — jak i nikt zresztą — idei Kocmołuchowicza, czuł jak nikt, że tam, w tym czarnym łbie szalonego nieobliczeńca, kryje się peppek sytuacji obecnej, i to nie tylko dla nas, ale dla świata całego. Przed samą już śmiercią, [w tej chwili, kiedy właśnie ten bydlaczek tracił z takim trudem niewinność], napisał bezwładniejącą łapą do kwatermistrza list, polecający syna jego opiece.

„...znajdzie się przecie u Ciebie miejsce adiutanta. A chcę, żeby Zypek, o ile kocioł zawrze, był w samym jego centrum. Śmierć nie jest tak straszna — gorsza jest dalekość od rzeczy wielkich, tym bardziej, jeśli są już może ostatnie. On jest odważny i ja dałem mu trochę bobu w życiu, narażając się nawet na coś w rodzaju nienawiści z jego strony. A jest to jedyne „coś” — nie wierzę w osobowość za przykładem amerykańskich psychologów — a inne rzeczy, te nowe wiary, dobre są dla durniów, aby ich trzymać za mordę — coś — powtarzam, co poza piwem oczywiście kochałem. Bo niestety ten twój dawny ideał, moja żona, mimo różnicy wieku, nie zadowolniła mnie duchowo. Nie żałuj więc tego i nie miej do mnie pretensji. Zypek mógłby zupełnie dobrze być Twoim synem”. [Stary dobrze wiedział, że Kocmołuchowicz jest tym jedynym centrum możliwego kotła — jeśli nie on, to chyba nikt — i hańba bezosobowego złączenia się z Chińczykami].

„Jeśli nie będzie między nami kogoś, kto by nas reprezentował, nawet w takim świństwie, staniemy się kupą bydła, niegodną nawet komunistycznej organizacji. Ty jesteś jeden — mówię Ci to bez kompromisu, bo zdycham — nie dziś, to jutro. Umiałeś pozostać tajemnicą, nawet dla mnie. [Kocmołuchowicz dziko się uśmieł w tym miejscu. A czymże był dla niego ten stary Kapen — zgniłym workiem, który jak najprędzej trzeba *won* z pokładu w morze. Mimo to lubił go i czytając te gryzmoły zrobił sobie węzełek na mózgu co do Zypcia].

„Strasliwe napięcia samotności umiesz wytrzymać, Erazmku — cześć Ci za to i chwała, a po trzykroć biada Twemu narodowi, bo nigdy nie wiadomo, co w następnej minucie zrobisz: Ty, a za Tobą Twoja banda najmorowszych obecnie ludzi na ziemi — *You damned next-moment-man*. Żegnaj, Twój stary Zyp”.

Tak pisał Kapen do „Erazmka Kocmołucha”, byłego stajennego chłopca hrabiów Chraposkrzeckich, mających w herbie żabi skrzek i końską chrapę. — Czy nie były to symbole całego życia generał-kwatermistrza: wyległy z bezimiennego skrzeku „bafonów” ludzkości, przez konia (i jego chrapy naturalnie) stał się kimś i to nie byle jakiej sorty. A jednocześnie strasznym było niegdyś dla „starego Zypa” widzieć naród swój w takim

stanie, że mógł się opierać on cały jak jeden blok miernoty o jednego, jedyne go człowieka. A gdyby tak zapalenie ślepej kiszki, lub szkarlatyna? I co wtedy? Już raz było przecie tak z Piłsudskim i ocalała nas właśnie ta równowaga miernot. Liczono na to i teraz. Ludzie nie umieli wyprowadzać wniosków ze zdarzeń i bawili się w analogie — podobnie jak ci patrioci rosyjscy, którzy utożsamiając rewolucję z 1917 roku z Wielką Francuską, mieli nadzieję na wojenny poryw u mas. Ten potworny brak ludzi i ta nieumiejętność zużycia tych, co „ledwo byli” na odpowiednich stanowiskach, to była wybitnie polska specjalność w tych czasach. Cała ta niby praca nad organizacją pracy była śmiesznością — wszystko trzymało się tylko na tym, „żeśmy byli niczym”, jak mówił potem (ale po czym, po czym?) pewien Pan. Zamiast: „Polska nierządem stoi”, mówiono teraz, że stoi „brakiem wielkich ludzi” — inni twierdzili, że w ogóle nie stoi, że nikt nie stoi, że nikomu nie stoi, nawet że nikogo (!) nie stoi — oczywiste rusycyzmy. Inni twierdzili, iż nie jest wykluczone, że Kocmołuchowicz, przeniesiony w odmienne warunki, także byłby niczym, czy nikim. Tu na tle szarej miazgi bufetowych, buforowych, „butaforskich”, restauracyjnych, gabinetowych, buduarowych, burdelowych, sleepingowych, samochodowych i aeroplanowych działaczy, urósł do rozmiarów gwiazdy pierwszej wielkości, olbrzymiego brylantu na mdłym śmietniku osobowości. A może faktycznie był wielkim nie tylko w odniesieniu do centrum spórzędnych swego społeczeństwa — wielkim w stosunku do tej całej cholery całego świata, który nam — nam Polakom! — chciał imponować! Co za bezczelność. I mimo że stary Kapen napomykał mu czasem nieśmiało o swoich ideach (zaprowadzenia *prawdziwego* faszyzmu), kwatermistrz milczał jak zdechła ryba i czekał — umiał czekać, psia-krew! — W tym była połowa jego siły. Umiejętność zaś ukrywania swego zdania w najbardziej pozornie otwartych rozmowach była w nim doprowadzona do niebywalej doskonałości. Wytworzoną przez Syndykat Narodowego Zbawienia pseudo-organizację zużyć chciał w odpowiedniej chwili dla siebie i swoich tajemniczych dla niego samego celów. Marzył już o jakimś piekielnym wyjściu przed żółtych zwycięzców z szarą, krystaliczną miazgą swojej zmechanizowanej armii, on, jedyny dziś wielki strateg (śmiał się z tych chińskich nowalii w kulak, oficjalnie uznając je za groźne, by nie osłabiać swego prestiżu), pan z chamów, od Egiptu począwszy (bo czyż była kiedy na świecie podobna awantura, jak ta, i czy był taki właśnie człowiek jak on — *mysterious man in a mysterious place*), nędzny kwatermistrz generalny. Ale, na dnie jego wesołej, jak pies spuszczonej z łańcucha, duszy, drzemało zawsze *Nieoczekiwane* — coś tak piekielnego, że myśleć o tym bał się nawet w chwilach męczących syntetycznych jasnowidzeń, kiedy zdawało się, że sra po prostu nieskończonością w sam pępek wszechświata. Dziurawił strasznymi, bladymi z przerażenia myślami przyszłość, jak olbrzymimi kulami brzegowa armata pancernik. Ale nigdy nie dotarł do dna swego losu. Faszyzm czy bolszewizm, i czy on sam nie jest właściwie blagier albo wariat — to były najgorsze z kwatermistrzowskich dylematów. Bezpośrednie dane Kwatergena przerastały niewymiernie zdolności jego do ich analizy. O tym nie wiedział nikt prócz niego — miał opinię dodatkową samego wcielenia samoświadomości. Gdyby mógł go widzieć cały kraj: tak nagle *zbiorowo* zobaczyć, może by się wzdrygnął cały dreszczem zgrozy i strząsnął go z siebie jak potwornego polipa na samo dno piekiel, gdzie męczą się pewno różni przywódcy ludzkości. Gdyby on sam mógł widzieć swoją własną opinię ogólną, scałkowaną w jakimś szatańskim nieskończonościowym rachunku — ha, może spadłby wtedy ze swego zgrzanego już nieco „rumaka” nieobliczalności w jakąś najzwyczajszą, rynsztokową kolejkę przeciętnego stupajki. Na szczęście ciemno było dookoła i ciemność ta sprzyjała rozwojowi nieświadomego, wewnętrznego potwora, który czał się, czał się, czał się, aż wreszcie...: hyc! — i skończona komedia i parada — bo po tym czynie wszystko już będzie za małe. Marzył o jakiejś nad-bitwie, o czymś więcej jeszcze, czego świat nie widział. Społecznymi detalami nie zajmował się nigdy — w przeciwieństwie do wojskowych, których głowę pełną miał jak puszkę od sardynek tychże rybek — dbał o czysto osobisty urok „*wo czto by to ni stało*”. Legenda jego rosła, ale umiał utrzymać ją w ryzach i nieokreśloności. Przedwcześnie przesadzona w natężeniu i zbyt sprecyzjowana legenda to najgorsza kula u nogi dla męża stanu z przyszłością. Ma wtedy ciągle ten problem, co artysta z powodzeniem — jak tu nie stracić tej linii, na której się powodzenie zyskało. I zaczyna się wtedy powtarzać siebie w coraz bledszych odbitkach, zamiast szukać nowych dróg — traci się swobodę i natchnienie, i kończy się prędko — chyba że się jest

prawdziwym tytanem. A — wtedy całkiem co innego oczywiście. Wszyscy wiedzieli, że w razie czego „Kocmoluchowicz pokaże, co umie”, ale co umiał prócz organizacji armii i wykonania pomniejszych pomysłów strategicznych — nie wiedział nikt. Na list starego Kapena zareagował zarządzeniem wysłania de Genezypa wezwania do szkoły oficerskiego przysposobienia w regionalnej stolicy K. — więcej o tym oczywiście nie myślał ani chwili.

Wezwanie przyszło właśnie w ten dzień, który księżna nazaczyła sobie na dzień próby; przyszło, ale po wyjściu Genezypa z domu — [zostawiono im trzy pokoje w oficynie według woli starego]. Baronowa i jej pierwszy kochanek (a no tak, bo przecie w 5 dni po pogrzebie było już załatwione), jeden z dwóch komisarzy państwowego nadzoru nad fabryką, Józef Michalski, siedzieli właśnie w jej (baronowej) czyściutkim, wybielonym i ciepłym pokoiku, przytuleni do siebie jak „para gołąbków”, gdy „sędziwy listonosz pokryty szronem po kolana” złożył przed nimi z uszanowaniem ważny dokument, na którego kopercie stało odbite: „szef gabinetu Generalnego Kwatermistrza”. Największych dygnitarzy przechodził dreszcz na widok tej pieczętki, a cóż dopiero takiego Michalskiego — dostał po prostu drgawek i musiał na chwilę wyjść. Baronowa rozszlochała się swobodnie, szeroko — dotknęła ją łapa przeznaczenia: jej Zypcio oficerem, przy boku byłego jej wielbiciela (któremu jeszcze jako młodemu kometowi dragonów dała kosza, mając lat czternaście zaledwie), tego „*Kotzmoloukhowitch le Grand*”, jak mówił uśmiechając się tajemniczo Lebac. [W dokumencie już było „przednaznaczone”, że po skończeniu szkoły oficerskiej miał Zypcio przejść dodatkowe przeszkolenie na adiutanta, aby być następnie przydzielonym do osobistej świty kwatermistrza jako „*aide-de-camp à la suite*”]. Za trzy dni miał zameldować się Zypcio w stolicy K. Złączone było z tym pewne uposażenie rodziny i pani Kapenowa, zapominając o grożących synowi niebezpieczeństwach (jeśli nie wojennych, to choćby w postaci na przykład uderzenia nogą w brzuch przez wodza — od tego miał umrzeć jeden z adiutantów, młody hrabia Koniecpolski, według wieści rozpuszczanych przez Syndykat) — ucieszyła się nadzwyczajnie. Z tym większą furią oddała się zaraz Józefowi Michalskiemu, który, jako długoletni wdowiec i w ogóle osobnik nie przywykły do prawdziwych wielkich dam, rozszalał się w Ludzimierzu prawie do obłądu. Jego siły męskie, spotęgowane nasycaniem, a długo teoretycznie gnębionym snobizmem, dochodziły do zastraszających rozmiarów. Ona przeżywała drugą młodość w miłości, zapominając powoli o materialnej klęsce i problemie dzieci. „Zaciszyć się” w jakimś małym kąciuku, zaszyć się choćby pod kołdrę, byle z nim, byle tylko choć trochę było „dobrze” — oto było chwilami jedyne jej marzenie. Teraz dopiero zrozumiała, jak straszny przeżyła okres mąk. Całe szczęście, że wtedy sobie tego nie uświadamiała — całe szczęście! Jakby z nieopalanego pokoju bez mebli, w którym przemieszkała lat 15 (od urodzenia Lilian) wpadła nagle w rozgrzany puch, rojący się jeszcze do tego od jeszcze gorętszych, stalowych uścisków. Bo Michalski, mimo lat czterdziestu trzech i z lekka wylupiających oczu, był jak byk — „*au moral et au physique*” — jak mówił o sobie i to w dodatku różowy blondynobyk z lekka megaloman-splanchiczny. Robili to tak potajemnie, że nikt (nawet Lilian), nie domyślał się ich stosunku! A był to stosunek w całym znaczeniu tego słowa, jakby z śmiertelnie nudnej żółtej francuskiej książki. Podobieństwo sytuacji obojga stwarzało, ponad rozpetanymi zmysłami, coś w rodzaju istotnego porozumienia. Michalski był fizycznie czysty — (miał nawet „tub”) — i poza drobnymi niedoskonałościami w jego manierach (zbyt jowialnie-zawieszistych), jedzeniu (źle składał „sztućce” po skończonym żarciu) i ubiorze (czarny garnitur i żółte buty), które pani Kapenowa z wrodzonym jej taktem szybko udoskonaliła, nie można mu było nic zarzucić, poza tym chyba że był... Michalskim. Ale i ten przykry dysonans zatarł się szybko w głodnej życia duszy baronowej. Przodkowie przewracali się gdzieś w grobach rodzinnych w Galicji Wschodniej, ale co ją to mogło obchodzić — miała ŻYCIE — „oni żyją ze sobą” — ileż w tym jest pociechy. Takie były czasy.

DEMONIZM

Był marzec. Lutowi goście rozjechali się na wszystkie strony, przerażeni nadciągającą burzą wypadków. Został tylko kuzyn Toldzio, ponury demon płciowych transformacji biednego Genezypa. I teraz los go przeznaczył, aby był tym odczynnikiem, „po którym

poznacie je”, czy coś podobnego. Korzystał ze zdrowotnego urlopu, cierpiąc na ciężką neurastenię, czy nawet psychastenię, na tle służby w M. S. Z., która wyczerpywała jego mózg, jak niewidzialna mątwą. Mieszkał w kurhauzie i był częstym gościem w pałacu Ticonderoga, na próżno namawiając księżnę do wznowienia dawnych chwil rozkoszy. Uświadomienie sobie tego faktu, że Zypcio kochał się w niej na serio, podnieciło go w zupełnie specjalny sposób — taka mała kanalijka był ten Toldzio — iluż jest takich niestety. W ogóle te osławione „warstwy podświadome”, te małe motorki różnych postęp-czeków, które zsumowane dają tło całej działalności danego człowieka, są to przeważnie dość brudnawe świństwka. Na szczęście, mimo całego freudyizmu, mało kto zdaje sobie z tego sprawę — inaczej zarzygaliby się pewni ludzie ze wstrętu do siebie i innych. Tak myślał czasem Sturfan Abnol i o takich rzeczach nie pisał z zasady nigdy.

Genezyp zaproszony do księżnej na obiad szedł lasami na przełaj w olbrzymich podkutyh buciorach, niosąc pod pachą lakierki i smokingowe spodnie — miano je uprasować na miejscu. Rano jeszcze dostał list od Iriny Wsiewołodowny, który go na parę godzin wytrącił z równowagi. Teraz już trochę ochłódł. Nie wiedział biedactwo, co go czeka. List „brzmiał”:

„Zypulka najmilsza! Tak mi czegoś dziś strasznie smutno. Tak chciałabym cię mieć całego w sobie. Ale *całego* — rozumiesz...? Żebyś był taki malutki, malutki, a potem, żebyś się rozrósł we mnie i ja żebym pękła od tego. Śmieszne? Prawda? Ale nie śmieć się ze mnie. Ty nigdy nie zrozumiesz (ani nikt z was), jak straszne rzeczy może czuć kobieta, a szczególnie taka jak ja i wtedy kiedy — (tu było coś przekreślonego) — I nawet gdybym była zła, powinieneś mnie kochać, bo ja wiem więcej od Ciebie, czym jest życie. — (Tu wzruszył się Genezyp trochę i postanowił nie skrzywdzić jej nigdy — co będzie to będzie). — I nie dość na tym: chciałabym *wtedy*, żebyś się cały zrobił taki wielki i silny jak tamto, kiedy Ci się podobam, taki, jakim będziesz kiedyś, może już nie dla mnie, i żebyś mnie zadusił sobą i zniszczył. — (Dziwnego uczucia przelśnienia wewnętrznego doznał Zypcio, czytając te słowa: zobaczył znowu w sobie horyzont bezmierny, dławiący niesytością bez granic, obrzękły mnogością niespełnionych diabli-wiedzą-cosiów — jakichś bezimiennych czynów-przedmiotów, niepojętych istności psychofizycznych, których jedynym ekwiwalentem *wzrokowym* mogły być nieznanne i niezrozumiałe rzeczy-stwory, zjawiające się w peyotlowych wizjach. Jak po tym śnie popołudniowym, *zbrodniczym*, mignął metafizycznie odległy świat, na tle jeszcze odleglejszej bezprzestrzennej dali, i zaraz wszystko zapadło w tę tajemną głębię, w której pracowały bez wytchnienia straszliwe motory czy turbiny, nakręcające realną przyszłość w nieprzewidziane zwykłym rozumem łożyska). — „Bądź *dziś* dobry dla mnie” — pisała dalej programowo, tak a nie inaczej właśnie, ta nieszczęsna świnka, mając już cały plan działania obmyślony aż do najdrobniejszych szczegółów — „i przebac, jeśli będę zdenerwowana. Dręczy mnie dziś całe życie dawne — „grzechy męczą” — jak mówił Bazyli. Całuję Cię jak wiesz... Tak bym chciała, abyś był *mój* naprawdę. Twoja, zawsze Ci oddana I.

P. S. Będą Twoje ulubione pierożki z serem.

Ten dopisek wzruszył go najbardziej. Nastąpiło zwykle rozdwojenie na uczucia czyste i zmysłowe. Po czym „te ostatnie” zbladły na korzyść pierwszych. Nie wiedział biedaczek, co go czeka. Na tle chwilowego nasycenia udawał przed sobą „przeblazowanego” starca i myślał nawet chwilami o rudych włosach i nieprzyzwoicie błękitnych, gryzoniowatych w wyrazie, oczkach pokojówki Zuzi, nie przestając ani na chwilę kochać idealnie księżnej. Cudowne późno-marcowe późne popołudnie mijało nad podhalańską ziemią, ociągając się jakby, by potrwać jeszcze choć trochę, nasycić się sobą i tęsknotą wszystkich stworów ziemi za innym wiecznym, nieprzemijającym, niebyłym nigdy życiem. A cała bezcenna wartość była w tym przemijaniu właśnie. Odległe śnieżyste góry, widne między rudymi pniami sosen na polanach, zatopione w opalowej sreżodze, błyszczwały różowawo ponad kobaltowymi zwalami odległych świerkowych lasów. Niżej kraj cały poprzerzynany był deseniami śniegu, leżącego po wgłębieniach i miedzach i na brzegach lasów. Wiosna

buchała wszędzie. W nieopisanym żadnym słowem zapachu przygrzanej ziemi, w wyziwach przeszlorocznej odegrzanej zgnilizny bagien, w zionących grzybowatym chłodem powiewach z niedogrzanego podłoża borów, w rozgrzanych falach powietrza, idących od przesyconych ostrym eterycznym zapachem górnych warstw iglastych drzew, czuć było jej potężniejący z każdą chwilą oddech. Zdawało się, że jakaś prawie materialna siła chwyta za mięśnie, ścięгна, bebecy i nerwy, męczącymi, drgającymi ruchami, rozluźniając zakrzeple w zimowym odrętwieniu cielesne wiązania. Cóż dopiero mówić o „rozluźnionym” już zimą Genezypie. Nagle, przechodząc przez jakąś słoneczną polankę, wpadł w czysto-wiosenną, specyficzną rozpacz, tak zwany dawniej „*Weltschmerz*”, spłycony przez nieznaną słowa „tęsknota” Francuzów na jakieś „*mai de je ne sais quoi*”. Była to niższa, bardziej zwierzęca i życiowo-pospolita forma istotnie metafizycznych przerażeń, tych chwil, w których stajemy wobec siebie samych i obcego świata, bez żadnych obłonek codziennych przyzwyczajęń, związanych z odpowiednio nazwanymi i wtłoczonymi w zwyczajność codziennych związków rzeczami i zjawiskami. Tamta chwila przebudzenia nie powtórzyła się już w intensywności poprzedniej — promieniało tylko jej wspomnienie, zmieniając z lekka zarysy normalnych przebiegów trwania, rozwiewając ostrość konturów znanych kompleksów. Pochodnymi jej były te prawie bydlęce „*weltszmerce*”, te podświadome płciowe śmieszne niby głębokie smutki, które to stany Rosjanie tak wyrażają, że powtórzyć tego absolutnie nie można: „*wsiech nie pra...*”. „O, gdybyż to można unosić się, choćby osobowo nawet, nad jakimś „*fond de femr inite² impersonnelle et permanente*” — ten rozdział na tę, a nie inną babę czy dziewczynkę, ta druga osoba, która ma bądź co bądź również pretensję do człowieczości, ta konieczność rozbabrywania czyjejś jaźni, przez taplanie się i grzebanie w związanym z nią cielsku — to są fatalne wprost historie”. Tak myślał przedwcześnie dojrzewający Zypcio, nie wiedząc jeszcze, czym jest miłość, poznawszy jej, zdeformowany dysproporcją lat i nieodpowiedniością epoki, surogat, w najgorszym, prawie pośmiertnym wydaniu. [„Względnie starsza demoniczna pani dobra jest dla młodego człowieka, o ile kochał się przedtem w panienkach i ma pewne, choćby elementarne erotyczne doświadczenie — inaczej może się na tym beznadziejnie załamać” — tak twierdził Sturfan Abnol]. Ogarnęło go rozwlekłe, męczące, osłabiające pożądanie — nawet nie samej księżnej, tylko tego całego aparatu ogłupiającej rozkoszy, który umiała puścić w ruch niby niewinnie, nieznacznie jakoś, a jednak z całym jasnowidztwem najskrytszych, najobrzydliwszych męskich tak zwanych „stanów duszy”, tego właśnie, o „czym się nie mówi” (nie mówi się też o kobietach, chociaż tam o wiele prostsza jest historia). A szkoda — przecie za lat 200–300 nie będzie tego w ogóle wcale. To są te zjawiska najstraszniejsze, te „epifenomeny” i opis tego właśnie jest jeszcze okropniejszą rzeczą niż to samo, a nie jakieś tam opowiadania, choćby najdokładniejsze, o samym zektnięciu się genitalii. Obnażenie tego gorszym jest od obnażenia ciała w najbardziej wyużydanych pozach. Tym nie śmiał się zająć nawet Sturfan Abnol, najodważniejszy z ostatnich powieściopisarzy, który miał głęboko gdzieś całą publiczność i polityczne frakcje, wynajmujące sobie odpowiednich genialnych stylistów, dla propagowania odpowiednich idei. Ta bestia księżna umiała o tym właśnie mówić w sposób wywlekający kiszki na wierzch, z dowolnie potężnego samca — a cóż dopiero mówić o takim Zypciu Kapenie. Poczucie tego, że była świadomą swego działania, aż do najdrobniejszych szczegółów, potęgowało urok tych rzeczy praktycznie w nieskończoność. Rozkosz zwiększała się w tej samej skali, co tortura. Ten sam ból, bez świadomości tego, że zadawany jest przez specjalnie nastawionego w tym kierunku kata, znającego dokładnie związki psychiki pacjenta ze swoją działalnością, byłby niczym. Najokrutniejsza maszyna jest szczytem łagodności wobec jednego drgnięcia świadomego okrucieństwa, jeśli chodzi o siłę doznawanego cierpienia. W tych mękach, jak na krańcach kolistej nieskończoności w popularnym przedstawieniu teorii Einsteina, łączyły się wszystkie świństwa płciowe z okrutnymi instynktami samozachowania się, w jedną obrzydliwą podstawę istnienia osobowości. Tam, nawet na pierwszą kondygnację „ordynarnej wyciwki kantowskich pseudo-komplikacji”, nie dotarł jeszcze Genezyp, zniechęcony rozmówką w pustelni kniazia Bazylego. „Dla pewnych durniów, nafaszerowanych tanim materializmem, metafizyka jest czymś nudnym i suchym i *dowolnym!* O, jęłopy: to nie teozofia, którą się zdobywa jako coś *gotowego*, bez

²*femr inite* — tak w źródle, zapewne zamiast *feminité*. [przypis edytorski]

żadnego umysłowego wysiłku. Inni, ze strachu przed metafizyką i przyjęciem istnienia „ja”, bezpośrednio danego, starają się *jak najmniej powiedzieć*: jacyś „behaviouryści”, czy inni amerykańscy pseudo-skromnisie. Czy nie lepiej rzeczywiście, że te rzeczy oficjalnie zabronione zostały, jeśli taki Russell, po wszystkich obietnicach, napisał taką książkę jak *Analiza ducha?* — tak mawiał Sturfan Abnol. Na tle potęgujących się żądz, zniknęło poczucie pewności siebie wszechwiedzącego starszego pana i nieznośny niepokój wiosenno-ściemno-prawie-metafizyczny rozhuśtał do reszty mięśnie, ścięgna, gangliony i inne wiązadła tego „ja”, brnącego przez nasyczone oddechem budzącego się życia lasy — („*dieser praktitichen Einheit*” według Macha — jakby pojęcie „praktyczności” można było wprowadzić nie wiadomo skąd jednocześnie z pojęciem kupy — *i to związanych ze sobą elementów*!!) Tak oburzał się kiedyś ktoś, ale Zypcio nie był jeszcze w stanie tego pojąć. Chwilami, właśnie na tle takich stanów zaczynała męczyć go materialna nędza obecnego położenia. Czasem, na krótko, ogarniała go nawet dzika złość na ojca. Ale pocieszał się tą myślą, że „przecież i tak niedługo wszystko diabli wezmą” (jak mówili ogólni defetyści) i przyszłość przedstawiała mu się wtedy w kobieco-sfinksowatej postaci, nęcąca komplikacją nieznaną przygód. I myślał podświadomie, obrazowo, prawie że tak samo jak ojciec, gdy pisał ostatni, przedśmiertny list do Kocmołuchowicza. Ostatecznie, dopóki był synkiem przy ojcu, mógł używać bogactw tych bez wyrzutów (ale czy użyłby — oto było pytanie) — sam, nie potrafiłby bezwzględnie. W każdym problemie zarysowywała się coraz wyraźniej dwoistość natury niedoszonego piwowara. Ale na razie nie było w tym nic strasznego, tylko ciekawość niezmierna. Dodawało to jedynie uroku chwilom dalszego „przebudzania się”, ale niestety na coraz niższych piętrach mglistego zarysu przyszłego człowieka — to słowo, które tyle szczytnych transformacji przeszło, zdawało się nieuchronnie konwergować z pojęciem doskonale funkcjonującej maszyny. Wszystkie wewnętrzne perypetie młodzika miały znaczenie symptomatyczne dla tego właśnie kierunku. Ale dla niego było *to właśnie* jedynym życiem, bezcennym skarbem, który trwoniał *właśnie*, jak na młodzika przystało. Każdy krok był błędem. Ale czyż doskonałość znowu (nawet w sztuce), nie ma tylko tego maszynowego znaczenia? — dziś oczywiście — „odtąd i na zawsze”, to jest: póki świecić będzie ogień słońca w międzygwiazdnej pustce. Wyczerpały się pozytywne wartości indywidualnych „wybryków” we wszystkich sferach — w obłędzie spełnia się najistotniejsze życie; w perwersji, której granicą jest pierwotny chaos, dopełnia się z boku najistotniejsza twórczość w sztuce. Jedna filozofia zrezygnowała — nie wróci do dawnych wierzeń — takie jest jej wewnętrzne prawo. Nie widzą tego tylko durnie dawnego typu i — ludzie przyszłości, którzy nie mają wspólnej miary z dawnym życiem i nigdy go nie pojmą.

Jeszcze granice aktualnego istnienia nie zawarły się przed rozprężającym się w wolnym wybuchu nabojem Zypciowej młodości. Za każdym pagórkiem, za każdą kępą drzew, spoza której wysuwały się gnane wiosennym wichrem, już prawie letnie, obłoki, zdawała się ukrywać zupełnie nowa, nieznana kraina, w której miało się spełnić wreszcie nienazwane: spełnić i zastygnąć w nieruchomej doskonałości. Nie rozumiał ten bydlak, że całe życie jest w ogóle, nie-do-spełnienia, że przyjdzie (ale czy zdąży przyjść przed śmiercią?) czas, w którym za tymi pagórkami odczuwać się będzie tylko dalsze pagórki i równiny, a dalej tylko okrągłość dożywotniego więzienia na małej galce, w bezmiernych pustyniach *przestrzennego* i metafizycznego nonsensu — kiedy te pagórki (a do diabła z tymi pagórkami! — ale czy jest coś bardziej uroczego jak pagórek?) przestaną się rysować na ekranie nieskończoności i staną się tylko symbolami ograniczenia i końca. Jeszcze nie połączyła się rozmaitość przeżyć i zjawisk w solidne, niezmiennie kompleksy, nazwane, określone, powtarzające się, ogólnie-ontologicznie nudne. „Więc aż tak jest źle. Psia-krew! Jak tu skonstruować siebie w takich warunkach?” — myślał Genezyp, nie rozumiejąc, że właśnie konstruowanie to powinno być uniezależnione od *wszelkich* warunków, powinno być „inwariantem” — ale gadajże tu z takim, co myśli, że cały świat powinien się do niego przystosować, aby jemu jednemu dobrze się działo. Gdyby mógł w tej chwili ocenić tę wartość „bydłęcego” pluralizmu, gdyby mógł być choć chwilę *świadomym* (nieświadomymi pragmatystami są „wszyscy” od wymoczka począwszy) pragmatystą, byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Ale gdzie tam — „*mais où là-bas!*” Z takim charakterem albo ma się to wszystko za cenę głupoty (a cóż jest warte cokolwiek bądź bez możliwości uświadomienia), albo ma się świadomość wszystkiego, za cenę tego,

że bloki takie jak: Nieznane, Szczęście, Miłość, nawet (!) Orgazm Najwyższej Rozkoszy, rozpadają się w próchno i proch nudy, a nad nimi pasożyty-pojęcia, jak widma z ich rozpadu powstałe, zaczynają się unosić w kraj metafizyki i żerować na Wiecznej Tajemnicy, wtedy, kiedy już, skutek tego właśnie, przestała ona być żywotną i nie ma siły, aby wcielić się w najdrobniejsze kąski życia, z których składa się codzienny dzień. Jedynie myśl czysta od początku... Ale dla niej poświęcić trzeba krwistość i soczystość życia i różne drobne przyjemności, wiodące i tak zresztą do znieczulenia i zamarcia w jakiejś przywartej do gęby masce, takiego, a nie innego określonego człowieka, który czasem z tym zagnębnym istotnym nic wspólnego nie ma. „Tylko rozumowo, na większych okresach upłyniętych zdarzeń, widzimy, my, przeciętni ludzie, i to rzadko, sens samego faktu istnienia, poza udaniem się, lub nieudaniem się życia, poza spełnieniem lub niespełnieniem zadań zdobywania potęgi i władania — wszystko jedno nad czym. Do tego pojmowania konieczności swego przeznaczenia i przewyciężenia w życiu (nie w sztuce) przypadkowości pozornej przebiegu zdarzeń, zdolne są tylko największe duchy”. Gdzie tam było Zypciowi do takich.

Jakże dziwnie przedstawiła mu się w świetle tych myśli niezrozumiała nigdy do głębi egzystencja ojca. Ten miał to właśnie: to poczucie swojej konieczności — ale skąd? Nie na piwie opierał je przecie. Tajemnicę uniósł do grobu. Już nigdy nie spyta go o to Zypcio, jak przyjaciela. Po prostu był megalosplanchikiem i kwita — nie potrzebował żadnych sankcji spoza siebie dla tężyzny swego mózgu i ciała. Po prostu *był* — o takich się nie pisze — można ich *opisać z boku* co najwyżej, tak, jak to robią niektórzy. Poczul go Zypcio po raz pierwszy w sobie nie jako możliwego niedoszedłego przyjaciela z dni ostatnich, tylko jako najbliższego krewnego z ducha i ciała, a tak obcego i dziwnego, jakim tylko dla kogoś niepospolitego może być całkiem zwykły człowiek. Ujrzał go wyraźnie jak żywego, a jednocześnie zapelzła z boku matka, z niemym błaganiem zakrywając dawną swą umęczoną niedosytem życia twarzą wąsaty, ojcowski pysk mądrego, udanego człowieka, tego chamo-pana z ubiegłych już czasów, typ ginący. I teraz dopiero przyszło na myśl Zypciowi, że matka zmieniła się w ostatnich czasach zupełnie. Widział to już dawno, nie widząc jednocześnie. Zanalizował tę zmianę szybko na pamięciowym obrazie i coś mu mignęło niejasno: Michalski... Ale zaraz niesformułowana myśl rozplynęła się w aktualnym problemie: jak zużytkować dwoistość w celu ujednolicenia: zadanie postawione mu w pewnej rozmówce przez Scampiego. Nic nie dało się na ten temat wymyślić. Rozedrgana słońcem sosnowa ludzimiarska puszcza z płatami matowo-metalicznie błyszczących śniegów, na których drzewa rysowały ciepło-niebieskie cienie, zdawała się być jedyną prawdą. Na tym tle czegoś doskonałego, zamkniętego samego w sobie w piękności bez skazy, potworna, nie dająca się niczym rozplątać płatanina ludzkich sprzeczności była czymś tak wstrętnym, jak hurma papierów na górskim szczycie lub kupa ekskrementów na dywanie skromnego nawet saloniku. Tam, za tym lasem, w duchowo mrocznej, a materialnie świetlistej otchłani rzeczywistości, za górami, przeglądającymi mleczno-rudym blaskiem spoza miedzianych pni sosen, i dalej, dalej, aż za nieznanym południem i zrębem biednej ziemi, kryła się, skondensowana w beczasowej pigule, przyszłość. Tylko w tym locie w czaso-przestrzenną dal zdawał się być ukrytym sens wszystkiego — w samym locie, a nie w spotkanych zjawiskach. Och — żeby można myśleć tak zawsze! Myśleć — to mało — czuć. Ale na to trzeba być silnym, świadomie silnym, albo być zdrowym bydlęciami jak ojciec — chcieć się żyć naprawdę — a nie wmawiać to w siebie, przez gęstwę wątpień, wahań, niepokoju — „Dajcie mi cel — a będę wielkim” — ha — tu jest właśnie kółeczko bez wyjścia. Spontaniczna wielkość stwarza sobie cel sama. „Najgorszą rzeczą jest nie świństwo, tylko słabość” — szepnął Genezyp w zachwycie nagłym nad światem. Wstrętne słowo: „tęsknota”, zdawało się jedynie wyrażać to, co czuł. Było to środkowe kółeczko w dawnym systemie pojęć: jaźń, otoczona mgłą metafizycznej tęsknoty. („Kobieta może tęsknić w sposób piękny — mężczyzna jest w tym głupi i godzien pogardy”). Jak spełnić to wszystko, gdy z punktu drogę zawałał taki potwór jak księżna Irina (już samo imię miało coś z uryny, irygacji i jakiegoś rżnięcia flaków czymś nieskończenie ostrym, połączonego z rykiem bólu — każde imię, w zależności od osób można tak, i to w różny sposób, interpretować) i takie niecne, plugawie aż do psychicznego szpiku, okrutne rozkosze? Muzyka Tengiera była tam, za górami, za wszystkim, poza czasem. Ale w tym nie było rzeczywistości, chociaż korzeń tej sztuki tkwił nawet w chudej

nóżce i grzybowym zapachu jej twórcy. Pierwszy raz odczuł Genezyp (zupełnie fałszywie, jak wielu durniów) „złudę sztuki” i jednocześnie (słusznie) absolutną, pozaczasową jej wartość, mimo znikomości samych dzieł, objętych przez „*principe de la contingence*”. Bezsilnymi palcami muzyka gładzi i pieści lubieżnie to coś pierwotnego, tę jednolitą miążgę wszechistnienia, w którą wdarcie się zębami i pazurami aż do krwi i szpiku niszczy jej istotę, zostawiając w niesytych nigdy szponach zgniłe, zeschłe, zmurszałe odpadki pojęć, a nie żywe życie. Coś podobnego było i z miłością Zypcia do księżnej. Cóż z tego, że tłamsił w swych młodzieńczych łapkach tego lubieżnego, wszechwiedzącego pół-trupa, cóż z tego, że nawet czasem kochał ją, w pewien sposób, jako tę pseudo-mamę z innych światów! Czyż wszystko, co weźmie w ręce, będzie właśnie takim, jak niedosiężność płciowej rozkoszy, znana jeszcze z onanistycznych czasów? Księżna stała mu się symbolem niezgębnialności życia i ostatecznie z rozpaczą głuchą w sercu szedł na tę dzisiejszą schadzki. Na tle tych stanów i myśli, przebrawszy się u lokaja Jegora (który, od czasu ogłoszenia testamentu starego Kapena, traktował go, mimo grubych napiwków, z pewnym pogardliwym współczuciem) wszedł do salonu Ticonderogów naprawdę z miną zblazowanego „pana”. Księżnę potraktował z wyższością i nie zwracał uwagi na ironiczne docinki Scampiego, który, powiadomiony o planach mamy, obserwował go z zainteresowaniem, jak owada wbitego żywcem na szpilkę. Oczywiście był tu też Tengier, ale tym razem z żoną i dziećmi, dalej książ Bazyli w fraku i Afanasol Benz w smokingu. Dla wszystkich słodka i uprzejma, Zypcia traktowała księżna gorzej niż „dziurę w eterze” — nie istniał dla niej, nie mógł spotkać i uchwycić dalekiego i obojętnego jej wzroku. Jak na złość była niewiarogodnie piękna. Sam Belzebub zdawało się ubrać ją na ten wieczór, pomagając Zuzi, we wszystkie swoje najwspanialsze klejnoty uroków, w zamian za obietnicę popełnienia czegoś naprawdę demonicznego. Dawno już się to nie zdarzyło. Po prostu doprowadzała do rozpaczki i to nie tylko jego, ale wszystkich. Była jak te cudownie piękne dni zamierzającej jesieni, w których świat zdaje się konać z dzikiej autoerotycznej miłości, wydając ostatnie fale energii gasnącego życia. Miała jeden z tych dni swoich, o których mówiła, że „nogi łączą się z twarzą i tamtym wszystkim w jedną niepojętą syntezę erotycznego uroku, w jeden taran, rozwalający mózgi przemądrzałych i silnych samców, na zaświntoną, rozkładającą się galaretkę bolesnej płciowości”. Beznadziejność nawet najbardziej udanego życia i niezwykłość kobiecego piękna stała się dla wszystkich namacalną w najbardziej nieprzyzwoity i upakarzający sposób. Po chwili przyszedł kuzyn Toldzio i nie wiadomo czemu stał się zaraz od progu główną figurą w salonie. Afanasol, pierwszy raz tu przez Bazylego wprowadzony, starał się, przy pomocy znaczków (bo cóż miał innego?), wywyższyć ponad przewyższającą go sytuację. „Znaczkisz sobie, a arystokracja sobie, psia-kość”, mówił w nim jakiś ironiczny głos i fakt żydowskiego pochodzenia Benzów (był praprawnikiem jakiegoś pachciarza, czy czegoś podobnego) zdawał się być czymś nieściśliwym, nawet wobec aktualnej tajemniczości Kocmołuchowicza (nieodgadniony człowiek u władcy zawsze jest mimowolnym pocieszycielem wszelakich malkontentów) i przewalającego się przez Rosję żywego, żółtego muru. W ogóle Benz z upragnieniem oczekiwał nadejścia komunizmu, a z nim otrzymania katedry, której pozbawiło go niepotrzebne zamieszanie się w agitację na rzecz najniższych warstw, czujących się w obecnej Polsce wprost świetnie. Wciągnęły go do tej roboty osobniki bez sumienia, chcące wyzyskać jego znaczkomanie w celu „zlogizowania” marksizmu. Próba ta zrobiła kompletne *fiasco*. (A *propos*: co to jest „*fiasco*”?). Speszony był straszliwie, bo księżna, przerywając mu jadowitą i piekielnie zresztą interesującą krytykę teorii Wittgensteina, zaczęła głośno mówić o polityce, starając się w ten sposób przygotować jakie takie tło dla zgnębienia swego młodocianego kochanka. Głos jej rozlegał się tryumfalnie, z niedosiężnej jakby wyżyny, budząc groźne echa płciowej irytacji w bebechach rozdrażnionych samców. Genezyp uczył się przygniecionym i duchowo gnuśnym, a poufałości Toldzia w stosunku do jego kochanki, której ośmielał się nawet przerywać rzecz jej z typowo emeszetową bezczelnością, zaczynały budzić w nim nieznaną dotąd, płciową złość. Miał wrażenie, że za chwilę dostanie ataku płciowej furii i zrobi jakiś potworny płciowy skandal. Ale jak zamagnetyzowany trwał w nieruchomym, pełnym wewnętrznych gadzinowych drgawek zgnębieniu, kondensując się w splotach wściekłości, jak balon napełniany gazem. Każde jej słowo kąsało go w zupełnie nieprzyzwoity i nieobyčajny sposób — narządy płciowe zdawały się *bezsilną* raną w zwiotczalym, rozluźnionym ciele. A głosu zabrać nie mógł,

bo nic do powiedzenia nie miał. Nie poznawał siebie — i ta dziwna lekkość... Ciało nie miało wagi i zdawało się, że w następnej sekundzie nieznana siła zrobi z nim, co zechce, wbrew jego woli i świadomości, które to istności, odcięte od motorycznych centrów, trwały gdzieś obok (może w sferze Czystego Ducha?) jakby na urągowisko temu, co się działo w cielesnych gąszczach. Przeraził się: „przecież mogę zrobić diabli wiedzą co i to nie będę ja, a będę za to odpowiadał. O — życie jest straszne, straszne” — ta myśl i ten strach przed własną nieobliczalnością uspokoiły go na czas krótki. Ale chwila rozmyślań w lesie zdawała się należeć do zupełnie innego człowieka. Nie wierzył, że księżna kiedykolwiek była jego płciową własnością. Otaczał ją mur zimny niezwykłego uroku. Poznał własną nicość i niewolę, w którą zabrnął. Był psem na łańcuchu, samotną małpą w klatce, więźniem, nad którym się znęcano.

— ...bo ja rozumiem, żeby Kocmołuchowicz — mówiła księżna swobodnie, krytykując, z tą właściwą sobie pełną potęgą lekkością, najbardziej tajemniczego człowieka w kraju, a może i na świecie — stworzywszy z armii bezwolną maszynę, starał się wyrzucić wpływ na kwestię połączenia się z naszymi białogwardyjcami. Albo, jeśli to jest już absolutnie niemożliwe, żeby dążył do racjonalnego ustosunkowania się handlowego na Zachodzie. Przemysł nasz dusi się z powodu braku eksportu, czy czegoś podobnego — ja się na tym nie znam, ale coś czuję w każdym razie. Od pewnego czasu komplikacja ekonomiczna przerosła siły indywidualnego mózgu w ten sposób, że w ogóle nawet najzdolniejszy byznesmen nic pojedynczo do gadania tu nie ma. Ale te nasze gospodarcze rady, którymi daje się powodować, czy jak tam, ten sfinks w masce, doprowadzają mnie do rozpacz. Nie ma u nas fachowców w niczym — (tu spojrzęła na Zypcia z taką pogardą, że ten przybladł z lekka) — nawet w miłości — dodała bezczelnie, po krótkiej pauzie. Odezwały się pojedyncze śmiechy. — Proszę się nie śmiać: mówię poważnie. To parcie do izolacji na wszystkich frontach jest obecnie szaleństwem. Chyba że wszystko to, co się dzieje jawnie, jest błagą, ochraniającą takie stosunki ekonomiczne, jakich nawet taki geniusz kompromisu, jak Smolopaluchowski nie jest w stanie zrozumieć. Tak twierdzi mój syn Maciej. Nikt dosłownie nie pojmuje, na czym polega dobrobyt naszego kraju. Mówię o tajnych kapitałach, które nieznacznie podpuszcza tajny również syndykat, będący na usługach komunistycznych państw zachodnich. Ale w taką fantazję nawet w naszych czasach uwierzyć trudno. A mogąc mieć władzę — tu podniosła głos do tonu zaiste profetycznego — i nie chcieć z tego otwarcie skorzystać jest zbrodnią! Ale cóż robić z takimi kryptoflakami, jakimi są nasi mężowie stanu — trzeba być też kryptotyranem albo dostać furii. Może to jest jego tragedią — dodała ciszej. — Nie znalazłam go nigdy — bał się mnie i uciekał. Bał się, że mogę mu dać siłę, której sam nie wytrzyma. Zrozumcie to — „zakrzyknęła” sybilińskim tonem. Wszyscy poczuli, że może to być prawdą i zakręciło się im w płciowych ośrodkach.

Informacja: Kocmołuchowicz pękłby ze śmiechu, gdyby to słyszał. A może, a nuż naprawdę bronił się przed zbyt wysokim przeznaczeniem? Nikt nic wiedzieć nie może, póki nie spróbuje. Pewne zetknięcia ludzi dają straszliwe, nieznane przedtem „hocheksplozywy”. Ona, księżna Ticonderoga, na tyle demokratyzowała, że chciała być egerią byłego stajennego chłopca, a ten bałwan nie chciał — „Muratowska” kariera — mógłby się nawet królem ogłosić, gdyby ją miał przy swoim boku — czy „pod sobą” jak konia, jak on tam się o swoich kobietach wyrażał. (A było ich dwie — ale o tym później). A tu nic. Nie mogąc zablysnąć w jego promieniach, spotęgowałszy je do oślepiającej siły, wołała zupełną polityczną abstynencję, niż zniżanie się do typów „niższej sorty”.

Mówiła dalej: — Przypomina mi to naszych eserów w rewolucji 1917 roku. Nikt u nas się niczego nie uczy i uczyć nie chce. I u was też. Istotny brak wiary w siebie naszych emigrantów i pokolenia, które wychowali, był przyczyną tego, że kiedy nareszcie ich ludzie z niższych warstw, nie oni sami, opanowali Rosję, nikt prawie z nich nie chciał ruszyć się tam na pomoc, aby objąć ważne posterunki. Brak odwagi u naszej inteligencji zabija wszystkie zaczątki odrodzenia — odwagi czynnej — mamy ją tylko w wyrzeczeniu się i obnoszeniu naszych ran przed innymi. — (Książ Bazyli poruszył się niespokojnie, chcąc coś odpowiedzieć). — Nie trudź się, BAZIL — wiem, co powiesz. Twój neo-pseu-

do-katolicyzm i ogólne-ludzkie ideały w formie mdłej, nietwórczej dobroci, są tylko zamaskowanym tchórzostwem. Tak zwany „szkurny wopros”. Wolisz być leśnikiem u mnie, niż zaryzykować swoją nadwiedniętą „oblóczkę”. „Des hommes d'état, des hommes d'état — voulez vous que j'en fasse” — mówił na ostatnim posiedzeniu rady wojennej generał Trepanow, trawestując powiedzenie Napoleona o rezerwach pod Borodinem...

— *Des balivernes, ma chérie* — przerwał książę Bazyli. — Czasy minęły — czasy tego rodzaju społecznej twórczości. Tylko zmiana dusz ludzkich od samego spodu stworzy nową atmosferę, w której powstaną nowe wartości...

— Frazesy. Nikt z was nie jest w stanie powiedzieć, jakie to będą wartości. Gołosłowne obietnice. Pierwsi chrześcijanie tak myśleli i co z tego wyszło: wyprawy krzyżowe, inkwizycja, Borgiowie i dzisiejszy twój katolicki modernizm. — Nieistotne końcowe stany waszych dekadencjonalnych osobowości bierzecie za objawy rodzącej się wspaniałej, cha, cha, przyszłości. O, teraz złapałam nareszcie istotę tego piekielnego szantażu, czy czegoś takiego, dzisiejszych optymistów. Koniec z początkiem łatwo pomieszać — nie takich łbów jak wasze trzeba, aby zobaczyć tę różnicę. Tylko my, kobiety, widzimy jasno to wszystko, bo nas nic to nie obchodzi. My będziemy trwać wiecznie te same, niezmiennie w swej istocie, gdy wy dawno w trutniów się pozamieniacie. Tylko nudno będzie wtedy na tym świecie — nie będzie kogo nabierać. Maszynka okłamać się nie da. Chyba że opanujemy świat władzy i wtedy chować będziemy sobie, to jest jakie dwadzieścia procent z nas, trochę pseudo-artystów i donżuanów dla zabawy. Czasy minęły, powiadasz, święty Bazyli, autokoprofagito? Gdyby wszyscy tak myśleli, nie byłoby ludzkiej kultury. Czasy tworzą jeszcze ludzi i tylko ludzie-jednostki. A jak te czasy przejdą, my się zabierzemy do ludzkości i wtedy...

— Nie, księżno — przerwał nadmiernie głośno Afanasol Benz, zdobywając się na odwagę. — To, co pani powiedziała przed chwilą, da się zastosować do pani własnej koncepcji. Baby zawsze panoszyły się w okresach dekadencji wielkich idei. Ale początki tworzyliśmy zawsze my. Wy na wielką skalę umiecie żyć tylko rozkładającym się ściernem i wtedy przewyciężacie wasze niewolnicze instynkty...

— *Tiens, tiens* — bąknęła Irina Wsiewołodowna, patrząc (jak dawniej wszystkie przeciw arystokratki) przez *face-à-main* na podnieconego logistyka.

— A tak — walił Benz, wściekły z zawiści, upokorzenia i płciowych nienasycień. (Po co się irytował biedaczek, „tracąc wysokość” w istotnych sferach?). — Dziś za słowo „indywiduum” musimy podstawić w ogólnym równaniu ludzkości pojęcie „masa” i pomnożyć w dodatku przez nieokreślony współczynnik. — (Mówiąc to, czuł jednocześnie całą swoją wyższość i całą niższość — sprzeczność ta była nieznośna). — Tylko od masy jako takiej możemy, na zasadzie wielkich liczb, oczekiwać nowych wartości. Tylko ona jedna była w stanie zwyciężyć „dziki”, niezorganizowany, trawiący ludzkość, jak przerosły jej miarę nowotwór, kapitał i zwyciężyła go faktycznie. Ona wytworzy nowy typ regulatorów gospodarczego życia, a nie jakieś pseudofaszystowskie zgromadzenia bezpłciowych, bezklasowych specjalistów. A zresztą czyż nie wszystko jedno jak — koniec jednakże: śmierć za życia w zupełnej pustce ducha...

KSIEŻNA: Bzdura. Pana głównie to gniewa, że nie jest pan na szczytach tej pańskiej masy. Tam czułby się pan świetnie. Stąd ta cała malkontencja. Pan Lenin był nie gorszym władcą od swego poprzednika — jako możliwość oczywiście — tylko był zdolnym, jakkolwiek omamionym i omamiającym człowiekiem...

BENZ: Był wykładnikiem masy: operował pojęciami tworzącymi rzeczywistość, a nie fikcjami, które się nareszcie przeżyły — tylko nie tu, w tej zatęchłej norze, w tej pepinierze miernoty...

KSIEŻNA: Teraz przeżywa się ta jego fikcja na zachodzie. Tylko spóźnieni w ewolucji Chińczycy poddali się jej na naszą zgubę. Ja nie mam zresztą ochoty na „pryncypialny rozgovor” — mnie chodzi o obecną sytuację. Cały ten niby-wszechświatowy bolszewizm obecny jest balonikiem, który pękłby, gdyby znaleźli się odpowiedni ludzie. Ale może trwać przez inercję wieki całe...

BENZ: Widocznie ludzie tacy już się nie rodzą, *chère princesse*. Nie mają atmosfery koniecznej ani dla ich powstania, ani dla rozwoju...

KSIEŻNA: Proszę bez poufałości, mister Benz. Jeśli u nas jeden Kocmołuchowicz mógł z armii zrobić bezwolne narzędzie w rękach Syndykatu Zbawienia Narodowego, jeśli my

wreszcie udowodniliśmy, że możemy zupełnie dobrze zastąpić wszelkie wywrotowe idee przez odpowiednio zorganizowaną pracę i dobrobyt mas, — co się nie udało nawet Włochom — i to przy pomocy takich fujar, jak mój mąż, Cyferblatowicz i Jacek Boroeder — (Prawie wszyscy zbledli. Odwaga księżnej w wymienianiu najpiekniejszych nazwisk w kraju była znana — a jednak zawsze robiła wrażenie) — to dowodzi, co za hołota są dziś ci byli ludzie tamtych krajów. Ja rozumiem Australczyków, bo to była banda od samego początku — potomkowie zbrodniarzy. Ale to nie dowód. Trzeba tylko ludzi z odwagą — rozumu mają dosyć.

BENZ: Ale skąd ich wziąć?

KSIEŻNA: Należy wychowywać. Oto tu mamy okazy tych ludzi przyszłości. Oto ten biedny Zypcio, któremu u samego „wchodu” w życie odebrano wszelkie możliwości. Ja się nim zajęłam, ale to nie wystarczy. — (Genezyp zacerwienił się straszliwie i krótkotrwanie acz głęboko obraził się za ojca, ale milczał. Upokarzający bezwład rozprzestrzenił się w nim, obejmując już nawet centra honoru i męskiej ambicji. A ten parszywy Tol-dzio aż zawracał oczami w zachwycie nad systemem księżnej w gnębieniu „logistycznego Żydka”. W tej chwili poczuł Zypcio taką wściekłość, że to on, ten kuzynowaty elegancik, nauczył go onanizmu, pozbawiając „takich” ilości męskiej siły, że zarznąłby z rozkoszą tego bydłaczkowatego przyjemniaczka. Pienił się wprost — niestety tylko do wewnątrz. Widzialnie przedstawiał się jako jedna masa płynnego prawie niedołęstwa, o bezden- nie smutnych przepięknych, zmaconych bezwładem oczach. W obcym świecie pospolitej klęski trwał jak żywa obraza własnych swoich niedawnych marzeń. Gdzież była dziwność? A do cholery z wszelką dziwnością! Tryumf złych potęg trzeciej klasy na pospolito. Była jedna rada: plunąć i wyjść. Można było zresztą nawet nie pluć. Ale na to (to znaczy: na wyjście) nie miał siły. Nieznacznie zabrnął w pułapkę bez zbroi i miecza — rdzewiały gdzieś w dziecinnej rupieciarni, dziecinne zabawki. Na tle tego stanu i kwestii, poruszonych przez księżnę, o których nie miał pojęcia (nie wiedział, że ona sama niewiele więcej znała się na tym wszystkim od niego — [ale kto znał się? Kto!]) resztki rozmyślań leśnych znikły jak nikły duszek i piekielna [ale naprawdę] niecierpliwa, młodociana, nie znająca dotąd przeszkód, żądza chwyciła go jak flaka w swoje rozpalone kleszcze. Musi w tej chwili, bo inaczej nie wiadomo co się stanie. A tu nic. Rozmowa trwała dalej jak koszmar wymyślony przez diabła w chwili specjalnego natchnienia).

— Ale kto ich wychowa — z uporem iście logistycznym wtrącił znowu Benz.

KSIEŻNA: My, kobiety! Jeszcze pora. Ja zmarnowałam moje życie na miłostki. Dosyć tego.

BENZ: Tak, rzeczywiście...

KSIEŻNA: Nie przerywać! Jeszcze czas. Zaniedbałam moich synów na korzyść tych durniów, których mi fatalny los zsyłał na kochanków. Tych też w porę nie wychowałam. Ale jeszcze pokażę. Dosyć tego, mówię! Założę olbrzymią instytucję, w której będziemy rządzić my, baby — i wychowamy nowe pokolenie — chociażbym miała nawet zostać kochanką Kocmołuchowicza, do którego manier wstręt mam jak do karaluchów. Nie znacie mnie jeszcze, skurczywoły! — (Nie wiedziała biedna, że i na nią szła gdzieś od malajskich dżungli złowroga fala nieodpartej nauki Murti Binga, wierzyła jeszcze w niezwykły dotąd urok swoich cielesnych utensylii). — Genezyp zmartwiał z przerażenia. Czyżby to miało być obietnicą rozstania? A może weźmie go ten potwór na wychowanie, przestając oddawać się mu? (mu!) To byłoby wprost straszne! A czuł nieszczęśnik taki brak woli, że naprawdę wydało mu się to możliwe. Weźmie go i co jej zrobi? Nastąpiło tak zwane „duchowe wyrwanie genitalii”. Otworzyła się rana, zrobiona z łaskocącej mgły — przez nią, razem z sokami przesączonymi przez zbaraniały mózg, spłynął duch do cielesnych więzień, do wewnętrznych komór torturowych. „Zblazowany pan” uleciał z niego, z początku rozgrzany do białości, a potem zmieniony w śmierdzący gaz niesamowitą temperaturą płciowej rozpacz, i został tylko biedny, umęczony blanbek w stanie koloidalnym. Stęzał w klubowym fotelu, zmieniony cały w jeden olbrzymi, spragniony a naiwny lyngam i czekał, czekał, czekał... Może się co odmieni, bo to, co się działo, nie mogło być prawdą. Głowa zdawała się być mała jak główka od szpilki, a o reszcie ciała nawet mówić nie warto — było tylko to jedno. [Jeden z kompartymentów piekła na pewno jest beznadziejną poczekalnią, w której czeka się wieczność całą, z ciągłą nadzieją i pewnością zawodu jednocześnie]. Na cóż tu zda się odwaga i wszystkie niedawne

myśli i daleki horyzont w życiu, wobec tego przekłętego babskiego ścierwa, które kłamie każdym słowem i zna każde drgnięcie ciała któregośkolwiek z przeciwnej sobie partii samców? Trwał w męce, opuszczony przez wszystko. To taka była ta jej „matczyna” miłość! To w ten sposób chciała go wychować na „kogoś”, męcząc i upokarzając, jak Król Duch swój piekielny naród! Ale on nie był zdolnym do przekręcenia tego na pozytywną stronę, do stworzenia nowej siły z cierpienia — nie miał na to odpowiedniej maszyny. Był zaskoczony plugawym nieszczęściem znienacka, „w rozpłoch”. Poddawał się rozkładającym myślom, znajdując w tym smaganiu i bezczeszczeniu siebie, w poczuciu własnej nicości i bezsilności, jakąś ohydłą przyjemność — tak, jak wtedy z Toldziem, w parku ludzimińskiego kurhauzu, w dzieciństwie. — Jeszcze my — krzyczała dalej Irina Wsiewołodowna — my, baby, mamy zdrowy instynkt życia. Bo dla nas życie, to bez mężczyzn, których mogłybyśmy podziwiać, jest męką i wstydem. Czyż jest coś gorszego dla kobiety jak pogardzać ukochanym, a choćby pożądanym przez nią mężczyzną, nie czując jego wyższości nad sobą? — [Słowa te padły jak kamień w bagno. Coś chlupnęło w złaczonych, indywidualnych psychicznych bagienkach obecnych. Jednak była w tym prawda: mężczyźni spsili — one nie. Można by na to przytoczyć różne okoliczności łągodzące. Ale cóż to pomoże i czymże to będzie dla nich, dla bab. Powody są obojętne wobec nieodwracalnego faktu. Cisza. Książ Bazyli siedział zmartwiały, z wzrokiem zwróconym do wewnątrz. Jego cała sztucznie zbudowana wiara chwiała się nad bezdnią najgorszych wątpliwności. Ta „biedna zabłąkana dusza”, jak ją *starał się nazywać*, umiała mu zawsze wbić kiel w najboleśniejsze miejsce. Życie było jeszcze żywe i taką była wiara sama w siebie, mimo sztuczności — brakowało żywego połączenia — wszystko trzymało się na zardzewiałym haczyku, który codziennie trzeba było czyścić i naprawiać. Nie wiadomo czemu Benz czuł, że znaczki razem z sercem ma „w spodniach” — (*the heart in the breeches*) — księżna zaczynała mu się wściekle, na zimno, beznadziejnie, rozpaczliwie podobać. Ach — być choć chwilę kimś *takim!* Co za piekielnych rzeczy można by wtedy dokonać, choćby w logistyce — ot tak sobie, od niechcenia — jak Cantor na marginesie jakiejś książki. Być „błyszcącym” (*blietiaszczym*) dyletantem, a nie tym specjalistą w źle uszytych garniturach i wykrzywionych butach. Toldzio wił się niespokojnie, najwyraźniej rozdrażniony płciowo do maksymalnych natężeń. Tengier, skręcony w bezsilnej pasji przeciw wszystkiemu, spoglądał z rozpaczą na żonę, której nienawidził w tej chwili do obłędu. Nienawidził i tamtej „głatwy” — jak ją nazywał — ale inaczej. Była dla niego czymś *już* niedościgłym, a jednocześnie czymś „grubo” poniżej jego erotycznego „standardu”. Znowu przypomniał mu się genialny wiersz Słonimskiego:

„czymże jest, o naturo, twych pocieszeń mowa,
Wobec żąd, które budzisz twym mrocznym obszarem”.

Sytuacja była bez wyjścia — mógł ją rozwiązać jedynie w jakiejś szatańskiej improwizacji, w której wywyższyłby się ponad bagno wstrętne w sobie i poza sobą. Czekał sposobności, by zacząć. Ale rozmowa trwała dalej, męcząca, jałowa i nudna].

BENZ: Proszę „pani księżnej” — kraj nasz moim zdaniem nie mógł nigdy sobie pozwolić na samodzielną politykę wewnętrzną. Z położenia swego i z natury swoich obywateli musiał być w niej funkcją układów zewnętrznych. Systematyczne zaprzeczanie samo w sobie doprowadziło kraj ten do upadku, do tego cofnięcia się w duchowej kulturze, której nie zastąpi żaden dobrobyt. Pełny żołądek sam przez się nie stworzy jeszcze możliwości, tych niesłychanych możliwości, o których lubią mówić płascy optymiści — w gruncie rzeczy leniwczy, którzy by chcieli, aby wszystko działo się ot tak sobie, samo przez się. Nie rozumieją oni, że promieniotwórcze rudy z duszy ludzkiej trzeba wyrywać zębami i pazurami. Idee jeszcze mają wartość.

KSIĘŻNA: Stop. Tylko co mówiłam prawie to samo. Powtarza pan moje słowa w swoim żargonie. A jednak jest w panu za wiele wyrafinowanego Żyda. Irytuje mnie, że nawet mówiąc to samo, identycznie to samo, jesteśmy na przeciwnych diametralnie punktach. Nieuświadomiony, a może i uświadomiony — czort wie — niezgłęzione są tajnie duszy semickiej — nacjonalizm żydowski przebija przez wszystkie pańskie ogólnoludzkie ideowości. Ja jestem nacjonalistką ogólną — rozumie pan? — Widzę możliwość rozwoju indywidualności tylko jako funkcję przynależności do pewnego narodu, stanowiącego człon-

ka wielkiej rodziny; pan, na tle niwelacyjnej, antynacjonalistycznej ideologii, jest *au fond* nacjonalistą szczegółowym. — [Benz poczuł się definitywnie dużo mędrszym od tej baby, mimo całe jej księstwo i lekceważące maniery. Postanowił zacząć kpić z niej, nie zdradzając tego zbyt jawnie].

BENZ: Trudno, pani: w arteriach moich płynie krew żydowskich kapłanów i jestem z tego dumny. Dotąd, poza czasami biblijnymi, wydawaliśmy tylko jednostki — co możemy jako naród, jeszcze pokażemy i to właśnie w związku z najwyższym uspołecznieniem, a nie na tle pseudo-idei w rodzaju pani nacjonalizmu, który jest tylko zamaskowaną chęcią ocalenia się i najordynarniejszego użycia resztek istnienia przez klasy, które się przeżyły i przestały być twórczymi. My będziemy wszechświatową oliwą w trybach i transmisjach wielkiej maszyny, przerabiającej ludzkość na inną istotność, organizm wyższego typu, nad-organizm. Już nawet tym jesteśmy — byliśmy za ostatniej wszechświatowej rewolucji. To jest nasza misja — dlatego jesteśmy narodem wybranym. Ale działalność naszą oceniają goje za lat 1000 dopiero. A tymczasem: Cantor, Einstein, Minkowski, Bergson, Husserl, Trocki i Zinowiew — to wystarczy. I Marx, jako ten, który nas na tę prawdziwą drogę wybraności wprowadził.

KSIEŻNA: I pan, pan przede wszystkim. Cha, cha! Ach, daj pan pokój, panie Benz. Pan wymawiający jednym tchem nazwisko Bergsona — największego błagiera, jedyne dotąd w historii filozofii, i Husserla, prawdziwie genialnego obłąkańca, którego błędy stokroć więcej są warte od słuszności bezpłodnych pseudo-skromnisiów, bojących się introspekcji w psychologii, czy też przyznania się, że są w ogóle, jeśli chodzi o znaczki w logistyce. — [„A jednak to bydlę nie jest wcale tak głupie, jak myślałem”, z rozpaczą pomyślał Benz. „Z taką kobietą żyjąc stworzyć jedyny *inamovable* system, o który każdy łeb by sobie rozbić musiał!” Zmarnowane życie, na projekcji mieniającego się wszystkimi barwami, przepojonego intelektem romansu z księżną, przemknęło jak brudna ścierka, szarpana jesiennym, ponurym wichrem banalnego, nieciekawego zwątpienia]. — Mnie o co innego chodzi i czego innego żałuję, niż pan w tej chwili. — Zapatrzyła się wieszczym wzrokiem aż w samo ginące w mroku historii jądro przeznaczeń wszystkich narodów świata. — Oto jak widzę wasz polski katolicki gotyk — ach, żeby mógł być gotyk prawosławny — to byłby cud — to zimno mi się robi ze wstydu. Tu powinny stać w tym kraju bizantyjskie chramy, złociste, kopulaste, ciemne w swej zaprzałości i bogorabstwie — w nich byłaby wasza polska siła — związek ze Wschodem — a nie w tych wszystkich zachodnich faramuszkach, do których przez 10 wieków przyzwyczać się nie mogliście i które zawsze wyglądały jak trzeciorzędna piżama jako koronacyjny strój wodza jakichś dzikusów. Zobaczylibyście wtedy, czym by był wasz naród! Ani zapachu tej obrzydliwej waszej lekkomyślności w nim by nie zostało — tego fałszu, tego ugrzecznienia pozornego wobec samych siebie, maskującego samopogardę i wstyd. Najstraszniejszą pomyłką historii waszej jest to, żeście chrześcijaństwo z Zachodu przyjęli, a nie od nas. A ileśmy też na tym stracili, że, zamiast sprzymierzeńców i kierowników, mamy w was, Polakach, wrogów i to niegodnych — jak i teraz. Jak sobie pomyślę, co to za cudny byłby typ bizantyjskiego polaczyszki, to mi się płakać chce, że to już nigdy nie nastąpi. Ostatni raz mogliście jeszcze wpuścić naszych bolszewików w 1920 roku i w nas się rozpuścić i nas zorganizować, albo i być zorganizowanymi — bez bólu — nie tak jak przez Niemców — i tym odkupić historyczne winy przeszłości. A teraz jeszcze połączyć się z naszymi białogwardyjcami — choć już nie to — za późno. Was zawsze jakaś siła tajemna musiała od nas oddalić w ostatniej chwili.

KNIAŻ BAZYLI: Ta siła to jest instynkt samozachowawczy tego narodu, do którego mam zaszczyt należeć teraz. Niedawno mówił sam głównodowodzący Trepanow: „*w każdym ruskom samom błagorodnom czielawiekie jest w głębinie niemnożko griazi i swinstwa*”.

KSIEŻNA: Ach, ty, niedopolski neokatoliku: to nie tylko my, to wszyscy są tacy. Ale to świństwo było kiedyś czymś wielkim, a w naszej przejściowej epoce stało się małym i marnym. — To zanikająca, rozkładająca się osobowość, dla której nawet w literaturze miejsca już nie ma. Ale też w tym świństwie, co jest rudą właściwie, kryje się czasem trochę dawnego złota, które trzeba umieć wydobyć, wypalić i oczyścić. Oczywiście jest tego co najmniej o 80% mniej niż dawniej i inne muszą być metody dobywania: chemiczne raczej niż fizyczne — i tę psycho-chemię posiada jeszcze kilka kobiet na tym świecie. Najprzód rozłożyć na elementy, a potem zsyntetyzować na nowo.

SCAMPI: Szkoda, że mama wcześniej nie zdobyła tej wiedzy — bo to, wiecie, nie jest żadna nowość: przychodzi z wiekiem i znana była w czasach rzymskich....

BENZ: Teraz już na to za późno: nie tylko w Rosji, ale wszędzie. Chińczycy wypalą tę rudę, ale dla innych celów. Na rosyjski naród jest tak samo za późno, jak i na wszystkie narody świata, w tych formach, w których przejawiały się dotąd. Tylko że na Zachodzie przeżyto na ten temat choć resztkę istotnych wartości — tam nic.

KSIĘŻNA: Z wyjątkiem was, oliwo społecznej maszyny całej ludzkości! Ale mnie się zdaje, że na ludzkość w waszym stylu też jest za późno, bo siła jej elementów jest ograniczona. Ta wasza ludzkość trwać nie może, jak nie może być zrobiony pięćsetpiętrowy dom z małych cegiełek. A na społeczny żelazo-beton nie zanoszą się jakoś — ciała wytrzymają jeszcze jakiś czas — mózgi nie. Ciała można zbić w nad-gromadę, ale nad-mózgu nie stworzysz nawet ty, panie Benz, nawet, a właściwie właśnie przy rosnącej specjalizacji. Ledwo zaczęła ludzkość uświadamiać samą siebie jako całość, a już jest zdławiona komplikacją podstaw tego życia, na którym ta świadomość jedynie wyrosnąć mogła.

BENZ: Zupełnie się zgadzam. Ale czy pani myśli, że wasz pseudo-faszyzm zatrzyma tę postępową komplikację? Nie — wszystko musi, rozumie pani: *musi!* biec coraz szybciej i szybciej, bo wytwórczość wzrastać musi. Nie wszystkie rasy wytrzymały to przyspieszenie. Jedynie my, Żydzi, zgnębieni, ale wypoczęci i nakręceni jak sprężyna, jesteśmy przeznaczeni na to, aby być w przyszłości mózgiem i systemem nerwowym tego nad-organizmu, który się tworzy. W nas skondensuje się świadomość i kierownictwo — inni to bezwolne bebechy będą, pracujące w ciemnościach...

KSIĘŻNA: Na waszą chwałę, zamaskowany nacjonalisto. Cała nadzieja w tym, że wy też się wyczerpicie kiedyś, raczej my was zużytkujemy dla naszych celów. — (Powiedziała to nieszczerze, bezsilnie).

BENZ: Słońce kiedyś też zgaśnie... (Nie dokończył tej myśli).

KSIĘŻNA: Wy, logistycy, dziwny jesteście naród. Jak mówicie o czymkolwiek bądź innym, nie o znaczkach, jesteście tak samo nieściśli, względnie ściśli, jak każdy inny człowiek. A nawet pozwalacie sobie na więcej baliwernów, mając w rezerwie sferę logiczną absolutną, w której abstynencja wasza dochodzi do absurdu. A przyparci do muru udajecie skromnisiów, którzy nic nie wiedzą i tym się szczycą. Nie ryzykujecie nic w ten sposób, ale jesteście bezpłodni — ot co.

Benz zaśmiał się z szerokim tryumfem. Rozzłościł jednak trochę tę wielką bądź co bądź damę. Zadowolony był, że zapanował nad tym osiemnastowiecznym salonikiem w zaniku. Dobra psu i mucha. Genezyp starty był na proch, był niczym. Silił się ostatnim wysiłkiem zorganizować swoją rozłażącą się na wstrętą maź jaźń, raczej jej ostatni „*souffçon*”. Wymykała mu się i pokornie pełzała pod nogi (wspaniale jeszcze) potencjalnie zdradzającej go kochanki. To wiedział już na pewno mimo całej głupoty. Nie mógł zrozumieć, że dotąd ona go na serio brać mogła. Taka „prawdziwa”, dorosła osoba, mówiąca z takim sensem o czym by tylko nie chciała z prawdziwymi mózgowcami. „I takie stare, przeżyte pudło, taki makak zagwazdrany”, powtarzał sobie w duchu nieszczerze i bez żadnego skutku. Księżna wstała i przepysznym (wprost) ruchem odwaliła w tył masę miedzianych włosów, jakby chciała powiedzieć: „no, dosyć bzdur — teraz zaczynam coś naprawdę”. Tym niezwykłym młodym chodem, który do rozpacz doprowadzał wszystkie jej ofiary, prawie malpjo-lekkim, a tygryσιο-potężnym, z lekka kołochliwym i wabiącym ku rzeczom zdrożnym i okrutnym, przeszła przez salon i stanęła jak posąg wszechpotężnej bogini płciowego piekła przed zamarmelowanym doszczętnie Tengierem. Trąciła go w ramię ruchem lekkim i lekceważącym. Putrycydes drgnął, jakby ukłuty w najczulsze miejsce. Podnosząc się, lypnął niebieskimi, splakany jakby gałami na żonę. Ta kula u jego nogi (tej zeschniętej) i podstawa jego jakiego takiego bytu przeżyła się z nabierającą żądzą zemsty. „Będzie pranie” — pomyślał ukradkiem przed samym sobą. [Na dworze konał marcowy dzień. Liliowe chmury wypełzły zza zachodnich szczytów pędziły teraz śmiało ponad nagimi parkowymi lipami i jaworami. Niepokój wiosny, nieskończenie smutniejszej w tym kraju od najponurszej dolinowej jesieni, wtłaczał się przez zdające się wyginać pod jego ciśnieniem szyby okien, przenikał całe towarzystwo w salonie, piętzące się jak jedna fala dziwnego robactwa ku niezbadanym wyrokom, których spełnienie kryło się w gęstniejącej chińskiej burzy]. Zablęsnął elektryczny żyrandol i twarze mężczyzn ukazały się zmietoszone, wynędzniałe, trupie. Księżna jedna

promieniała wstrętną potęgą płci, puszącej się w jesiennym przepychu, gasząc diabelskim blaskiem swojej urody chamską, młodą piękność pani Tengierowej. Czuła, że jest to moment szczytowy ostatnich jej lat: ryzyko dzisiejszej próby nasycało jej ambicję po same gardło. Rozsamicyła się od środka zupełnie — przypomniały się dawne, dobre, niepowrotne czasy. — No, mistrzu: do instrumentu — szepnęła chwiejącemu się Tengierowi w ucho. Męka tej stężalej w nienawiści, zestrachanej młodej chłopki podsycala w niej chęć użycia aż do szału. Dzieci wybałuszały przerażone oczy, trzymając się za ręce.

Tengier mimo woli stanął po stronie pogardzanego teraz przez niego Genezypa. Nie zdołał go zgnębić, bo mu go wydarła „ta”, która zgnębiła też i jego — na tle nieodpowiednich warunków życia oczywiście. Ha — gdyby miał pieniądze, pokazałby wtedy... Cała ta wątpliwa wyższość księżnej, mówiącej tak lekko o najtrudniejszych problemach społecznych, wydała mu się wstrętną komedią. Tło tego wszystkiego miał w sobie już dawno w formie nieokreślonej — trzeba było tylko ująć to w słowa i wypowiedzieć. Improwizacje na potem — nie będzie grał wtedy, kiedy mu każą. Nalał zielonego likieru z indyjskich konopi do kielicha od wina i podniósł do swego straszliwego pyska, który zdawał się pękać od naporu ducha, między zlepionymi potem kłakami. —

— Nie teraz — potem. Teraz proszę grać — syknęła dawnym rozkazującym tonem. Ale dziś ton ten, mimo „dobrego dnia”, nie działał. Odrzącił ją brutalnie, rozlewając lepki płyn na frak swój i dywan.

— Mógbyś ta uważować, Putryc, i nie chlać tak jak jaki kuń — krzyknęła nagle nieswoim głosem przez cienką rurkę Maryna z Murzasichlańskich.

— Właśnie że teraz będę mówił. — Dopełnił kielicha, hyknął cały jednym haustem i zaczął nagle dużą, programową mowę. — Cała ta wasza polityka to jest farsa. Jeden Kocmołuchowicz coś jest wart, o ile pokaże, co umie — dorzucił stereotypowy frazes wszystkich mieszkańców tego kraju: od suterena do wydywanionych pałaców. — Jest farsą jeszcze od czasów rewolucji francuskiej, która na nieszczęście do nas nie dotarła. Były tam próby, ale co to. Wtedy był czas jeszcze stanąć na czele ludzkości i my bylibyśmy to potrafili, gdybyśmy zaczęli się rżnąć porządnie wtedy, gdyby był człowiek, który by miał odwagę to zacząć i to na wielką skalę. Refleksem tych niedorobionych rzeczy były mesjaniczne brednie — wtedy trzeba było być Mesjaszem wyższej marki niż Francja. Nie stało się, psia-mać ich zatracona, przez tych fagasów-szlachciców. Czy jest coś straszniejszego jak szlachta polska! I to tyle tego plugastwa — ach! Wolę już Żydów po stokroć i wolałbym żeby ta Polska żydowska nawet była, niż taka ślachcicka.

— Brawo Tengier — krzyknął Benz.

— Otóż jeszcze kongres wiedeński był pośmiertnym dziełem zniekształconej polityki wielkich panów. Od Rewolucji Francuskiej trwa aż po nasze czasy marne demokratyczne kłamstwo. Ono to było tą macicą, z której wylał się dziki, nowotworowy, niezorganizowany kapitał. O mało nie pożarła ludzkości ta mątwą. A dziś jedyną jego ostoją jest nasz kraj, za cenę tego, że nie poszliśmy przeciw tym tam, tak zwanym katom z Północy. To też, mówią, było zasługą Kocmołuchowicza, choć był kapitanem wtedy i sam bił się z bolszewikami. — Ale odpokutuje ją — nie bójcie się — ja to przeczuwam wyraźnie. Będzie on jeszcze pięty lizał tym żółtym małpom i brał od nich bambusy. Oby tylko nie było za późno. To, co się dziś robi w bufetach, na dancinгах, w restauracjach, kularach i innych pisuarach, to są tylko małostkowe szalbierstwa nałogowych szachisów i tyle ma to znaczenia dla przyszłości, co te biadkania Księżnej Pani nad niedoruszczoną Polską i niedopolaczoną Rosją. To są te tak zwane „posunięcia”, te „gangi”, te niby-partyjne knucia spryciarzy i spłyciarzy, obżerających się w ostatniej chwili życia, wiedzących, że ich końca godzina bliska. Bo pytam się, w imię czego to się robi? I na to szczerze nie odpowie nikt, bo nie wie. Idea państwowości jako takiej, nawet solidarystyczno-elityczno-zawodowej, nie jest wystarczającą — to środek do czegoś, czego nikt już wykonypować nie może. Impotencja. Trzymanie się ostatnim wysiłkiem spódniczki zamierającej przeszłości, bezideowe, egoistyczne, ohydne.

— Tak — jak nas wyróżną, to będziesz mieć nareszcie powodzenie, Tengierku — zaśmiała się Irina Wsiewołodowna z jadem.

— No, no — — czy nie za wiele poufałości. Gdyby moje symfonie grane były w jakichś parszywych salonach, wypełnionych nic nie rozumiejącą holotą wyjących psów, inaczej by pani ze mną gadała. Ty sama, wyjąca suka, ty, Fimoza Luesówna, ty bassa-

rydo jedna, ty jamochłonne stworzonko, ty ksieni smutnego pierdofonu — — zaklął wreszcie, nie wiedząc już, co powiedzieć.

— I tak trzeba, żeby było. Artysta bez powodzenia jest dziś anachronizmem nie do zniesienia — odpowiedziała księżna z niezmaconym spokojem, zadowolona niezmiernie z wymyślań.

— Ten typ istnieje dlatego, aby pani mogła być mecenasicą tak zwanej „zapoznanej” sztuki — wtrącił się też z pewnym, bynajmniej nie neo-katolickim jadzikiem książę Bazyli.

— Cóż to? Jakiś koncentryczny atak na mnie? — obejrzała się wkoło złowrogo i wzrok jej zatrzymał się na prawie płowej w tym świetle główce jej chłopczyka. Poczuli się trochę osaczoną i litość targnęła jej zmęczone serce. „Ach — żeby oni wiedzieli, ci okrutnicy, ile kosztowała ją każda chwila tryumfu! Pożałowaliby ją i przytulili, zamiast znęcać się tak nad bezbronną”. Przesunęła się jej (w wyobraźni oczywiście) szafa z kosmetykami, które gromadziła, nie śmiejąc ich dotąd używać. Jeszcze chwilka, jeszcze chwilka — a potem straszne dni pustej, jałowej przyszłości (bo to, co mówiła o wychowaniu przyszłych pokoleń, to była czysta błąka), kiedy oddawać się będzie byle komu, doszczętnie już wymalowana, wysztuczona przez jakiegoś Ewarysta, Ananilla czy Afodela, z którym na dobitkę mówić będzie co rano o życiu, tym strasznym życiu zwiędłej nymfomanki, które ją czekało. To będzie prawdopodobnie jedyny jej przyjaciel, jedyny powiernik, który ją zrozumie. Ale zaraz wspomniła uprzedni demoniczny plan i zakulała się w męczącą maskę pychy i rozpustnej bez troski. [Już ponurzały znowu zwierzęce, mimo pozornych uduchowień, mordy i pyski samców]. W tym ostatnim drgnieniu gnębionej rozpacz poczuła (jakby drogocenny kamień zaświecił w szarej masie rozłupanej skały) wdzięczność łzawą dla historii (wyobraźcie sobie!), która na koniec życia zsyłała jej kosmiczną nieomal katastrofę, w postaci chińskiej nawały. Tak — lepiej będzie zginąć we wszechświatowej burzy, niż zamrzeć w łóżku, mając spuchnięte nogi lub ciało pokryte śmierdzącymi wrzodami. Piękno istnienia, doskonałość kompozycji w proporcji wszystkich elementów i wspaniałość nieuniknionego końca, wszystko to rozbłysło przed nią olśniewającym wewnętrznym blaskiem, który jak nocna błyskawica rozświetlił daleki posępny pejzaż jesieni życia, pełen ruin i opuszczonych grobów. Wybłysła cała ponad świat, w nieokiełznanej urodzie owianej teraz metafizycznym czarem. Samce były bezsilne. Już miała coś powiedzieć, ale przerwał jej Tengier. [Lepiej, że się tak stało, bo słowa mogły tylko umniejszyć cudowność chwili — trzeba było wielkiego czynu, a nie jakichś salonowych, dialektycznych zwycięstw. Będzie, psia-krew, będzie — jeszcze czas].

— Nie żaden atak. *Vous avez exagéré votre importance, princesse* — zawołał nagle piskliwym głosem Putrycydes, wymawiając potwornym akcentem francuskie słowa. — Proszę słuchać!!! — Alkohol z haszyszem uderzył mu spod spodu w głowę, jak torpeda w pancernik. Przestał być sobą, nie wiedział dosłownie, kim jest, wcielał się we wszystkich obecnych, a nawet w martwe przedmioty, a wszystko mnożyło mu się w nieskończoność. Nie dość na tym, że trwała jak byk aktualnie nieskończona ilość wszystkich rzeczy, ale mnożyły się też pojęcia — *ilość pojęć fortepianu była też nieskończona*. „Logiczna wizja w haszyszu — czy nie warto powiedzieć coś o tym temu zaschłemu logistykowi?” Machnął lekceważąco ręką. Rozbrzmiał cały od wewnątrz jakby jakiś niepojęty instrument, w który uderzył Bóg czy Szatan (nie wiedział) w chwili strasznego natchnienia, zrodzonego z męki samotności i tęsknoty, dla której Nieskończoność sama była granicą i więzieniem. Cóż może być wyższego? Szatańska koncepcja nowego, *muzycznie bezimiennego* jeszcze utworu, wypełniła go jak rozszalały lyngam samicę, przelśniła go od środka tak, że stał się w świecie całym doskonały jako kryształ idealny w szarej masie skały, co go porodziła. Zapłonął w sobie, na tle własnej swej nicości, jak potworny meteor w międzygwiazdnej pustce, co się otarł o zrąb rozwiany planetowej atmosfery. Tą jego atmosferą była transcendentna (nie transcendentalna) jedność bytu — a do tego co? — Jako materiał, a nawet katalizator: — kobitka, panie, konflikt domowy, wódeczka z haszyszem, panie, świniestewka z młodzikami — cały splot drobnych życiowych nastawień, *tego właśnie*, a nie innego monstrualnego kulawca, przez którego walił miliardowo-woltowy prąd metafizycznej dziwności, walił, piniąc się nienasyceciem, gdzieś aż z samych bebeczów-turbin prabytu, indywidualizując się dopiero przypadkiem w życiowym zagmatwaniu tego właśnie osobnika. „Centrojeb”, dziwne to słowo (ogłuszenia na bibułki francuskie „Job”?) zdawało się być ośrodkiem konsolidacji kłębiącej się magmy dźwięków,

kierowniczą busolą w chaosie narastających równowartościowych możliwości. Zapłonął najczystszy artystyczny, konstruktywny szaleń, nieszczęsna ofiara wyższych potęg, Putrycydes Tengier i wstrzymał natchnienie, jak rozszalałego konia nad przepaścią — niech się kondensuje, niech się samowytłumaczy — on wielki w zaświatach pan będzie czekał, aż mu bogowie podadzą gotową truciznę — dla niego i całego jego nędznego życiowego personelu. Bo takie to były „*produits secondaires*” całej tej twórczej komedii. Wiedział już, co zagra za chwilę (ochłap tego, co się tworzyło w muzycznych tyglach jego istoty), czym zmiażdży tę całą bandę niedorośliwych mu do pępka psychicznych pokrak, zaprzalych w gnuśnej pseudo-normalności, spłyconych do poziomu intelektualnej kałuży czy gnojowego bajora, łatwością nabranej ze śmietników umysłu pseudo-wiedzy. Nie — Benz był innym — rozumiał coś, mimo zagwoźdżenia przez znaczki — ale tamci, te „szczyty” salonowej pseudo-inteligencji, której nigdy nie można wytłumaczyć jej własnej głupoty... brrrrr... „Wyjący pies”, leżący u jego nóg, prężył uszy i mięśnie do muzycznych wstrząsów. Pogarda zalała go po brzegi — nie wyrazi jej nigdy. Po co? Po śmierci dowiedzą się i tak — nie z jego muzyki, ale z gazet, tej naprawdę straszliwej „prasy” umysłów, ugniatającej codziennie miliony ich na wygodną dla danej fikcji partyjnej bezmyślną marmeladę. Rozrost objętości gazet i tanie wydawnictwa literackiej tandety — to wyżera mózgi — Sturfan Abnol miał rację.

On sam, nędzna kalika, był najzdrowszym z nich wszystkich, a może z całego narodu, bo był *prawdą*, mimo artystycznej perwersji — on i może Kocmołuchowicz (na serio to pomyślał — do tego doszło!) dwa bieguny jako jakości społecznego bytu, dwa naładowane do straszliwych potencjałów źródła niezużytej energii. Kiedyż miało przyjść wyzwolenie i skąd, jak nie teraz (już narwał dawno ten wrzód i zaczynał się resorbować, zatruwając najdalsze zakątki ciała), od ruchomego chińskiego muru, wiszącego tak nad „zgniłym” (mimo całej pseudo-rewolucji) Zachodem, jak on w tej chwili nad bezdenną otchłanią swoich natchnień, w której gotował się i bulgotał, bałuszył się i wyszczerzał, potworny jeszcze w swym niedorozwinięciu embriion przyszłego dzieła. Ach — gdyby wszystko stawanie się mogło być tak jednoznaczne, krystaliczne, niezłomne i konieczne, jak wyłanianie się z gąszczów tajemnicy artystycznego tworu — jakże pięknym byłby nawet społeczny byt! Ale znowu ta techniczna nędza sztuki, nawet najwyższej — to prestidigitatorskie błazeństwo, to metafizyczne żonglerstwo, ta „*ławkost'ruk*”, a nawet ducha! Wzór niegodny był niespełnionego ideału w innym układzie. Nie „kłamstwo sztuki” oburzało go — (to problemat durniów i estetycznych nieuków), sztuka jest prawdą, ale zakłętą w przypadku takiego, a nie innego utworu — a on sam? — Też jest przypadkiem... Wszystko jeszcze dobrze, póki było natchnienie. On miał prawo bez ironii wymawiać to słowo = nie był przeintelektualizowanym nałogowym muzycznym grafomanem, ani niewolnikiem sławy i powodzenia. Dobrze by było to pogardzane powodzenie — ale cóż — jak go nie ma, trzeba wynaleźć odpowiedni punkt zlekceważenia. Tylko w stosunku do ludzi technika ta jest niemoralna, ale wobec prawie oderwanych istności można sobie na nią pozwolić. Bardziej niż wykoślawione na wzór jego ciała życie, przerażała go chwilami myśl o twórczej pustce, która mogła nadejść zdradziecko, wśród ciągłej walki z zalewającą pospolicznością, psychofizycznym niedostatkiem i nudą. Nudy bał się najgorzej. Jeszcze nie osiągnął jej szczytów, ale znał już dobrze jej boczne, okropne, bezwyjściowe wąwozy, w których czatowała zawsze brzydka samobójcza śmierć: sucha, zaropiała, skręcona w kabłąk starucha, śmierć człowieka na śmierć znudzonego, zatrutego niespełnionym życiem i niedoroślą do niego samego twórczością. Bo, mimo iż był na szczytach, wewnętrzna ambicja kazała mu pchać się jeszcze wyżej, gdzie mógł się dostać zabiwszy wprzód ciało, jako czysty duch. To była ta trzecia epoka, o której marzył i tam też kryło się (w mękach pokuty bez winy) wypełnienie i przewyżczenie nieudanego życia. Trzeba było zrobić skok i albo zabić siebie, albo wlecieć w niedosiętną dotąd sferę życiowej i artystycznej abstrakcji. Odblask choćby powodzenia mógł uniemożliwić wszystko. I mimo nudy, tego bał się Tengier najwięcej. A tu tymczasem posmak innego życia, który dała mu krótka (dwadzieścia trzy dni trwająca) miłość do księżnej, drażnił do wściekłości duchowe podniebienia różnych życiowych sobowtórów, pasożytniczych na jego rozkładającym się żywym trupie nieuznanego artysty. Mówił dalej:

— ...i do czego sprowadza się ta wasza osławiona, tajemnicza, niedościgną polityka, o której mówi się jak o jakichś misteriach wtajemniczonych kapłanów lub naukowych

eksperymentach wszechwiedzących uczonych. Żadnej wielkiej, wszechludzkiej koncepcji — zlepek sprzecznych w dodatku niby-ideatek, wylęgłych jak robaki w kadaverze umierającej idei narodu i zdechłym od dawna pojęciu państwa samego w sobie. Państwo stało się nowotworem — przestało być sługą społeczeństwa i zaczęło je zjadać ku ucieście tych, którzy żyją odpadkami i majakami dawnej władzy. Niby-zawodowa organizacja jest tylko maską, pod którą kryje się zdeformowana, skarykaturowana, dawna ideo-mumia z XVII wieku. Jedyna dziś naprawdę wielka idea: równości i świadomej aż do ostatniego pariasa wytwórczości fałszuje się na dookolnym świecie w niedobolszewizowanych państwach Europy — prócz naszego — Afryki i Ameryki, a tworzy się naprawdę w gęstwie czterystu milionów tych cudownych żółtych diabłów, które pokażą kiedyś, co umieją, ale nie tak nawet, jak Kocmołuchowicz, ta jedyna istotna dziś u nas funkcja wszechświatowych przeznaczeń. Jedynym jego wielkim czynem będzie może to, że on nic nie pokaże — wypnie się na świat i tym okaże swój geniusz. —

— Ależ zmiłujcie się, gazdo — przerwała księżna. — Bolszewizm był przeżytkiem w zarodku. Może idea była teoretycznie ładna, tak jak chrześcijaństwo — ale niewykonalna. Była wynikiem nieuświadomienia z poprzedniego okresu. Nie obliczywszy się — nie miała danych — zrobiła skok w przyszłość za ryzykowny. Tam na Zachodzie dostrzeżono to i sfaszycowano się pod pozorami pseudo-bolszewizmu jako wewnętrznej i antychińskiej maski. Bo okazało się, że takiej równości i wspólności, o jakiej marzył Lenin, być nie może, chyba za cenę cofnięcia wytwórczości i zubożenia — ogólnej nędzy. I to nie tylko w krajach rolniczych, ale nawet w najbardziej uprzemysłowionych. Można się już obejść nawet bez idei narodu...

— Mówi pani tak — przerwał roznamiętniony muzykus — jakby pani znała co najmniej tysiąc lat historii wprzód. To, co pani twierdzi, jest niesprawdzalne na małych odcinkach — moje idee są widoczne w każdej różniczce historii, w samym pojęciu społecznej nieodwracalności, której nie neguje już dziś nikt — chyba durnie. A u nas jest to tylko babranie się megalomanów w tak zwanych „częściowych koncepcjach”, o częściowych, małostkowych rozwiązaniach: tam rozmówka czysto osobista z obliczeniem na najpodlejsze strony ducha danego osobnika, tam kolacyjka, po której, przy likierach i kokainie, wydusza się z jakichś cuchnących płazów ich wstrętne, śmierdzące również tajemnice, tam odpowiednia łapówka, dana alfonsowi społecznemu, bez czci i wiary. I to wszystko bez żadnej idei, tylko aby opóźnić trochę bieg wspaniałej maszyny na jej nieistotnym, najmniej ludzkim skrawku, jakim jest nasz nieszczęsny kraj...

— To samoopluwanie się było dotąd naszą specjalnością, czysto moskiewską. — (Księżna była trochę zmieszana — pierwszy raz Tengier wystąpił z takimi pomysłami w jej salonie — otwarty komunizm! Coś niesłychanego! Poza tym, że tego rodzaju silne przemowy, o kierunku przeciwnym jej przekonaniom i instynktom, robiły na niej zawsze pewne perwersyjno-płciowe wrażenie, zadowolona była, że to właśnie w jej salonie mówiono takie potworności. Był to jeden z najbardziej ukrytych jej snobizmów). — Zamiast coś robić — wymyślać — najtańsza rzecz na świecie.

— Do pewnej granicy tylko można tak — ale w pewnych razach można tylko rzygać. Nie robi pani ciastka z krowich ekskrementów i sacharyny...

— Mój panie: — autentycznie bąknął Benz — ja się z panem ideowo zgadzam, ale pańska metodologia jest mi obca — Ostatecznie tak jak pan politykę jako taką, można odwartościować dosłownie wszystko. Czymże jest logika? Stawianiem znaczków na papierze. A czymże jest pańska muzyka? — również stawianiem znaczków, tylko na pięcioliniach. I dopiero według tego jakieś kretyny dmące w rury mosiężne i piłujące baranie kiszki końskimi ogonami...

— Dosyć! — ryknął nagle Tengier, jak stubyk. — Schowaj się pan z pańską logiką, która jest nikomu niepotrzebnym, bezużytecznym balastem fatalasek zjedzonego przez samego siebie intelektu, zabawką dla ludzi, cierpiących na bezpłodny intelektualny apetyt, dla umysłowych impotentów, a nie prepotentów myśli, jak to sobie pan wyobrażasz. Ale od mojej twórczości — wara! „Od przepaści moich progów wara wam i wara Bogu”. — (zacytował Micińskiego). — Oto czym jest muzyka. Słuchajcie odpadki — i może byście już raz odpadli naprawdę — warczał groźnie, otwierając z hałasem cudowny, na obstalunek zrobiony, poczwórny okrągły klawikord samego Bebechsteina z Adrianopola. Księżna była mimo wszystko zachwycona. Mały skandalik pojęciowy i dzika, haszyszo-

wo-pijana improwizacja Tengiera, stanowiło to razem niezłe tło do przygotowującego się w niej aktu czystego demonizmu, „*pure demonism act*”, tej „*cochonnerie féminine pure*” — jak mówił książę Bazyli. Błogość doskonałości (to poczucie, że wszystko jest takim właśnie, jak powinno i lepszym być nie może, źródło teorii doskonałości świata Leibniza) ten coraz rzadszy u niej stan, rozlała się po zakamarkach jej ciała, które odmłodziło i sprężyło się całe do skoku, sycąc się dawnymi tryumfami i zbrodniami, układającymi się w chwilach takich w idealną artystyczną kompozycję. Dobre było to życie i nie zmarnowała go — tylko nie popsuć końca, odejść samej od koryta, póki nie odepchną.

Tengier uderzył w klawisze — zdawało się, że wyrwie je wszystkie. Wszyscy mieli złudzenie, że w miarę grania odrzucał różne drobne części instrumentu w kąty pokoju i złudzenie to trwało nawet przy pianissimach. Grał po prostu szatańsko, po bestialsku, nie-ludzko, okrutnie, sadystycznie. Wywlekał kiszki słuchaczom, jak Gilles de Rais swoim ofiarom, i jak on tarzał się w nich, sycąc się metafizycznym bólem ścierw ludzkich, które sztuką swą wyrwał z korzeniami z pospolitości i ciskał w bezkresne obszary zaświatowego lęku i dziwności bez granic. To *była* sztuka, a nie gędziolenie zbławozowanych prestidigitatorów i intelektualnych wymyślaczy nowych zmysłowych dreszczów dla histerycznych samic. Ale tak była ta muzyka *pełna*, że z początku działała jeszcze przez uczucie — trzeba było zdobyć wprzód tę „życiową redukę”, gdzie była ufortyfikowana, aby wejść w tajemnicze podziemia, w których żyła naprawdę, niedostępna dla pospolitych uczuciowych wyjść. Tego dokonali wszyscy, prócz Benza. Niewspółmierność świata dźwięków, w który zagnany został jak zbłąkany baran wichrem Zypcio, z rzeczywistym wieczorkiem u tych Ticonderogów, przypadkowych jak wszystko inne, uczyniła z niego nie dającą się opisać duchową pokrakę. Ultramaryną zalewały się niezastłonięte okna, przez które konający marcowy wieczór zaglądał na zasluchanych męczenników istnienia. Uleciało wszystko w niedosiężną dal i głąb. Złączyły się obce i sprzeczne między sobą duchy obecnych w jeden kłąb dymu z ofiary dla ginącego bóstwa. [Gdzieś w stolicy K. rozwijał się jeszcze jakiś dziwny teatr pod dyrekcją Kwintofrona Wieczorowicza. Tu, u ich nóg konała sama muzyka przez największe z *M.*]. Zrośnięci w zamarzłą jednię z przelewającymi się przez progi bytu dźwiękami, ztratili poczucie osobowych istnień. Coś bydlaczkowatego, prawie bezpłciowego, myślało blado w jednej z bocznych komnat duszy Iriny Wsiewołodowny. „O, gdyby on był innym! Gdyby był piękny, młody i czysty ten chłopczyk biedny, ten kat muzyczny nienasycony w okrucieństwie, ten pół-chamek brudnawy! I gdybym mogła, oddając mu się, czuć, że to ten sam wypełnia mnie sobą, przez którego staje się tamten cud”. [Bo księżna nie była „wyjątkiem psem” i umiała, przez wstrząsane (prawie dotykalnie) ciało słuchać muzyki muzycznie — tylko nie teraz, na Boga, nie teraz...] Ale przypomniała sobie, jak na złość nieuczzone uściski Tengiera, pokraczne i słabe, i w dzikości nieumiejętne jak on sam cały... Obraziła się śmiertelnie na los za tę niesprawiedliwość. „O, gdyby on mnie tak, jak tego Bebechsteina... Gdyby on mógł posiadać mnie samą muzyką, a nie tym wstrętnym, wyplutym czort wie skąd ciałem”. Posiadał ją teraz naprawdę. Przeszła w niej szybko chwila metafizycznego zachwytu. Potworne brzęki i mlaski fortepianu miażdżyły ją i rozlizywały na jakieś lubieżne, pełne polipów i pijawek bagno, zdolne pochłonąć nawet Lucypera aż po same rogi. Diabeł, ten od spraw płciowych, ucztował w jej flakach, na zniekształconym trupie czystej sztuki, żłopiąc pełną gębą jej upadek, zachłystując się nieczystymi sokami „dusznego” rozpadu. Duchowe filtry dźwięków przestały działać. Zło, wcielone teraz w te właśnie, niewinne same w sobie brzdęki i dziangi, wdarło się w jej ciało i rwało je na sztuki, spalało w niesytych pożarach, zostawiając po sobie rozchlastane, obolałe wnętrza. W tym wszystkim dojrzywał w szczegółach demoniczny plan, najpospolitsze, niezawodne, wiecznie nowe kobiece świństwo, wstrętne broń słabości starzejącej się baby, która nie mogąc zdobyć odpowiednio nateżonej miłości wprost, chciała oszukać los, kupując ją od najordynarniejszego z diabłów, za cenę zbrodni — na małą skalę, ale zawsze zbrodni. Bo jad tego rodzaju raz wszczepiony trwa do końca życia i musi zabić miłość — nie tylko tę jedną — czasem wszystkie następne, a nawet może zatruć śmiertelnie samą morderczynię.

Genezyp właściwie ani na chwilę nie doznał metafizycznego wstrząsu. Znadto zagrożony był w życiu. Muzyka była mu w ten wieczór tylko torturą ciała — straszną, nie do zniesienia. Pierwszy raz zrozumiał, co może znaczyć w odpowiednim momencie istnienia taki dobór łagodnych samych w sobie dźwięków. Tengier urósł mu do rozmiarów sym-

bolu samego zła, okrutnego bożka, po prostu skończonego drania. Zypcio wił się, ubity na miazgę w mózdzierzu własnej podłogi straszliwym tłukiem walących się na niego metalicznie rozmlaskanych, nienasyconych do pęknięcia akordów, roztrwaniał się w mały ekskremeńcik w pustyniach zła, które stwarzały zygzakowate, kanciaste, kłujące, rozdzierające pasaże. Jeden temat powracał, gorszy niż bezczeszczenie hostii w mszy satanistycznej, i potęgował się do niepojętego bezmiaru, wylewając się za krawędzie wszechświata, aż w Nicość. Tam było ukojenie i spokój — ale muzyka polegała na tym, aby go nie osiągnąć — chyba po skończeniu utworu. A to nie był utwór, ale po prostu potwór: rogaty, zębaty, kolczasty, coś jakby dinozaur zmieszany z arizońskim kaktusem. Dosyć!! Ta muzyka stawała mu się symbolem jakiegoś wszechświatowego płciowego aktu, w którym niewiedoma istność gwałciła w najokrutniejszy, perwersyjny sposób samo istnienie w całości. Kiedy się to skończy? (Tengier szalał, zlany potem, śmierzący grzybami na pięć kroków). Przypomniało się Zypciowi to, co księżna mówiła mu kiedyś o Putrycydesie — przypomniało się psia-krew na domiar złego. Mówiła to kilkakrotnie, rozpłomieniając w nim najgorszą, ponurą, krwawym okrucieństwem ociekającą żądzę. A więc mówiła z minką chytrej dziewczynki przed „tym”, albo w chwilach najwyższej ekstazy, kiedy zawieszeni nad złowrogą przepaścią niedosytu, konali oboje z rozkoszy sycenia rozwścieczonych żądz — mówiła tak: „pomyśl — gdyby on nas mógł widzieć w tej chwili...!” — Tylko tyle. Ale było to jakby smagnięcie rozpalonego bata. Rozkosz wylewała się poza brzegi, „debordowała” — jak mówiła księżna — stwarzając diabelskie rozpętanie, dochodzące do zupełnego unicestwienia. Teraz przypomniała mu się taka chwila i diabli go wzięli naraz ze wszystkich stron. Był jakby wewnątrz lepkiego, gryzącego, mokrego płomienia zmaterializowanej lubieży. Wstał i zatoczył się podcięty — ścięgni i mięśnie rwały się, wykręcając jakby z gutaperki zrobione kości. I to *on*, ten właśnie grał tam, on stwarzał w nim muzyką ten bydlęcy tragizm, on, ten sam, o którym i który kiedyś... A nie! Teraz właśnie mieć ją — to byłaby rzecz najwyższa, po której już można by nie istnieć! Ale nie — właśnie Toldzio szeptał coś do ucha Irinie Wsiewołodownie, chowając dystyngowaną mordkę emeszetowego głuptasia w burzliwą masę jej rudych loków. Męki te zdawały się trwać wieczność. Świat puchł boleśnie czasowo-przestrzennie, jak w opiumowych koszmarach de Quincey’a, a jednocześnie malał do jednej malutkiej, plugawej w gruncie rzeczy, rzeczy, do tego miejsca największego upokorzenia męczyzny, i to miejsca, należącego do tego właśnie a nie innego stworzenia. Księżna widziała wszystko i dziki tryumf (ten iście kobiecy, z doprowadzenia jakiegoś „osobnika” do tego, że jest tylko jednym wielkim phallusem, bez żadnej myśli i innego uczucia) wykrzywił jej esowato wykrojone wargi w uśmiech zdolny wprowadzić w szal wyschniętą kłodę. Nareszcie po upływie niezgłębionych czasów, wypełnionych czort wie czym („*eine lockere Masse zusammen hangloser Empfindungen ohne Gestaltqualität*”), wyszli wszyscy „outsider’zy” i zostało tylko ich troje: Ona, Zypcio i kuzyn. [Wściekły był na nią „*il fornicatore*” (D’Annunzio) za to zatrzymywanie znieawidzonego ciotecznego bubka na kolację]. Milczał ponuro, systematycznie, kąsany to tu, to tam przez nieznośne, upakarzające pożądaniami, teraz już pozbawione nawet wszelkiego metafizycznego uroku. Zniknął uroczy chłopczyk pełen interesujących problemów, wessany, zresorbowany, wsiorbnięty, wchłonięty przez jedną tylko rzecz i straszego draba w sobie — bezsilnego. Za stołem siedział zwykły „*excremental fellow*”, chcący za wszelką cenę fornikować i nic więcej. Pił dużo, ale alkohol spływał po jego mózgu, jak po jakimś impermeable. Ale myślał sobie, że oto zaraz, już, już nasyci się tym plugawym cielskiem (żył w nim w tej chwili wyobraźnią tysiąc razy intensywniej, niż w sobie samym), a potem zapomni o tym wszystkim i przejdzie do swego „kochanego” świata, teraz tak obcego i niepojętego. Nie było w nim teraz nic z rzadkich chwil „dziecięcej” miłości dla niej. Nienawidził baby, jak nikogo dotąd. Niewypowiedziane słowa, ugrzęźnięte gdzieś aż w przelyku, czy w sercu nawet, dusiły, truiły, żgały go od środka — zaniemówił z wściekłości, zmieszanej w jedną jadowitą pigułę z bydlakowatą chęcią niewyraźnych w słowach czynów. Ale antycypacja możliwej (raczej niemożliwej) rozkoszy, na tle nieznanego mu dotąd stanu zazdrości płciowej, dodawała mu siły, aby wytrwać. „To będzie coś szalonego” — myślał coś podobnego nie pojęciowo, tylko nabiegłymi krwią i wszystkimi sokami obrazami. Teraz pozwoli sobie dopiero — ach — on jej pokaże kim jest. A sam dla siebie był niczym, zmieniony przez tę „księżnę Spermy” (jak ją nazywano)

w jedno wielkie, niezmierzone, nie-do-wychleptania, palące się, rozdrażnione do szaleństwa świństwo, jakby bezładne kłębowisko tysięcy sprężonych bezimiennych samotnych, cierpiących monstrów.

Ale wbrew oczekiwaniom, kacica bez sumienia nie pożegnała przeklętego (o biada, po trzykroć biada!) bubka. Przeszli wszyscy troje do sypialni, tej kamery tortur, minąwszy trzy bardziej umiarkowane w wyglądzie swym buduariki, które wydały się Genezypowi zacisznymi porcikami, do których by z rozkoszą „zawinął” — pogadał z nią sam na sam szczerze, jak z rodzoną matką, a choćby ciotką, i dokonał swego jak zwykle. Czuł nie-szczęśnik całą niskość swego stanu i sytuacji. Pogardzał sobą, a nie miał siły oddalić od siebie tej pogardy. Cierpiał w tej chwili za wszystkich mężczyzn świata upokarzanych (nawet w powodzeniu — to najgorsze!) przez te bestie, które są na miejscu w najbliższej nawet kombinacji wypadków — *w nich nie ma kłamstwa*.

Informacja: Za sypialnią zaraz była mała, tak zwana „podręczna” łazienka księżnej, mająca drugie drzwi na korytarz. Jedno okno tej łazienki, zrobione z różnokolorowych, grubych, silnie łamiących światło szyb, wychodziło na sypialnię. Dziwne może się to wydawać, ale tak, jakby na złość, było.

(Światło lampy, palącej się w łazience, filtrowało się w tęczy barwach przez kryształiczne złomy szkła. Ileż wspomnień cudownych miał Zypcio związanych z tą tęczą gamą tajemniczycy łśni. Pierwszy raz zdarzyło mu się zaobserwować znany fakt, że ta sama rzecz tak różnie może się przedstawiać w zależności od zabarwienia całego kompleksu, w którym się znajduje. Zdumiony patrzył w szybki, nie poznając ich rozkosznych zwykle kolorów — były wprost potworne).

Księżna w obecności dwóch rywali zdjęła suknię i włożyła, z gracją małej panienki, purpurowo-fioletowy zatulnik. Genezypa zaleciał jakiś zapaszek, od którego mózg skręcił mu się w róg jednoroga. Powiedział sobie: „jeszcze 10 minut, po czym wyrnę tego bałwana w pysk”. Usiadł z daleka, aby nie doprowadzać siebie do ostateczności, i nie patrzył — ale niestety chwilę tylko. Już w dwie minuty potem pochłaniał piekielny obraz przepalonymi, zakrwawionymi oczami pełnymi zmieszanego wyrazu: oburzenia (świętego nieomal), złości i pożądań, przechodzących już miarę dziewiętnastoletniego chłopca. Rozwalona na leżadle dręczycielka pieściła zawzięcie nienawistnego Zypciowi bezcennego chińskiego buldoga Chi. Był to jedyny wysłannik ruchomego muru w tym domu.

Informacja: Cały kraj zalany był podobno przez wyznawców wiary Dzewaniego, „podnóżka” wielkiego Murti Binga, wielkiego herezjarchy syntezy dawnych wierzeń Wschodu, stworzonej, jak mówiono, przez lorda Berquith, na użytek upadającej Anglii. (Ludzie czepiali się czego mogli i czego już nie mogli nawet). Nauka jego wyparła oficjalną teozofię, jako zbyt słabą „podgotówkę” pod socjalizm w chińskiej edycji. Tu znano te brednie jedynie ze słyszenia. A jak można je było znać inaczej? Właśnie o to chodzi. Ale o tym później.

Pieszczoty z pieskiem stawały się coraz namiętniejsze. W pewnej chwili odwróciła się ku cierpiętnikowi — była zupełnie młoda — miała najwyżej dwadzieścia pięć lat — to nie-do-zniesienia. Toldzio wił się.

— Czemu pan się tak izoluje, Genezyp Genezypowicz? Czy pan się przejął izolacyjną polityką naszych zbawicieli? Niech się pan pobawi z Chi. — Widzi pan, jaki jest smutny. — Przytuliła płomienną twarz do czekoladowych kudłów przeklętej bestyjki. Wszystko było przeklęte. Cóż by dał Genezyp za jedno takie muśnięcie. Na pewno, ale to bez żadnej kwestii doznałby najwyższej rozkoszy i byłby choć na chwilę wolny. „Nie ma mnie wcale” — pomyślał z bezmierną udręką, ale już na granicy prawie jakiegoś dziecinnego zadowolenia.

— Wie księżna, że nie znoszę dotykania się do zwierząt, jeżeli nie mogę potem... —

— Więc cóż z tego? Umyje się pan. Co to za purgatoman z tego pańskiego kuchni — zwróciła się do Toldzia, który zachichotał zwycięsko. — A w gruncie rzeczy taka sama świnka, jak wy wszyscy. — Toldzio zanosił się od śmiechu, nie wiedząc czemu. Genezyp dowlókl się do leżadła jak zahypnotyzowany. Z miną skazańca począł bawić

się niezręcznie ze zniechęconym psim Chińczykiem. Przez opór bał się wydać jeszcze bardziej dziecinny i bawił się, zgrzytając zębami. Księżna też, ale z minką swawolnej dziewczynki. Ręce ich spotykały się... Już proces wewnętrznego nasycania się stał się nie-do-odwrócenia. Zypcio staczał się — wiedział co go czeka — wiedział, że nie wytrzyma, że pięknie. — Ona wiedziała to też i śmiała się. „Co się z nią stało? Boże Jedyny, co to jest to wszystko”. Kiedy oboje byli przez chwilę odwróceniem od Toldzia, Irina Wsiewołodowna zupełnie programowo musnęła jego policzek ustami: były gorące, wilgotne, rozlaźle. Język jej przesunął się po kąciku jego warg: odczuł to w grzbiecie i łędźwiach, jako piekąco-laskocący dreszcz. — No, niech pan się idzie umyć teraz. Chi chce już do łóżeczka. — (Każde słowo było obliczone i intonacja też). — Prawda, Chi? — ty mój jedyny przyjacielu. — Objęła psa, zatulając go w siebie zupełnie. Błysnęła *okuta* jakby w jasny jedwab noga, okrutna, daleka, nieświadoma swego uroku. Genezyp przeszedł parę kroków jak pijany. (Był trochę pijany zresztą, ale to było nie to). — Nie tam — może pan tu, w mojej. — Zawrócił jak automat i znalazł się w cielesnym sanktuarium, czy czymś podobnym — tu przygotowywano ten żywy posąg Izidy dla czci bałwochwalczych samców. On należał do tej kolekcji, jeśli nie w przestrzeni, to w czasie. To odebrało mu do reszty poczucie swojej jedyności i wyjątkowości: był częścią jakiejś bezimiennej miazgi, niczym. Świeżość zapachów orzeźwiła go jednak z lekka. „Może nigdy nie będę już miał w życiu na taki zbytek” — pomyślał smutnie ubocznym, małym mózdzkiem, który gdzieś tam funkcjonował sobie, jak niepotrzebny nowotworek na zbydlęconym, upadłym ciele. W szumie wody nie dosłyszał, a że stał tyłem więc nie widział, że drzwi się otworzyły i klucz został wyjęty przez rączkę białą (i w dodatku okrutną) i że ukradkowe spojrzenie emaliowych gałek przesunęło się po jego zgiętej i wypiętej silnej postaci i zatrzymało się na chwilę ze smutkiem, strachem, z rozpaczą nawet na byczkowatym jego karku. „Tak trzeba” — westchnęła Irina Wsiewołodowna. Drzwi zamknęły się cicho i klucz przekręcił się w dziurce bezgłośnie, od tamtej strony. Umył Zypcio ręce i twarz i zdawało mu się, że się opanował trochę. Wziął za klamkę — drzwi były zamknięte. „Kiz dziadzi?” — wzdrygnął się cały. Nieszczęście zajrzało mu prosto w twarz, mimo że właściwie nie wierzył, aby takie głupstwo mogło być początkiem jakiejś istotniejszej serii. Więc stąd miała przyjść ta pierwsza próba sił. Więc to *na to* ojciec — ach, ten ojciec! kierował nim z za grobu jak marionetką. Przyjacieli!!

— Hallo — rzekł drżącym głosem. — Proszę otworzyć. Toldziu, nie rób głupich „witzów”! — Zza dębowych drzwi posłyszał najwyraźniej śmiech. Śmiali się oboje. Nie przyszło mu na myśl wyjść na korytarz drugimi drzwiami. (Były zresztą także zamknięte). Włazł na krzesło i zajrzał do sypialni. (Ruchy jego były tak przewidziane, jak ruchy owadów w laboratorium Fabre’a). Już przedtem zauważył blask spotęgowany: palił się wielki świecznik u sufitu i cały pokój = świątynia czci dla tego cielska, tonęła w jaskrawym świetle. Widział wszystko przez kryształowe kolorowe szyby, dziwnie zdeformowane i barwne. Przerzuczał się od fioleto do czerwieni, od czerwieni do szmaragdu i szafiru i widział, najwyraźniej widział rzecz niepojętą. Aż się *ujemnie* (znak –) *spiętrzył* cały (a nie zapadł — to wielka różnica) w krainę niewiarogodnego upodlenia i śmierdzącego nieszczęścia. I to przez nią, tę, którą z lekka pogardzał, uznając już ten „romans” za coś poniżej jego „standardu”, czyli jak mówią teraz: „wzorca”. Patrzył, widział, nie chciał widzieć i nie mógł się oderwać. Pojął nareszcie, nie mózgiem — raczej ciałem całym — czym jest ten tak zwany demonizm. Pokojówka Zuzia — przestała dla niego istnieć, zdmuchnięta jakby jakimś wichrem pełnym żaru, a z nią wszystkie inne kobiety i miłości czyste, o których skrycie marzył, w chwilach najgorszego upojenia. Istniała tylko ona jedna, ta piekielna Irina Wsiewołodowna, i to *jak istniała* — a niechże to kaczki... Wpita jak buldog swoją niezwykłą piękną i świństwem w każdą komórkę jego ciała, w każdy atom duszy... Precz!! Ohydny kuzyn Toldzio, onanistyczny profesor z lat dziecinnych, posiadał ją właśnie (nie posiadając się z radości) na małym leżadelku. Widział Genezyp cały komizm, całe upodlenie męskie jak na tacy — żywy fotoplastikon w jakimś po trzykroć zakazanym bajzlu. I to ona go na to skazywała! Ona, którą tak kochał (ten nienawistny, przygniatający go swym rozumem babsztyl). — O, gdzież jest sprawiedliwość na tym świecie! Ale co najgorsze było, to to, że oburzenie, upokorzenie, obraza, złość — wszystko przeszło czy zamieniło się w nieznaną dotąd żądzę, graniczącą z czymś absolutnie już płciowo

niewymiernym. Absolut świnstwa osiągnięty przy pomocy wewnętrznego transformatora, przerabiającego dowolne „inbalty” na jeden jedyny gatunek — *pciowy*, lub jak inni mówią, *pełciowy*. Gdzie on był naprawdę do najcięższych choler, ten znieawidzony (nie wiadomo już przez kogo) — jak i ona — Zypcio? Było coś plugawie cierpiącego, ugniecione przez tamtą *osobową* babę na wstrętny plasterek. Ale gdzie była jego osobowość? Rozwiała się w przeciągającej nad Ludzimizem dzikiej, czarownej, marcowej nocy. Ten cały pałac razem z nim i jego tragedią zdawał się być małą wyplutą przez nie wiadomo kogo pesteczką, na tle grozy natury i nadciągających wypadków — gdybyż oni mogli to widzieć. Ale dla nich ich własne problemy i cierpienia wypełniały cały wszechświat aż po brzegi. Umiejętność zlekceważenia osobistych ważności na tle notorycznych fikcji była im obca — byli zdrowym bydłem. A, a, a — a „tamten” (ktoś który absolutnie nie miał prawa bytu — indywiduum potępione bezwzględnie) nasycił się jak ostatnie bydło i ona (o zgrozo!) miała z nim tę właśnie niezgłębialną, niedocieczoną przyjemność, w tej samej chwili, w której jego pozbawiała jej tak okrutnie na rzecz tamtego — zamknięte kółko. Potworność wprost nie-do-uwierzenia. Ruchy Toldzia stały się szybkie, śmieszne i bezdennie głupie. Jak on się nie wstydził!? Całe jestestwo tego ekskrementalnego szczeniaka, tego Zypcia, który przerastał już tyle razy samego siebie, spęczniało w jedną astrukturalną, lepłą i niepachnącą „płciową masę”, przyklepioną do okna, jak polip do szyby akwarium. Jako pierwotność nie ustępował teraz nic nawet amoebie. Księżna objęła Toldzia nogami (jakże piękne były w tej chwili — jak nigdy), a potem trwali dłuższy czas bez ruchu, stęziali, prawie martwi. (To, że on tam patrzył [wiedziała na pewno], podnieciło księżną Irinę do niebywałego dotąd szału. Już raz robiła rzecz taką. Nie udało się o tyle, że tamten uciekł i strzelił się w brzuch w lesie — tu była pewna życia — nie bała się o niego). Wlepiony prawie w szyby trwał również bez ruchu Zypcio. Patrzył teraz na żółto — tak było najlepiej widać. Chciał widzieć jak najlepiej, bardzo chciał — jeżeli już *w ogóle*, to w takim razie w najlepszych warunkach. A tamci wstali i zaczęli się rozbierać oboje — szybko — gorączkowo. Genezyp pożerał oczami (i całym ciałem przez oczy) tę scenkę nie z tego, jak mu się zdawało, świata. Odkrył w sobie (i pośrednio w świecie) coś tak strasznego, że duchowo oniemiał. Już nie był sobą. Pękały więzy jaźni, ulatniała się osobowość. (Taką chwilę świadomie wykorzystać! Za głupi był na to). Zakrzepłe krwiste zwały zaważyły mu mózg, dławilo go od środka coś niemieszczącego się w nim samym. Było to coś gorszego chyba (oczywiście chyba — *chybność*) od śmierci w torturach. Poczul w głowie jakiegoś żywego, niezmiernie ruchliwego polipa, który go żarł swymi mackami na żywo, lubieżnie mlaskając laskoczącymi szerokimi wargami. Na chwilę stracił przytomność. Ale obraz rzeczywisty niesamowitej, niezrozumiałej krzywdy trwał. Za co? Dopiero teraz pojął okrucieństwo istnienia i to, że prócz matki on nikogo nie obchodzi — że czy on cierpi do szaleństwa, czy nie, to całemu światu jest zupełnie „*ganz pommade*” — pierwszy raz uświadomił sobie tę prostą prawdę. Ujrzał jej nogi gołe i bezwstydne i efebówate kształty tamtego. Rzucili się, oboje całkiem nadzy, na łóżko. Okropność wszystkiego stała się zimna, przezroczysta — falą niepowstrzymaną przeszła przez niego „na durch” i poszła „we światy”, oznajmić na innych planetach o tym bezprawiu. A ci tarzali się jak oszalałe pająki... Nie wytrzymał tego Genezyp i nagłymi ruchami, przez ubranie, zrobił ze sobą porządek. Pękl. Nagle spadło zeń wszystko: jakaś maska olbrzymia, żywa, żyjąca odrębnym bytem, spadła tu, na błękitne kafle podłogi, śmiejąc się cicho i radośnie i straszliwy polip przestał ssać i schował się jak robaczek malutki między zwoje mózgu — te resztki, które pozostały po katastrofie. Ale „tamto” plugawe nie uspokoiło go wcale. Z dodatkową rozpaczą czuł, że teraz dopiero ten potworny babon wlaź mu definitywnie w krew i że walkę z nim musi stoczyć na śmierć i życie. Dawka demonizmu była jak na pierwszy raz zbyt wielka. Coś złamało mu się na zawsze tam w tych sferach przedwiecznej (czy wiekuistej) dziwności, związanych z tamtym popołudniowym przebudzeniem się. Jeszcze nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów nieszczęścia, ale ono rosło gdzieś w głębi niezależnie od jego świadomości. Niezgrabnie (wskutek wstrętu do siebie zapewne) zlął z krzesła i spojrzął w lustro. (Tam, w tym niedawnym najpiekniejszym z piekiel, była cisza). Ujrzał twarz swoją tak straszną i wstrętną, że jej prawie nie poznał. Obce oczy, skoszone niepachnącym jakimś obłędem, patrzyły uporczywie i drwiąco, na wylot przez cały zwał nieodwracalnego upadku. To najgorsze na nim zrobiło wrażenie, że spojrzenie to było drwiące. Ktoś inny patrzył na niego z niego samego — ktoś nieznany,

obcy, wstrętny, nieobliczalny (to może najgorsze), złowrogi, draniowaty i słaby. (Ach, to, to było najgorsze!) „No — teraz ja cię zabiję” — pomyślał o tym drugim. I do lustra zrobił minę silnej woli w dawnym stylu. Mina nie udała się. Jakaś obca siła wywindowała go na krzesło i kazała mu spojrzeć jeszcze raz „tam” — tym razem na zielono. Teraz zmarł się tym, co widział, i oburzył się na to szczerze. Serdecznie. Co oni wyprawiali, ci swawolnicy! Już nie „swa-”, ale po prostu swywolili na jego benefis jak opętani. Bezsilna wściekłość o mało nie doprowadziła go do nowej erupcji ciemnych żądź — nawet przez chwilę majaczyła mu niezdrowa myśl, że przecie on (wobec tego, co widzi) ma prawo, absolutne prawo, zrobić sobie jeszcze raz choćby tę drobną przyjemność, bo przecie nawet to nie będzie niezdrowe na tle tego (takiego!) widoczku. Słyszał kiedyś coś w tym rodzaju w szkole. Wzdrygnął się i zdruzgotany zlął powtórnie z krzesła. (Ach, prawda — drzwi były zamknięte!) A tamci leżeli jak martwi, wyczerpani szalem. Irina Wsiewołodowna, mimo programowości „*diemoniczkiej sztuczki*”, podnieciła się i wzbebeszyła świadomością Genezypowych mąk do szaleństwa. Nawet dawno „spogardzany na psa” Toldzio wydał się jej jakimś innym na tle tego naiwnego okrucieństwa — jakiś taki był irytująco-świńskawy i tak dobrze rozumiał, o co chodzi, i tak w każdym ruchu wiedział, co robi. Nie — to M. S. Z. to dobra szkoła — „*a maladièc*, Toldzio”. Ale i straszny żal za „uciekniętym” życiem zalał wszystko i zmętnił kwaśno-gorzkim posmakiem chwilę bez troski. Czy wróci do niej teraz ten jej najśliczniejszy chłopys, biedactwo najdroższe! — co on się tam wycierpieć musiał na tym krzeselku... bo, że stał na tym krzeselku i patrzył, o tym wiedziała na pewno. Nawet cień wątpliwości nie przemknął jej przez głowę.

Genezyp łupić zaczął jak wściekły w drzwi wychodzące na korytarz. Po chwili otworzył mu Jegor, patrząc mu w oczy z pogardą i ironią. Zaprowadził Genezypa do małego pokoiku obok garderoby księcia, gdzie nastąpiła znowu zmiana spodni.

— Czy jest Zuzia, Jegorze. Mam do niej ważny interes. — (Chciał zaraz na poczekaniu uwieść pokojówkę jako antydot przeciw tamtym przeżyciom. Już wszystko wchodziło w szary wymiar popolitości. Jegor zrozumiał go od razu).

— Nie, paniczu. Zuzia pojechała na bal wszech-stanów do browaru nieboszczyka ojca waszego — dopowiedział chmurnie. (Czemu? Ach — zbyt dużo by o tym gadać. A kogóż naprawdę interesuje psychologia „*lakieja*”. Nawet ich samych nie — wolą czytać o dumnych hrabinach i księżętach). (Obchodzono dziś uroczyste przejście fabryki w posiadanie robotników, przy czym wyrażano niepowstrzymanie entuzjazm dla starego Kapena).

Genezyp zdruzgotany wewnętrznie i złamany fizycznie przez pijacko-onanistyczny „Katzenjammer” („pochmielje”, „popijackie darcie w duszy”, „popijnik”, „popijawka”, „popijny sumienioból”, „piciowyrzut”, „głatwa”, „glen”), szedł znowu przez puszcę w kierunku domu. Teraz dopiero nie wiadomo czemu, jakby na złość właśnie, przekonał się, że od początku kochał księżnę więcej niż pożądał. Analiza uczucia miłości w ogóle obca temu pokoleniu zupełnie nie mogła pomóc i jemu w tej groźnej chwili. Czy warto naprawdę dysekować to uczucie, na którym tyle pokoleń nałamało sobie tyle zębów i napsuło tyle słów w sposób wysoce niesmaczny. To jedno, powiedzmy sobie otwarcie jest, „*unanalysable*” = „*ananalajzbl*”. Krzywda wyrządzona tej miłości bolała go w tej chwili najbardziej w sposób piekący, żrący, pikujący. W drugim stopniu dopiero cierpiały rozrانیone, upokorzone, obdarte i rozdrażnione, nienawistne symbole upadku, no te flaki z piekła rodem, tak zwane genitalia. Ach — oberznąć to wszystko kozikiem choćby i wyzbyć się na zawsze możliwości tego upokorzenia. Przekłete wisiory! — żeby to nie schować tego przynajmniej w środku — byłoby ładniej i bezpieczniej. Pienił się wprost na twórcę tego idiotycznego pomysłu — ale życiowo rozwijał się, ho, ho — jak szybko! W tę jedną głupią noc poznał takie obszary życia, jakie inny poznaje czasem w kilka lub kilkanaście lat. Ale nade wszystko pojąć nie mógł, czemu (*ach*, czemu?) ona to uczyniła. Przecie był dla niej dobrym i kochającym, a jeśli przez głupotę młodości w czymś byka palnął, to jej rzeczą było mu to przebaczyć i naprowadzić go na dobrą drogę, zamiast karać go tak okropnie. Kłęb sprzecznych uczuć przewalał się jak kupa wstrętnych robaków na dnie jego istoty, zropiałym i... czerwonym. Cały świat otaczający wydawał mu się tak innym od tego zwykłego, do którego przywykł, że uwierzyć wprost nie chciał, że to są te same sosny, znane mu aż zanadto dobrze z dzieciństwa, te same jałowce i kępy borówek, a nade wszystko niebo: obce teraz i urągliwe w swej wiosenno-świtowej, nud-

no-tęsknej pochmurności. Wszystko płynęło spieszenie razem z obłokami hen daleko (o jakże nienawistne i wstydlive jest słowo: „hen”) zostawiając go jak rybę na piasku w odwartościowanym nagle świecie. Podszedł do jednej z sosen i pomacał chropawy, liniejący pień. Dotykowe wrażenie obce było w zwykłości swej, całej dziwności wzrokowego wycinka. Bełtały się obok siebie te dwa światy jakości, nie tworząc jednej wizji tożsamego ze sobą układu. Genezyp miał wrażenie, że coś jednak w główce jest niedobrze. Żaden element jego duszy nie był na miejscu: wszystko zdyslokowane, rozbełtane, rozkładało się, jak pakunki pogorzalców po sąsiednich placach na obcych miejscach rozszerzonej wymuszonym doświadczeniem jaźni. Ale nade wszystko przekonał się, że istnieją w nim, w czysto-życiowych wymiarach, takie otchłanie nieznanego, że praktycznie nie wiedział i nie mógł wiedzieć niczego pozytywnego o sobie — zupełna nieobliczalność. [Było jedno wyjście: wyrzeczenie się życia na zawsze. Ale do tej konieczności nie doszedł jeszcze]. A przy tym ten obcy świat, po którym szedł teraz jak tułacz i wędrowiec (ten widziany na obrazku w dzieciństwie: las, ktoś brnie po śniegach, a u góry w „laurce” siedzi zadowolone towarzystwo przy kolacji, zdaje się nawet przy wili: dymiące półmiski i wisząca lampa, to, to chyba było już kiedyś). Teraz zatęsknił pierwszy raz do matki — pierwszy, od czasu przyjazdu. Przekonał się, jak wielkie płyty potencjalnych uczuć zostały już zajęte przez tamtą babę — kto wie, czy nie na zawsze. A może będzie tak nawet po jej „ustąpieniu”: wyobrażał sobie ją w postaci ołowianych żołnierzy na kartach anatomicznego atlasu — spustoszone na zawsze okolice, na których ziemi nic już nie wyrośnie.

Robił się świt coraz jaśniejszy. Więc tyle czasu trwały te tortury! Przecież coś postanowić trzeba. Wiadomo było, że żąda wybuchnie najdalej po obiedzie z upiekielnionym, nieznanym natężeniem. Drażniący obraz spał, ale mógł się zbudzić lada-chwila. Aha — więc dobrze: nigdy do niej nie pójdzie. I zaraz myśl: przecież można tego nie traktować na serio: nie kochać, udawać, a chodzić tak jak do jakiegoś burdelu wyższej kategorii, nie wkładając tam nic, prócz tego... I również zaraz odczuł kłamstwo tej myśli, wciągającej go w bagno wyższego rzędu, z którego już wyjścia nie ma — chyba poza życie. Nie — z pewnymi upodleniami żyć nie można. Coś było w nim „ludzkiego” mimo całego zniszczenia, coś ostało się w tym szalonym rozbiciu na spokojnej wodzie. Nie wiedział biedaczek, ile biedną księżnę kosztowało wzniesienie rafy, na której się rozwalil — wściekał się na krzyczącą niesprawiedliwość, zapomniawszy o swoich bądź co bądź podłych myślach. Jakże „gorąco” żałował, że dokonał na sobie tamtej ratowniczej, przeciw-gnilnej, obrączkowej (wąż kłuszący się w ogon) operacji — po prostu, że się „zsamił”. Zyskał spokój sądu (chwilowy), ale za cenę niebezpiecznego poddania się na przyszłość. Dlatego nie był pewnym siebie. A jeśli to buchnie z tą samą siłą, co wtedy, kiedy patrzył na nich, tarzających się przed nim w bezwstydzie? I to ten nauczyciel złego, ten właśnie Toldzio w tej sytuacji i on, korzystający z dziecięcych nauk, kiedy tamten... — — Co za hańba! On przecież musiał wiedzieć o wszystkim zawczasu. Ten potwór podniecił go pewnie opowiadaniem. Aa! Aż jęknął „w środek” z nieznośnego bólu. Ból ten drylował go jak kartofla, unicestwiał, zostawiając cienką skórę duchową, jedynie aby nie „stracono” poczucia osobowości — reszta to była jedna bolesna i łaskocząca Nicość.

Nie wiadomo czemu przypomniawszy mu się po raz pierwszy ta Eliza, którą poznał na pierwszym wieczorze u księżnej i wtedy nawet nie zauważył: to jest: pomyślał o niej jako o możliwej żonie, ale cóż to były za bladawe i nieistotne wymiary. A jednak mimo to — rzecz dziwna — obraz jej utrwał się i nabierał barwy na tle obcego, pierwszy raz jakby widzianego boru, szumiącego głucho od powiewu słabnącego orawskiego wichru. Skrawek księżycy wschodził na tle zielonkawego nieba pośród z lekka burawo-różowiejących obłoków, szybko sunących na wschód. Jakies przeznaczenie wypisywał ktoś wielki i nieznanym i w dal uchodzący razem z tym wietrznym rankiem (który podziwiał się nie wiadomo gdzie) na dziwniejącym w rozjaśnieniu świecie, niewidocznymi znakami. Ale znaczenia ich groźne, nieme, a wołające, były w nim samym i rozumiał ich sens wiekiuisty na dnie całej ohydy obecnej, trwającej niepodzielnie w najdalszych, uprzestrzenionych zakamarkach czasu, aż po wieczność samą. „Nie szukać ratunku świadomie — muszę uratować się sam”. Fakt wchłonął się w wielkość przeznaczeniowej chwili w krajobrazowym ludzimmerskim sosie. Jakby olbrzymie, śmiertelnie znużone bydlę legło i zawałiło się na odległe horyzonty, które, w braku czegoś lepszego, reprezentował teraz daleki, smutny, obramiony ponurymi lasami widnokrąg ludzimmerskiego pejzażu. Urok mały i nędz-

ny (ale przecie) wytrysnął z wyschniętych, ochlapłych cyc bytu, daleko gdzieś za górami bezwładnie leżących. I zaraz potem okrutna rozpacz, że coś stało się nieodwołalnie, nieodwracalnie, coś beznadziejnie nie-do-odkupienia: nigdy już nie pozna prawdziwej miłości — nigdy, nigdy... Pierwszy raz pojął sens tego przepastnego słowa i pierwszy raz również śmierć nadleciała z nieokreślonego osobistego zaświata i przedstawiła mu się oficjalnie — nie jako opromieniona jakąś wątpliwą sławą bogini, tylko jako pedantyczna osoba, nieco męska, porządkująca wszystko, dogłębnie starannie, do okropności nudna, autorytatywna w nauczycielski czysto sposób, nieznośna — śmierć, jako trwanie w doskonałej Nicości. Umarło dookoła życie, zgaszone jak mała, nikomu niepotrzebna lampka — nie było w tym nic z wielkości. Zasunął się w zmęczonym łbie czarny szyber jak w piecu, czy w fotograficznej kasce — z tej strony były byłe, niedorose uczucia — z tamtej: na czarno kielkująca myśl na obrzydłym ugorze zwątpienia. Szlus — fajt i — narodził się nowy Zypcio. Ten fatalny wieczór-poranek bez nocy, niezależnie od tego, czy wróci do tej megiery, czy też będzie miał siłę ją przewyciężyć (teraz rozumiał, że był to tylko „trick” i że drogę do powrotu ma wolną — to było najfatalniejsze), ten choleryczny, astronomicznie wyznaczony wycinek czasu, a nie te poprzednie, raz na zawsze oddzieliły go od możliwości prawdziwych uczuć. Zakłamało się wszystko tak, jakby się zapociły szybki wewnętrznych kompartymentów — wilgoć, a za nią brud, a potem smród psychiczny i łapy zababrane w świństwie — już nic czystego i pięknego wziąć w nie nie potrafi — na wszystkim będą ślady wstrętnych paluchów, dobre dla daktyloskopii duchowych zbrodni na ostateczny sąd — każdy ma w którymś miejscu życia taki sąd, tylko że o nim czasem nie wie. Chociaż, gdyby tak jakaś straszliwa, „strzelista” pokuta, a nade wszystko absolutna pewność w tej chwili, że *tam* nie wróci — („tam” to była nie ona, tylko raczej *to* —) — no, jeszcze sekunda wysiłku, noo! up! yyy... (jak drwale w lesie) — ale pewność ta nie nadchodziła, mimo że ją wyduszał wymykającą się wolą ze wszystkich porów ducha. Nikt nie pomógł i dookolny krajobraz też: niebo uciekało w dal z wichrem, obojętne, nie tyle wyższe, ile inne, obce takim sprawom (a może gdyby był słoneczny poranek, wszystko poszłoby inaczej?) — ziemia była nieprzystępna, wroga, kolczasta. Przebudził się nareszcie jak w rowie goły pijak, co wszystko stracił wczorajszego wieczoru w niepamięci odurzenia. Trzeba było zaczynać na nowo.

SPRAWY DOMOWE I PRZEZNACZENIE

Było widno już całkiem i nawet przez lekkie chmury świeciło blade, żółtawe, trupie słońce, kiedy Genezyp wchodził boczną furtką do lewoskrzydłowej przybudówki pałacu, gdzie mieli teraz swoje nędzne trzy pokoiki. Pomyślał o Lilian z jakąś tkliwością niepodobną do niego, a potem o matce. Może by tak zrobić taki słodkawy, dobrawy, łzawy kompromis i powiedzieć wszystko „mamie”, i być dobrym, bardzo dobrym (dla Lilian też), to może przecie odwróci się to wszystko i on pokona tego potwora, którego część jedna została tam, w zamku Ticonderoga, a druga, z tamtą w jedność złączona, wrośnięta była i wpiła w najistotniejsze podstawy zła jego zwierzęcej osobowości. Nigdy jeszcze nie czuł rozdwojenia w tej potędze, co teraz. Po prostu fizycznie: prawa połowa ciała i głowy (wbrew teorii fizjologicznej zresztą) należała do innego człowieka, który jednak był bezsprzecznie nim samym — tylko bowiem na podstawie bezpośrednio danej jedności osobowości możemy skonstatować rozdwojenie: nierównomierność przemieszczenia pewnych kompleksów w ramach tej jedności. Ta prawa strona to była jakaś stalowa łapa draba wymierzona przeciwko czarnej potędze życia — lewą stanowił trup dawnego chłopczyka, zmieniony w lubieżne kłębowisko robaków. Obojętny, bezwładny „oberkontroler” nie wiedział nic, co te części poczną — unosił się nad nimi, jak „duch nad otchłanią” — „*au commencement BYTHOS était*”. Do matki, tylko do matki (tam była jedność początku — ojciec stał jak groźny cień [widział go na chmurach] na pograniczu tych światów, rozrosłych do wielkości całego świata i *groził* życiem — takim, a nie innym, jakiego chciał on i koniec), do mamy, jak za dawnych czasów, jako do tego wszechsyndetikonu, który wszystkie spęknięcia (nawet te, odsłaniające przepaście nie-do-zasypania), skleić może. Nie oceniał Zypcio *uroku ważności* samego siebie, nędznego pyłka — byłby się cieszył tą chwilą jak dziecko — ale był właśnie dojrzewającym w sztucznych, skonstruowanych przez ojca inkubatorach, młokosem. W tym była ostatnia, dość obrzydliwa na tle zajęć

ostatnich, słabość. Matki powinny być wykluczone z ogólnokobiecego świństwa, szczególnie w tak „demonicznej” przyprawie. Trudno — tym razem nie dało się to ominąć.

Ale i tu spotkała Zypcia kłęska — „Bóg dał mu nowego szprycy” — jak mówił Tengier. Zajrzał do pokoju Lilian — (drzwi były jak zwykle otwarte). Spała skręcona, z rozchyłonymi prześlicznie wyciętymi ustami (pierwsze teraz, drugie stale oczywiście) i rozrzuconymi na poduszce złocistymi „włosyma” — tak pomyślał. Coś jakby erotycznego drgnęło w nim w stosunku do siostry — gdyby nie było tych innych bab, tylko ona jedna — (już tamta rozmnożyła mu się w wielość, w babisko [węzowisko], w babieniec, w „wsieobszycze babjo”) może by świat był czysty. I zaraz połączyła mu się Lilian z Elizą i (o dziwo!) sam z nimi obiema na dobitkę się utożsamiał i strasznie, ale to strasznie pozazdrościł im obu dziewiczej czystości i nadziei na wielką, prawdziwą miłość jakiegoś wstrętnego draba, może jeszcze gorszego od niego samego. O Elizie nie śmiał myśleć dalej, a może po prostu nic go ona nie obchodziła w tej chwili — była symbolem. „Psychologia kobiet w ogóle jest nieciekawa — co tu o tym gadać” — przypomniało się zdanie Sturfana Abnola i doznał niezmiernej ulgi. Banalny kamień spadł mu z owrzodzonego serca. (Chwała Bogu, bo czekała go rzecz straszna). Wściekle pożałował swojej niewinności. A obraz tamtej rozwalonej bestii, która może teraz z tym otrutym hyperjohimbina Toldziem, po nie wiem raz który... — o! to nie-do-zniesienia!! I to obraz na tle „twarzyczki” Lilian i tych myśli. Żgnęło go jak rozpalonym prętem od prostaty aż do mózgu. „Do mamy, do mamy” — kwilił w nim ohydny, chłopiący głosik. I ten brał Zypcio za najgłębszy głos samego dna sumienia swojej istoty.

Pchnął drzwi do pokoju matki (były otwarte) i zobaczył ją prawie całkiem naga, śpiącą w objęciach śpiącego również i na blond rudawy włochoatego Michalskiego. *A nom d'un chien!* — tego było już za wiele — to już jak chcecie jest pewna przesada pechowatości — tak po prostu nie można.

Żółtawe światło „sączyło się” przez nędzną białą firankę, modelując delikatnie grupę w łóżku. Wyglądali jak posągi. Gdzieś sobie stały obojętnie na jakichś postumentach czy piedestałach i nagle nie wytrzymały i splotły się — coś tak nieprawdopodobnego było (dla Zypcia oczywiście) w tym połączeniu. Patrzył na to z zimną ciekawością niezrozumienia (czy nawet „niezrozumiałstwa”) jak człowiek, który dostawszy straszną wiadomość, uderzony jej ciosem, nie rozumie jeszcze dokładnie jej sensu. Mózg w postaci grajcarekowej spirali wkręcał się w wierzch czaszki — jeszcze chwila — a wytryśnie aż do sufitu i ochłapie idiotyczne oficynowe plafonowe ornamenty. Na to postawił nieboszczyk papa Kapen tę przybudówkę dla jakichś oficjalistów, aby syn wydziedziczony ujrzał w jej „ubikacji” własną matkę, śpiącą w „miłosnym” omdleniu z likwidatorem całego interesu. Widocznie, najwidoczniej, upili się do nieprzytomności i zasnęli, nie wiedząc, gdzie są i kim są oboje, po straszliwych uniesieniach długo hamowanych uczuć. Na stole koło łóżka, nakrytym kolorowym obrusem (pani Kapenowa nie uznawała dysharmonii i sprzedawała wszystko, co tylko miało pozory dawnego zbytku), stały owoce, kanapki, jakiś biedny majonez, pusta butla dzikowskiej wódki z wielką Leliwą i hrabiowską koroną na etykietce³ i dwie *niedopite* butelki wina. Przez dziwną delikatność nie było piwa — młody herb Kapenów (innego piwa przecie pić w Ludzimierzu wprost nie było można) byłby szczytem dysonansu w tej kombinacji, a nalepek na fiaskach dotąd nie zmieniono. Formalna orgia — i to teraz właśnie musiał widzieć to Genezyp, kiedy jak na złość, jak nigdy, potrzebował pomocy matki, jako antydotum na życiowe świństwo. Skurczył się (skurczybyczył się (?)) cały spalony wstydem od wewnątrz, niby tysiąc-woltowym prądem. Zbladł zamiast się zaczerwienić. Zobaczył „ciepłe”, brązowe, błyszczące majtki matki, na zielonej kanapce w kącie pokoju. I to teraz, teraz...! Nieubłagana nienawiść zalała całą jego istotę, wypierając wstyd i wszystkie inne wznioślejsze uczucia przez policzki w powietrze, pełne zmieszanych zapachów — między innymi cygar. To ten niepach czuł już w pokoju Lilian i nie wiedział... Za chwilę wstyd, już zobiektywizowany, łomotał w rannym wietrze za oknem — już rozprzestrzenił się w antycypowanych ludzkich gadaniach. Czyż jest coś ohydniejszego jak to, co ludzie gadają jedni o drugich — poza krytyką literacką oczywiście, tą o której z pianą u pyska mówił Sturfan Abnol, tą wywlekającą autora z utworu

³butla dzikowskiej wódki z wielką Leliwą i hrabiowską koroną na etykietce — dzikowska wódka pochodziła ze znanej przedwojennej gorzelnii mieszczącej się w Dzikowie (dziś część Tarnobrzega), jednej z rodowych siedzib Tarnowskich, używających herbu Leliwa. [przypis edytorski]

i imputującą mu wszystkie świństwa popełniane przez „bohaterów”. Łatwo Abnolowi było napluć na krytyki durniów, ale Genezypowi na gadania o matce nie — — A zresztą *to była prawda*. Gruchnął w przepaść — staczał się już od wczoraj. Gdzież były niedawne metafizyczne wzruszenia? — nawet „miłość” jego do księżnej wydała mu się czymś wzniosłym w porównaniu z chwilą obecną. Niedoceniane podstawy życia zeżarł jakiś potworny pasożyt — waliło się wszystko.

Michalski chrapał z lekka, a matka pykała, jak gdyby paliła fajkę. Iskierka współczucia zabłysła na czarnych zwałach nienawiści, jak ogień, sygnalizujący pomoc dla wiszących na skałach niedostępnego szczytu w ciemną, mroźną, wietrzną noc — i zgasła zaraz. Bo proszę bardzo: gdyby nie tamten widok sprzed paru godzin i tak dalej. Ale te dwa obrazki nałożone (*hyperposés*) jeden na drugi, zestawione razem jak w jakimś atlasie, objaśniającym książeczkę o konieczności życiowych rozczarowań — to było już ponad siły. A wytrzymać trzeba było koniecznie. Wiązania wewnętrzne jak na złość trzymały ohydny bombę, która tym pękała, że pęknąć właśnie nie mogła. Bo w jakiż właśnie sposób pęknąć by mogła? System pęknięcia, użyty w łazience u księżnej Iriny, był tu nie do zastosowania. I to ona, ta piękna mama, która posiadała przynajmniej bezsprzecznie tę właściwość, że za nią nie trzeba było się w żadnym razie wstydzić! A taki pasztet! To nie miało stylu, to było wprost wstrętne, po chamsku wykonane, z tym Michalskim w dodatku, na „wciornaści”, na „trzystaście diabłów zjedli”! Karczemna fantazja. Może innym razem, może za lat parę (on nie mógł pojąć tego, że ona nie miała i nie ma czasu, podobnie jak Irina Wsiewołodowna) i nie w *taki* poranek (co za egoizm!), to właśnie za imponowałyby Genezypowi jako coś stylowego właśnie, coś w swoim rodzaju wielkiego, właśnie jako wypełnienie prawa pozwolenia sobie na wszystko. Ale dziś był to fakt ekskrementalny w najwyższym stopniu, trujący nieznanymi ptomainami na tej samej linii, co dawka trucizny nocnej, fakt plujący w twarz, babrzący ostatnie, ukryte na dnie jaźni (w środkowym kółeczku) nierozpuszczalne kryształki szlachetności, fakt, łamiący opór wobec potworności życiowej na wszystkich frontach od razu. Teraz zrozumiał, czym była matka — prawie nie istniejąc dla niego świadomie, stanowiła podstawę, na której, nie wiedząc o tym, budował nieomal wszystko. Teraz wyrosła, zolbrzymiała, ale w dół, jako wyrzut, jako żal za tym, czym być już nie mogła w wyższych kondygnacjach ducha. Za późno. Ale wyjście jakieś zawsze się znaleźć musi, o ile się nie może pęknąć i zwariować, a żyć się przy tym chce. Wyjściem takim jest *współczucie* (brrrr...) a za nim: a) mdła dobroć, b) poświęcenie, c) „bohaterskie” wyrzeczenie się tego, czego zdobyć nie można i d) kłamstwo, kłamstwo bez końca, gruntownie zamaskowane, wysublimowane, wzniosłe, wciągające jak bezdenne bagno. W dobroci też rozkładają się ludzie na żywe trupy i to aktywnie i pasywnie — „rozpusta Dobra jest czasem gorszą od zbrodni” — tak powiedział kiedyś Tengier. Ale to nie groziło Zypciowi na dalszy dystans — nieświadomie użył współczucia jako chwilowego środka — jakby zażył aspiryny.

Ale skądże znowu ta nieszczęsna matka mogła się domyślać, że tak zmasakruje tego biednego, kochanego chłopczyka — (tak jakby zza węgla jakiejś podejrzanej budy, pełnej brudnych prycz i drabowatych, chrypliwych głosów, buchających z ciemności, wymierzono mu zdradziecki cios, gdy szedł zapatrzony w gwiazdy — nieprawda! — gdyby przynajmniej tak było. A tu: gdy szedł wpatrzony w gnijący mu w oczach „metafizyczny pępek”). Nie miał jeszcze techniki „uuroczania” każdej chwili — na to trzeba być mądrym starcem. Mógł widzieć księżnę jako czerwoną, demoniczną gwiazdę, zachodzącą nad nieprzebytym moczarem straszliwości (interesującej) choćby w sobie. Widział ją i czuł jako cuchnący (okropne słowo — śmierdzi na sucho) worek flaków, miotający mu się w twarz i zasłaniający życie, worek, w który — niby go odpychając — chciał się wpić zębami jak buldog. Gdyby spotkał matkę na rogu ulicy jako prostytutkę, może nie byłoby to takie straszne, jak ten bezczelny i pociągający swoją monstrualnością widok. Dwa lubieżne obrazy zły się w jeden i było to jak nieodbite uderzenie w twarz, obelga nie-do-zmazania na całe życie. Jakaś chomowata łapa kiwała z dna tego grzęzawiska na znak, że pomoże, jeśli się jej porządnie zapłaci. Czym? Był goły — nie miał „przy sobie” nic. A nawet tam dalej zdawało się, że nie ma „sumy psychicznej” zdolnej opłacić cenę wywindowania się z tego upadku. Czekala jedynie męka. Ale młodość nie znosi takich stanów, chyba że jest się artystowatym sflaczańcem, takim tytanem znaczków na pięcioliniach w rodzaju Tengiera, którego nie czepia się żaden brud życiowy, bo się ukoniecznia, transformując

na tak zwane „artystyczne konstrukcje” — uświęca się i usprawiedliwia w innej sferze, jakościowo od życia różnej, z nim jako takim niewspółmiernej. Nie miał Genezyp tej rezerwy, bo nie było w nim nic nawet z pseudoartysty: żył aby żyć, jak bydlę pierwsze lepsze, jeśli nie gorsze. Trzeba było szukać oparcia w rzeczywistych uczuciach.

I nagle ohydnie rozślonecznił się od środka i pożałował szczerze, plugawie, po prostu, łzawo i sympatycznie, pożałował i matki, i zmarłego ojca, i śpiącej Lilian, a nawet tego wstrętnego, chrapiącego Michalskiego (Józefa). Bo jak mawiał Tengier, trawestując Słowackiego: „są poranki cudne, gdy człowiek się budzi pełen miłości kwietnej do bydła, a nawet i do ludzi”. Ocknęły się w nim arystokratyczne przesady, ale na krótko. (Żeby matkę gwałcił w jego oczach ktoś z „ich sfery”, może by nie istniał wtedy problem wstydu w takim natężeniu. Niesłuchanie wstrętne była mu ta myśl). Żal tych istot, zażgnawszy się u ostatniego wiórka sentymentu, wysterkającego już nad samą nie-do-przejścia z powrotem przepaścią ostatecznych zwątpień w życie, obejmował swym brudnym płomieniem składy nagromadzonych w czasach szkolnych, dotąd martwych uczuć. One to były rezerwą w tej ostatniej chwili i to zawdzięczał znowu ojcu, jego piekielnej tresurze, pod której ciśnieniem tamte warstwy zachowały się aż dotąd niezużyte w stanie pierwotnym. Nie wiedział, że na swoim nocnym stoliku już ma wyrok na przyszłość, źródło nowych utrapień i potęgi i to też z woli tego przemądrzałego, wesołego starca-papusia. Swoim własnym cierpieniem, wstrętnym bólem własnego ciała, zmierzył głębię cierpienia matki przez te wszystkie lata. Jakież męki przejść musiała, jeśli odważyła się na coś podobnego, jak „papojka” z tym (niesłuchanie inteligentnym podobno) blond-drabem, w dwa tygodnie zaledwie po śmierci tamtego jej kata, tuż obok pokoju córki. (To pewnie po tym balu wszech-stanów w fabryce, na którym była Zuzia). A może nie było w tym nic strasznego? Już przebaczał i jej, i jemu (ratując się przy tym gwałtownie z własnego błotka), a nawet — przez perwersję stanowczo a nie wprost — może już wdzięcznym był Michalskiemu, że ukoił męki tak dawnego niedosytu bądź co bądź tego tak strasznie kochanego „dla niego” (a nie przez niego — oto różnica), prawie świętego ciała. A to, że tak to rozumiał i że jednak wznosił się ponad siebie w tej ciężkiej chwili, czyż możliwości tego nie zawdzięczał tylko i wyłącznie księżnej Irinie i — ojcu. Dziwny splot. Znowu pokochał na chwilę tamtą babę.

Ale trzeba było ratować matkę przed czymś gorszym. Zbliżył się i wyciągnawszy rękę ponad zwalistymi, rudawo-włochatymi mięśniami tamtego, dotknął jej nagiego ramienia. Czarne, węgierskie oczy odchyliły sine powieki i wzrok-krzyk przebił gęstą atmosferę tej nowego typu kamery tortur. Już nie było czasu na analizę zapachów. (Czort wie, co w tych rzeczach jest idiotycznym przesądem, nieistotnie, przypadkowo nabytym, a co prawdziwą, istotną moralnością gatunku bez żadnych jakichś tam metafizycznych sankcyj. Dziś etyka tego nie potrzebuje — społeczeństwo samo zastępuje wszelkie zaświaty. Można być zakutym materialistą i dobrym jak kaczodziób człowiekiem). Tamten spał dalej, ale przestał chrapać. Genezyp mówił prosto w te najdroższe oczy, które oglądał jakby przez mikroskop z teleskopowych odległości.

— Nie mów nic. Ja idę zaraz do siebie. Koniecznie musiałem cię widzieć. Nawet chciałem mówić o sobie, ale teraz nie warto. Ale nie myśl, że to pogarda. Nic takiego. Wszystko rozumiem. Nie gniewam się o nic. Sprzątnij go jednak czym prędzej. Tak może jest lepiej. — Wstyd, zwierzęcy strach, zadowolenie z przeżytej rozkoszy mimo wszystko — (to odczuł jako swoje dziedzictwo z niej poczęte — ten cynizm na dnie) i bezgraniczna wdzięczność dla niego, że on tak właśnie... Głowa rodziny — kochana główka rodziny. W wylewie dobrych uczuć zanurzyli się we wspólne bagno, a mimo to wzniesli się o jakie parę centymetrów ponad siebie. Tak było dobrze. Michalski, piękny nawet w tej chwili zamierzchły pepeesowiec, mistrz w organizacji robotniczych spółdzielni, leżał dalej spokojnie, śpiąc jak dziecko, jak miłe zwierzę domowe. Dziwnie bezbronny był w tym stanie — mógł wzbudzić prawie że litość. A w objęciach „dzierzył” prawdziwą baronową, hrabiankę z domu. Nie mógł obudzić się w tej chwili — to byłoby już zbyt potworne. Nikt nie wierzył w możliwość tego faktu: ani Zypcio, ani baronowa. Bądź co bądź miał takt pewien (mimo notorycznego chamstwa) nawet we śnie.

— Nie gniewaj się. Ty nie wiesz. Tam masz rozkaz wojskowy na stoliku nocnym — szeptała matka przywalona potężną, bezwładną, nieświadomą łapą kochanka. — Idź już. — W tych dwóch słowach wypowiedziała wszystko. Byłoby to trudne dla aktorki, ale

rzeczywistość umie nadawać głosowi niepojęcie zawile intonacje — nawet w wypadku dwóch nędznych sylab. Genezyp pogładził ją po głowie i odszedł z dziwnym uśmiechem. Ani się domyślał nawet, jak piękny był w tej chwili — przez *świadomą* dobroć jego orzechowych oczu przebiegał się *ciemisty odblask* skłębionego bólu, usta sztucznie zacięte rozwałwał wewnętrzny upadek w kształt pękającego od słodczy owocu, pełnego tajemnego jadu. Miał twarz usłużnego kelnera (ale z zaświatów), zmieszanego ze strąconym z jakiejś (czyż nie wszystko jedno) świętej góry półbogiem — natchnionego wariata i występnego chłopczyka. Niepodobny był do siebie zupełnie. Tajemne szaleństwo, gotujące się w pieczarach ducha do wylotu, rzucało na jego rysy złowrogi cień. Nie wiedział, co się z nim dzieje — ale był z siebie zadowolony. Mówił nieswoim głosem, nie rozumiejąc jej słów:

— Zdawało mi się przez chwilę, że jestem starcem, że mam 90 lat. Nie ma mnie tutaj — jestem wszędzie. To tylko przypadek, że tu... Jestem szczęśliwy. — Na twarzy matki odbiło się zniecierpliwienie. — Ubierajcie się prędkiej. Lilian może się obudzić. — To mówił już jakiś automat — nie on.

Minął śpiącą siostrę, której poza nie zmieniła się ani na włoszek. Zdziwiło go to niezmiernie — zdawało się, że od chwili wejścia tu upłynęły wieki, a ona spała zupełnie tak samo, jak dawniej. Przeszedł do siebie i znalazł na białolakierowanym, tak zwanym w tych stronach „nakaśliku”, obok zsiadłego mleka i ciasteczek (jakże był szczęśliwy teraz, że przebaczył matce i to — och, co za szczęście! — dawało mu nową siłę w stosunku do tamtego zła, czyhającego na niego w brudnych płciowych zakamarkach [miłości przecie nie znał — czego się oburzać, a?]) i zobaczył, zobaczył obok dawnych zwykłych ciasteczek rozpieczętowany dokument urzędowy. Dziwna chwila przeszła — szaleństwo cofnęło się aż poza płciowe przegrody, w głąb samego ośrodka jedności i czyhało na *swoją* chwilę dalej. Czytał, a w głębi przyszłego życia majaczyła mu, rozpierająca tę przyszłość, władcza postać ojca — widział go takim, jak ostatnim razem: skrępowanego chustami tytana we fraku z orderami — tak kazał się pochować.

W dokumencie stało:

„Niniejszym w przeprowadzeniu przewodu rozporządzeń M. S. Wojsk. L. 148526/IV A i L 148527/IV A rozkazujemy, aby Genezyp Kapen de Vaház wstąpił dobrowolnie na przyspieszony kurs oficerski Szkoły Wyszakolenia Wojennego, zaczynający się 12 kwietnia b. r.

[Podpisano (maszynowym pismem)]

Kocmołuchowicz, *gen. kw. m. p.*

Z oryginałem zgodnie.

Generalny Adiutant kwatermistrzostwa

kapitan... (podpis nieczytelny)”.

Jakby w łeb dostał Genezyp tym nazwiskiem. To go złapał. Więc ON wiedział o jego egzystencji?! Jak Bóg w bajce góralskiej, który wiedział o robaczku zamkniętym w kamyku na morskim żdziarze. Przypomniała mu się ilustracja bajki: śmierć, szukająca kamyka na tle piętrzących się bałwanów. Oto ojciec zza grobu podał mu, w tej strasznej chwili zawalenia się wszystkiego, swoją pulchną, a potężną łapę. Genezyp uściskał ją zębami, całym ciałem wpił się w nią w myśli. Teraz łapa ta zaciężyła definitywnie nad całym życiem. Jak potężny lewar wyciągała go za uszy z bagna. Ale w tym nowym uczuciu dla ojca (wiedział przecie, że to nie kto inny musiał wpłynąć na Kocmołuchowicza) nie znalazło się potępienie dla matki (która musiała w tej chwili właśnie budzić tę swoją pół-pijaną „maszynę dla samozadowolenia”). Zrozumiał, że jednak dla matki musiał to być też kompromis, analogiczny do jego upadku w stosunkach z księżną Iriną — a jednak mniejszy: musiała to być zaprzeczeniem pewnych tylko istotnych dążeń w życiu (konflikt z uczuciami religijnymi i rodowymi chociażby), ale nie zabiciem miłości. Ale życie matki kończyło się, gdy jego... Teraz miał podstawę do walki z potwornością, wcieloną w tamten kałdub, kałdun, bebecz — już nie ciało. Zapomniał o tym, że to coś, czego się bał i pożądał, ma

też duszę, biedną duszyczkę, umęczoną nadchodzącą starością. Z okrucieństwem tylko co przypadkiem zdobytej siły zabijał tamtą bądź co bądź wielką damę w sobie, kopiąc ją, opluwając, bezczeszcząc. Nie czuł, że niszczy tym i siebie, i ten ogonek siły, za który ledwo co się uczeplił. Postanowił, że teraz nosa nie wytknie poza rodzinny kompleks: matka — nawet w połączeniu z Michalskim, jeśli już tak trzeba — (o — właśnie zamknęły się cicho drzwi za nieumytym, nieogolonym, „na chybcika” ubranym, skacenjamerowanym kochankiem — zionął wodą, ale był piękny i do tego taki byk); siostra — teraz zrozumiał całą wartość tego, że miał bądź co bądź siostrę — ona będzie jego pośredniczką dla zdobycia prawdziwej miłości. (Kiedyś Toldzio wyjawiał mu na ten temat jakieś zazdrości, ale była w tym duża doza perwersji — teraz widział to Genezyp jak na dłoni). Matka, siostra i koniec. I niech nikt nie waży się wkręcać w to swoją nędzną (koniecznie nędzną) osobę, — tak, z wyjątkiem Michalskiego. To będzie jego, Genezypa, pokuta, że właśnie pozwolili matce na ten luksus, a może na większy jeszcze. Niech puszcza się stara, niech użyje życia — nie miała przecie tego, co tamta. A się wzdrygnął na to wspomnienie: potwór dał o sobie znać, że czuwa, że czeka tylko na odpowiednią chwilę, aby wpić się w jego niedoświadczone gruczoły i mózgowce centra. Ale na razie ludził się Genezyp, że wygra tę dopiero rozpoczętą bitwę. Nie wiedział, co go czekało, nie na tym, ale na dalszych frontach.

Zaraz zaczął się pakować. Jako głowa rodziny postanowił, że wyjadą południowym kurierem. Kiedy walczył z jakąś walizą, nie mogąc dopiąć klamer, weszła matka, ubrana w różowy (!) dawny zatulnik. Zbliżyła się do niego nieśmiało. Teraz dopiero zauważył jak odmłodziła i wyładniała.

— Przebac, Zypku — nie wiesz, jakie okropne było moje życie. — Wyprostował się przed nią piękny i szlachetny.

— Przebaczam wszystko. A właściwie niegodny jestem tego, by komuś coś w ogóle przebaczać, a tym bardziej tobie.

— Ale pozwolisz, że pan Michalski pojedzie z nami. Właśnie dziś i tak miał jechać. On się nami zaopiekuje. Ja jestem taka bezradna — wiesz.... — To odbierało mu trochę uroku, jako głowie rodziny.

— Ja zupełnie wystarczę jako opieka. — (Pani Kapenowa uśmiechnęła się przez łzy: „czyż to nie jest szczęście w nieszczęściu to wszystko”). Ale nic nie mam przeciwko panu M., ani nikomu, który mamie do szczęścia jest i będzie potrzebny. Dziś zrozumiałem zbyt wiele... —

— A ta historia? — przerwała matka.

— Skończone — burknął. Ale jakieś przykre echo z głębi jego istoty przyniosło mu zupełnie inną odpowiedź. Odbiło mu się tamtym babsztyłem jak cebulą. Ściskali się z matką długo.

Po południu mijali już okoliczne (koniecznie okoliczne) wzgórza, pędząc tak zwanym węgierskim ekspresem w kierunku tak zwanej regionalnej stolicy K. Jechał z nimi (dziwnym zbiegiem okoliczności — Liliana wcale nie była taka głupia), Sturfan Abnol, który właśnie dostał był posadę „naczelnika literackiego” (jak się wyrażał) w dziwnym nader (co to jest to słowo?) teatryku Kwintofrona Wieczorowicza. Gwiazdą tego „zawiedienja” była nieznana dotąd nigdzie Persy Zwierzontkowska, pół-Polka, pół-Rosjanka, praprawnuczka słynnego Zwierzontkowskiego jeszcze spod Somo-Sierry. Miała przy tym jeszcze jedną funkcję, ale tajną. I o tym później oczywiście.

Informacja: Sturfan z niebywałą siłą zabrał się do pozornie niewinnej jak pączek Liliany. Mimo całej ogólnej katastroficznego położenia wszyscy byli w cudownych humorach. Nawet Genezyp, nieświadomy klęsk przyszłości, pienił się jak kielich młodego, wyrosłego na lawie, wina. Rozkaz wojskowy w kieszeni to czasem dobra jest rzecz. Nie wiadomo, czy to piękne popołudnie w wagonie drugiej klasy ekspresu, pędzącego krętą linią pośród Beskidzkich Wzgórz, nie było jedną z najlepszych chwil jego życia. Zaprzyjaźnił się nawet z Michalskim, który od wczoraj jakoś dziwnie nieśmiało zaczął się do niego odnosić.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/witkacy-nienasylenie-przebudzenie>

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Nienasylenie*. Powieść. I. Przebudzenie, Dom Książki Polskiej Spółka Akcyjna, Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Jacek J. Hoffman, jacekH, Beata Okulińska, Jan Marcinkiewicz, WMZPR.

ISBN 978-83-288-1016-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.